

MIESIĘCZNIK LITERACKI

# AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 7(72) Rok VI lipiec 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvinet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvinet.pl

w numerze:

Eugeniusz Bobula • Aleksander Chłopek • Tadeusz Chrościelewski • Wiesław Stanisław Ciesielski • Ludwik Filip Czech  
Robert Czempiński • Alicja Dąbrowska • Andrzej Dorobek • Zdzisław Drzewiecki • Pranė Dundulienė • Dorota Dziedzic  
Zbigniew Włodzimierz Fronczek • Jerzy Fryckowski • Aleksander Gerow • Piotr Ginter • Georgi Gospodinow  
Krzysztof Hilkamp • Jerzy Hłond • Kurt Ihlenfeld • Grzegorz Iniewicz • Sokrat Janowicz • Stanisław Januszkiewicz  
Jan Junkiert • Ludmiła Kasjanenko • Igor Kantorowski • Beata Klary • Tomasz Kosecki • Wojciech Kowalczyk  
Wiesław Kowalski • Maciej Kuczyński • Anetta Kuś • Sławomir Kuźnicki • Ernestyna Lewandowska • Tadeusz Lira-Śliwa  
Łukasz Mańczyk • Regina Michałowska • Arkadiusz Mika • Stanisław Nowicki • Andrzej Orylski • Eryk Ostrowski  
Stefan Pastuszewski • Halina Petrykowska • Anna Piliszewska • Beata Anna Pokorska • Jerzy Przybyszewski  
Clemens Conrad Rössler • Włodzimierz Rutkowski • Norbert Skupniewicz • Marcin Smoliński • Alfons Soczyński  
Stanisław Stanik • Jadwiga Stróżykiewicz • Jolanta Szwarc • Stanisław Szwarc • Jacek Tabisz • Jan Tomaszewicz  
Łukasz Tresenberg • Stanisław Truchan • Robert Wilczyński • Maria Zabierowska • Marek Zgaiński

## Stefan Pastuszewski

### Wybory

zostałeś sprowadzony  
do figury szczura  
szczura nowoczesnego  
bo czasem latasz  
samolotem  
i łączysz się z innym  
szczurem  
organami bez żadnej zenady  
i elektronika  
kolejnej generacji  
ale w tym śmietniku  
masz swoją norkę  
i ona cię niesie  
i stanowi  
a nie jakiś tam dom, lot i bieg  
nie mówiąc już o boju

zostałeś posiekany  
sekundy stukają jak niegdyś  
godziny  
takie pełne  
nóż za nożem nowych  
wiadomości  
zawsze ważnych  
dzieli  
jeszcze skóra cię trzyma  
niczym beczka  
bo nie kręgosłup



Fot. Adam Juszkiewicz

maluj skórę,  
włosy  
daj się poznać  
idź po nowe  
przedmioty  
to twoja wartość

zostałeś poddany panu  
tak długo szukałeś  
tego którego byś kochał  
i nienawdził  
a nade wszystko  
od kogo byś oczekiwał  
sam przecież jesteś taki mały  
szary  
i sprzątasz  
oczekiwania twoje też mieszczą się  
w napastrku  
no może –  
od czasu do czasu  
chmurny nieboskłon alkoholu

zostałeś...  
sam wybrałeś  
bo przecież jest wolność  
której nie umiesz  
ale zawsze wiesz  
co to jest nadzieja

8 czerwca 2003



## Tadeusz Chróścielewski

## Przez mgłę, czyli o czasopismach literackich tuż po wojnie...

Mgła.

Za mgłą na pierwszym planie pojawił się Tygodnik Społeczno-Literacki „Wies”, z jego przeobrażeniami oraz zmianami lokali (choć redagowało się, przynajmniej przez pierwsze lata, zazwyczaj w kawiarniach); na drugim – choć daleko w tyle – „Kuźnica”. W tym pierwszym etapie „Wies” mieściła się w Domu „Czytelnika” przy Piotrkowskiej 96/98, w trzech klitkach, sąsiadujących z „Kuźnicą”. Kamienica w ogóle niezwykle zatłoczona, ze względu na „Czytelnika” i inne, raczej centralne, wydawnictwa, dwa pisma satyryczne i kilka codziennych oraz dużą salą przeznaczoną na spotkania autorskie. Co prawda wielkość klitek redakcyjnych nie była zbyt istotna. I tak podstawowym miejscem tworzenia numerów pisma była kawiarnia na parterze (w tym samym budynku), a dla amatorów – piwniczka z miejscem do tańca pod fortepian i z barkiem, wysokimi taboretami i paniami od podawania trunków.

Panie całowało się w rękę. Czasami brały one udział w rozmowach intelektualnych, co nikogo nie dziwiło, gdyż były to panie z dobrych domów, często wysiedlone z latyfundiów, jako że od początków okupacji kawiarniane ich usadowanie należało „do tonu”.

Oba lokale, połączone wąskimi schodkami, nosiły nazwę „Fraszka”, zaś schody miały dziwną właściwość: schodziło się po nich łatwo, ale powroty miały charakter wspinaczkowy. „Szpilki” (może i „Mucha” – nie pamiętam), „Kuźnica” i „Wies” miały swoje stałe, niejako urzędowe stoliki. „Kuźnica” – tygodnik literacki intelektualistów lewicowych (z początku jeszcze nie nazywali się marksistami) zajmował stolik pośrodku salki. Rezydował przy nim redaktor naczelny Stefan Żółkiewski, zwany przez nas hetmanem, wicenaaczelnymi byli: Paweł Hertz i Jan Kott. Pierwszy był zdecydowanym liberałem, drugi zapalonym marksistą o temperamencie zagończyka. Miał żywą wyobraźnię, galopujące pomysły. Urzeczony nimi oraz rozpędem swej odkrywczej myśli, popełniał gafę za gafą (stąd Księga Pamiątkowa, wydana właśnie ku cści staruszka Leopolda Staffa, zawierała m.in. wierszyk, którego każdy wers zaczynał się od „ile”, a na końcu następowało stwierdzenie „Ile Kott narobił gaff, tyle lat niechaj nam żyje drogi pan Leopold Staff”). Onże Kott uczynił, oklaskami całej redakcji przyjęte, odkrycie, że Robinson Crusoe tylko po to osiedlił się na bezludnej wyspie, aby założyć z pomocą Piętaszka i doszłych czasami jego kolegów – „dobrych dzikusów” – kolonialistyczny kapitalizm.

Między stolikiem redakcji „Kuźnicy”, a stolikiem redakcji „Wies” znajdowały się stoliki wolne, na których plasowali się niejako w poczekalni, kandydaci do współpracy z którymś z obu tych pism. Pewnego dnia po pożegnaniu się ze Słobodnikiem, czy też ze Zrębowiczem, nie wiedząc o przeznaczeniu stolika, usiadłem przy nim (może, żeby podziwiać z bliska fikuśną stylizację Zaruby na kicz mieszczański); dama w stroju negligé – najpotężniejszym, jak wiadomo, ze strojów kobiecych, z zachęcającym u dołu napisem: „Wiele rozkoszy płynie stąd – przy małej czarnej duża blond”) – i zupełnie niespodziewanie zostałem zaangażowany do współpracy z pismem „Wies” przez majora, który był szefem pisma, a także posłem. Miał twarz słodkiej dziewczycy, co usiłował zatuszować bohaterskim i nader męskim ćmieniem fajki – i nazywał się Jan Aleksander Król. Po usłyszeniu, że wykładam na rusycystyce staroruską epikę ludową, zamówił u mnie przekłady bylin. Zamówienie nie zrobiło na mnie większego wrażenia, jako że wtedy dość dużo drukowałem w takich pismach jak: „Nowiny Literackie”, „Tygodnik Warszawski”, „Dziś i Jutro”, „Odra”, „Arkona” wydłużając podpis autora o Tadeusz Rokitniak (aby czytelnicy – jeśli tacy byli – pisemk

podziemnych, w których pisałem, używając nomen de guerre, wiedzieli, że ten „Tadeusz Rokitniak” to Tadeusz Chróścielewski). „Królewiczami” w tym piśmie, tj. zastępcami naczelnego byli: Stanisław Pięta, laureat przed wojną PAL-u oraz wywodzący się z „Pionu” Stefan Lichański. Bylinę „O Wasyliju Pijanicy” dałem im wspaniałomyślnie do druku, nie wiedząc, z braku czytania, że narwany i pozbawiony sentymentów do tradycji – powiedzmy inteligencko-ziemiańskich – Król nie widział nic złego w tym, by opublikować żądanie usunięcia z programów szkolnych utworów zdolnego, co prawda – przyznał łaskawie – poety, który z racji pochodzenia niechłopskiego i nierobotniczego nie poparłby z pewnością, gdyby dziś żył, „reformy rolnej”, czyli wywłaszczenia z ziemi „obszarników”. A nazywał się ów poeta Jan Kochanowski.

Wpadłem! I tak już, niestety, zostało, choć dopiero co odmówiłem z oburzeniem współpracy z „Kuźnicą”, która nie wstydziła się powoływać na autorytet „tego komunisty” Marksa. „Wies” była przez jakiś czas organem Oddziału Wiejskiego ZLP. Po straszliwej jednak bitwie na szczycie (dla redaktorów i współpracowników już w parę miesięcy później, równie mitologicznej jak bój tytanów czy walka hufców anielskich z demonami ciemności) została pismem zajmującym się problematyką doskonałej wsi przyszłości, a jednocześnie problematyką młodoliteracką i młodopolonistyczną. Ostatecznie wyłączyła ze swych zainteresowań publikowanie piewców reprezentujących czysty folklor. Nastąpiło to po głośnym zjeździe pisarzy i naukowców specjalizujących się w sprawach wsi współczesnej w Rytwianach poradziwiłowskich w lecie 1947 roku. Odtąd socjologowie zajmowali się przemianami we współczesnej wsi i walce z tradycją (co nie znaczy, żeby pismo przeszło na poziom reklamy kolchozów w otocze ówczesnej prymitywnej reklamy), a literaci i poloniści pasjonowali się polską i światową współczesnością, starając się zachować jakiś możliwy do przyjęcia dla cenzury dystans między swą twórczością, a realizmem socjalistycznym – jakkolwiek pewna plebejskość była mile widziana.

Sztandarowymi eseistami społeczno-ekonomicznymi byli profesorowie: Witold Kula, Dyzma Gałaj i młoda jeszcze Helena Brodowska. Tradycje demokratyzmu polskiego popularyzował profesor Witold Łukaszewicz – specjalista od plebejskich działaczy Wielkiej Emigracji Popowstaniowej. Sprawami literatury zajmowali się z niemałym zapałem wybitnie zdolni poloniści i nie tylko: Maria Janion, Tadeusz Drewnowski, Anna Nofer i cudowne dziecko okresu i grubo jeszcze po nim – Lech Budrecki. Matkowała wszechstronna Anna Kamińska. Gdzieś blisko, kto chce może ulokować także piszącego te słowa – polonisto-rusycystę i tłumacza. Król tego pisma nabrał ostrożności i przestał zgrywać się na piszącego Szelę (tego z rabacji galicyjskiej). Znalazł swój Kandydowski „ogródek” w pisywaniu listów otwartych do polityków i zawsze niezrównany był w wyszukiwaniu kandydatów na współpracowników.

Pismo stało się ciekawsze, a jego nakład stale wzrastał. Niemniej jednak w nieustannej walce z „Kuźnicą” o palmę pierwszeństwa zdecydowanie przegrywało – tak w okresie, który był czasem terazniejszym obu pism, jak i w historii. „Kuźnica” dysponowała lepszymi i bardziej liczącymi się piórami (nie mówiąc, że za nią stała Partia), a poza tym „Wies” obciążał nieszczyśny tytuł. Narzucony przez donatora, Stronnictwo Ludowe, które przeboleło zmianę profilu z popularyzacji reformy wiejskiej na pismo dla intelektualistów, ale za nic nie zgadzało się na zmianę tytułu. Donator obojętny był najzupełniej, i czemu nie należy się właściwie dziwić, na fakt, że ów-

czesna inteligencja – wtedy jeszcze nie w wyniku faktu, który znakomicie wyświetlił profesor Józef Chałasiński w słynnej rozprawie: „Spoleczna genealogia inteligencji polskiej” – snobowała się w dalszym ciągu na pochodzenie ponadchłopskie. Pamiętam z własnych wspomnień, jak mnie „ruszyło”, gdy prowadzący zbiorowe spotkanie autorskie naszego, „Wsi” aktywu, Tadeusz Papier (który nie wypierał się swej wsi Janina, wręcz przeciwnie) zapowiadając nasze występy w sali odczytowej fabryki zgierskiej „Boruta” zapowiedział mnie słowami: „Teraz zarecytuje obywatelom swoje wiersze Tadeusz Chróścielewski, chłop z okolic Mińska Mazowieckiego”. Krew we mnie – rzekomego rycerstwa ze Zbaraża czy Upity – zawrzała, w duszy wrzasnęło „gorze” i ręka mimo woli sięgnęła za pas po nigdy nie bywałą szablę. Od niedawna dopiero ta „genealogia” inteligencji Chałasińskiego stała się nieaktualna – wraz z przemianą inteligenta pochodzenia szlacheckiego w inteligenta o rodowodzie „wieśniaka Skrobka”... zaś tego ostatniego... w farmera.

Był moment, kiedy uśmiechnęło się do tygodnika szczęście – i to po awanturze z władzami Stronnictwa, które postawiło ultimatum: jeżeli będziemy bawić się w uczciwość inteligenckie, to przestaną nas już zupełnie finansować. Tym „szczęściem” była, nadeszła jakże w porę, depesza od wicepremiera (niemalże bardziej wpływowego od samego Bieruta) Hilarego Minca. Oferował daleko idącą pomoc finansową. Były w depeszy jakby komplementy. W sprawie pomocy zapraszał nas do siebie na konferencję. Król na tę triumfalistyczną naradę wziął ze sobą cały aktywu: Zdzisława Skwarczyńskiego, Wiesława Jazdyńskiego (który umiał z wdziękiem mówić, a był bardzo inteligentny), Annę Kamińską, Leszka Budreckiego, piszącego te słowa (żeby też błyskał uczonościami z literatury wschodniej Europy); zagarnął resztki pieniędzy z naszego sejfu i... pojechali – jak mówili Rosjanie. Okazało się, że wicepremier w sposób nie podlegający dyskusji zażądał od nas skupienia całej energii na propagowanie od zaraz spółdzielni produkcyjnych na wzór radziecki (choć dotąd władze zarzekały się, nawet na oficjalnych afiszach i przemówieniach, że nigdy w życiu!). Dyplomatycznie, ale i zdecydowanie wymyśliłyśmy się od tego zaszczytu i wróciliśmy z minami grobowymi do Łodzi. „Ale nas umińcy!” – stwierdził, stosując dowcipną grę słów, naówczas tylko magister, Zdzisław Skwarczyński. Nikt się nie odezwał: nie było nam do śmiechu. Król przeprosił się z władzami ludowymi, które na szczęście dzieliły (na razie) jego brak zapału do „kolchozów”. Jakies nieduże pieniądze otrzymaliśmy z Uniwersytetu Łódzkiego. Pismo było coraz bardziej organem młodych „rewolucyjnych” polonistów. Wielka zwyciężczyńca we wzajemnej walce o rząd dusz zaczęła zbierać manatki, by przenieść się do Warszawy. Cieszyliśmy się na myśl, że gdy pozostaniemy sami w mieście, nadal nieodbiegającym zbytnio wielkością jeszcze od Warszawy, staniemy się wielcy i czytani jako jedyni, choć „cały naród budował swoją stolicę”, a Łódź tylko elektrycznie, która miała wyrugować kominy.

Symptodem historycznego bezapelacyjnego zwycięstwa „Kuźnicy” nad „Wsią” jest fakt, że i u Lesława Bartelskiego i we wszystkich słownikach encyklopedycznych Maria Janion bez zająknięcia podaje za miejsce debiutu „Kuźnicę”, choć w rzeczy samej debiutowała we „Wsi” i w dodatku długo pracowała w piśmie Jana Aleksandra na odpowiedzialnych i prestiżowych etatach korektorki, a powodowany dobrym sercem naczelnicy nie usunął Leszka Budreckiego, choć ten bojkotował systematycznie dyżury redakcyjne i w ogóle, jak mówił „wicekról” od spraw organizacyjnych – Leonard Sabierajski, „włosem w redakcji nie przewrócił”.

Do „wsiowego” debiutu przyznawał się głównie, póki żył Jerzy Waleńczyk, kilkakrotnie laureat, najzdolniejszy z poetów tzw. „kaskaderów”, czyli specjalizujących się poza literaturą w nadużywaniu i pewnych zawiłościach w stosunku, do raczej posługującym się logiką, świata. Przyznawał się też późniejszy powieściopisarz, batak-



lista partyzancko-legionowy, a wtedy reportażysta i felietonista do specjalnych poruczeń – mój przyjaciel i działacz kulturalny Wiesiek Jażdżyński.

Kiedy znaleźliśmy się („Wies”) w nowym lokalu przy Piotrkowskiej 133 i zaczęliśmy cieszyć się ogromem pomieszczenia (wszyscy z wyjątkiem króla, który uwielbiał pracę w kawiarni, właśnie w tłoku i stolikowym harmidrze) zjawiał się na schodach i piął się pracowicie na nasze trzecie piętro wysoki ni to pan nie w naszym – młodzieżowym – wieku, ni prapajak z epoki jurajskiej. Pan był bowiem bez nogi – prawej – i bez ręki – lewej. Był to sam **Władysław Strzemiński**, twórca rewolucjonizującego malarstwa superabstrakcyjnego kierunku, nazywanego, jak się dowiedzieliśmy *unizmem*. Wywodził się z wielkiego klanu rosyjskich eksperymentatorów-plastyków, jak Kandyński, którzy ogłosili burżuazyjną niepodległość pod wodzą „pana Piłsudskiego” – także swego czasu socjała, tylko nie tak znów radykalnego, i który potem „wysiadł na przystanku”.

Władysław Strzemiński nie przestał jednak, choć mógł z powodzeniem to uczynić, do żadnego z *bieloemigrantskich* kręzków. Przeciwnie, stał się lojalnym obywatelem nowego państwa, wspólnie z żoną **Katarzyną Kobro** – bardzo cenioną rzeźbiarką abstrakcyjną – bliską mu rozumieniem sztuki. Nauczał w Koluśkach i Łodzi rysunków, rozwijał swoją teorię *unizmu*, w której upatrywał najwyższe stadium rozwoju sztuki widzenia, i tym samym artystycznego tworzenia. Współorganizował kolejno stowarzyszenia bliskich mu artystycznie plastyków; głosił abstrakcyjne przymierze pędzla z bliskimi mu ideowo pisarzami. Współaranżował w Łodzi kolekcję światową głośnych europejskich nowatorów; zdobył rozgłos w określonych kołach europejskich. Ideałów politycznych się nie wyrzekł, tyle, że uważał, iż powinnością artysty – teoretyka jest realizować głównie postęp w sztuce. *Unizm* głosił m.in. wyzwolenie od fikcji, iż temat realizowany na płaszczyźnie miał udawać, że posiada trzeci wymiar; ponadto cała przestrzeń obrazu, a więc i pozornie puste miejsca i nawet rama są podporządkowane z matematyczną czy mierniczą wprost dokładnością założonej koncepcji tematycznej. Po wyzwoleniu założył Wyższą Szkołę Plastyczną w Łodzi, ale o dziwo, władze polityczne, choć okazały się tak bardzo lewicowe, nie uznały w nim lewicowca i tolerowały w twórcy szkoły jedynie wykładawcę historii sztuki (!). To, że nieoficjalnie kształtował warsztat plastyczny poszczególnych studentów było tylko tajemnicą poliszynela, ale nie Komitetu, który nota bene nie wiedziałby, kto to „towarzysz poliszynel”. Po wyjeździe Mijała z Łodzi hierarchą partyjnym od spraw kultury był szewc (!). Król, zakochany w tym, co nowe i oryginalne – zaproponował mu współpracę, sądząc, że zacznie się ona i skończy na poinformowaniu o istnieniu jakiegoś „zwarowanego, a cenionego w kołach dość elitarnych, unizmu”.

Już w następnych numerach ukazał się jego rewelacyjny szkic „*Corbusier*”, po nim „*Realizm w malarstwie*”, potem „*Wyjaśniam impresjonizm*”, a w następnym roku „*Patriotyzm Matejki*” i „*Droga Dunikowskiego*”. Rzecz znamienita, wielki nowator ani razu nie wypowiedział się w naszym piśmie o istocie swego osobistego wkładu w filozofię sztuki plastycznej, jakim były artykuły informujące, co to właściwie *unizm*. Temu tematowi poświęcał wypowiedzi w pismach czysto plastycznych, walczących, w wykładach, i w wydanej pośmiertnie przez uczniów „*Teorii widzenia*” (1958). Można było oczekiwać, że twórca tak nie-

zwykle nowatorskiego kierunku będzie się wzgardliwie odcinał (jak futuryści, „*źródłowcy*” w poezji, a zwłaszcza Tadeusz Peiper – praktycznie twórca polskiej awangardy) od oceniania na poważnie, ze znanstwem i w miarę obiektywnie, wszelkich kierunków malarstwa zastanego, zatem z natury rzeczy nie-nowatorskiego i nie-abstrakcyjnego. Tymczasem twórca „*teorii widzenia*” rozumiał założenia każdego z minionych kierunków i ich wybitnych reprezentantów, oceniał je pozytywnie, w zgodzie ze współczesnymi danymi artysty „*możliwościami widzenia*”. (Możemy to nazwać niedoktrynalnie, unistycznie, postępowo artystycznym daną epoki, i ocena wyjdzie podobna).

Do twórczości Matejki miał pretensję nie za jego sztukę malarską, czy rzekomy konserwatywizm pędzla, co za (w teoretyku odezwał się wyznawca walki klas z naturalnymi ansami wobec chwalcy osiągnięć warstwy wyzyskiwaczy – tu monarchów i klas, na których się opierał) narodowo-państwową ideologię, jakiej mistrzowski malarz był wyznawcą i panegirystą. Dodać trzeba, że twórca unizmu, nie tylko był człowiekiem nadzwyczaj sympatycznym i towarzyskim, ale znakomicie władał piórem – sprawnym i ścisłym. Toteż wyjaśniając, na czym polega konstruktywizm w architekturze (nazywany do niedawna dość powszechnie, a mało sensownie „*stylem nowoczesnym*”), wskazał m.in. – mając wyraźnie na uwadze nieszczęsną praktykę „*Łodzi fabrycznej*” – na, związaną z tym stylem konsekwencją takiego układu dzielnic fabrycznego miasta racjonalnego, która by łączyła w sposób doskonały problemy produkcji z problemami życiowymi mieszkańców, aby dzielnice produkcyjne i osiedlowe były wobec siebie przyjazne.

Pojawienie się we „*Wsi*” nowego współpracownika zostało przez czytelników miejskich pozytywnie zauważone. Podniósł się nakład pisma, a, co najistotniejsze, zwróciło uwagę „*monarchy naszego pisma*” i zespołu kolegialnego redakcji na możliwość pójścia właśnie tym tropem i korzystając z faktu, że zwycięska „*Kuźnica*” lada tydzień opuści Łódź i w ten sposób nasze pismo stanie się jedynym piśmie w tym mieście, można by w większym stopniu niż dotychczas zajmować się problemami miasta i zmienić te – coraz bardziej nam ciężące (choćby wymagane na całego, absurdalne dla nas, chwalenie kołchozów jako jedynej przymusowej drogi rozwoju wsi polskiej).

Zaczęliśmy od aluzyjnej wystawy plastyki unistycznej w dużej sali redakcji. Do miasta poszły zaproszenia. Naturalnie do władz naczelnych, które nazywały się od jakiegoś czasu „*prezydiumem*” (Rady Narodowej Miasta Łodzi). Prezydium, co prawda, nie pofatygowało się, i wino oraz kawa w dużych ilościach nie trafiło do właściwych gardeł. Przyszła tylko towarzyszą kierownik Wydziału Kultury i towarzyszą zwyczajny „*członek*” owej Rady, czyli kurator, którego z góry zaznaczyły, że nie mają w sprawach „*za i przeciw*” nas interesujących nic do powiedzenia. Ale chyba nie było tak źle, jeśli rychło po wystawie Jan Aleksander, nazwany „*towarzyszem*”, otrzymał pismo zapraszające go przed oblicze samego towarzysza Przewodniczącego. Poszedł pełen radosnych nadziei. Przewodniczący Stawiński – do niedawna tkacz (zapomniałem, w jakich zakładach), oznajmił na wstępie rzeczowo: „*Gadka będzie krótka, bo my tu, obywatelu gazeciarzu, pracujemy, a nie pisujemy choćby ciekawych gadek, choć nie powiem, lubimy czytać, kiedy ciekawe. Dowiedzieliśmy się od towarzyszy, że zajmujecie lokal w kamienicy, którą potrzebuję do pracy, więc krótko i zwięźdłowo: kiedy wyjeżdżacie do stolicy Warszawy, którą żeśmy w pocie zbudowali po zniszczeniu przez szwabów i reakcję. Wasi od pisemek wyjechali, a wy, jak te suszy. Towarzyszu, to jest obywatelu, więc kiedy?*”

Pod datą 20 września 1949 roku ukazał się pierwszy numer Tygodnika Społeczno-Literackiego „*Wies*” o innym formacie, z miejscem wydawania w Warszawie, na pl. Starynkiewicza 7, w gmachu, w którym mieściła się redakcja „*Trybuny Ludu*” i innych czołowych pism. W stopce

już mnie nie było. Wiesiek Jażdżyński jeździł tam i z powrotem pociągiem będąc zastępcą Króla Jęgomości i łącznikiem między tymi w Warszawie, a tymi, którzy nie zdecydowali się wyjechać, tak jak ja. Przeniesiono mnie ze stanowiska nauczyciela gimnazjalnego na wizytatora szkół artystycznych i bibliotekarskich.

W tym samym mniej więcej czasie na polecenie Komitetu Łódzkiego PZPR został zwolniony z pracy etatowej i wszelkiej w Wyższej Szkole Plastycznej w Łodzi – profesor i, nie tak dawno założyciel tej uczelni, Władysław Strzemiński – pod zarzutem wrogiego stosunku do jedyniej słusznej metody realizmu socjalistycznego. Znalazł się bez środków do życia. Moje pojawienie się w szkołach artystycznych, zwłaszcza w muzycznych jako wizytatora wzbudziło potworny lęk, ponieważ o tych szkołach (skądinąd nie bez racji) mówiło się, że uczy organistów i artystów od idealistycznego repertuaru. Wkrótce jednak popłoch ustał, gdyż okazało się, że wizytator nie wtrąca się do tych spraw i w ogóle „*swój chłop*”.

Owo sformułowanie: „*bez środków do życia*” to nie była żadna metafora i przesada. Rzeczywiście twórca *unizmu* nie miał z czego żyć; głodował i dokarmiali go dotychczasowi studenci i przyjaciele. Ja też mu kilkakrotnie coś tam do zjedzenia fundowałem, co mówię dopiero teraz. Był moment, iż wydawało się współczującym fatalnemu położeniu twórcy *unizmu*, że nastąpił koniec jego dziwnej nielaski – dziwnej, bo górował nad wszystkimi istotnie lewicowymi poglądami. Wydział Handlu stworzył dla amatorów pańskich trunków i kawy kawiarnię przy obecnym pasażu Schillera pod nazwą „*Egzotyczna*”. Aby przyszli bywalcy zdawali sobie sprawę, że degustują napitki i owoce czy czekoladę – jednym słowem smakołyki, które jeszcze czy też do niedawna pochodziły z wyzysku kolonialnego – postanowiono obudować sale konsumpcyjne na wysokości głów przybyszających konsumentów, kolorowym, półwypukłym fryzem, ukazującym poszczególne czynności ofiar wyzysku. Ktoś niezorientowany poradził czy postanowił, by zaangażować do tego artystyczno-ideowego zadania właśnie Strzemińskiego. Nim zorientowano się, że ktoś z dekoratorów popelniał „*bląd*” wybierając osobę twórcy, który nie może wchodzić w rachubę, fryz został już wykonany i przyciągał barwnością patrzących. Na szczęście kawiarnia ta nie była jeszcze otwarta, więc przyszli konsumenci, nie zostali jeszcze zmuszeni do gorszej oglądania dzieła, tak obcego obywatelowi kraju dążącego do komunizmu i walczącego o pokój. W noc przed uroczystym otwarciem kawiarni fryz pracowicie zeskrobano i zamalowano; tyle, że odrębne całości jeszcze zostały. Rzecz jasna, obcy klasowo autor nie otrzymał honorarium, i dalej głodował aż do śmierci w 1952 roku.

„*Wies*” w Warszawie przetrwała do roku 1954. Stronnictwo Ludowe, zupełnie już skarłałe i niemal pozbawione budżetu, nie czuło potrzeby i nie było w stanie ciągnąć dalej zbytecznego dla siebie jakiegoś literackiego pisma. Dowodem, jak bardzo było, zwłaszcza w ostatnich latach niezauważalne, jest fakt, że żadna z ksiązek traktujących o Strzemińskim, jego działalności i w ogóle (a jest ich немало) nie wspomina o wypowiedziach drukowanych we „*Wsi*”.

Dodajmy, w nawiązaniu do wypędzenia „*Wsi*” z Łodzi przez przewodniczącego (po dzisiejszemu – prezydenta miasta), a niebawem wicepremiera, nie udało się Oddziałowi ZLP liczącemu już w każdym razie sześćdziesięciu członków (w tym wielu wybitnych) utworzyć zespołu redakcyjnego, aż do miesięcznika „*Kronika*” (pismo zostało zaraz zamknięte na rozkaz Gomułki za potraktowanie na serio hasła „*komunizm z ludzką twarzą*”). Co prawda Grzegorz Timofiejew usiłował przez jakiś czas wydawać psim swędem, nieregularnie – pismo „*Łódź Literacka*”. Upadło ono jednak i to nie z braku poparcia finansowego czy wyczerpania się entuzjazmu autora „*Wysokiego płomienia*”, co z atmosfery podejrliwości kolegów, czy nie wiąże się to z korzyściami osobistymi inicjatora. Była to po prostu bezinteresowna zawiść „*koleżeńska*” ludzi pióra. ■



Krzysztof Hilkamp

## Arcadia 1701

(Fragment rozdziału XX powieści *Arcadia 1701*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo” 2002)

- Niech żyje wolność! Niech żyje równość! Niech żyje jaaa! - wrzasnął bełkotliwym głosem Haas, a Ibrahim objął go i pocałował w sam środek czoła.

- Jesteś profesorku w miejscu publicznym - wyszeptał mu do ucha.

- A mam to gdzieś! - Haas go odepchnął i zrobił kilka chwiejnych kroków naprzód.

Nad ich głowami przeleciało stadko obudzonych gołębi, które jak duchy sfrunęły z parapetów pobliskiej kamieniczki. Haas bez przerwy mrużył oczy, ale nie pomagało. Żółte światła latarni ulicznych mieszały się z jasnymi smugami reflektorów, które podświetlały kamieniczki, tworząc oślepiającą, tęczaową grę światła.

- Która godzina? Muszę już wracać, przecież obiecałem - wybelkotał.

- Zegarek masz na prawym nadgarstku - odpowiedział przytomnie Parajuna. Stał oparty o słup latarni ulicznej i medytował.

- Szusznie! O, pięć po jedenastej! - wykrzyknął radośnie profesor.

- Jeszcze nie czas! Teraz będziemy zdobywać „Bastylię”! - Ibrahim zdjął marynarkę i podwinął rękawy białej koszuli.

- Co proszę?! - Parajuna i Haas spojrzeli na prezesa nieprzytomnymi oczami.

- W lewo zwrot! Naprzód marsz! - zakomenderował Ibrahim.

- Tak jest prezesie! - I Haas ruszył naprzód krokiem defiladowym podnosząc nogi do góry.

„Bastylia”, znany w mieście klub masażu, znajdował się tuż za rogiem na parterze kamieniczki „Pod Orłem”. Przy wejściu powitał ich zwalisty osiłek w przyciasnym stroju klauna. Wręczył im darmowe kupony na drinki i przekazał portierowi. Niewysoki mężczyzna o wyglądzie mopsa odebrał od nich kupony i zaprosił do środka.

- Wybraliście panowie najlepszy moment na wizytę, mamy pełną obsadę, jest w czym wybierać, najlepsze dziewczyny są na miejscu, mamy wszystkie kolory i odcienie, proszę tylko spojrzeć! - Portier podszedł do tablicy ze zdjęciami i zaczął zachwalać umiejętności swoich podopiecznych.

Haas oparty plecami o blat szatni wlepił wyłupiaste oczy w kolorową tablicę reklamową.

- Mój Boże! Jest tu ze trzydzieści dziewczyn!

Potem weszli do dużej salki za kotarą z muszlinu i usiedli na długiej, czerwonej sofie.

- To jest nasza poczekalnia, a ponieważ nie ma tłoku to zaraz panów należycie obsłużymy, przepraszam na chwilę. - Portier uklonił się i zniknął w bocznych, czerwonych drzwiach.

Haas powoli dochodził do siebie wisząc z oparcia sofy.

- Ciekawe dlaczego jest tutaj tak dużo drzwi, przypomina mi to poczekalnię u dentysty.

- Nie powinienes Ibrahim zamawiać drugiej butelki. Widzisz co narobyles?! Nasz przyjaciel wymaga szybkiej pomocy - zauważył chłodno Parajuna. Wodził wzrokiem po suficie, na którym była namalowana kolorowa scena mitologiczna z łabędziem i zupełnie gołą blondynką w stylu wczesnej Marleny Dietrich. - Piękna - westchnął i pograżył się w zadumie.

Boczne drzwi otworzyły się i ukazał się w nich portier z tacą w rękach. Podszedł do stolika, zdjął z tacy zieloną butelkę szampana oraz trzy kieliszki i postawił na stoliku. Potem uklonił się.

- Czy już panowie wybrali? - zapytał ochrypłym głosem.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i dopiero teraz zauważyli oprawiony w niebieską skórę katalog firmowy.

- Najpierw poproszę o małego drinka dla naszego przyjaciela - poprosił Ibrahim wskazując na Haasa. Parajuna pokiwał głową na znak

poparcia. Portier odkorkował butelkę i nalał wino do kieliszków. Haas od razu sięgnął drżącą ręką po swój kieliszek.

- Widzę, że panowie się śpieszą, wyjaśnię więc zasady: drzwi żółte oznaczają zwykły masaż, dziewczyna która go wykonuje dodatkowo wykupie was i solidnie wychłoszcze gałkami leszczyny, drzwi zielone oznaczają ten sam masaż, ale obsłużą was dziewczyna w toplissime, drzwi czarne oznaczają masaż erotyczny bez żadnych figli, a drzwi niebieskie pełny zakres usług... przepraszam. - Portier czknął, ponieważ mówił przez cały czas na wydechu.

Haas odstawił pusty kieliszek na tacę.

- Ja chcę do czerwonych drzwi!!! - wybelkotał.

Ibrahim wskazał ręką na żółte drzwi.

- Jasne Ernście, pod warunkiem, że najpierw przejdziesz przez te drzwi.

Nie czekając na jego zgodę we dwóch z Parajuną chwycili profesora pod pachy i podprowadzili go do żółtych drzwi. Portier uchylił je i delikatnie popchnął Haasa do przodu. Ten, zanim stracił równowagę, zdążył jeszcze wykrzyknąć, że sobie nie życzy. Potem przez chwilę słychać było łomot oraz czyjeś stłumione głosy. Następnie zapadła cisza.

Ibrahim poluzował krawat, a sine rumieńce na jego twarzy nabrały koloru purpury.

- Ja idę do niebieskich, a ty?

- Idź, ja jeszcze trochę tutaj posiedzę - odpowiedział obojętnym głosem Parajuna. Więc Ibrahim wstał i skierował się prosto do niebieskich drzwi. Tuż przed samym wejściem odwrócił się.

- Zaraz wchodzę!

- Wchodź, tylko nie przesadzaj. - Parajuna popegnał go kiwając głową na znak aprobaty.

Portier przestępował z nogi na nogę jakby chciało mu się lać.

- Dla pana, jak rozumiem, coś specjalnego?

Parajuna spojrział badawczym wzrokiem na mężczyznę.

- Zgadłeś przyjacielu, macie tutaj chociaż jedną naprawdę interesującą i niebrzydka dziewczynę?

- Jest taka jedna, ale to będzie kosztować.

- Pieniądze dla mnie nie mają znaczenia!

- Ale dla mnie tak, za pozwoleniem.

- Więc?

Portier zawałał się jakby nie był pewien ceny.

- Jest piękna i łagodna, ale prawie nic nie widzi... jak dla pana pięćset!

- No, tak już lepiej. - Parajuna wstał, zapłacił i skierował się prosto do czerwonych drzwi.

Tymczasem Haas, w samych slipach, leżał na brzuchu na twardym łóżku do masażu. Czuł się fatalnie, kręciło mu się w głowie i cały czas patrzył z przerażeniem na zegarek, który leżał na stołku tuż przed jego nosem. Po jego plecach chodziła bosa, filigranowa, skośnooka dziewczyna w krótkiej sukience z ramiączkami.

- Pan się nie ruszać, bo ja spaść i będzie wielka chryja - powtarzała w kółko dziewczyna, jakby nie dowierzała klientowi, że będzie grzeczny.

- Ty spaść, a ja iść wreszcie do domu!

Dziewczyna umiejętnie nacisnęła stopą jego kręgosłup aż coś w nim trzasnęło.

- Auuuu!

- Ty nie gadać, bo ja być zła i się pomylić!

- Ty się pomylić to ja zrobić wielka chryja i roznieść tę budę w drzazgi!

- Dżazgi? Nie rozumieć! - Masażystka dalej spacerowała po jego plecach jak po miejskim deptaku.

- Drzazgi polecą z podłogi jak spadniesz!

- Jak spadnę to będzie wielka chryja! - opowiedziała zachrypniętym głosem dziewczyna.

Po kwadransie tortur profesor zaczął od-

czuwać pierwsze, przyjemne efekty masażu: stwardniałe mięśnie pleców przestały go boleć, a wałki tłuszczu po bokach jakby zmniejszyły się.

- Jestem Ernest a ty?

- Ja się nie spoufalac, jak chce się spoufalac to doplacic i zmienic kolor drzwi, nie powiedzieli ci?

- Ale chyba masz jakieś imię?

- Tutaj wołać na mnie Kwiatek!

Haas parsknął śmiechem. Dziewczyna wyděła dumnie pełne wargi i stanęła na jego poślachkach.

- Ty się nie śmiać, tak po wietnamsku brzmi moje imię!

Haas powoli dochodził do siebie. Po masażu Kwiatek zapędził go do emaliowanej balii z wrzątkiem i zaczął szorować ryżową szcztoką. Profesor siedział w balii sztywno jak worek i gapił się w biały sufit. Czuł się coraz lepiej. Głowa przestała go boleć i ustąpiły bóle karku. Ostrożnie zaczął przyglądać się masażystce.

- Ładna jesteś, masz kogoś? - zapytał obcesowo.

Dziewczyna wylała na jego głowę garnek zimnej wody. Prychnął i potrząsnął głową.

- Ale z ciebie sekutnica, znaczy zła dziewczyna!

- Wy biali być bardzo pewni siebie, z tego tylko być same kłopoty - Odgarnęła opadające na oczy czarne włosy i uśmiechnęła się do klienta. - No, gotowe, teraz wylazic!

- A ja sądziłem, że to jakiś burdel - mruknął do siebie profesor.

- Burdel to jest obok, tutaj jest wietnamska sauna z masażem, przeciez musieli ci powiedziec! - Skośnooka dziewczyna nie mogła zrozumieć pretensji klienta. - Ja być porządna dziewczyna, zbierac pieniądze i wysylac rodzinie w Hajfongu, a jak zarobic to wrócic do domu i otworzyc salon fryzjerski, wie co to takiego?...

Haas siedział w poczekalni i nerwowo bębnił palcami w zimny blat stolika. Nigdy by nie przypuszczał, że można tak szybko dojść do siebie po wypiciu butelki whisky. Na odchodnym dał Kwiatkowi duży napiwek i obiecał, że będzie zaglądał do niej raz w tygodniu. Dziewczyna wytarła go do sucha, a potem wylała na jego kark i ramiona trochę taniej wody kolońskiej. Nawet nie odpowiedziała na jego głośnie „do widzenia”!

W poczekalni siedział milczący tłum facetów i gdyby nie głośnie muzyka disco, która wydobywała się gdzieś spod podłogi, można by pomyśleć, że znajdują się na dworcu kolejowym. W powietrzu unosił się zapach nieprzetrawionego alkoholu i potu. Haas przyglądał się ciekawie siedzącym obok amatorom nocnych rozrywek. Większość miała na twarzach starość i zmęczenie. „Same stare lowelasy, które oszczędzają na dezodorancie!”. Na szczęście nie było wśród nich nikogo znajomego.

Czerwone drzwi otworzyły się z trzaskiem i wybiegło z nich kilka półnagich dziewczyn. Wymachiwały rękoma i klóciły się o coś. Na widok wolnych panienek siedzących w poczekalni ruszyli po towar. Zakotłowało się. Dziewczyny piszczały i wyrzywały się z rąk niecierpliwych klientów. Ktoś przytomny podkręcił głośnik na cały regulator i zagłuszył ten hałas. Haas pomyślał, że najwyższy czas się stąd wynosić.

- Cud! Cud! - krzyczała piersiasta brunetka z kusių majtkach w niebieskie paski.

- Stul pysk, Ryża! Masz już po premii, a jak się nie zamkniesz to wrócisz na Piękną! - Niski portier szturczał dziewczynę, starając się je z powrotem zapędzić do sal. Zaraz też wbiegło do środka dwóch barczystych osiłeków z ochrony. Zaczęli odpychać klientów od drzwi.

- Spokój kurwa! Bo już tutaj nie wejdziecie! Chcecie wracać do swoich kobiet?!

Groźby podziały natychmiast i rozgorączkowani klienci potulnie wrócili na swoje sofy. W czerwonych drzwiach ukazał się Parajuna. Na jego ramieniu opierała się wysoka blondynka o dziecięcą twarz. Miała na sobie srebrny szlafrok oraz wysokie, czarne szpilki.

- Boże, co za uśmiech! - zdumiał się profesor na ten widok.



- Zamknijcie się wszyscy! - rozkazała blondynka i pocałowała Parajunę w prawy policzek. - Co się gapisz?! - skarciła portiera. Ten podszedł do niej i zaczął machać rękoma tuż przed jej oczami. - No co się kurwa gapisz pieprzony karle! - powiedziała dziewczyna i przytuliła się do Parajuny.

Portier chwycił się za głowę i potrząsał nią jak oszalały.

- Ona widzi! Ona widzi!

Ibrahim Khan stał z boku i przyglądał się z niesmakiem temu smutnemu zbiegowisku. Zaplątał już mankiety koszuli i poprawił wiązanie krawata. Szkoda, że nagle zamieszanie zmusiło go do przerwania przyjemnej zabawy z czarną dziewczyną o imieniu Chastity. Słyszając pierwsze odgłosy awantury dziewczęte czule ścisnęło jego oklapniętego fiuta i zwyczajnie wybiegło z pokoju. „Cóż, przyjemne rzeczy trwają zwykle krótko”. Patrzył na profesora, który siedział nieruchomo na sofie wpatrzony w Parajunę jak w kościelny obraz. Znowu to samo. Kolejna ofiara Parajuny.

- Profesorze czas już na nas!... Emeście, żona czeka! - krzyknął i pomachał w jego kierunku. Ale Haas nie odpowiedział. Spojrzał za to na niego z dżikiem wzrokiem i coś wybełkotał. - Już dobrze, minęła północ, zbierajmy się!

Haas zaczął przetrząsać kieszenie marynarki w poszukiwaniu portfela.

- Ja nigdzie nie idę, potrzebny mi jest jeszcze jeden masaż. Gdzie jest mój portfel?! - zasycał przez zęby i odwrócił się plecami do Ibrahima. Siedzący na sofie mężczyźni uśmiechali się pokazując go sobie palcami.

- Frajer..., palant..., idiota! - pojedyncze słowa godziły w niego jak noże.

Skronie zaczęły mu pulsować i zrobił się czerwony na twarzy.

- Portfel jest tutaj! - usłyszał ciepły głos Parajuny. Obrócił się w jego kierunku. - W restauracji chciałeś postawić wszystkim kolejkę więc zdecydowaliśmy z Ibrahimem, że twoje pieniądze będą bezpieczniejsze u mnie. - Parajuna pomachała mu przed oczami portfelem a potem wcisnęła go do kieszeni jego marynarki. - Rachunki zapłacone, możemy się wynosić - zakończył.

- A gdzie jest ta dziewczyna?!

Parajuna spojrzał pytającym wzrokiem na Ibrahima.

- Dziewczyna? W pracy, jak zwykle.

- Nie rozumiem, nie rozumiem...

Parajuna i Ibrahim siłą wyprowadzili go na zewnątrz. Ale on nie chciał dalej iść. Zapewnił ich, że już czuje się dobrze i pożegnał się. Wiedział, że musi wyjaśnić tą sprawę. Wbiegł z powrotem do salonu masażu i machając stówką przed nosem portiera zmusił go, żeby zaprowadził go do tamtej dziewczyny.

Wypytywał ją dokładnie. Kupił jej nawet trzy pastylki amfetaminy. Potem patrzył jak ona powoli odchodzi do świata sennych urojeń. Radość tej małej była tak zaraźliwa, że sam lknął prochy i popił szampanem.

- Rozumiesz tatku, widziałam tak słabo jak kurczak, a teraz patrzę na twoją wymiętą głowę i widzę ją, po prostu widzę ją! - załkała dziewczyna i przytuliła się do niego.

- Jaka romantyczna kurwa! - zdziwił się. Łzy zaczęły wolno ściekać po jego policzkach. Obliznął się i poczuł ich słony smak. Potem oboje odlecieli do kolorowego, pięciowymiarowego świata, w którym przywitał ich Elvis Presley. ■

Krzysztof Hilkamp

Ludmiła Kasjanenko

## Fazy istnienia utworów muzycznych

Materia brzmiącej muzyki jest bardzo niestabilna, ponieważ powstaje z dźwięków w czasie. W tekście nutowym możliwy jest zapis tylko umownych współrzędnych wysokości i szybkości następowania po sobie dźwięków. Te współrzędne mają stosunkowo stałe wielkości - odpowiednie nastrojenie instrumentu i skorelowanie następowania po sobie dźwięków z jednostką czasu. Są one osnową każdego tekstu nutowego i niektórzy kompozytorzy ograniczali się do tych środków, sądząc, że współrzędne te są zdolne same przekazać myśl artystyczną utworu muzycznego.

Z czasem pojawiły się dodatkowe oznaczenia: *dynamika*, *artykulacja*, *pedalizacja* i słowne oznaczenie tempa oraz nastroju muzyki, które nie poszerzają, ale zawężają granice podstawowych współrzędnych; *uściślenie siły*, *charakteru dźwięku*, *odchylek czasowych*.

Kompozytorzy używają różnorodnych dodatkowych oznaczeń po to, by najdokładniej zapisać idealne brzmienie utworu, ale „żywa” muzyka (brzmiąca w wyobraźni lub pod palcami kompozytora), trafiając do innego świata materialnego (graficzny wizerunek na papierze), nieuchronnie traci swoje pierwotne walory. Płynną materię dźwięków kompozytor przerabia na materiał statyczny systemu znaków, zapewniając możliwość realizacji idei muzycznej, ale nie samą ideę.

Zapis nutowy spełnia tylko funkcję znakową. Natomiast wykonawca musi znowu przerobić utwór muzyczny, transformując statyczność grafiki nutowej na następowanie po sobie dźwięków.

Przetwarzając tekst nutowy, wykonawca nie może „wrócić” do idealnego brzmienia (koncepcji kompozytora), ale na jego podstawie stwarza własną koncepcję, swoje rozumienie idealnego brzmienia utworu muzycznego. Zapis nutowy jako taki, nie „obejmuje” asocjacji emocjonalnych, ale może przekazać informację o potencjalnej możliwości „włączenia” ich w czasie żywego brzmienia.

Potencjalne brzmienie zależy od całokształtu wszystkich konkretnych warunków: obiektywnych (jakość instrumentu, akustyka itp.), subiektywnych (myślenie muzyczne, technika, indywidualna maniera wykonawcy itp.), jak również przypadkowych (stan emocjonalny w czasie wykonania).

Tak więc utwór muzyczny popada w bezpośrednią zależność od indywidualnych cech wykonawcy, poczynając od wyartykułowania dźwięków i kończąc na ogólnej koncepcji, określającej kierunek znaczeniowy dramaturgii muzycznej.

W wyniku doboru niezbędnych, czysto wykonawczych środków, powstaje nowe idealne brzmienie utworu w świadomości wykonawcy. Impulsem do doboru środków artystycznych jest budowa treściowa podtekstu utworu, lub, innymi słowy, koncepcja wykonawcza, która przy całej wielorakości wariantów realnego brzmienia tego samego utworu, „utrzymuje” go w określonych dźwiękowych i czasowych współrzędnych, naznaczonych przez wykonawcę.

Z kolei koncepcja wykonawcza opiera się na tekście nutowym utworu, co powoduje odwrotną zależność (od indywidualnych cech wykonawcy, a koncepcja wykonawcza zależy od obiektywno-obrazowych właściwości utworu).

Tak więc, w osobliwym dwufazowym życiu utworu muzycznego, istnieją dwa stabilizujące etapy: tekst nutowy - odnotowujący końcowy wariant fantazji kompozytorskiej i koncepcja wykonawcza - odnotowująca w pamięci końcowy wariant fantazji wykonawczej.

Zarówno tekst nutowy, jak i koncepcja wykonawcza mogą być zmienione przez ich autorów, ale równie dobrze mogą pozostać niezmie-

nione. Jednocześnie istnieje zasadnicza różnica egzystencji tych dwóch faz istnienia utworu muzycznego.

Pierwsza - tekst nutowy - może być dostępna dla szerokiego kręgu muzyków, podczas gdy druga - koncepcja wykonawcza - przejawia się w konkretnym brzmieniu (koncertowym bądź w nagraniu) tylko jako jednorazowy, czyli jeden z możliwych, wariant koncepcji wykonawczej. Natomiast ona sama jest „własnością” tylko samego wykonawcy jako sposób jego myślenia muzycznego w granicach danego utworu.

Nawet przy pomocy słownego komentarza do swojej koncepcji wykonawca może wskazać tylko zasadnicze punkty orientacyjne emocjonalnego i semantycznego rozumienia tematu, języka i faktury utworu muzycznego. Bezmierna różnorodność współzależności warunkuje bowiem wielorakość koncepcji wykonawczych tego samego utworu. Dla szerokiego kręgu słuchaczy staje się dostępny tylko jeden, terazniejszy wariant tej koncepcji, który zawsze różni się od idealnego, istniejącego w świadomości wykonawcy.

Stworzenie interesującej koncepcji utworu muzycznego wymaga od wykonawcy twórczych poszukiwań, intensywnej pracy słuchu, jak również rozumienia stylistycznych regularności muzyki, ponieważ idea wykonawcza jest wprost proporcjonalna do tego, na ile wyraża ona charakterystyczne cechy utworu.

Siła obrazu artystycznego zależy tak od wyobraźni wykonawcy, jak i stosunku tego obrazu do charakteru danego utworu. Dysproporcje z reguły osłabiają emocjonalną percepcję muzyki, ale im większa potencjalna wyrazistość faktury (np. Połączenie taneczności i wyrazistości językowej w jednym utworze: mazurki, walce, polonezy Chopina), tym szerszy jest krąg możliwych rozwiązań konceptualnych.

Rozpiętość ta szczególnie zwiększa się w utworach, które nie odzwierciedlają bezpośrednio jakichś zjawisk rzeczowych lub w utworach, których tytuły nie niosą w sobie programu emocjonalnego. Każdy z muzyków znajduje swoje punkty styżne, określające zupełnie różne emocjonalne podejście do tego samego utworu muzycznego, w wyniku czego ujawnia się ten lub inny sposób jego odczytania.

Tym bardziej do wariantowości doczytania „prowokują” utwory romantyczne, które „burzą” klasyczne stabilne zasady budowania faktury, w wyniku czego głos prowadzący może „wyrastać” z figuracji akompaniamentu i na odwrót - „ginać” w nim, a ten z kolei, dzięki indywidualizacji, przepojony jest pełnym wyrazu potencjałem, mającym możliwość, a niekiedy i konieczność, stać się głównym elementem bogactwa treści.

I tak, tekst nutowy utworu muzycznego, mimo że nie posiada zdolności „włączania” napięcia emocjonalnego, zawiera (w zależności od wartości artystycznej utworu) potencjał środków wyrazu, który wykonawca może ukazać i rozwinąć w swojej koncepcji.

Wyobrażenia artysty poprzedza charakter wydobywania dźwięków i rozmieszczenie ich w czasie. I wtedy ta sama faktura, zapisana w nutach, poddaje się interpretacji, odpowiadającej wyobrażeniu wykonawcy. Wyobrażenie artysty kieruje doborem subiektywno-obrazowych środków, w wyniku czego istotnie zmienia się realne brzmienie tego samego tekstu nutowego.

Każdy element faktury muzycznej nosi w sobie swoistą skalę możliwych wyobrażeń i nawet przy chęci autora maksymalnego zawężenia tej skali (np. w niektórych utworach współczesnych kompozytorów wskazanie wartości fermat w sekundach), jednak zachowana zostaje wariantowość wyobrażenia w końcowej fazie istnienia utworu muzycznego - jego realnym brzmieniu w konkretnej interpretacji wykonawcy. ■



Autobus szynowy

rok założenia 1951

**pesa**

Pojazdy Szynowe PESA  
Bydgoszcz SA Holding

85-082 Bydgoszcz  
ul. Zygmunta Augusta 11  
tel. (004852) 327 02 48



Alicja Dąbrowska

## Tajemnice pozytywistycznych lasów. Wokół wyobraźni sylwicznej realistów

Tytuł szkicu określa, iż pojawią się tu analizy i interpretacje głównych funkcji i znaczeń obrazów lasu kreowanych w prozie pozytywistów. Interesujące są zarówno realistyczne lub naturalistyczne deskrypcje, funkcje ornamentacyjne, dekoracyjne, jak i znaczenia symboliczne. Także to, czy lasy pozytywistów, podobnie jak ogrody czy parki pachną, odznaczają się barwą, dźwiękiem etc. – czyli jaka jest wrażliwość zmysłowa i estetyczna pisarzy doby realizmu na sylwiczne uroki.

Natura zawsze stanowiła w literaturze element niezbędny jako przestrzeń utworów, tło akcji. Czasami stawała się nawet samoistnym bohaterem. W pozytywizmie także świat natury stanowi tło akcji i środowisko człowieka bytowania, a co za tym idzie staje się partnerem człowieka w życiu, warunkiem jego przetrwania. Jest też siłą metafizyczną, religijną, obciążoną zespołem znaczeń symbolicznych. W szczególności sposób należy podkreślić obecność oraz funkcje motywów akwaticznych, florystycznych, tellurycznych, sylwicznych i solarnych. Z każdym z tych elementów związana jest przebogata symbolika. Nie chodzi tu wprawdzie jeszcze o symbolikę, która towarzyszyć będzie modernizmowi, lecz o zespół znaczeń wywodzący się z tradycji mitologicznej, religijnej i obecny w tych motywach w sposób immanentny. Woda zatem stanowi symbol czystości, przemijania, życia i śmierci, odrodzenia ducha i ciała, potęgi, płodności. Słońce to symbol nieskończoności, energii, mocy życiowej, dawcy i niszczyiciela życia, uzdrowiciela, oświecenia, wierności, rozumu. Ziemia oznacza dawcę życia, płodność, bogactwo, odrodzenie, świętość, duchowość, cykliczność istnienia, zmysł praktyczny. Rośliny: drzewo to symbol osi świata, mediacji pomiędzy niebem i ziemią, stworzenia, boskiej odnowy, radości, zdrowia, płodności; zaś kwiat – symbol piękna, wdzięku, czystości, dziewictwa, miłości, szczuśności, poezji, kobiety duszy, ale również oszustwo, Szatan, zło, śmierć. Las natomiast „symbolizuje Ziemię, Wielką Macierz, płodność, zasadę żeńską; nieświadomość; ciemność; ukrycie, schronienie, ucieczkę od ludzi, pustelnia, skupienie duchowe, medytację, duszę; nauczyciela; niewinność; królestwo; świętość, świętynię; marzenie senne, czary, siedzibę istot nadprzyrodzonych, tajemnicę; rozbój; zbrojstwo; błąd, błędzenie; polowanie”<sup>1</sup>.

Oczywiście nie wszystkie, tylko niektóre symboliczne znaczenia znajdują odniesienie do literatury pozytywistycznej. Na przykład rzeka (Niemen) u Elizy Orzeszkowej jest źródłem życia mieszkańców, stanowi element pejzażu, przywołuje także, co jest pogłosem Heraklita, refleksje na temat zmienności, przepływu czasu, epok, pokoleń. Dla Pawła Kobyckiego – nadniemeńskiego rybaka – rzeka jest warunkiem przetrwania. Stanowi miejsce jego pracy, źródło utrzymania. Jest też jego sojusznikiem, przyjacielem, przejawem boskiej dobroczynności. Wyznacza rytm jego życia, daje mu utrzymanie, gwarantuje niezmienną ziemskiego porządku. Rzeka budzi w nim także szacunek i zachwyt. Oglądając każdego roku wczesną wiosną pękającą na rzece krę i czując potężną siłę życia uwalniającą się spod zmarzliny, Paweł przeżywa prawdziwą przyjemność, bo widzi potęgę żywiołu i doświadcza obecności czystego piękna. Rzeka kształtuje charakter Pawła, jego spokojną, kontemplacyjną naturę i powagę. Codzienne obcowanie z rzeką sprawia, że nadniemeński rybak staje się małowimny, stroni od towarzysztwa ludzi, zamyka się w sobie. Rzeka „rzeźbi” też jego cielesną powłokę: *Ciało jego, nieskażonym powietrzem żywione i w trudach wiosty ćwiczone, zachowało smukłość i sprężystość pierwszej młodości*<sup>2</sup>.

Życzliwa rzeka odsłania mu swe tajnie: Paweł doskonale zna jej nadbrzeża, głębie, prądy; wie gdzie i kiedy jakie ryby można złowić: *Wiedział*

*wybornie, z jakiej chmury deszcz spadnie, a z jakiej pioruny bić będą, jaka niewinnie nad ziemią przepływie, a jaka na nią wichrem potężnym powieje lub gradem niszczącym sypnie.[...] Wiedział, gdzie najłatwiej poławiają się kielby i płotki lub w największej obfitości mieszkają szczupaki, u jakich brzegów raki najgęściej obsiadają podwodne mchy i kamienie, w jakiej porze dnia i roku jakie gatunki ryb na jakie biorą się przynęty. Po doniosłości pluśnięcia i szerokości kół roztoczonych na wodzie poznawał, jaka ryba wyskoczyła na jej powierzchnię, a z kierunku, wysokości i szybkości fal odgadywał czy połów będzie szczęśliwy*<sup>3</sup>.

Rzeka w życiu Pawła stanowi wreszcie uosobienie wartości moralnych, tego, co czyste, nieskażone, pogodne i uczciwe. Czysty nurt Niemna jawi się Pawłowi jako antyteza dla grzesznego, nieprawego życia miasta:

*Stuchając opowiadania o tym, jak wesoło ludzie bawią się na zamiejskich karuzelach, huśtawkach, całonocnych tańcach i jakie na tych zabawach powstają pijatyki, bójkę, choroby, romanse, nagle pod zamkniętymi powiekami spostrzegł wodę błękitną, czystą, cichą, taką, jaką Niemen toczy w nieskazitelnej pogodzie, a nad nią albo różany pas jutrzni, albo wełniste obłoki do stada białych owiec podobne, albo chóry jaskółek w kółko, w kółko zwiijające się nad wodnymi liliami*<sup>4</sup>.

Współistniejąc harmonijnie z ludźmi, rzeka jest nie tylko źródłem utrzymania i miejscem spotkań mieszkańców. Najczęściej ludzimi przyjaciółmi, czasem, tak jak i człowiek, rzeka staje się surowa, gniewna, niesprzyjająca: zimą skuta lodem wraz z wiatrami wiejącymi od doliny Niemna zmusza ludzi do pozostania w domach:

*Ale i na wodzie płynącej, i na polach szerokich przyroda w wiecznej obojętności zakreśla wieczne swe koła zjawisk, a prace ludzkie spotykają się ze wznoszonymi przez nią nieprzezwyciężonymi zaporami. Bywały pory, w których rzeka odpychała do siebie rybaków, a pola rolników nie potrzebowały*<sup>5</sup>.

Wpisana w całą literacką biografię Pawła Kobyckiego, rzeka ma tu również jakiś głębszy, metafizyczny sens: otwiera przed człowiekiem szansę i perspektywę, wskazuje mu drogę życia, wynagradza za uczciwość i pracowitość, lecz karze za grzech. Wydaje się siłą wszechwładną, bo to ona rządzi życiem człowieka, siłą wieczną, bo płynie od zarania świata obserwując zmiany epok, pokoleń; siłą surową, ale sprawiedliwą, odwzajemniającą ludzki szacunek, karzącą za beztrzęskę i zło. Tak nieodzowna w biografii Pawła rzeka i jej brzeg usytuowane zostały w przestrzennej łączności z rosnącym w pobliżu gospodarstwa i chaty Kobyckiego lasem, współgrającym jakby z samotniczą naturą rybaka: *[...] sam zupełnie pozostał w hacie w końcu wsi niedużej, na wysokim brzegu Niemna pod borkiem sosnowym stojącej*<sup>6</sup>.

Ta sama rzeka i zaniemeński las „królują” też na kartach wielkiej epopei Elizy Orzeszkowej<sup>7</sup>. Opis otwierający powieść pokazuje Niemen jako wielką życiodajną arterię, wokół której rozsiane są okoliczne dwory i osady. Jest i tu korona wielkiego boru, który ciemnym pasem odcinał położoną, przetkaną szkarłatem ścianą nadniemeńską od wysadzanych srebrnymi obłokami błękitów nieba<sup>8</sup>. Niemen jest tu jednym z elementów akcentujących zakorzenienie w naturze, rzeką dobroczynną, odmierzającą rytm życia. Przestrzeń wodna nacechowana jest estetycznie, kojarzy się z tym, co piękne: z błękitem nieba, złotem słońca. Tytułowa rzeka stanowi również miejsce akcji – tu spotykają się ludzie. Nad nurtami Niemna w czarowną noc Jan i Justyna wyznają sobie miłość, więc jest rzeką miłości, powierniczką radości. Jest też rzeką przepoczątków i strażnikiem bolesnych dziejów upamiętnionych w Mogile nadniemeńskiej<sup>9</sup>.

Wszakże nie tylko rzeka, ale cała natura nadniemeńska (flora i fauna) króluje wszechwładnie w całym swym różnorodnym bogactwie prze-

jawów: rzeka, ziemia, ogrody, sady, nadniemeńskie pola, lasy, bory, gaje, łąki, a przy tym letnia pogoda: czas ciepłych dni i wieczorów, pora dojrzewających plonów. Znakiem niejako rozpoznawczym tego w istocie arkadyjskiego zakątka nadniemeńskiej krainy – przestrzeni słońca, obfitości, zdrowia i ładu – jest potężne zakole królewskiej rzeki, wszędzie widocznej, majestatycznej, odwiecznej, „rzeki domowej”<sup>10</sup>. Wprowadzeniu świata natury do powieści towarzyszy szereg wartościujących i tworzących klimat określeń. W pierwszym, krótkim akapicie powieści trzykrotnie pojawia się to samo pojęcie: „radość” i nie jest to potknięcie stylistyczne autorki, lecz świadome budowanie nastroju epopei, przedstawienie całej zmysłowo odczuwalnej pogody letniego, słonecznego<sup>11</sup> dnia, ciepła, szczęścia, sielanki. Szczególnie wiele miejsca poświęca Orzeszkowa obecności roślin, które faworyzuje w stosunku do nadniemeńskiej fauny. Przygotowując powieść sporządzała zresztą zielnik, a kolekcjonowanie okazów flory, czyli „botanizowanie” należało do jej ulubionych zajęć<sup>12</sup>. Przebogaty świat roślin staje się tu wielobarwną mozaiką, podkreślającą piękno miejsca, jego zasobność, urodzajność ziem i sielankowość przestrzeni łagodnej, dobroczynnej, sprzyjającej człowiekowi. Wszystkie te rośliny – pisze Orzeszkowa – *były to niby księgi natury o gęsto zbitych i coraz innych kartach*<sup>13</sup>.

Z roślinnością wiąże się nieodłącznie ziemia, która ma kilka istotnych znaczeń. Jest wyznacznikiem statusu majątkowego, jest zatem czynnikiem zapewniającym byt; poprzez związek z pracą staje się też czynnikiem zapewniającym rozwój ekonomiczny i moralny. W podobnym znaczeniu ziemia występuje w większości utworów pozytywistycznych. Jej szczególną wartość docenia Benedykt Korczyński, Witold, Jan Bohatyrowicz; najbliższy jednak związek pomiędzy człowiekiem i ziemią, magicznej wręcz łączności, pokazuje Bolesław Prus w *Placówce*. Pomiedzy ziemią a Ślimakiem istnieje tu więź personalna, emocjonalna. Ślimak w swej chłopskiej wrażliwości i wyobraźni personifikuje ziemię, prowadzi z nią pozorowany dialog. Złości się na nią, że tak komplikuje mu pracę<sup>14</sup>.

Z roślinnością i ziemią łączy się motyw lasu jako ten element natury, który jednoczy tellurizm i florę. Słownikowo las to oczywiście nic innego, jak „zwarte zbiorowisko drzew”<sup>15</sup>, „[...] zwarty zespół roślinności z przewagą roślin drzewiastych i ze swoistą fauną”<sup>16</sup>, w którym obecnie w Polsce najczęściej występujące gatunki drzew są następujące: królują procentowo sosna i modrzew (68,9%), 18,5 % stanowią dąb, buk, klon, jawor i wiaź; 12,4 % to brzoza, grab, olcha, osika i topola, a 8,2% – jodła, świerk, daglezią<sup>17</sup>. Ale las, wedle słów M. Maeterlincka, *jest jedną z wielkich potęg ziemi, głównym może źródłem naszych instynktów i odczuwania wszechświata*<sup>18</sup>. Dlatego chyba metaforyka leśna, służąc wartościowaniu, pojawia się w przysłowiu równie często, jak inna metaforyka roślinna: „Natura ciągnie wilka do lasu”; „Drzewa zawadzały, że lasu nie widział”. Zdarzają się w nich wyraźne analogie między światem leśnym (jako cząstką roślinnego w ogóle), symbolizującym to, co żywe (a więc wartościowe) a ludzkim. Przysłowie „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las” ujmuje istnienie ludzkości na Ziemi jako czasowo ograniczone, tymczasowe, a las wiecnotrwały reprezentuje szeroko pojętą naturę. Można zapytać dlaczego las właśnie, „który w tradycji kulturowo-religijnej jest znacznie >>starszy<< semantycznie od pojedynczego drzewa”<sup>19</sup>, w którego naturze objawia się potęga życia, pod którego sekątymi pniami człowiek uzmysławia sobie krótkotrwałość własnej egzystencji. Ale las to także po prostu mnogość pojedynczych drzew i dlatego symbolika tego zwanego skupiska drzew (jak zwykle definiuje się las) jest różnorodna i bogata. Już w poezji staropolskiej:

*drzewa – lasy, gaje, dąbrowy – funkcjonowały [...] wielorako: jako komponent przestrzeni określanej kondycją ziemianką, jako element wiejskiego, to jest sielskiego i swojskiego pejzażu, jako ziemiańskie i literackie „odium”, jak znak temporalny rytmu natury i ludzkiego życia, współpartner przeżywania, jako symbol kulturowy odsyłający do sfery sacrum i profanum, jako „exemplum” w służbie perswazji i laudacji*<sup>20</sup>.



Las od zawsze tworzy atmosferę spokoju, ciszy, tajemniczości, sprzyjającą zadumie, refleksji, oczyszczeniu się ze złych emocji i myśli, wsłuchania się w siebie. Drzewa napawają radością, dają poczucie szczęścia i ukojenia duszy. Las, jako swobodny twór natury, nieskażony ludzką działalnością, daje poczucie spokoju, umożliwia chwilę wytchnienia, odpoczynku, skłania do refleksji i zadumy nad znikomością ludzkiego życia. W odróżnieniu bowiem od „ogrodu”, będącego znakiem natury uporządkowanej, poprawionej ludzką ręką, „silvae”, „las” oznaczał zawsze naturę pierwotną, dziką<sup>21</sup>. W okresie Młodej Polski las staje się szczególnie wyróżnionym obszarem, na którym rozgrywają się skomplikowane scenariusze doświadczeń epistemologiczno-egzystencjalnych oraz inicjacji metafizyczno-religijnych<sup>22</sup>. Wszystko to powoduje, że człowiek pragnąłby zatrzymać tę szczęśliwą chwilę obcowania z lasem na zawsze, tak, jak w wierszu Kazimierza Wierzyńskiego:

#### Wiatr sypkim swoim szumem w gałęziach sepleni

*I niepojętą wonią zalata żywica.  
Jest taki wielki spokój, jakby tu zaiste  
Rozsnulo się naokół żywe zadumanie...*

*[...]  
Roztopić się, rozprysnąć, jak to niezbadane  
Mgnienie szczęścia, którego nie można  
powtórzyć<sup>23</sup>.*

Drzewa w skupisku ewokują zwykle w poezji spokój, zadowolenie, wręcz niebiańską radość, świat, dzięki wysmukłym drzewom, staje się przedziwny, zaczarowany. Człowiek, zmęczony gwarem miasta, jego skamieliną pozbawioną zieleni pragnie wyrwania z tego wrogiego środowiska w świat lasu – fascynującej burzy i świątyni zieleni, tak jak w wierszu:

*Tumie zieleni, burzo liściasta,  
Woni surowych żywiczna strugo,  
Unieś mnie, wyrwij z kamieni miasta,  
Szumem uspokój, ukryj na długu!*

*Głowy żar szumem zagaś dojrzałym,  
Wargom spieczonym daj mokry listek,  
Niech w gęstwie igieł słoneczne strzały  
Strąca swój biały żar płomienisty<sup>24</sup>.*

Szumujące drzewa doskonale potrafią ukoić stargane nerwy, odprężyć umysł, który w mieście pozostawał wiecznie w stanie wrzenia. Wilgotny listek złagodzi spierzchnięte wargi, cudowna surowa woń „żywicznych strug” rozkołysze uśpione zmysły. To zatem dar nad dary, arkadia, za którą podświadomie będziemy zawsze tęsknić. Świadczy o takim traktowaniu lasu poetyckie laudacje i peany na cześć odwiecznego świata drzew: lasów, ogrodów, parków. Las, drzewa stają się niezastąpionym medykamentem na trudy życia, na skołataną serca, dostarczając zarazem przewspólnych wrażeń estetycznych, gdyż:

*O cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa,  
W brzozi zachodu kute wieczornym promieniem,  
[...]*

*Z wolna wszystko umilka, zapada w krąg  
głusza,*

*I zmierzch ciemnością smukłe korony odziewa,  
Z których widmami rośnie wyzwolona dusza...  
O, cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa!<sup>25</sup>.*

W atrybut duszy wyposażył las również Bolesław Leśmian, dokonując tym samym nobilitacji, stawiając drzewa wysoko w hierarchii istot żywych – na równi z człowiekiem:

*Idę i czuję, że las ma tak samo duszę,  
Jak ja – duszę cielskimi dębów przytłoczoną,  
[...]*

*I jej także, jak mojej, nieśmiertelność dano!<sup>26</sup>.*

Las to w poezji młodopolskiej także siedziba Boga, swoisty kościół nieokreślonego bliżej wyznania:

*W lesie jest tyle drzew,  
W lesie jest tyle pieśni...  
Jest nienazwany Bóg,  
Co w drzewach się cieleśni<sup>27</sup>;*

*Czyliś, gdyś w lesie leżał na krzewach,  
Czy ścieżką kiedyś chodził,  
Czyż poznał Elfy po ich śpiewach,  
Bóg leśny czy cię zwodził?<sup>28</sup>.*

Bóg ucieleśniony w drzewach stanowi nawiązanie do wierzeń, wedle których lasy i drzewa

zamieszkują bogowie, bóstwa<sup>29</sup> czy baśniowe stwory, jak np. elfy. Takie przekonanie prowadzi do uświadczenia znaczenia lasu, który ma nie tylko możliwość ukojenia smutku czy bólu, ale również wywołania odczuć religijnych, sakralnych<sup>30</sup>. U reprezentatywnego poety młodopolskiego, Jana Kasprówicza obserwujemy skojarzenie „las – kościół”<sup>31</sup>, a więc las jest miejscem przeżyć religijnych<sup>32</sup>.

Ile z tej chronologicznie późniejszej poetyckiej semantyki daje się dostrzec w motywach sylwicznych realistów? Las pojawia się w pozytywistach nie tylko w utworach beletrystycznych, stanowiąc jeden z realistycznych elementów współtworzących literacki świat rzeczy, ale także w wypowiedziach teoretycznoliterackich tych samych twórców, którzy często posługiwali się metaforami czy porównaniami, czerpanymi ze świata natury. Znana jest nader wymowna replika Prusa na zarzut chaotycznej i zawiłej kompozycji *Lalki*, w której autor posłużył się metaforą lasu tłumacząc specyfikę powieści realistycznej – skomplikowanie jej fabuły (rozmaite tematyki, wielość postaci, różnorodność wątków) zostało pomyślane jako ekwiwalent i zarazem symbol dramatycznej złożoności życia:

*Powieść realistyczna [...] jest to las, w którym widać tylko pojedyncze drzewa, a nie widać... lasu. Nieuważny czytelnik może nigdy nie zobaczyć owego „lasu”, ale przyzwyczajony krytyk musi jego plan odkryć i nakreślić. Inaczej – będzie podobny do człowieka, który w drzewie widzi tylko liście, a nie dostrzega gałęzi, konarów i pnia<sup>33</sup>.*

Prusowski użycie metafory lasu stanowi nobilitację samego pojęcia i jego bogatej semantyki. Bowiem las sugeruje tu dziwny porządek bytu, do końca nigdy nie wyjaśniony, ambiwalentny i niepokojący, ale i właśnie dlatego fascynujący.

Las pojawiający się w utworach pozytywistów stanowi prawie zawsze nieodłączny element polskiego krajobrazu. Służy dookreśleniu dokładnej topografii miejsca akcji utworu realistycznego. Opis wkracza wtedy niemalże w kompetencje naukowca, tak jest ściśły. Bowiem to zazwyczaj w niedalekiej odległości od jakiegoś „zespołu roślin o przewadze drzew”<sup>34</sup> usytuowana jest wieś czy pograniczne wsi i miasteczka, w pobliżu lasu znajdują się uprawne pola i łąki:

*Na skraju nieba kilka białych obłoków, niżej – błękitny las – wygon, po którym chodzą kasztanowate i czarne krowy – nad olśniewającą bocian wracający do gniazda i – nic więcej<sup>35</sup>.*

Obraz drzew leśnych w zasadzie powszechnie wszedł do opisu pejzażu wsi:

*[...] brzoziowy las, jedno z okolicznych wzgórz obrastający, a za którym leżała szmata pola dojrzałym zbożem okryta<sup>36</sup>;*

*Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porosłe sosnowym lasem, a od południa wzgórze garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głogiem [...].<sup>37</sup>*

Nie sposób było w opisach wsi pominąć owo „zwarne zbiorowisko drzew”, skoro znajdowało się ono zwykle w bliskiej odległości od chat wiejskich i od majątków, od dworów:

*Bryczka i wiszący nad nią obłok kurzu ginęły w lesie, który wypełniał szczylinę między niebem i ziemią, a przede mną w dali stała tylko chata samotników, skulona i czająca się.<sup>38</sup>;*

*Dwór to był poleski, więc dookoła i z bliska otaczały go stare, głębokie i wysokie lasy<sup>39</sup>.*

Jednak opisywane miejsce jest raczej słabo indywidualizowane obrazowo, podobnie jak poszczególne elementy tego widoku. Opis topografii wsi wskazuje zwykle na typowość, dlatego ma on charakter syntetyczny. Topografia wsi jako miejsca akcji jest często dość szczegółowa, ale typowa i nie ułatwiająca wcale identyfikacji, np. jest ona podobna zarówno w *Antku*, jak i w *Anielce* czy *Placówce* Prusa, w *Chacie za wsią* i *Jermole* Kraszewskiego: nie umiejscowiona geograficznie na mapie; nazwy miejscowe zostają ograniczone do minimum, albo są to nazwy typowe: Wólka, Białka; to wieś leżąca „gdzieś” w pobliżu jakichś lasów, pól, łąk, więc opis odnosi się do bliżej nie określonego miejsca, aczkolwiek dokładnie (zgodnie z założeniami realizmu) charakteryzowanego:

*Widnokrąg szczupły, ciemne zwierciadła wody,*

*oprawne w zielony tatarak, kilka płatów zboża i ziemniaków, gdzieś niegdzie kępa karłowatej wierzbiny, w jednej stronie czarny las – oto widoki tutejsze. Od lasu ciągnęła się wąska droga, [...] po której nikt prawie nie jeździł<sup>40</sup>;*

*Lasy, wsie, drzewa w polu, krzyże na drogach widać jak na dłoni, zmniejszające się w miarę odległości. [...] wschodni brzeg jest inny; tworzy jakby amfiteatr o trzech kondygnacjach, wznoszących się jedna nad drugą. [...] trzecią kondygnację tworzą grunta piaszczyste, obsiewane owsem lub żytem, a jeszcze wyżej – czerni się las sosnowy, podpierający niebo<sup>41</sup>.*

Las to nie zawsze miejsce swojskie, dobrze znajome, miłe dla oka:

*Las w to letnie przedpołudnie cichy był i chodzący po nim tylko szmery lekkich wiatrów. Drożyna w długich zakrętach biegła pomiędzy leszczynami, spośród których ciekawie wyglądały białe i żółte oczy kwiatów. O giętkie pręty leszczyny i jej chłodne liście ocierały się boki konia, który czasem wesóło parsknął. Nad leszczynami daleko wznosił się i w głąb wzbijały się iglaste i liściaste drzewa. Żywica pachniała. Ptaki szczebiotały wśród drzew<sup>42</sup>.*

Niekiedy samo przejście przez las napawało jakimś zabobonnym strachem; opis taki oddawał zwykle narastającą grozę sytuacji:

*Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniej i straszniej. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem [...] Rzepową aż ciarki przechodziły, że to może „złe” śmieje się na bajorach albo może gnomom przesunąć straszny korowodem lada chwila. „Byle bez las, byle bez las – myślała sobie – a tam za lasem zara młyn i chatupa Jagodzińskiego młynarza!” Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze, a tymczasem upusty [...] uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przysięgły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią: słychać trzask gałęzi – ciemność<sup>43</sup>.*

Przyroda leśna występuje więc także jako siła groźna, tajemnicza, budząca przerażenie.

Opis przyrody leśnej, podobnie jak i innych elementów natury (np. akwaticznych<sup>44</sup>), odzwierciedla często stan duszy bohatera, stanowiąc akompaniament przeżyć ludzkich, symbolicznie pogłębiających ważne momenty akcji utworów<sup>45</sup>; świadczy o ich indywidualnej wrażliwości i imaginacji, łączy się z przeżyciami ludzkimi wtedy, gdy spoza ich konkretności wychyla się jakiś sens uczuciowy, działający nastrojowo na człowieka:

*Nagle horyzont zaciemniły mnogie zielone gałązki [brzoziowego lasu – A.D.], na wózek padł cień. Wjechali w las i zbliżali się do najwyższego wzgórzka. [kowałowa]Uczuła zmęczenie. Chciała uisnąć między drzewami i odpocząć, ale [...] w lesie?... Gdyby była sama, nic by jej las nie obchodził; ale obecność Stasia robiła ją ostrożną nie wiadomo przed czym. O wilkach i zbójcach nikt tu nie słyszał; kobieta jednak zlekotała się teraz nawet zającą, gdyby wyskoczył... Ach! Ten las... długi na jakie dziesięć pacierzy... [...] Ach! Żeby z tego lasu przedzej wyjechać!<sup>46</sup>.*

Zarówno w nowelach, jak i w powieściach pozytywistów las jest ogromny, wiekowy, odwieczny, mroczny, tajemniczy, niezwykły, znajomy i jednocześnie nie poznany do końca, budzący podziw, ale i przerażenie swoją potęgą:

*I były tam jeszcze lasy wielkie, głębokie, lasy odwieczne, przez wieki toporem nie dotykane, wspaniałe przybytki natury samotnej i dzikiej, obłądne labirynty, z drogami wiadomymi tylko zwierzom je zamieszkującym i ludziom o barach potężnych, wzroku bystrym, strzałach celnych, którzy nad ich niepokalaną całością stróżowali<sup>47</sup>;*

*[...] najstarsze w lesie dęby splatały w górze liściaste gałęzie i była to jakby kaplica napęczniona ciemnościami<sup>48</sup>;*

*Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnąciami się roślinami, grubymi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęstym, że chyba w niego siekierą jak w ścianę bić. Nieznane plectwo świergotowało w tych zielonych gęszczach<sup>49</sup>;*

*Zielona ściana boru z wolna tylko ustępowała przed siekierami. Ci, którzy zagłębiali się w chaszczce, przynosili dziwaczne wieści, że ten bór wcale końca nie ma, że dalej straszne w nim bagna, bajora i jakas*



Ciąg dalszy ze str. 7

śpiąca woda pod drzewami, że jakieś dziwotwory tam mieszkają, jakieś opary, na kształt duchów, przesuwają się między gąszczami, jakieś wieże syczą, jakieś głosy wołają: „Nie chodź!”, jakieś krzaki niesamowicie za ubranie łapią i nie puszczają<sup>50</sup>.

Chłopi podążają: przez gęstwiny zarosły i wiklin, nad którymi konary odwieczne rozpościerały stare jak sam ten las drzewa liściaste, gałęziste<sup>51</sup>. Opisy potęgi lasu i zmagania się z nią człowieka również przewijają się w tekstach pozytywistów:

Chmary ptactwa podniosły się z łoskotem ze wszystkich stron lasu, krzycząc, kracząc, świergocąc. [...] pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomienie rozlewały się jak woda, biegnęły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wina, trzęsły liśćmi. Wicher wyrwał te płożące liście, niósł je jakby ptaki ogniste dalej i dalej. Hikory pękały z hukami armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wili się po smolnym podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask gałęzi, głuche huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt, napełniały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i kołyszac się strasznie niby jakieś szatańskie ramiona, podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zacerwieniło się, jakby w nim drugi był pożar. [...] Potem wszystkie płomienie zlały się w jedno morze ognia i szły przez las jakby tchnieniem śmierci lub gniew Boży<sup>52</sup>.

Z paraboliczną opowieścią o zagładzie lasu spotykamy się w Placówce:

[...] kto miał dobre ucho, a stanął na wzgórzu, mógł słyszeć lecący od strony lasu szmer. Szmer ten dzień po dniu dzielił się na pojedyncze odgłosy, jakby kto palcami bębnił po stole, tak że w końcu już całkiem wyraźnie słychać było stukanie mnogich siekier i chrzęst walącego się drzewa. Las jakby zniżał się, na jego falistym konturze ukazywały się coraz to nowe zęby, w oczach ludzkich nikły wierzchołki, w ciemnozielonej ścianie zaczęły przeświecać jakby szpary, potem jakby okna, wreszcie- wylomy, przez które wyjrzało niebo, zdziwione, że pierwszy raz, jak świat światem, patrzy na dolinę z tej strony.

Las padł. Zostało tylko niebo i ziemia, a na niej trochę kęp jałowca, trochę leszczyny, trochę młodych sosenek, niepoliczony szereg pieńków i całe sosny leżących drzew, z których pośpiesznie obcinano gałęzie. Nic z liściastego narodu nie uszanował topór drapiejący.

Nic, nawet dębu, po którego stuletniej korze zeslizgiwały się wstęgi piorunów. Zapatrzoną w niebo zwyczajca burz prawie nie dostrzegł kręcących się u stóp jego robaków, a ciosy siekier nie więcej go obchodziły od pukania dzieciółów. Padł nagle, przekonany w ostatniej chwili, że to świat się obalił i że na tak niepewnym świecie żyć nie warto.

Był inny dąb, na którego zeszechłej gałęzi powiesił się kiedyś nieszczęsny Szymon Gołąb. Ludzie otąd mijali go ze strachem. Toteż ujrzawszy gromadę traczów z siekierami zaszemrał: „Uciekajcie stąd, bo imię moje znaczy śmierć. Jeden tylko człowiek dotknął ręką mych konarów i umarł.” Gdy zaś tracze, zamiast usłuchać jego życzyliwych upomnień, poczęli rąbać i coraz głębiej zapuszczają mu w ciało ostre żelaza, wpadł w straszny gniew, ryknął „zdrzuzgoczę was...” i – obalił się na ziemię.

Sosna, w której dziupli kryła się para wiewiórek, widząc powszechne zniszczenie cieszyła się nadzieją, że uniknie złego losu, przez wzgląd na swoich lokatorów: „Litość ich wzruszy, bo cóż są im winne biedne, małe wiewiórki?” – szeptała i – padła miażdżąc własnym ciężarem wystraszone zwierzątko.

Tak ginęły mocne drzewa, jedno po drugim; nad ich grobem płakała mgła nocna i kwiliły ptaki pozbawione ojczystych siedzib<sup>53</sup>.

Zarówno wyrabianie starego, stuletniego lasu przez kolonistów, jak i narracja o spaleniu odwiecznego boru w Arkansan za sprawą jednego z osadników – Czarnego Orlika wprowadzają groźne opisy zagłady lasu. Pierwszy to sugestywny, niezwykle plastyczny i ekspresyjny opis pożaru puszczy. W drugim wypadku zdecydowanie znaleźliśmy się daleko od narracyjnej konwencji realistycznej, [...] w krainie stylu ekspresyjnego, [...] dostojnie archaizowanej składni i patetycznego słowa, [...] metafory ocierającej się o hiperbolę, w krainie bliskiego sąsiedztwa z prozą poetycką romantyków<sup>54</sup>.

Las wyrastający z „tej” ziemi to miejsce mityczne, przestrzeń uświęcona, co wynika z pamięci o akcie kosmogonicznym, o boskim akcie stwarzania świata. Taką sakralną przestrzeń charakteryzuje tabu, niedostępność: drzewa czy góry pełnią rolę symboli kosmosu, gdyż są miejscami styku nieba i ziemi, drzewo stanowi symbol drabiny do nieba; to oś świata.

Mit „świętej ziemi” – określanej mianem „okolica” pojawia się również w Nad Niemnem – las zaniemeński to święta przestrzeń z właściwością jej centrami (dwie mogiły, Niemnem, zagrodą Jana i Anzelma). To także miejsce przedwieczne, odkryte przed wiekami, skosmizowane przez Jana i Cecylię. Przyroda pełni funkcję autonomiczną, hieratycznej powagi i trwałości, pierwotniejszej od człowieka i niezależnej w swym podstawowym sensie od jego cywilizacyjnej działalności. Człowiek porządkując przyrodę i „podporządkowując” ją sobie, postępuje zgodnie z naturą: pole jest po to, aby je uprawiać; człowiek nie wydarł go naturze, ale poprzez uprawę roli wchodzi z nią w autentyczny, naturalny związek. [...] Natomiast przyroda nietknięta ręką człowieka: wysokopienny las, odwieczna rzeka, potwierdzają jego autentyczność ontologiczną<sup>55</sup>. Samo obcowanie z epifanią i hierofanią telluryczno-sylwiczną i akwaticzną w Nad Niemnem odnawia i odradza (reintegruje) człowieka. Las stanowi jeden z etapów wtajemniczenia, wkraczania w sferę sacrum.

Las zaniemeński, w którym umiejscowiona zostaje mogiła jest mroczny i ciemny; to głębina boru, w którym odkrywamy świątynię, sanktuarium z wszystkimi przynależnymi takiemu miejscu akcesoriami: kolumnami z drzew, stropami, ołtarzami, olbrzymią kadzielnicą żywicznych zapachów jałowca, smoły i cząbrow, dzwonkami kampanuli dzwoniącymi na pacierz żalobny oraz leśną muzyką organową: gwizdzącego donośnie kosa, zanoszących się od śpiewu szczygłów, gruchających gołębi, rytmicznie stukających dzieciółów i żółn, przeraźliwie ćwierkających czyżów i „trzynadli”<sup>56</sup>. Tworzy tę świątynię kolista polana porośnięta paprociami i kwieciami, jak dywanami, otoczona świerkami i sosnami niczym kolumnami. Pośrodku polany jest wzgórze - ołtarz: niby wał, niby kurhan, trawą obrośnięty<sup>57</sup>.

Stylistyka opisu jest patetyczna, pełna poetyzmów; doznawanie Niemna i leśnej przyrody to doznawanie kontaktu ze sferą sacrum, którego zewnętrznym wyrazem jest dostojne piękno tych elementów przyrody.

W lesie opisywanym przez pozytywistów występują różnorodne i dominują następujące gatunki drzew: sosna, jodła, świerk, olcha, osika, leszczyna, wierzba, dąb, brzoza, jałowiec:

Dojechali do lasu [...]. Panie wzięły do rąk koszyki. [...] Szli wąską drogą, która stanowiła granicę dwu lasów: na prawo rosły dęby i buki, na lewo sosny<sup>58</sup>;

[...] sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie<sup>59</sup>;

I wleciał wiatr do lasu [...], przelatując wśród świerków, brzozy, olch, dębów [...]<sup>60</sup>

[...] nie uczuwały [...] czerwonych szram, którymi im jałowce i świerki znaczyły twarze i ręce<sup>61</sup>;

Nad strumykiem zaś rosły w miejscu pewnym do gromady zbiegnięte brzozy białokore...<sup>62</sup>;

Były to nieprzejrzane szeregi i tłumy leszczyn, [...] wierzbin, olszyn i osin...<sup>63</sup>;

[...] wpadała do tego lasu i ku owym dębom dążyła...<sup>64</sup>.

Leśne ostępy ukazywane są przez twórców doby pozytywizmu z mikroskopijną wręcz dokładnością i ścisłością<sup>65</sup>:

[...] motyle wiewiały się na kwiatach, a na mchach i trawach igrały w promieniach słonecznych skrzydlate owadki<sup>66</sup>.

W lesie opisywanym przez prozaików – realistów słychać dźwięki lasu:

[...] świergoty ptactwa i metaliczne, chóralskie brzęczenie owadów<sup>67</sup>;

[...] do słuchu jej dostał się ogromny gwar ptactwa, który od początku lasu rósł, wzbierał, a tu wybuchał niepodobnym do rozplątania chaosem dźwięków<sup>68</sup>.

Opis leśnego obszaru dopełniają trawy, wrzosowiska, kwiaty leśne, pagórki mrówcze, igliwie na mchu, paprocie, chłodna rosa, wystające nad ziemią korzenie drzew, kamienie, ścieżki wydeptane przez trzodę, koleiny na wąskich drogach<sup>69</sup>.

Tę leśną ciszę przerywają niekiedy w utworach pozytywistów odgłosy siekier, gdyż las ukazywany jest jako miejsce pracy i trudu ludności wiejskiej:

Rzepa chłopisko był rosty jak topola, tęgi: prawdziwie od topora. Jeździł on teraz codziennie do lasu, bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał Żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa [...] do roboty był dobry. Jak bywało, plunął w garście, a chwycił za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrzy, a wórn na pół łokcia się od niej oderwie. W ładowaniu drzewa na firy także był pierwszy. [...] Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot, dla uciechy, puszczał głos po lesie: - Hoop! Hop! Głos leciał między pniami, a potem wracał echem. I znowu nie było nic słychać prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie<sup>70</sup>.

Praca w lesie była jedynym możliwym zarobkiem dla chłopca, szczególnie w trudnej porze dla mieszkańców osad wiejskich, w czasie przednowka. Las umożliwiał przetrwanie prostemu ludowi nie tylko w stronach rodzinnych, ale również daleko od domu, za oceanem, na emigracji zarobkowej. Jedynie siła fizyczna rąk, upór charakteru pozwalały przezwyciężyć niedolę tułacza-osadnika i okiełznać nieprzebytą puszcę:

Spodziewali się zastać na gruntach, przeznaczonych na osadę, pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane [...], jasne platany i posępne hikory, stały obok siebie jedną masą. Puszcza tu była nie na śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które przeskakując na kształt lin i sznurów z drzewa na drzewo, tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiory jakie, kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobięło w dal, jako w naszych lasach; kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błądzić musiał i zbłądzić mógł i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekiere, to na owe dęby, mające po kilkanaście łokci obwodu [...] Błogo mieć drzewo na chatkę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniać z ziemi wydrapać, wykrotić zrównać i dopiero mieć się pługa, to praca na całe lata. Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył, i od tej pory co dzień było słychać huk siekier w tym arkansaskim lesie, [...] W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las<sup>71</sup>.

Las był dla osadników zarówno przekleństwem, jak i dobrodziejstwem:

Bór [...] dawał jeść i pić, bór [...] odziewał<sup>72</sup>.

Ale lasy pozytywistów to nader często miejsce walk i schronienia powstańców. Jest to niejednokrotnie jedyna ich twierdza:

Od strony lasu szeroką falą płynęło ku nam gęste trzaskanie co chwilę przerywane wielkimi łaskotami<sup>73</sup>;

W zielonej twierdzy lasów horeckich załoga okazała się dzielną i mężną<sup>74</sup>;

[...] cieniami lasów, pustkowiec moczarów okryta była oddziały tego siła. Głębokie lasy, bezładne pustkowiec [...] tajemniczo strzegą, a w każdej tajemnicy tkwi ziarno grozy i narzędziem optycznym najwięcej powiększającym przedmioty jest ich tajemniczość<sup>75</sup>.

To miejsce głównych siedzib powstańców oraz wspólnych, często anonimowych mogił. W lasach toczą się zacięte boje, giną ludzie i tu są chowani w ziemi. Między dworami a lasem kursują powstańcy kurierzy, przynoszący wieści pomysłne, jak i częściej tragiczne.

Przeźrenie lasu przywołana w eposie Orzeszkowej i w nowelach powstańców odgrywa określoną rolę. Jest ona płaska, ale i horyzontalna i wertykalna zarazem, której granice wyznaczają drzewa; jest ukonkretniona (jeśli przypomnieć lasy Kobryńskie rozciągające się za Kanalem Królewskim, czy leśne gęstwiny poleskie), ale też funkcjonuje jako narodowe sacrum, wyznaczone rodzajem i miejscem walk, jakie prowadzono w powstaniu styczniowym. Dlatego też w „Gloria victis” drzewa są najwymowniejszymi świadkami tragedii. One właśnie pełnią funkcję upersonifikowanych narratorów<sup>76</sup>, a ich rola sprowadza się do przekazu informacji o tym, co dzia-



to się na tych ziemiach przed pół wiekiem<sup>77</sup>. To niezwykła nobilitacja lasu i pojedynczych drzew tworzących ten zróżnicowany drzewostan poleśkiego boru.

Przestrzeń leśna jest rozległa i wysokopienna, jest też nierozłącznie związana z szumiącym drzewami wiatrem. Cała obrazowana przyroda (wiatr, drzewa), występująca na pierwszym planie, podlega personifikacji:

Nie uderzy się tu [tj. na Polesiu litewskim - A. D.] wiatr prędko o żadną górę ani o żaden pagórek, nie powstrzyma lotu jego żadne wysokie miasto i chyba tylko las przed nim stanie z obliczem ciemnym i nad łkami bezkresnymi, nad rozlanym po nich wodami zaszepecze słowo: tajemnica!

Ale dla wiatru las tajemnic nie ma. Są to dwaj przyjaciele. Przenika wiatr leśne gęstwiny od skrajów do skrajów i one mu wszystko, co widziały, słyszały, opowiadają. Przenikają się wzajemnie i w nocy gwiazdziste, w dnie od śniegu białe, w wieczory jesienne od chmur posępne, od deszczu szemrzące wiodą ze sobą długie przyjaźni rozmowy<sup>78</sup>.

Z uwagi na cenzurę (która zelała po 1905 roku) i konieczność używania szyfru, czy, jak określała to Orzeszkowa, stylu więziennego, katakumbowego, o potyczkach powstańców nie pisano wprost, lecz uważny czytelnik pomiędzy zdaniem mógł domyślić się prawdziwej intencji nadawcy dzieła:

[...] las zahuczał potężnym, przeciągłym grzmiotem. Tak, las zagrzmiął. [...] W ciemnej, nieruchomej, milczącej ścianie lasu grzmiało i błyskało, po czym stawiała się ona znowu ciemną, nieruchomą, milczącą. [...] Jeszcze raz grzmiotem przemówił las, jeszcze i jeszcze raz, aż umilkł<sup>79</sup>;

Nad piaskami zaś ciągle grzmiało a grzmiało, i dopiero przed samym wieczorem grzmoty te zaczęły pomalą ustawać, aż i zupełnie ustały, a za to po całym borze podniosły się wielkie ludzkie krzyki i zgiełki<sup>80</sup>;

W lesie grzmiało nieustannie [...]

W lesie grzmiało jeszcze. [...]

W lesie grzmiało ciągle. [...]

W lesie ustały grzmoty, lecz nie uczyniło się w nim zupełnie cicho. Po głębiach jego bliższych, dalszych, dalszych, szły i rozchodziły się głośne to cichsze, to zaledwie ehowe pogłosy nawoływania, hukania. [...]

Nagle rozebrzmiał w lesie taki sam jak parę razy już przedtem krzyk gromowy, zbiorowy, raczej wstrząsający<sup>81</sup>;

Od strony lasu szeroką falą płynęło ku nam gęste trzaskanie, co chwilę przerywane wielkimi toskotami. Zdawało się, że przy najpogodniejszym dniu biją pioruny. Padł jeden, dwa, znowu jeden – trzy – pauza – i znowu dwa... Spoza lasu wznosił się słup dymu. Stanął wysoko nad drzewami i począł rozciągać się na prawo i na lewo, podobny do grzyba na czarnej nodze, w rudym kapeluszu<sup>82</sup>.

W głębi lasu doskonalono sposoby walki z zabórczymi wojskami. Na polanach leśnych, dzięki ćwiczeniom wojskowym, ochotnicy przemieniali się w żołnierzy:

Z horeckich lasów wylatywały częstsze wieści i rozlatywały się po przestrzeni szerokiej, budząc w sercach i głowach głębokie i wierne echa<sup>83</sup>.

W utworach okresu pozytywizmu las stanowił niejednokrotnie pomnik powstańców. Drzewa – zamysleni świadkowie dziejów ziemi<sup>84</sup> są stróżami mogił leśnych zapomnianych i nieuczczonych<sup>85</sup>. Mały krzyżyk na wielkiej mogile bezimiennych młodych bohaterów tkwi wśród liliiowych dzwonków<sup>86</sup>. Leśne drzewa i kwiaty to niemi świadkowie krwawych walk powstańczych.

Las jako element przestrzeni otaczającej bohaterów służył pozytywistom do prezentacji odczuć, wrażliwości, nastroju bohaterów. Oto jak Prus przedstawia postrzeganie lasu Izabeli Łęckiej:

[...] dla mnie las tylko wtedy jest piękny, kiedy w nim widzę ludzi. W tej chwili na przykład rozumem go... [...] Prawda, jak ta część jest podobna do ogromnego kościoła?... Te szeregi sosen to kolumny, tam boczna nawa, a tu wielki ołtarz. [...] Teraz między konarami pokazało się słońce jak w gotyckim oknie. Co za nadzwyczajna rozmaitość widoków! Tu ma pan buduar damski, a te niskie krzaczki to taburety. Nie brak nawet lustera, które zostało po onegdajszym deszczu... A to ulica, prawda?... Trochę krzywa, ale ulica... A tam znowu rynek czy plac...<sup>87</sup>.

Wykład Izabeli o lesie i o jej odczuwaniu go odkrywa, w oczach Wokulskiego, poetycką fantazję panny z miasta, którą w gruncie rzeczy prawdziwa, niezwykła, nieokielznana, niesamowita, obca jej natura lasu przeraża:

Bo dla mnie nie zawsze las jest piękny, czasem bywa okropny. Gdybym tu była sama, z pewnością nie widziałabym ulic, kościołów i buduarów. Kiedy jestem sama, las mnie przeraża. Przestaje być dekoracją, a zaczyna być czymś, czego nie rozumiem i czego się boję. Głosy ptaków są jakieś dzikie, czasem podobne do nagłego krzyku błęśni, a czasem do śmiechu ze mnie, że weszłam między potwory... Wtedy każde drzewo wydaje mi się istotą żywą, która chce mnie owinąć gałęziami i udusić; każde ziele w zdradziecki sposób oplątuje mi nogi, ażeby mnie już stąd nie wypuścić... A wszystkiemu temu winien kuzynek Ochocki, który tłumaczył mi, że natura nie jest stworzona dla człowieka... Według jego teorii wszystko żyje i wszystko żyje dla siebie... [...] więc [...] ten las nie jest przeznaczony na pożytek ludziom, ale ma jakieś swoje własne interesy, nie gorsze od naszych...<sup>88</sup>.

Potwierdza tę teorię pozytywistycznego naukowca Wokulski:

Widziałem ogromne lasy, w których człowiek ukazywał się raz na kilka lat, a jednak rosły bujniej aniżeli nasze... [...] I natura, i ludzie żyją dla siebie, i tylko ci mają prawo władać nimi, którzy posiadają więcej siły i więcej pracują. Siła i praca są jedynymi przywilejami na tym świecie. Niejednokrotnie też tysiącletnie, ale bezwładne drzewa upadają pod ciosami kolonistów-dorobkiewiczów, a pomimo to w naturze nie zachodzi żaden przewrót<sup>89</sup>.

Przyroda nie nagina się do człowieka; narzuca mu siebie bezpardonowo, jest autonomiczna. Taka natura umie budzić w bohaterach i przerażenie, i upojenia, ekstazy natury niemalże mistycznej. Pisarze pozytywistyczni odczuwają jedność wszystkich przejawów bytu, które wychodząc z tego samego źródła w ten czy inny sposób łączą się ze sobą<sup>90</sup>. Dlatego uduchowiają naturę, ożywiają zarówno przedmioty martwe, jak i roślinne oraz zwierzęce, nadając im cechy duchowe, wywołane subiektywnym odczuwaniem świata przez człowieka:

[...] a bór szumiął, jakby się natrząsał z ludzką niemocą. [...] A las szumiął, jakby się natrząsał<sup>91</sup>.

Las jako ten niezwykle twór natury nader często służył pozytywistom do pośredniego wyrażania uczuć towarzyszących bohaterom i do oddawania atmosfery dookreślającej wydarzenia:

[...] las [...] z obliczem ciemnym...<sup>92</sup>;

[...] szły lasem światła smętne, blade, przedwstępne gońce nocy i rozplywała się od nich po lesie melancholia zadumana, tęskna...<sup>93</sup>;

[...] nad lasami stojącymi w kamiennych ciszach<sup>94</sup>;

[...] rozciągnięte od krzaku do krzaku złote smugi słoneczne...<sup>95</sup>;

Zdawało mi się niekiedy, że wiatr płynący zza lasu coś im (drzewom) szepecze, a one chwieją gałęziami...<sup>96</sup>;

Jakiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódz obfita, a z niej spływały krople wody, rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą naokół cicho, cicho, biało, milcząco, glucho! [...] Jedyńą żywą istotą, poruszającą się jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, poczciwy las! [...] Drzewa takie wielkie, a takie liśnię nad maleństwem<sup>97</sup>.

W utworach pisarzy pozytywistycznych to las właśnie jest obrazem przypominającym na obczyźnie bliższe sercu rodzinne strony:

Ażeby ta wojna pod ziemię się zapadła! Przez wybite okno czernieje las i szumi jako pognębińskie sosny [...] Oto wydaje mi się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębinach boru ktoś jęczy i powtarza: „U nas, u nas, u nas”<sup>98</sup>.

Na określenie podróżującym Toporkom płynącym do Ameryki przypomina się ojczyzna kraina zawsze z współtworzącym ją elementem - borem, lasem:

[...] polska ziemia, [...] zbożna, jedynym łanem się kołysząca, borem zarośnięta [...]<sup>99</sup>;

[...] uwidziały się Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnymi gałęziami bezlistnych drzew, stada wron, ciągnące z krakaniem od boru ku wsi, dymy, idące

z kominów ku górze, zamarzły żuraw przy studni, a w dali bór, od zorzy czerwony i śniegiem przytrząśnięty<sup>100</sup>.

Na obcej ziemi emigrantom: potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup słomą krytych...<sup>101</sup>.

Kiedy zaś tułacz znad Wisły jadą pociągiem, przez okna wagonu zauważają widok przypominający im ojczyznę:

pola i bór na dalekości [...] zupełnie jak w Polsce. Na ten widok Wawrzonowi rozpierało tak coś piersi, że miał ochotę krzyknąć: „Hej, wy bory i pola zielone!”<sup>102</sup>.

Cała natura, natura widziana oczami w szczególności chłopca, zdaje się organizmem żywym, siłą dynamiczną, objawiającą swą mądrość. Taka wydaje się ona bowiem pozytywistom, stojącym na stanowisku monizmu przyrodniczego. Jest w tym chłopkiem widzeniu rys jakiegoś nieświadomego panteizmu, bo wszechpotężna natura kieruje życiem człowieka, objawia swego ducha, jawi się jako żywa, rozumna, przemawia do człowieka szumem wiatru, ciepłem słońca, odgłosem fal, zapachem i smakiem swych płodów. Takim żyjącym i przemawiającym zdaje się Mackowi Owczarzewi właśnie grozący nadchodzącą nocą i burzą zimową las:

Ujęty zimowym snem las ożył, począł poruszać się i gadać. Zadrzały zielone igły sosen, potem gałązki, potem wyciągnięte konary zachwiały się podając sobie jakieś znaki; nareszcie poruszyły się wierzchy i pnie drzew. Kosiły się naprzód i w tył, jakby naradzając się albo zabierając do pochodu. Zdawało się, że już dokuczyła im wiekowa nieruchomość i że lada chwilę całą gromadą wyruszą gdzieś, bodaj na koniec świata, zgiełkiwie i szumiące.

Niekiedy część lasu, gdzie stały sanie Owczarza, uspokaja się, jakby nie chcąc zdradzić przed ludzką istotą swoich tajemnic. Wówczas słychać z daleka stąpanie nieprzeliczonych nóg i marsz całych kolumn. Oto idą z głębi szeregi prawego skrzydła; idą, nadchodzą, już są na równi z nami, już przeszły... A oto rusza lewe skrzydło; słychać chrzęst śniegu, skrzypienie gałęzi, szum ustępującego powietrza; idą, nadchodzą, już są na jednej linii z chłopem i znowu go minęły. A oto środkowa kolumna ośmielona i zachęcona, zaczyna potrzasać gałązkami, dawać sobie znaki gałęzi, szum używać się ogromnym szepczeniem. Już pochylają się wierzchołki, już olbrzymy poddają się naprzód, ruszają... Stanęły... Widzą dwie ludzkie istoty, przed którymi las nie zdradzi swoich tajemnic. Więc stoi w miejscu i gniewnie szumiąc obrzuca ich szyszkami i zeschłymi gałęziami, jakby mówił: „Idź stąd, Owczarzu, idź stąd i nam nie przeszkadzaj”<sup>103</sup>.

Ale natura to nie tylko partner i towarzysz człowieka. Natura służy chłopu również jako wzór stworzonego przez Boga uniwersalnego i nienużalnego porządku świata. Ona ujawnia hierarchię stworzenia, uzasadnia fakt nierówności, zróżnicowanie i niejednoznaczność bytów:

Pan Bóg taki rząd postanowił na świecie – tłumaczy Ślimak, by nie było równości.

Dlatego niebo jest wyżej, ziemia niżej – sosna wielka, a leszczyna mała, a trawa jeszcze mniejsza. Dlatego i między ludźmi jeden jest stary, drugi młody – jeden ojciec, drugi syn – jeden gospodarz, drugi parobek – jeden pan, drugi chłop<sup>104</sup>.

Obraz natury, jaki przynosi literatura pozytywizmu ma często charakter idylliczny, bowiem natura ukazywana jest jako przeciwieństwo cywilizacji. Stanowi ona uosobienie porządku, siły, witalności, moralnego zdrowia, wartości antytegicznych do zdegenerowanej cywilizacji miejskiej. Aprobatorywna wizja natury, jaką przekazuje literatura pozytywistów, wynika z antyurbanistycznego nastawienia zarówno realistów, jak i naturalistów. Z twórczością tych ostatnich wiąże się antyurbanistyczny wizerunek miasta-molocha, miasta-labyrinthu, rządzonego przez groźne prawa natury<sup>105</sup>. Dla pozytywistów miasto było z jednej strony ośrodkiem cywilizacji i postępu, rynkiem pracy i przytuliskiem wysadzonych z siódła, z drugiej strony – demoralizującym siedliskiem zła, sztucznym tworem o sztucznych, niepewnych kryteriach moralności<sup>106</sup>. Mit złego miasta – potwora, lewiatana, molocha, utrwalony w prozie naturalistów, dominował już w romantyzmie<sup>107</sup>. W literaturze polskiej miasto reprezentowało bowiem krąg spraw, tryb życia, hierarchię wartości obce naturze wiejskiej



Dokończenie ze str. 9

go szlachcica. Nie dość tego – to siedlisko zła promieniowało zębą na nieskalane dotąd charaktery i umysły ludzi kręgu szlacheckiego dworku czy chłopskiej chaty<sup>108</sup>. Pozytywnie umieszczali akcję swych utworów, z niewielkimi wyjątkami (B. Prus), przede wszystkim na wsi, wśród pól i lasów, a konfrontacja miasta ze wsią wypadła zwykle na korzyść wsi. Bujne życie przyrody, zwłaszcza wiosenne odrodzenie roślinności, nie może zaistnieć w antywitalnej przestrzeni wielkomięskiego śmietnika<sup>109</sup>. Dlatego zaskakujące wydaje się porównanie negatywnie odzwierciedlanego miasta w twórczości Orzeszkowej do lasu, należącego nierozłącznie do przestrzeni natury<sup>110</sup>. Ukazywanie miasta przy pomocy metafory las („miasto jak las”)<sup>111</sup> nie wydaje się stanowić jednak i w tym wypadku zdeprecjonowania ogólnej pozytywnej wartości pojęcia lasu i samej jego przestrzeni.<sup>112</sup>

jest po pierwsze fakt, że Pietrusia przeszła, bez osinowego ogniska, jej babcia zajmuje się zielerstwem, a Pietrusia odziedziczyła tę wiedzę; poza tym Pietrusi i jej rodzinie dobrze się powodzi, co powoduje zażość otoczenia i stanowi dodatkowy dowód magicznych mocy i obecności sił szatańskich, które przyniosą Pietrusi groźbę przez komin.

<sup>14</sup> - Od świni gorsza! – mówi Ślimak do ziemi – Żeby tak świnię skrobał zgrzeblem, jak ciebie bronami, nie tylko spokojnie by się układała, ale jeszcze chętniej by podziękowała! Za oskarżoną ziemię ujmuję się słońce:

„O! patrz! – mówiło słońce – widzisz ten płat czarny? Tak czarne było wczoraj kiedy twoje ojciec siewał na nim pszenicę. A teraz spojrzaj na ten złoty płat: Tu już gлина wychyla się spod czarnoziemu i niedługo obsiędzie ci wszystkie grunta.”

- A cóżem ja winien? – odparł Ślimak.

„Nie tyżes winien? – szeptala z kolei ziemia. – Sam jadasz trzy razy na dobę, a mnie – jak często karmisz?... Daj boże, raz na osiem lat! A dużo mi dajesz? Pies by wstał na takim wikcie. I czego ci żal dla mnie sieroty?... Oto – wstyd powiedzieć – skąpisz mi bydlęcę mierzwyl!... (B. Prus, *Placówka*, Warszawa 1970, s. 25).

<sup>15</sup> Las, [w:] *Mały słownik języka polskiego*, pod red. St. Skorpuk, H. Auderskiej, Z. Łempickiej, Warszawa 1968, s. 336.

<sup>16</sup> Las, [w:] *Słownik języka polskiego*, pod red. M. Szymczaka, t. 2, Warszawa 1984, s. 12.

<sup>17</sup> Dane na podstawie wykresu podaje za: M. Klimkowski, *Wielka wyznika*, „Wprost” 2000, nr 21, s. 72.

<sup>18</sup> M. Maeterlinck, *Inteligencja kwiatów*, przeł. F. Mirandola, Warszawa 1948, s. 55.

<sup>19</sup> W. Gutowski, *Tajemnice młodopolskich lasów. O kluczowym symbolu poetyckim*, w: *Literacka symbolika roślin*. Praca zbiorowa pod red. A. Martuszeńskiej, Gdańsk 1997, s. 125.

<sup>20</sup> J. Kotarska, *Co lipie do wirszów? Drzewa w arkadii ziemiankiej*, [w:] *Literacka symbolika roślin*, pod red. A. Martuszeńskiej, Gdańsk 1997, s. 38.

<sup>21</sup> Urodą drzew na Puławach tak oto zachwycała się Izabela Czartoryska: „[...] musimy dać pierwszeństwo Drzewom, ich postaci, gałęziści, powadze, co do wspaniałej piękności, to jest owej piękności romantycznej, piękności tej, którą przekłada Malarz lub Poeta, a do której zbliżyć się należy, ile możliwości, w naśladowaniu”. Cyt. za: J. M. Rymkiewicz, *Myśli różne o ogrodach*, Warszawa 1968, s. 71.

<sup>22</sup> Por. M. Eustachiewicz, *Poeta w ogrodzie. Ogród jako motywu ramy renesansowych i barokowych zbiorów poetyckich*, „Pamiętnik Literacki” 1975, z. 3, s. 36.

<sup>23</sup> W. Gutowski, *Tajemnice młodopolskich lasów. O kluczowym symbolu poetyckim*, op. cit., s. 132.

<sup>24</sup> K. Wierzyński, *Las*, [w:] *Poezja polska okresu międzywojennego*. Antologia, wybór i wstęp M. Głowiński, J. Ślawiński, Wrocław 1987, s. 132.

<sup>25</sup> T. Hollender, *Las*, [w:] *Poezja polska okresu międzywojennego*, op. cit., s. 630.

<sup>26</sup> L. Staff, *Wysokie drzewa*, [w:] tenże, *Wybór poezji*, Wrocław 1985, BN I 181, s. 164.

<sup>27</sup> B. Lesmian, *Las*, [w:] J. Marx, *Młoda Polska*, Warszawa 1997, s. 213.

<sup>28</sup> M. Czerkawska, *W lesie* [w:] *Poezja Młodej Polski*, wybrał M. Jastrun, Kraków 1976, s. 74.

<sup>29</sup> S. Wyspiański, *Wierszyki wakacyjne*, [w:] *Poezja Młodej Polski*, op. cit., s. 123.

<sup>30</sup> Zob. M. Eliade, *Traktat o historii religii*, przeł. J. Wierusz-Kowalski, Łódź 1993, s. 265 i n.

<sup>31</sup> „Nigdy samo drzewo nie było przedmiotem czci, ale zawsze tylko to, co się przez to drzewo >>objawiało<<, co się w nim zawierało i co drzewo oznaczało”. M. Eliade, *Traktat o historii religii*, tłum. J. Wierusz-Kowalski, Łódź 1993, s. 206.

<sup>32</sup> Za: K. Górski, *W świecie Tatr i Podhala*, [w:] tenże, *Jan Kasprzowicz*. Studia, Warszawa 1977, s. 46.

<sup>33</sup> Szum drzew stanowi przebieg treści transcendentalnych. Konrad Górski zauważa, iż: „[...] przeżycie religijne budzi się wśród lasu zupełnie samorzutnie, >>przez szum drzew<< dokonywa się w duszy ludzkiej ekstatyczne wyzwolenie z cielesnej powłoki i przeniesienie myślą do tej chwili, gdy człowiek jeszcze nie był wynagłem z raju”.

<sup>34</sup> Wprowadzony tutaj motyw szumu lasu wydaje się nawiązywać do znanego już we wcześniejszej twórczości Kasprzowicza poetyckiego motywu, powtarzającego się zresztą i znaczeniowo rozgałęzionego, któremu poeta nadaje wyraźny obraz emocjonalny. Otóż szum ten, powodowany przez różne jakby wymienne instrumenty wiatru (drzewa, lany zbóż, trzcin itp.) jest zwykle wyrazem czy symbolem jakiejś większej potęgi albo siły metafizycznej. Instrumentalna ewokacja szumu, szeptów, półgłosew, symbolizuje tchnienie tajemnicy bytu w przyrodzie i w człowieczym sercu. Pozwała domyślać się wstrzymującej oddech tajemnicy (mysterium) zasygnalizowanej, nie wyrażonej wprost. Zob. J. J. Lipski, *Twórczość Jana Kasprzowicza w latach 1891-1906*, Warszawa 1975, s. 108-114.

<sup>35</sup> Wojciech Gutowski, analizując tajemnice młodopolskich lasów, zauważa, że w twórczości Kasprzowicza „szum drzew przynosi sugestywne przesłanie metafizyczne, zestrzaja dusze jednostki z duszą świata. „Poszum leśnych drzew” obwieszcza radość eschatologiczną u kresu życia (Marchołt), odpowiada na wątpliwości religijne (Księga ubogich). Kasprzowiczowska metafora »organy lasu« wzmocnia przekonanie, iż chodzi o metafizyczny, symbol symboli. Przemiana lasu w organy podkłada mediatyżnicę i rewelatorską zarazem funkcję symbolu. Las wsluchuje się w wicher, głos Natury i przekształca go w pieśń, wielbiącą dynamikę życiowej energii” (W. Gutowski, *Tajemnice młodopolskich lasów. O kluczowym symbolu poetyckim*, w: *Literacka symbolika roślin*. Praca zbiorowa pod red. A. Martuszeńskiej, Gdańsk 1997, s. 133).

<sup>36</sup> B. Prus, *Słówko o krytyce pozytywnej*, cyt. za: J. Bachórz, *Wstęp*, [do:] B. Prus, *Lalka*, Wrocław 1988, s. XXXVII.

<sup>37</sup> Las, [w:] *Encyklopedia popularna AZ*, Warszawa 1962, s. 542.

<sup>38</sup> B. Prus, *Omyłka*, [w:] tenże, *Wybór nowel*, Warszawa 1971, s. 256.

<sup>39</sup> E. Orzeszkowa, *Dziurdzowie*, Warszawa 1960, s. 58.

<sup>40</sup> B. Prus, *Antek*, Warszawa 1947, s. 3.

<sup>41</sup> B. Prus, *Omyłka*, op. cit., s. 204-205.

<sup>42</sup> E. Orzeszkowa, *Oficer*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1951, s. 56.

<sup>43</sup> B. Prus, *Anielka*, Warszawa 1953, s. 116.

<sup>44</sup> B. Prus, *Placówka*, Warszawa 1970, s. 17-19.

<sup>45</sup> E. Orzeszkowa, *Oficer*, op. cit., s. 67.

<sup>46</sup> H. Sienkiewicz, *Szkie węglem*, [w:] tenże, *Wybór nowel i opowiadań*, oprac. T. Bujnicki, Wrocław 1988, s. 148-149.

<sup>47</sup> Zob. Z. Szweykowski, *Twórczość Bolesława Prusa*, Warszawa 1972, s. 92-93 (przykłady opisów akwaticznych motywów z *Anielki* oraz z *Przygody Stasia*).

<sup>48</sup> Por. tamże, s. 90-91.

<sup>49</sup> B. Prus, *Przygoda Stasia*, [w:] tenże, *Wybór nowel*, op. cit., s. 96.

<sup>50</sup> E. Orzeszkowa, *Oni*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1951, s. 18.

<sup>51</sup> E. Orzeszkowa, *Hekuba*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1986, s. 116.

<sup>52</sup> H. Sienkiewicz, *Za chlebem*, [w:] tenże, *Wybór nowel i opowiadań*, op. cit., s. 243.

<sup>53</sup> H. Sienkiewicz, *Za chlebem*, op. cit., s. 253-254.

<sup>54</sup> Tamże, s. ....

<sup>55</sup> H. Sienkiewicz, *Za chlebem*, op. cit., s. 257-258.

<sup>56</sup> B. Prus, *Placówka*, op. cit., s. 139-140.

<sup>57</sup> J. Bachórz, „Placówka” Bolesława Prusa. Projekt kolejnej interpretacji, „Pamiętnik Literacki” 1984, z. 3, s. 145.

<sup>58</sup> J. Cieślowski, „Nad Niemenem” Elizy Orzeszkowej. Rozważania nad semiotyką mitów religijnych, „Pamiętnik Literacki” 1969, z. 2, s. 80.

<sup>59</sup> Zob. tamże, s. 76 oraz J. Bachórz, *Wstęp*, [w:] E. Orzeszkowa, *Nad Niemenem*, op. cit., s. XXXVIII. Por. E. Orzeszkowa, *Nad Niemenem*, Warszawa 2000, s. 300-302.

<sup>60</sup> Por. tamże.

<sup>61</sup> B. Prus, *Lalka*, t. 2, Warszawa 1985, s. 112-114.

<sup>62</sup> Tamże, s. 22.

<sup>63</sup> E. Orzeszkowa, *Gloria victis*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1951, s. 248.

<sup>64</sup> E. Orzeszkowa, *Hekuba*, op. cit., s. 147.

<sup>65</sup> Tamże, s. 148.

<sup>66</sup> E. Orzeszkowa, *Oficer*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1986, s. 65.

<sup>67</sup> E. Orzeszkowa, *Hekuba*, op. cit., s. 114.

<sup>68</sup> Por. hasło: *Przyroda i natura*, [w:] *Pozytywizm. Leksykon literatury polskiej*, pod red. M. Łoboz, T. Żabskiego, Wrocław 1999, s. 136.

<sup>69</sup> E. Orzeszkowa, *Gloria victis*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1986, s. 224.

<sup>70</sup> E. Orzeszkowa, *Hekuba*, op. cit., s. 146. Zob. też przypis 39.

<sup>71</sup> E. Orzeszkowa, *Nad Niemenem*, Warszawa 2000, s. 300.

<sup>72</sup> Zob. tamże, s. 116, 146.

<sup>73</sup> H. Sienkiewicz, *Szkie węglem*, [w:] tenże, *Wybór nowel i opowiadań*, op. cit., s. 90-91.

<sup>74</sup> H. Sienkiewicz, *Za chlebem*, [w:] tenże, *Wybór nowel i opowiadań*, op. cit., s. 247-248.

<sup>75</sup> Tamże, s. 257.

<sup>76</sup> B. Prus, *Omyłka*, op. cit., s. 261.

<sup>77</sup> E. Orzeszkowa, *Oni*, op. cit., s. 39.

<sup>78</sup> E. Orzeszkowa, *Oni*, op. cit., s. 40.

<sup>79</sup> Stary, potężny, dąb, wyprostowany, najwyższy świerk oraz brzoza to kolejni narratorzy opowieści o powstaniach w *Gloria victis*.

<sup>80</sup> E. Łoch, *Topos dworu w „Nad Niemenem” i wybranych utworach nowelistycznych Elizy Orzeszkowej*, [w:] *Nowe studium trójcy powieściopisarzy*, pod red. A. Z. Makowieckiego, Warszawa 1992, s. 326. Ziemia musi więc spełnić swoją misję rozrodczą: „wydawać plony drzew-brzoź (to symbol śmierci) i innych roślin oraz rodzic bohaterów. Kości rzucone muszą odrodzić się na nowo, jak Feniks z popiołów. Owo telluryczne sacrum ma tu wartości symboliczne. Ziemia i rozsiane na niej mogiły są miejscem spoczynku dla tych, którzy zginęli, jest więc hierofanią herosów, która będzie owocowała w następnych pokoleniach. Przykłady z *Nad Niemenem* są najlepszym tego dowodem”. Tamże.

<sup>81</sup> E. Orzeszkowa, *Gloria victis*, [w:] tenże, *Gloria victis*, op. cit., s. 247.

<sup>82</sup> E. Orzeszkowa, *Oni*, op. cit., s. 46-47.

<sup>83</sup> E. Orzeszkowa, *Nad Niemenem*, Warszawa 2000, s. 297-298.

<sup>84</sup> E. Orzeszkowa, *Oni*, op. cit., s. 49-51.

<sup>85</sup> B. Prus, *Omyłka*, op. cit., s. 261. Tak oto pisarz posłużył się narratorem dziecięcym, którego naiwny sposób opowiadania o tym, co może dostrzec i zrozumieć z tych oznak bitwy powstańczej pozwolił na ominiecie cenzury.

<sup>86</sup> E. Orzeszkowa, *Oni*, [w:] tenże, *Gloria victis*, Warszawa 1986, s. 31.

<sup>87</sup> E. Orzeszkowa, *Gloria victis*, op. cit., s. 217.

<sup>88</sup> Tamże, s. 218.

<sup>89</sup> Zob. tamże, s. 216.

<sup>90</sup> B. Prus, *Lalka*, op. cit., s. 114.

<sup>91</sup> Tamże, s. 114-115.

<sup>92</sup> Tamże, s. 115.

<sup>93</sup> Z. Szweykowski, op. cit., s. 91.

<sup>94</sup> H. Sienkiewicz, *Za chlebem*, op. cit., s. 254-255.

<sup>95</sup> E. Orzeszkowa, *Gloria victis*, op. cit., s. 214.

<sup>96</sup> Tamże, s. 224.

<sup>97</sup> E. Orzeszkowa, *Oficer*, op. cit., s. 69.

<sup>98</sup> E. Orzeszkowa, *Hekuba*, op. cit., s. 146.

<sup>99</sup> B. Prus, *Omyłka*, op. cit., s. 247.

<sup>100</sup> H. Sienkiewicz, *Jamioł*, [w:] tenże, *Wybór nowel i opowiadań*, oprac. T. Bujnicki, Wrocław 1988, s. 164.

<sup>101</sup> Grzegorz Zajac zauważa, iż kontrastowe ujęcie martwoty leśnej przyrody i pełnego obaw, zastraszonego, nieświadomego losu dziecka w lesie potęguje napięcie końcowych scen, rodzi dysonans najwyższego zaufania i zaskakującego ciosu. Por. G. Zajac, *Wokół zdarzenia. Fabuła noweli „sytuacyjnych” Henryka Sienkiewicza*, „Ruch Literacki” 1995, z. 4, s. 452.

<sup>102</sup> H. Sienkiewicz, *Bartek zwycięzca*, [w:] tenże, *Nowele wybrane*, Warszawa 1962, s. 148-149.

<sup>103</sup> H. Sienkiewicz, *Za chlebem*, op. cit., s. 204.

<sup>104</sup> Tamże, s. 203.

<sup>105</sup> Tamże, s. 205.

<sup>106</sup> Tamże, s. 243.

<sup>107</sup> B. Prus, *Placówka*, Warszawa 1970, s. 112-113.

<sup>108</sup> Tamże, s. ....

<sup>109</sup> Zob. I. Gubernat, *Miasto Zapskiej*, [w:] *Miasto-kultura-literatura. Wiek XIX*, pod red. J. Dąty, Gdańsk 1993, s. 213-214.

<sup>110</sup> E. Hnathowicz, *Miasto kryminalne?*, [w:] *Miasto-kultura-literatura. Wiek XIX*, op. cit., s. 113.

<sup>111</sup> Zob. W. Gutowski, *Symbolika urbanistyczna w literaturze polskiej od modernizmu*, [w:] tenże, *Mit-eros-sacrum*, Bydgoszcz 1999, s. 72.

<sup>112</sup> Wojciech Gutowski wskazuje na swoistą miastofobie również w okresie Młodej Polski, której literaturę cechuje zdecydowany antyurbanizm.

<sup>113</sup> M. Kreft, *Deprecjacja przestrzeni miasta w twórczości Elizy Orzeszkowej*, [w:] *Miasto-kultura-literatura*, op. cit., s. 125.

<sup>114</sup> [Opozycja: miasto – przyroda uwidacznia się nie tylko u pozytywistów, ale i u pisarzy młodopolskich, przywołujących opisy natury (tj. np. lasu właśnie) chorej, rachitycznej, zarażonej śmiercią. Za: W. Gutowski, op. cit., s. 7. Czynie to Reymont w *Ziemi obiecanej*: „Las stał się cichy i jakby obrumyły, tysiące czarnych, smutnych pni rozbiegało się we wszystkie strony, poźółkie, szaroczerwone gałęzie obwisły z bezwładnością konania i tak przysłaniały światło, że było mroczno i smutnie; drzewa stały bez ruchu, a jakby chwila powiał po nich wiatr, to trzęsły się jak w febrze i gucho, żalostnie szumiały, a potem znowu stały martwe, czarne, smutne, jakby głęboko zamysłone, i pochylały się nad strugą odpływów fabrycznych, która kolorowa wstążką wiała się wśród czarnych pni i mroków, rozsiwała duszące, straszne wyciechy i tworzyła w wielu miejscach grząskie, rozspiałe bagienka, rozszalała się w organizmy potężne drzew, które palcami olbrzymów chwyciły się korzeniami ziemi i śsały z niej z wolna śmierć i zatratę”. Cyt. za: W. Gutowski, op. cit., s. 73 (podkr. – A.D.).

<sup>115</sup> Zob. M. Kreft, *Deprecjacja przestrzeni miasta w twórczości Elizy Orzeszkowej*, op. cit., s. 127. Autorka cytuje przykłady takich porównań w prozie Orzeszkowej, np. „Stolica jest jak las, gdzie te jedyny drzewa znać się z sobą mogą, które wzajem dotykają się konarami”; bohater przybywa do „ogromnego miasta i od razu znalazł w tym lesie drzewo takie, które go „i osłoniło”, „Widzę ja, że wiele ty nawet nie wiesz! Jakby w lesie urodziła się! Jakby pomiędzy ludźmi nie żyła!” – mówi Paweł o France w *Chamie*; określenie „miasto jak las” pada w *Marcie* w odniesieniu do trudności z odszukaniem w nim zaginionego człowieka. Cyt. za: tamże.

<sup>116</sup> Orzeszkowa, dookreślając specyfikę miasta, postuluje się również innymi przyrodniczymi porównaniami i zestawieniami, np. miasto jak olbrzymi ul, smok olbrzymi. Zob. tamże, s. 127.



Eryk Ostrowski

## Dojrzałość w pierwszych odsłonach

O Kazimierze Iłakowiczównie głośno mówiło się już od jej książkowego debiutu *Ikarowe loty* z 1911, a każda kolejna pozycja stawała się wydarzeniem kulturalnym. I chociaż po śmierci pisarki w 1983 roku wydawnictwa nieoczekiwanie straciły zainteresowanie dla jej twórczości, obecnie możemy chyba mówić o prawdziwym renesansie tej poezji. W ostatnich latach ukazało się kilkanaście wyborów jej wierszy, a w 1998 toruńskie wydawnictwo ALGO przygotowało na gwiazdkę czterotomową, kompletną edycję poezji Iłakowiczówny, obejmującą twórczość translatorską, prozę poetycką oraz wszystkie wiersze pisane dla dzieci. Co prawda, poetka już za życia doczekała się wierszy zebranych (1971), był to jednak obszerny wybór. Także nigdzie dotychczas nie objęto w jednym wydawnictwie twórczości Iłakowiczówny dla dzieci, do której autorka miała szczególny stosunek, i której hołdowała właściwie już od samego początku. Już we wspomnianych *Ikarowych lotach* znalazł się bodaj najbardziej znany utwór poetki dla dzieci: *Baj*. Tak znany, iż prędko w powszechnym obiegu zatracił swe autorstwo i, jak to nierzadko bywa, stał się elementem rodzimego folkloru. Po pierwszej wojnie światowej, w 1919 roku, Kazimiera Iłakowiczówna własnym nakładem opublikowała *Bajeczną historię o królewiczu La-fi-Czaniu, o żołnierzu Soju i o dziewczynce Kio*. Baśń piękną, ale i okrutną, pełną barbarzyńskich scen, którym nie żałowała szczegółowego, plastycznego opisu. Książkę która, jak kiedyś wyznała, napisała dla dorosłych, by prawdziwą bajką, w której dobro musi zwyciężyć nad złem, odwrócić uwagę od niepokojów targających krajem. Należy przypomnieć też, że ostatnią książką poetki, zawierającą nowe utwory, był zbiór wierszy dla najmłodszych czytelników (*Co dzieci wiedzą*, 1970). Dziecięca twórczość Iłakowiczówny zawsze wzbudzała szczególnie duże zainteresowanie dorosłych czytelników, a byli wśród nich nie tylko badacze tej gałęzi literatury, także artyści. Magdalena Samozwaniec nie kryła dumy, wspominając poetkę, która na początku lat dwudziestych, przebywając w krakowskiej Kossakówce, tworzyła słynne *Rymy dziecięce*, w wydaniu książkowym oryginalnie zilustrowane przez Zofię Stryjeńską, opracowane później muzyką Karola Szymanowskiego. Najprawdopodobniej sama autorka nie była do końca pewna adresata swych utworów. Zamieszczenie słynnego *Baja* w tomie *Ikarowe loty* usprawiedliwia fakt, iż był to jedyny wówczas taki wiersz poetki i jego publikacja w tomiku dla dorosłych tylko urozmaiciła zbiór który, i tak już niezwykle różnorodny i zwracający uwagę dojrzałością artystyczną, przewyższał inne, powstające współcześnie, a hołdujące wyczerpanej w środkach wyrazu młodopolskiej poetyce. *Baj* ukazał zatem jeden jeszcze talent debiutantki, rokującej duże nadzieje na przyszłość. Ale poetka powtórzyła zabieg w 1927 roku, publikując w tomie: *Placzący ptak* cykl *Jeszcze rymy dziecięce*, gdzie kontynuowała wątki wcześniejszego zbioru, dedykowanego siostrzenicom, Krzysiu i Lalce Czerwijowskim. Nieco później, będąc już najgłośniejszą poetką swoich czasów i od lat postacią publiczną, obracającą się nie tylko w kręgach kulturalnych, bo także rządowych ogłasza najskromniejszy i dziś może najmniej znany swój tomik dla dzieci *Wesołe wierszyki* (1934). I trzeba było wielu lat, by ukazała się kolejna książka Kazimierzy Iłakowiczówny, zawierająca poezje dla najmłodszych. Nastąpiło to dopiero w 1959 roku (*wyбір Wiersze dziecięce*). Złożyła się na to wojna i przymusowa emigracja pisarki. W 1966 roku ukazuje się poetycki zbiór: *Szeptem*, któremu zawdzięcza dziś Iłakowiczówna opinię wybitnej polskiej poetki religijnej. Pomieściła w nim również wybór przekładów i przepiękny cykl: *Wierszyków nałęczowskich*. Aby te najprostsze uroczepoezje nie zginęły w tłumie trudnych, pełnych szy-

frow, wierszy, przeznaczonych dla dorosłego odbiorcy, poetka ogłosiła *Wierszyki nałęczowskie* także jako pozycję osobną, która doczekała się kilku wznowień w latach późniejszych. W owym okresie kolejne wydania miały również *Rymy dziecięce*, tym razem ozdobione barwnymi ilustracjami Zofii Darowskiej, czyniącymi wznowiony zbiór następną ważną publikacją w dorobku poetki. Podobnie rzecz się miała z *Bajeczną historią o królewiczu La-fi-Czaniu*, do której nowego wydania piękne ilustracje wykonał Jan Marcin Szancer.

Krytyka literacka zwróciła szczególną uwagę na ważną i osobną pozycję Kazimierzy Iłakowiczówny w literaturze dla dzieci, którą zawdzięcza poetka przede wszystkim uczniemu traktowaniu najmłodszych. Choć nie miała własnych dzieci, posiadała świadomość, iż to najbardziej wymagający czytelnik, nie pozwalający się oszukać. Dobrze rozumiała potrzeby dziecka, wiedząc że lubi się ono bać i, niemniej wyraźnie, dostrzega wszechobecne okrucieństwo. Wiedziała zatem, iż nie ma sensu ukrywać go przed nim i wmawiać jego nieistnienie. Twórczość Iłakowiczówny przygotowuje najmłodszych do dojrzałości, uczy rozróżniać ziarna od plew. Uczy wiary w sprawiedliwość która, prędzej czy później, przychodzi. To wszystko musiało zaczerpnąć poetka z własnego, niełatwego dzieciństwa. Była niesłubną córką Klemensa Zana, syna Promienistego Tomasza i z tym piętnem przyszło jej zmagać się przez całą młodość. Rodziców straciła wcześniej. Ojciec zginął w niewyjaśnionych okolicznościach:

„Pod Wilnem są takie wysokie góry, że dojazd koleją do miasta wypada przez tunel. Otóż do tego tunelu wjechał mój ojciec żywy i zdrow, w pełni sił swoich trzydziestu ośmiu lat, a w Wilnie na dworcu znaleziono go w przedziale nieżywego. Był zastrzelony”

~ wspominała poetka w *Trazymeńskim zajacu*. Myliła się oczywiście co do wysokości gór, bowiem były to tylko morenowe wzgórza. Schorowana matka przez krótki czas wychowywała dziewczynki (Iłła miała starszą siostrę) w Wilnie. Po jej przedwczesnej śmierci siostry rozdzielono: Basię przysłała rodzina matki, Iłła miała więcej szczęścia, trafiła bowiem do zasobnego domu Zofii Buyno z Zyberk-Platerów, gdzie ukochana przez poetkę przybrana matka z oddaniem i miłością zajęła się wychowaniem dziewczynki, którą chciała później, a czego zrobić już nie zdążyła, adoptować. Lecz i tam, o czym wspominała poetka, nie miała lekkiego życia, dręczona szykanami innych, zazdrosnych o okazywaną dziewczynce miłość, wychowanek dworu w Liksnie. Szybko więc opuściła dom, złakniona wielkiego świata i wiedzy. Kompleks złego urodzenia starała się zabić edukacją (studia w Londynie, Fryburgu, Krakowie), znajomością języków (mówi się, że władała biegle dziesięcioma!), służbę dla państwa stawiając zawsze na pierwszym miejscu, lekceważąc wypowiadając się o własnej twórczości, która jej zdaniem, stanowiła zawsze dodatek do „uczciwej pracy”. Także o śmierć przybranej matki Iłakowiczówna obwiniała siebie, ponieważ Zofia Buyno od początku była przeciwna temu wyjazdowi, pragnąc zatrzymać ukochaną wychowankę przy sobie.

W trudnych kolejach losu należy upatrywać źródeł mądrości wierszy poetki, adresowanych do dzieci. O wszystkich wspomnianych tu książkach wiele pisano. Zwracano uwagę na ich wyjątkowość, odważył w przekazywaniu prawdy i umiejętnym przepłataniu jej z baśnią:

„Prawdziwie chrześcijańska”, podobnie jak Andersen, zakochana w naturze (...) z finezją i attycyzmem powtarza za księciem pisarzy: prawdziwym złem jest brak ludzkich uczuć, brak dobroci wobec roślin i zwierząt

~ pisała Urszula Chęcińska o *Zwierzakach i ziołach*. Trudno zatem znaleźć wytłumacze-

nie, dlaczego obecnie o tej najwybitniejszej dziecięcej książce poetki, choć również wznowianej kilkakrotnie w niemałych nakładach i dwukrotnie przekładanej, ozdobionej pięknymi akwarelami Janusza Grabińskiego, dziś już nie pamięta się. To właśnie tutaj szczególnie wyraziście zabłysła oryginalna symbolika Iłakowiczówny. *Zwierzaki i zioła* są też najobszerniejszym zbiorem wierszy poetki dla dzieci. Składają się nań dwie części opatrzone numerami. W pierwszej dominują utwory traktujące o świecie roślin, w drugiej te poświęcone zwierzętom. Obydwie zawierają liryki zróżnicowane formalnie, wśród których wyróżnić można prozę poetycką, balladę, wiersz dziecięcy i wiersz dla dzieci. Na ten ostatni, istotny, podział zwróciła uwagę Alicja Baluch, jako przykład klasycznego wiersza dziecięcego wskazując utwór Kazimierzy Iłakowiczówny *Nianka króla Heroda* z tomu *Rymy dziecięce*. Za Cieślukowskim, który ten gatunek zauważył, wyodrębnił i zdefiniował, przeciwstawiając go wierszowi dla dzieci, przypomina badaczka, że:

*Wiersz dziecięcy posiada podwójnego adresata, jest nim dziecko i człowiek dorosły, który potrafi w nim dostrzec i docenić styl paidialny, to znaczy taki, w którym wartością estetyczną jest „dziecięcość” (...) Wiersz dziecięcy nie poddaje się lub pozostaje obojętny wobec tradycyjnych norm pedagogicznych i psychologicznych.*

W tomiku różnorodności gatunkowej towarzyszy zróżnicowanie tematyczne. Otwierająca zbiór proza poetycka *Sztandar*, jak sam już tytuł sugeruje, ma charakter patriotyczny. Lecz nie jest to utwór moralizatorski, jak można by się spodziewać. Iłakowiczówna posłużyła się tutaj scenką z życia szkolnego, w której wyrażona została wyłącznie radość, jaka może wynikać z naturalnej miłości do swego kraju. Czy to miłość już niemożliwa? ~ Obserwując współcześnie pisane wiersze dla dzieci niemalże nie dostrzega się jej. Brak tych wartości, które powinny być przyswajane dziecku już w najwcześniejszym okresie życia, prowadzi do zubożenia dojrzałego i ukształtowanego już człowieka wobec spraw najistotniejszych. Nie jest to jednakże wartość stracona. Wciąż wznowiane są pozycje dla najmłodszych o takim charakterze, by wymienić twórczość Wandy Chotomskiej, czy jedną z najdawniejszych, lecz bynajmniej nie starzejącą się książkę, *Bohaterski młóć Bronisławy Ostrowskiej*. Obojętność współczesnych autorów na szczęście nie rzutuje więc na tę literaturę.

Kazimiera Iłakowiczówna nie byłaby jednakże sobą, gdyby nie zawarła w *Zwierzakach i ziołach* także utworów o wyraźnie moralizatorskim charakterze. Przykładem niech będzie tu pomieszczenie zaraz na początku tomiku małej prozy *Niepogoda*. Już sam wstępny opis i dopełniające go rozważania matki uchodzić mogłyby za odrębny utwór, tworzący zamkniętą całość:

„Wiatr wiał całą noc, śnieg padał. Rano tato wstał, aż tu drzwi się nie otwierają. Zawiało. Wziął tato łopatę i miotłę. Odkopał drzwi, próg i drogę zamiotł. Potem to samo zrobił z furtką. Teraz przejście ~ wolne. Ulicę już wozy i sanie rozkopały.

Mama wygląda oknem. Może dla dzieci droga za ciężka? Śnieg mokry, zamoczą nogi. Buty mają niepetwne, palta lekkie. Hanka nie ma szalika. Piotruś nie ma rękawiczek.”

Lecz pełnego przekazu dopełnia właśnie moralizatorskie zakończenie, stanowiące o właściwej wymowie utworu:

~ Ależ, mamo ~ mówi Hanka ~ my musimy iść do szkoły!

~ Tak ~ mówi Piotruś ~ musimy iść. Nic nam się nie stanie.

~ Ano, wola boska ~ wdycha mama i pakuje śniadanie.

~ To tak lubicie szkołę? ~ mówi tato.

~ Lubimy ~ mówi Piotruś.

Dzieci idą do szkoły.



Dokończenie ze str. 11

Naturalna i jedyna w swoim rodzaju muzyczność poezji Iłhakowiczówny, o której poetka wyraziła się niegdyś, iż jest wynikiem procesu komponowania utworu, kiedy to pisząc zawsze nuciła jakąś melodię, i w tej książce zajmujeoczesne miejsce, najpiękniej dochodząc do głosu w takich wierszach jak *Okręt Wojtka* czy *Rusałka*. Przywołajmy ten drugi, gdzie sama melodia zobrażowana została jakby w zastępstwie zapisu nutowego, charakterystycznymi dla tej poetyki przerwutkami:

„Rusateczka mieszka w drzewie  
jabłoni.  
Prócz Elżuni żadne z dzieci nie wie  
o niej.  
Ma świecące kocie oczka,  
rosę pije,  
w lniany płatek jak w obłoczek  
się owija.”

Inny utwór, baśniowa proza poetycka *Sen Olka*, dowodzi iż ta poezja prozą może się obywać bez żadnych podtekstów. I trzeba zaznaczyć w tym miejscu, że Iłhakowiczówna należała do pierwszych autorów tego świadomych.

Dla zbioru *Zwierzaki i zioła* charakterystyczna jest krytyka niszczenia przyrody, lecz i wiersze te bezkrytyczne nie są i nie obarczają wyłączną winą człowieka. W balladzie *Skarga brzoźki* ukazuje przecież autorka zjawisko, kiedy przyroda bezwzględnie potrafi niszczyć samą siebie. Poezja Iłhakowiczówny bywa okrutna, jak w wierszu *Psy i koty*, ale tutaj właśnie najwyraźniej widać, że pisarka nie przedstawia samego zła bez celu. Każde się zastanowić skąd się ono bierze, dojść do sedna, zrozumieć przyczynę, by w przyszłości nie popełnić błędów. Kryje się więc i w tych wierszach pewien optymizm:

„Koteczka poszła do ogrodu,  
pies wielki ją dogonił i na strzępy rozdarł.  
Czy pies winien, że zabił? Czy kot,  
że po sadzie się włóczył?  
Nie. Pan winien, bo nienawiści do  
kotów psy uczył.”

Optymizm wsparty czułością do naturalnego świata, co najpiękniej odzwierciedlają krótkie obrazki, jak *Kąkole*, *U wody*:

„A naokoło żniwa.  
Księżyć po wodzie pływa.  
Pawelek szedł wody zaczepnąć,  
widzi księżyc podobny do sierpa.”  
(U wody)

Powszechnie wiadomo, że prawdziwy talent literacki objawia się najlepiej w krótkich formach. Iłhakowiczówna mistrzowsko opanowała taki wiersz, obywający się także bez ilustracji, ponieważ sam w sobie ją tworzy. Tego rodzaju utwory wypełniają cykl *Wierszyków nałęczowskich* i takich wierszy, będących zarazem najkrótszą baśnią, znajdziemy więcej w tomiku *Zwierzaki i zioła* (*Ola i Wodnik*, *Rusałka w szkodzie* i inne).

Poetka przekonuje, że raz wyrządzone zło można naprawić okazując skruchę (*Okrutny Julek*), że tym, których spotkało nieszczęście trzeba pomagać; tego uczą utwory Iłhakowiczówny o zwierzętach, które w tej twórczości nigdy nie są antropomorfizowane, gdyż tylko zachowując przyrodzone im cechy można wydobyc w pełni ich bezbronność wobec człowieka. Do takich należą *Złamana noga*, czy odważny wiersz *Zły Wacjo*, gdzie poetka wyraźnie hołduje surowemu wychowaniu, które nie zna usprawiedliwienia dla świadomie wyrządzonego zła, opinii, że powodem jego na świecie jest człowiek, wierząc zarazem w sprawiedliwość, która musi się stać, a zatem wierząc w moc dobrego człowieka. *Zwierzaki i zioła* reprezentują wciąż rzadki w życiu, choć obficie przez dziecięcą literaturę popularyzowany, humanitarny stosunek do świata zwierząt i roślin, stosunek *prawdziwie chrześcijański*, jak

go trafnie określiła Urszula Chęcińska w przywołanej już wypowiedzi. Wyrażają go małe, a wielkie dramaty i okrutna prawda o dzieciach, które znajdują przyjemność w znęcaniu się nad zwierzętami, co później przenoszone jest w dorosłe życie, na ludzi. Ten problem poruszają wiersze *Żaba* i *Nieżywy wróblek*:

„Przechodzą zle chłopaki,  
zabrali tę żabę do czapki,  
zanieśli ją do mieszkania,  
po podłodze gonili za nią.  
Nie umieli jej dać jeść ani pić,  
kazali jej po desce iść...  
Żaba miała miękkie nóżki,  
poszarpała sobie paluszki”  
(fragment wiersza *Żaba*)

Niekiedy zaobserwować można bezradną, dziecinną wiarę, że przyroda obroni się sama. Tak jest w zamykającym zbiór wierszu *Wronięta*:

„A o tych wroniętach  
matka ich pamięta.  
Kto je z gniazda powybieżał,  
niech się teraz zła spodziewa.  
Jak wyjdzie do ogrodu,  
kozy go zle pobodą.  
Jak wejdzie do stajni,  
koń kopnie go najwyzwyczajniej.  
A jak pójdzie w polu robić,  
wrony mu oczy wydziobią.”

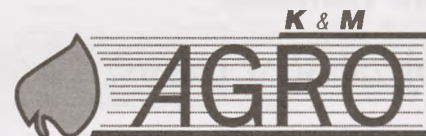
Jednak i ten wiersz jest słuszny: bo jak liczyć na miłość, kiedy się krzywdzi innych? ~ Na miłość trzeba sobie zasłużyć, uczy twarda szkoła Iłhakowiczówny i tę prawdę odkrywać należy wciąż na nowo. Czyż tak nie jest i dziś? Czy może moralizatorstwo tych wierszy nie jest już aktualne w obecnych czasach, kiedy to pewni siebie odstawiamy słuszne wartości? Czy wiersze te nie pozostają słowami trafiającymi w próżnię? Może nikt już nie pragnie odnaleźć w sobie człowieka? Ale przecież liryka Kazimierza Iłhakowiczówny, także ta tworzona z myślą o dziecku, to nie domniemany świat, gdzie niedowierzający zadaje mnóstwo pytań. To odpowiedź na pytanie o sens istnienia, sama prawda o człowieczeństwie, które, nie rozumiane, musi się skrywać pod zawsze fałszywą maską. A marzenia o wolności nie zestarzeją się przecież nigdy. ▀

#### Książki Kazimierza Iłhakowiczówny dla dzieci:

1. *Bajeczna historia o królewiczu La-fi-Czaniu, o żołnierzu Soju i o dziewczynce Kio*. Warszawa: E. Wende i Sp. 1918.  
Wydania następne [pt. *Bajeczna opowieść o królewiczu La-fi-Czaniu, o żołnierzu Soju i o dziewczynce Kio*]: Warszawa: Czytelnik 1958, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 1973, 1990.  
Przekład: *Pohadka o królewiaku La-fi-Caniu, o wojaku Sojowi a o dziewczynce Kio*. [Tłum.] L. Korsakova-Rasinova. Praha 1929.
2. *Rymy dziecięce*. Kraków: K. Stryjeński 1922.  
Wydania następne: Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 1972, 1981, 1986.  
Przekład: *Childlike verses*. [tłum. autorki]. [B. m., około 1943]
3. *Wesołe wierszyki*. Warszawa: Gebethner i Wolff 1934.
4. *Wiersze dziecięce*. Warszawa: Czytelnik 1959.
5. *Zwierzaki i zioła*. Warszawa: Nasza Księgarnia 1960.  
Wydania następne: tamże 1970, 1985.  
Przekłady: *Meine bunte Welt*. [Tłum.] E. Schweikert. Stuttgart 1964; wyd. nast. Warszawa 1967.  
*Plaatsjes en praatjes*. [Tłum.] L. Luursem. Den Haag, Warszawa 1966.
6. *Wierszyki nałęczowskie*. Warszawa: Ruch 1966.  
Wydania następne: tamże 1969, 1972, wyd. 4 Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza 1980.
7. *Co dzieci wiedzą*. Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 1970.
8. *Baj*. Warszawa: Krajowa Agencja Wydawnicza 1986.

#### Bibliografia

- A. Baluch, *Pogaduszki do poduszki (o literaturze dla najmłodszych)*, Wyd. Edukacyjne, Kraków 1996  
K. Iłhakowiczówna, *Trazymeński zajęc. Księga dygresji*, Wyd. Literackie, Kraków 1968  
K. Iłhakowiczówna, *Poezje zebrane t. 1 - 4, „Algo”*, Toruń 1999



**R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI**

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122  
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne  
z możliwością negocjacji

#### DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych. Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma. Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)  
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37  
w godz. 7.00-17.00

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Montażowe



**Elektromontaż  
Pomorski SA  
w Bydgoszczy**

85-451 Bydgoszcz  
ul. Grunwaldzka 229

Centrala: tel./fax 327 71 97, 581 25 15  
e-mail: zot@elektromontaz.bydgoszcz.pl  
http://www.elektromontaz.bydgoszcz.pl

Salony fabryczne: ul. Gdańska 120  
tel./fax 584 09 09

Producent stolarki budowlanej PCV  
w systemie Thyssen

**Najwyższa jakość!  
5-letnia gwarancja!**

**PROMOCJA: rabat na okna nietypowe**

Produkujemy też schody samonośne  
oraz balustrady i poręcze wszelkiego rodzaju  
(materiał i kształt – dowolnie)

**GRADAR**  
drukarnia



**Grażyna i Dariusz  
Darowni**

85-009 Bydgoszcz  
ul. Dworcowa 51  
tel./fax 052/  
322-38-86



Tomasz Kosecki

## Głosuj za zmianą

2 maja 1879 roku w restauracji „La Fraternidad Internacional” przy ulicy Tetuan w Madrycie dokonał się akt założycielski Robotniczej Partii Socjalistycznej Hiszpanii (*Partido Socialista Obrero Español PSOE*), pod którą to nazwą partia egzystuje po dziś, przez sto dwadzieścia lat trudnej, ale i bohaterskiej walki. Oczywiście nie można zapomnieć okresu dwóch dyktatur, zwłaszcza trzydziści pięć lat represyjnej dyktatury frankistowskiej. Jednakże i wtedy partia nie przestała istnieć, zarówno w podziemiu, jak i na emigracji.

Przez długie lata dyktatury frankistowskiej historia PSOE była historią bierności. Najbardziej czynny, nawet bohaterski opór, a później oporczywe, ciche i pracowite tworzenie struktur opozycyjnych były dziełem komunistów. Kierownictwo PSOE na wygnaniu uważało, że ewolucja sytuacji międzynarodowej spowoduje upadek frankizmu, a wtedy partia – założona przez *Pablo Iglesiasa* – odzyska poparcie społeczne<sup>1</sup>. Jednak tę wiarę w konieczność historyczną naruszyły długie lata zimnej wojny, siła interesów USA w Europie i walory generała Franco, dzięki którym zdołał on skonsolidować swój reżim.

W początkach lat siedemdziesiątych PSOE sama stała się eksponatem muzealnym i powstała konieczność jej modernizacji. Tę zaś mogli przeprowadzić tylko nieliczni członkowie partii działający w Hiszpanii, a nie na emigracji. Kongresy w Tuluzie (1972) i Suresnes (1973) wytyczyły drogę odbudowy partii socjalistycznej i umożliwiły włączenie do jej ścisłego kierownictwa działaczy młodszych – *Felipe Gonzaleza* i *Alfonso Guerry*. Zaczął się „proces wzrostu” partii, który wyniósł ją do władzy.

W Suresnes PSOE liczyła sobie niewiele ponad 3 tysiące członków – w większości emigrantów. W 1976 roku miała już 10 tys. członków, a w 1979 – 100 tys. W latach dziewięćdziesiątych liczba ta przekroczyła 300 tys. osób. Bardzo wiele z nich zajmowało ważne fotele rządowe, stanowiska w administracji centralnej i regionalnej, w samorządach lokalnych, w przedsiębiorstwach publicznych i innych instytucjach państwowych<sup>2</sup>.

W najnowszych dziejach PSOE – czyli od 1976 roku (gdy partia została zalegalizowana) do dziś – jej strategia była starannie przemyślana i z wielką dyscypliną wprowadzana w życie. Partia od samego początku przyjęła taktykę niewiązania się żadnymi sojuszami, zarówno z lewa, jak i z prawa. PSOE nastawiła się na prowadzenie samodzielnej polityki, dążąc do zdominowania w najbliższej perspektywie hiszpańskiej sceny politycznej.

Socjaliści, stając się po wyborach z czerwca 1977 roku najsilniejszą jednolitą partią polityczną Hiszpanii, nie tylko odrzucali propozycję politycznego współdziałania z UCD, lecz wyraźnie przyjęli linię ukierunkowaną na rozbięcie kierowanej przez A. Suareza partii centrowej, wzmocnienie socjalistycznych wpływów i przejęcie samodzielnego rządów<sup>3</sup>.

W tym celu PSOE musiała więc dokonać nowej transformacji. Rozpoczęła się ona podczas kolejnego kongresu, we wrześniu 1979 roku. Przy tej okazji zdecydowała się odrzucić bagaż ideologiczny, czyli marksizm i otworzyła się na społeczeństwo jako partia międzyklasowa i nowoczesna. Sfinalizowanie tej metamorfozy socjalistów zbiegło się w czasie z ich atakiem na ówczesnego premiera Adolfo Suareza i rozkładem rządzącej chadeckiej UCD, który datuje się od roku 1980<sup>4</sup>.

## Hiszpania – Wyspa Królików (7)

Wreszcie w roku 1982 dochodzi do politycznego trzęsienia ziemi. W Hiszpanii zaistniała wtedy sytuacja dość szczególna. W kraju panował głęboki kryzys gospodarczy, dochodziło do zamachów terrorystycznych, pobrzmiwały jeszcze złowrogie echa próby zamachu stanu. Powstały rok wcześniej rząd *Calvo Sotelo* przetrwał tylko kilkanaście miesięcy. Podejmowane przez niego próby stabilizacji ekonomicznej i przezwyciężenia kryzysu finansów publicznych przyniosły tylko połowiczne powodzenie. Uginając się pod presją wydarzeń premier ostatecznie rządu kierowanego przez UCD, rozwiązał Kortezy i rozpiął wybory na październik 1982 roku.

Triumf socjalistów z jesieni 82 roku był niezwykły: PSOE zdobywa dwa razy więcej głosów niż prawicowy Sojusz Ludowy (*AP – Alianza Popular*). Hasło socjalistów *Vota el cambio* czyli głosuj za zmianą, przyciągnęło do urn 10 mln. Hiszpanów, w nadziei oczekujących na spełnienie wyborczych obietnic PSOE.

UCD w efekcie odejścia z rządu Suareza, niepopularnego premierostwa *Calvo Sotelo* oraz rywalizacji frakcyjnej, odniosła spóźnioną porażkę, zdobywając tylko 13 mandatów (6,6 proc. głosów). Na główną siłę prawicy wyrósł postfrankistowski Sojusz Ludowy ze 107 mandatami (26,6 proc.), wspierany zwłaszcza przez świat biznesu<sup>5</sup>.

48 proc. głosów dało socjalistom 202 mandaty i tym samym bezwzględną większość w parlamencie i możliwość samodzielnego stworzenia rządu. Legitymizację nowej większości umacniała bardzo wysoka frekwencja wyborcza (80 proc.), będąca wyrazem wzrostu zaufania społecznego do demokracji po nieudanym zamachu stanu<sup>6</sup>.

Sukces ten udało się socjalistom powtórzyć jeszcze dwukrotnie, w latach 1986 i 1989. Był to duży wyczyn, gdyż hiszpańskie prawo wyborcze wyraźnie utrudnia osiągnięcie bezwzględnych większości w parlamencie, faworyzuje ugrupowania mniejszościowe – narodowościowe i regionalne.

Po zdecydowanym zwycięstwie wyborczym socjalistów rozpoczął się proces konsolidacji młodej demokracji hiszpańskiej, która wyszła obronną ręką z zagrożeń spowodowanych przez fragmentaryzację systemu partii politycznych, separatyzm regionalny, kryzys gospodarczy, lewicowy terrorizm i spiski w wojsku. Młodzi, energiczni przywódcy z PSOE na czele z premierem *Gonzalezem* zabrali się do budowania w Hiszpanii *Estado de Bienestar* – państwa dobrobytu.

Pokojowe przejęcie władzy (*cambio pacifico*) przez partię wywodzącą się z antyfrankistowskiej opozycji było decydującym świadectwem trwałości demokratycznych instytucji stworzonych w ciągu kilku lat po śmierci Franco. Moment ten zwykle uznaje się za zakończenie hiszpańskiej *trancision*.<sup>7</sup>

<sup>1</sup> Kazimierz Kik, *Od republiki do monarchii. Hiszpańska lewica w walce o demokrację 1939-1986*, Warszawa 1990.

<sup>2</sup> Juan Carlos Vidal, *Hiszpański strip-tease*, „Gazeta Wyborcza”, 4-5 czerwca 1994, s. 18.

<sup>3</sup> Kazimierz Kik, *Od republiki do monarchii. Hiszpańska lewica w walce o demokrację 1939-1986*, op. cit., s. 283.

<sup>4</sup> Juan Carlos Vidal, *Hiszpański strip-tease*, op. cit., s. 18.

<sup>5</sup> Tadeusz Miłkowski, Paweł Machcewicz, *Historia Hiszpanii*, Wrocław 1996, s. 447.

<sup>6</sup> *Ibidem*, s. 447.

Przedsiębiorstwo  
Eksportowo-Importowe  
Handlu i Usług

„KRZAKOLAND”

Świetnie zaopatrzonej  
sklep ogrodniczy

85-758 BYDGOSZCZ

ul. Sowińskiego 8

tel. 0 503 13 01 26

Sprzedaż „Akantu”  
W punktach Kolportażu Prasy  
„Rolkon”:

- ✓ Salon Prasowy, 86-100 Świecie, Rynek 7
- ✓ Kiosk, 86-100 Chełmno, ul. Grudziądzka 11
- ✓ Kiosk, Chełmno, ul. Osiedle Kopernika, tel. 0-56 686-25-15
- ✓ Market „Netto”, 78-100 Kołobrzeg, ul. Gryfitów 1
- ✓ Kiosk „Atut”, 75-200 Koszalin, Dworzec PKP
- ✓ Salon Prasowy, Koszalin, ul. Wenedów, tel. 604 060169
- ✓ „Viki” - Market, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej-Curie 29
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Krasińskiego 2, tel. 322-80-13
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Piłsudskiego 4, tel. 344-93-21
- ✓ Salon Prasowy, 85-411 Bydgoszcz, ul. Podwale 11
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej 25, tel. 601 633343
- ✓ As Market, Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 17, tel. 321-00-51
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kleeberga 2, tel. 344-23-23

AKANT w kioskach „Ruchu”

Bydgoszcz

- ul. Gdańska 6
- Rondo Jagiellonów

Cieszyn

- Dworzec PKS, ul. Korfantego

Inowrocław

- Dworzec PKP
- Rynek Główny
- Księgarnia „MATRAS”, ul. Solankowa

„Akant” w EMPiK-ach

Warszawa, ul. Grójecka 80/102, ul. Nowy Świat 15/17, ul. Marszałkowska 116/122, ul. Mickiewicza 27; Bydgoszcz, ul. Gdańska 15; Włocławek, ul. Miedziana 11/13; Elbląg, 1 Maja 37; Gdańsk „Megastore”, ul. Podwale Grodzkie 8; ul. Długi Targ 28/29; Sopot, ul. Boh. Monte Cassino 57/59; Gdynia, ul. Świętojańska 68; Olsztyn, 1 Maja 18/19; Czeladź, ul. Będzińska 80; Kielce, ul. Warszawska 5; Kraków, Rynek Główny 5, ul. Bora Komorowskiego; Nowy Sącz, Rynek 17; Lublin, ul. Krak. Przedmieście 59, ul. Krak. Przedmieście 40; Łódź, ul. Piotrkowska 81, ul. Narutowicza 8/10; Gniezno, ul. Chrobrego 11; Poznań ul. Ratajczaka 44; Słupsk, Stary Rynek 6; Szczecin, ul. Wojska Polskiego 2, ul. Niepodległości 60; Wrocław, Rynek 50, Pl. Kościuszki 21/23; Gorzów Wlkp., ul. Sikorskiego 126/128.



Eryk Ostrowski

## Nie jedna srebrna kropla

HELENA BECHLEROWA urodziła się w 1908 roku w Łodzi. Ukończyła filologię polską w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Debiutowała w 1948 roku w „Świerszczyku”, z którym stale już później współpracowała, podobnie z czasopismami „Płomyk” i „Płomyczek”. Od czasu debiutu książkowego w 1955 wielokrotnie tłumaczono jej książki, m.in. na niemiecki, węgierski, czeski, francuski, rosyjski. Utwory Bechlerowej były licznie przedrukowywane w emigracyjnych czasopismach w Londynie i Toronto. W latach 1958 - 1971 pisarka pracowała w Redakcji Literatury dla Dzieci Młodszych Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia”. Za twórczość dla dzieci i młodzieży została odznaczona m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1972). Zmarła w 1995 roku.

Obszerny, wydawany od kilku lat przez WSiP, słownik bibliograficzny *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury* nie wyszczególnia małych próz oraz wierszowanych bajek Heleny Bechlerowej, mimo iż to głównie dzięki tym książkom autorka stała się powszechnie znana. Utwory te, wydawane i wielokrotnie wznawiane w latach 1955 - 1992 przez „Naszą Księgarnię” (w seriach *Poczytaj mi mamo*, *Książeczki z Misiowej Póteczki*, *Moje Książeczki*) oraz przez RWP „Ruch” osiągały blisko 400-tysięczne nakłady. To właśnie małe prozy Bechlerowej otworzyły oczy czytelników na jej większe opowiadki (*Zajczek z rozbitego lusterka*), oryginalne zbiory wierszy (*W konwaliowej gospodzie*, *Zielone jeże*, *Poziomkowy kraj*) i wreszcie powieści (*Dom pod kasztanami*, *Za Złotą Bramą*, *Zima z białym niedźwiedziem*, *Ciocia Anita*, *Nie będzie kłopotów*). Do tego gatunku należał również książkowy debiut Bechlerowej *O biedronce pięciokropce i o trzech krawczykach*. Nie można zatem lekceważyć tego niezwykle obfitego dorobku pisarki. Co więcej, tutaj ukazała się Bechlerowa także jako oryginalna poetka. Zbiory Biblioteki Jagiellońskiej wykazują około czterdziestu utworów pisarki, z czego większość to pozycje tego, coraz rzadziej uprawianego, gatunku. Ten smutny fakt potwierdza, iż zasługują one obecnie nie tylko na wznawienie, ale i osobne, szersze omówienie. Przyjrzyjmy się kilku utworom, które może w szczególny sposób wyrażają wiarę pisarki w nieprzemijalność ulotności.

*Śniadanie zajączka* (1958) to jeden z pierwszych i najczęściej wznawianych utworów Heleny Bechlerowej. Jest to zarazem jedyna książka tej autorki dostępna obecnie, w eleganckim, zbliżonym do wcześniejszych edycji, wydaniu, z pięknymi ilustracjami Krzysztofa Wiśniewskiego na twardych, lakierowanych kartach. Ciekawe, iż wydają się one bardziej przystępne dla dziecka niż te wykonane przed laty przez Halinę Gutschę. Może dlatego, iż obecny ilustrator starał się oddać zantropomorfizowane przez Bechlerową zwierzęta tak, jak wyglądają spotykane w naturze. Książka zyskała na tym, bo przedstawia świat symboliczny. *Śniadanie zajączka* można by krótko określić jako najpierwsze lekcje o tym, że należy się dzielić z innymi tym, co się posiada, bo dobroć ta zawsze zwraca się z nawiązką. Fabuła utworu jest prosta: zajączek Szaraczek niesie wielki liść kapusty, bardzo cieszy się z niego, przekonany że będzie miał pyszne śniadanie. Jednak już po chwili spotyka wróbelka Czyk-czyka, którego *jakiś zły chłopak uderzył kamieniem*. Wróbelek prosi, by zajączek dał mu pić. *Nie namyślał się zajączek*, czytamy dalej. *Skoczył do rzeki i w kapuścianym liściu przyniósł wody*. Owo „nie namyślał się” to główne przesłanie utworu, a nie należy go mylić z lekkomyślnością, wyraża bowiem chrześcijańską miłość bliźniego, nie mającą w tej bajce nic wspólnego z moralizatorstwem, wskazującą zaś właściwe postępowanie, do którego powinno dziecko być przygotowywane już od najmłodszych lat. Dalsze przygody zajączka są podobne:

nagle zaczyna padać deszcz i Szaraczek osłania liściem *spóźnionego jesiennego motyla*, leżącego w trawie, który obawia się o swe skrzydła. Następnie spotyka myszkę, która wpadła do wody i niechybnie by utonąła, lecz:

„Nie namyślał się długo. Rzucił swój liść na wodę.

~ Masz łódeczkę, ratuj się!

Zdyszana myszka wdrapała się na łódeczkę. Dopłynęła do brzegu.

~ Ach, jaki dobry jesteś Szaraczku!

Szaraczek pomógł myszce wejść na wysoki brzeg. A tymczasem liść popłynął. Porwała go rzeka.”

Ale, choć zajączkowi śniadanie uciekło, niczego nie stracił, bowiem myszka wzięła go pod łapkę i obiecała pokazać ogródek, gdzie rośnie mnóstwo kapusty i gdzie naje się do syta.

Wznawienie tej właśnie książki Heleny Bechlerowej świadczy z jednej strony o zapotrzebowaniu na takie utwory i ich braku we współczesnej literaturze dla dzieci, a z drugiej – co pocieszające i chyba istotniejsze – o tym, że pewne wartości tak naprawdę nie starzeją się mimo zobojętnienia na nie tych, którzy posiadają talent i zdolność trwałego przekazywania ich najmłodszym. Miała go Helena Bechlerowa, której utwory niezwykle często bazowały na podstawowych wartościach, obowiązujących człowieka pragnącego żyć w zgodzie ze światem.

Opublikowana rok wcześniej opowiadka *Jak Kolczatek szukał mieszkania* (wznawiana w latach następnych pt. *Kolczatek*), podobnie jak *Śniadanie zajączka*, mimo krótkich opisów i przydania głównie zwierzęcym bohaterom cech ludzkich, bezbłędnie przedstawia przyrodę i jej zjawiska, takie jak cykliczne przenikanie pór roku. Ulotne tajemnice ukazują się w kolejnych odsłonach-epizodach tworzących bajkę, czego dopełniają skromne, a treściwe ilustracje Danuty Przymanowskiej-Boniuk. *Kolczatek* personifikuje nie tylko stworzenia żyjące, pozwala, dzięki nadaniu ludzkich cech, lepiej zrozumieć funkcję chochoła, istotę kamienia. Utwór mieści się jeszcze, jak i *Śniadanie zajączka*, w prostym gatunku bajki. Obrazowanie jest tu mniej poetyckie niż w późniejszych książkach Bechlerowej. Był to jednakże jeden z pierwszych polskich, tak popularnych później, utworów o zwierzątkach poszukujących domu, który to schemat stał się już obecny we, wciąż powstających, utworach starszych i młodszych adeptów sztuki pisania dla dzieci.

Nieco inną wymowę ma napisana dziecięcym językiem bajka o *Małym białym Koziółku* (1964), której akcja rozgrywa się w świecie zabawek. Ów zabieg, często stosowany przez Bechlerową, zawsze czynił tę prozę przystępniejszą dla

najmłodszego czytelnika. Tutaj np. dziecinne argumenty bezradnie zaprzeczają niezgodzie w świecie zabawek, symbolizującej rzeczywistość dziecięcych klótni:

„Z Koziółkiem lalki najbardziej się drażniły. Kasia mówiła:

~ Idź, Koziółku, do ogródka.

Basia za nią:

~ W trawie leży twoja bródka.

Rozgniewało to Koziółka. Poszedł naprawdę do ogrodu, ale nie po to, by szukać bródki. Nigdy jej przecież nie miał. W ogrodzie była huśtawka. „Tu nie ma ani Basi, ani Kasi ~ myśli Koziółek ~ pohošťam się.”

Ale nie zdążył nawet podejść do huśtawki. Zobaczył z daleka: najpierw jedną wielką kokardę, potem drugą ~ jeszcze większą kokardę. To Basia i Kasia wyszły drugimi drzwiami z domu do ogrodu. Zagroziły Koziółkowi drogę i zawołały obie razem:

~ Huśtawka jest nasza!

~ Dobrze ~ mówi Koziółek. ~Nie tylko huśtawka jest w ogrodzie.”

I tak jest w środowisku dzieci na codzień; to scenki znane nie od dziś. Ale, co oryginalne, w utworze Bechlerowej dziecko jest nieobecne. Chociaż przedstawione dziecinnym językiem przygody zabawek, sugerują obecność w tym świecie narratora, świat przedstawiony odbywa się bez jego widocznej ingerencji. Bohaterem utworu jest więc zarazem nieśmiałe dziecko, przeciwstawione dzieciom pewnym siebie, najczęściej tylko dlatego, iż tworzą większą grupę. Postawa Koziółka wyraża zaufanie płynące z dobrego serca i niewiary w zło. Stąd Koziółek na wszystko się godzi, nie zastanawiając się, czy lalki mają słuszość, przyjmuje bowiem ich decyzje za oczywistość, której próżno zaradzić:

„W ogrodzie był jeszcze staw, a na stawie lódka przywiązana do drzewa. „One się boją wody ~ myśli Koziółek. ~ I wiosłować żadna nie umie. Popłynęłam sobie spokojnie.”

Nie zdążył jeszcze odwiązać lódki ~ już lalki były przy nim. I zabrały wiosło. A przecież bez wiosła nie można płynąć lódką.

~ Dobrze ~ mówi Koziółek. ~ Nie tylko lódka jest w ogrodzie.”

A więc, w zachowaniu lalek kryje się tylko złośliwość. Akceptujący ją Koziółek jest typem bohatera, którego bierna postawa i jej przykre konsekwencje powinny przekonać onieśmielone dzieci, że może warto jednak pomyśleć, zastanowić się, czy rzeczywiście racja leży po stronie silniejszego i ~ czy aby na pewno silniejszego? Na ukazane powyżej zachowanie lalek odpowiedzią powinien być rozsądek. Dopiero w ZOO osiąga Koziółek to, czego pragnął: słoń zastąpił mu huśtawkę, a osiołek karuzelę i nawet lalki nie przeszkodziły w zabawie. Ale przecież stało się tak jedynie dlatego, iż bawił się nie sam, lecz wraz z innymi zwierzętami; (*wcale nie wiadomo, czy słoń pozwoliłby się zabrać lalkom*). Kiedy jeszcze udało się Koziółkowi popłynąć po stawie na łabędziu, wyraża naturalny żal płynący z chęci dopełnienia swej satysfakcji: *Szkoda, że Kasia i Basia mnie nie widzą*. Bajka *Mały biały Koziółek* zawiera jedną prawdę, która płynie z pouczającego zakończenia, a mianowicie, że żadna to przyjemność dokucać innym, bo przynosi ona tylko chwilową radość, po której nastaje pustka:

„A Kasia i Basia widziały Koziółka. (...)

~ Widzisz? ~ szepnęła Basia.

~ Widzę ~ odpowiedziała Kasia.

A Basia znowu:

~ Stoń go huśtał...

A Kasia:

~ I na osiołku jeździł...

Basia:

~ I na takiej łabędziej łódce płynął. A my...

Kasia powiedziała jeszcze:

~ Szkoda.

I Basia powtórzyła:

~ Szkoda...

I poszły do domu. I rozmawiały o czymś, a nikt ich nie słyszał.”

Brakuje jednak w utworze tej prawdy, że nie zawsze można liczyć na innych i nieraz trzeba zastanowić się, jak samemu dawać sobie radę

www.fotolabedz.com.pl

Studio Fotografii  
Artystycznej

„Pod Łabędziem”



Marek Rutkowski  
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69  
ul. Gdańska 5



z przeciwnościami. Ponieważ moralizatorstwo nie jest cechą charakterystyczną twórczości Heleny Bechlerowej *Mały biały Koziołek* jest utworem oryginalnym w dorobku pisarki.

O dziecięcych marzeniach o dorosłości symbolicznie opowiada *Złotopiórek* (1964). To książeczka traktująca również o odkrywaniu świata, pierwszych krokach w poznawaniu nieznanego, co nie zawsze bywa przyjemne. *Złotopiórek* jest bowiem także przejrzystym odzwierciedleniem tego, iż trzeba się sparzyć, by wiedzieć, że ogień jest gorący:

„*Złotopiórek* był bardzo ciekawy, co jest za płotem. I zobaczył, że to zielone to była łąka, a niebieskie ~ to staw.

Nad stawem muskał ogon kaczonek Kwak. Ujrzał kogutka i plusnął do wody. Wiedział, że *Złotopiórek* zaraz powie: „Ładnie umiesz pływać, kaczonek”.

*Złotopiórek* naprawdę powiedział:

~ Ładnie pływasz, kaczonek. Ja potrafię tak samo.

Zamknął oczy. Nie lubił patrzeć na wodę.

Woda chlupnęła. Zapryskata piórka, zmoczyła skrzydła i ogon. Kogucik wyciągnął szyję, płynnie, ale jak wolno! Nieprzyjemna kąpiel!”

Dorośli towarzysze z podwórka ukazują tu obraz dorosłych, którzy pomagają się oswajać ze światem i w razie naturalnych niepowodzeń nie wyszydają:

„~ Dobrze pływasz, kaczonek ~ powiedział jeszcze raz kogucik. ~ Ja tak nie umiem. A przecież łapki mam takie, jak ty. Zobacz.

Kaczonek podniósł swoją kaczą łapkę.

~ Twoja niepodobna do mojej, widzisz? Nawet mój ślad na piasku jest inny. Łatwo mi odpychać wodę, raz dwa, raz dwa ~ jak wiosłem. I pióra mam suche, woda po mnie sphywa.”

Obok, trafnie wplecionej w bajkę, dydaktyki zawarła Helena Bechlerowa w nieskomplikowanych, lecz plastycznych opisach wygląd poszczególnych zwierząt z wiejskiego podwórka (kaczonek, kot, świerszczyk, pszczoła). Opisy te są proste i krótkie, przystępne dla dziecka, bo nie znudzą go, a co najważniejsze, zaspokoją ciekawość. Wartość poznawcza książki najwyraźniej uwidacznia się w rozmowie ze świerszczykiem, gdzie wytłumaczyła autorka, w jaki sposób owad gra:

„*Złotopiórek* zobaczył, jak świerszczyk Nutka pociera skrzydełko o tylne nóżki przedko, coraz prędzej i skrzydełka grają. Kogucik próbuje robić tak samo. Ma przecież i nogi i skrzydełka. Słucha.

Cicho.

- Miękkie masz skrzydła, pierzaste. Nie będą grały - mówi świerszczyk. - Moje są twarde, o, patrz. Dlatego grają.”

*Złotopiórek* pragnie naśladować kolejno poznawanych, co oczywiście nie udaje mu się. Rzadki u Bechlerowej dowcip wyróżnia tę książkę spośród licznych małych próz pisarki; np. rozmowa z pszczołą, wspólne z kotem polowanie na mysz:

„~ Ech! Hałas narobiłeś! ~ rozgniewał się kotek.

~ A ty nie stuknąłeś pazurkami?

~ Skądże? W poduszeczki je schowałem.

~ Nikt mi dotąd nie mówił, że koty z poduszkami chodzą.”

Choć w rzeczywistości usilne próby naśladowania przez *Złotopiórka* innych przeszkadzają w codziennych czynnościach, bohaterowie nie okazują zniecierpliwienia, ale zrozumienie. Po tej wędrówce *Złotopiórek* dochodzi do wniosku, że wszyscy coś umieją i tylko on niczego nie potrafi. Z tego mylnego przekonania wyprowadza go dopiero zdarzenie, gdy powróciwszy nad staw, gdzie na słońcu wygrzewają się kaczonek i kot zaczyna grzebać w piasku i zaraz znajduje ziarenko. Kot i kaczonek, uznawszy że to nic trudnego i sami również potrafią, spróbowali, ale bez powodzenia. I wówczas *Złotopiórek* zrozumiał, że nie jest gorszy od innych, ponieważ nikt nie potrafi wszystkiego. Podział roli i funkcji, w życiu ukazany w tej książce, niesie prawdy powszechnie znane, które wpajając należy dziecku od samego początku, bo tylko dzięki temu nie poczuje się gorsze. Wiedziała o tym Helena Bechlerowa i prze-

kazywała te wartości w swych utworach zawsze z jednaką miłością i oddaniem. Uczyla nie tylko rozumienia świata, ale i postrzegania w nim harmonii, którą istnienie nieustannie ze sobą niesie. Optymizm o powodzeniu wyraża wcale nie bajkowe, bo jak najbardziej rzeczywiste zakończenie *Złotopiórka*:

„~ Tylko ty umiesz to robić, *Złotopiórku*.

*Złotopiórek* zapał z radości: - Kukuryku! - A zapał inaczej niż dotąd. Prawie tak, jak wielki biały kogut na podwórku.

Zaszleściła trawa i na liść koniczyny wyskoczył świerszczyk Nutka.

- Czyj to głos? Piękny! Nic nie mówisz, że umiesz śpiewać.

- Nie śpiewam. Pieję - powiedział kogucik.

- Zrób to jeszcze raz - prosił świerszczyk.

I *Złotopiórek* zapał raz jeszcze na całą łąkę: - Kukuryku!”

Wydana w 1966, bodaj najbardziej rozpoetyzowana, *Jedna srebrna kropla*, emanuje już wyłącznie pięknem i pozwala bezwzględnie wnikać w odrealniony świat. Personifikacja kropli wody otwiera ponadto najmlodszy czytelnikom oczy na świat przyrody nieożywionej. Niebagatelną rolę odgrywa tu warstwa leksykalna. Poprzez baśniową fabułę zwraca uwagę Bechlerowa na delikatny, urokliwy i ulotny czas wiosny, stale powracającej w tej twórczości, świat odradzający się w rocznym cyklu, prezentowanym również jako coś, co choć jest regularne, to za każdym razem jednak przecież inne. Uczy postrzegać w tej stałości ciągle nowe, niepowtarzalne istnienie:

„Płynął sobie strumyk, nad strumykiem schylała się wierzba, rosły kwiaty. A na jednym żółtym płatkule leżała srebrna, błyszcząca kropla. Na pewno została tu po wczorajszym deszczu, ale tego sama nie pamiętała. Patrzyła srebrnym okiem w niebo, widziała jaskółki i motyle, słyszała jak strumyk dzwoni po kamyczkach. Wydawało jej się to bardzo przyjemne.”

albo:

„Wierzba była stara i pamiętała wszystkie wiosny, jakie ją ubierały w zielone liście, i wszystkie zimy, które targaly jej włosy. I znała wszystkie melodie strumyka i piosenki letnich deszczów.”

Marzenia kropli o stanie się kimś innym wypowiedziane zostały dziecięcym językiem, cała bajka jest więc lekcją dla dziecka o rozumieniu samego siebie. Tak sformułowane dążenia są nie tylko przystępne, pozwalają wierzyć, że w życiu wszystko jest możliwe, jeśli bardzo się czegoś pragnie i zarazem wierzyć, że marzenia nie przynależą tylko do dziecka, ale do człowieka w ogóle. Jest to nauka wybiegająca daleko w przyszłość, kiedy w pełni ukształtowany już człowiek nie będzie pamiętał, komu to przekonanie zawdzięcza.

„~ Będziesz tam, gdzie fruwać jaskółki, i fruwać będziesz jak motyle, i zadzwonisz jak strumyk po kamyczkach. Będziesz blisko i daleko, zobaczysz to, o czym ci się nigdy nie śniło.”

To mówi wierzba, lecz za mądrymi słowami drzewa brzmi głos pisarki, która zna moc nadziei. Marzenia w utworze Bechlerowej kolejno spełniają się, przeobrażają w rzeczywistość. Kropla staje się częścią obłoku, rzeki, morza...

„~ Morze ~ szepnęła. ~ To właśnie jest to, o czym mi się nigdy nie śniło, o czym mówiła stara wierzba.”

Ale i nieustanne spełnianie się marzeń bywa z czasem uciążliwe, są one bowiem barwniejsze i ciekawsze, kiedy pozostają tylko marzeniami. Czytamy:

„Mała srebrna kropelka znużyła się wreszcie tą wędrówką.

~ Albo płynę po niebie, albo z deszczem wędruję na ziemię i znowu słońce zamienia mnie w chmurkę.”

I pragnie kropelka powrócić do tego, co było, a w tym pragnieniu dopatrzeć się można symbolicznego pragnienia powrotu do dzieciństwa. Następnie bajka ukazuje kolejną nieoczekiwaną metamorfozę, gdy woda przemienia się w śnieg. A przecież marzyła kropla także o staniu się motylem i teraz znów jej marzenie się spełniło. To jakby obrazowe przekazanie czerpania z życia wszystkich możliwości. Opowieść o kropli wody jest głęboką metaforą o niezaprzeszczaniu szans, jakie ono ze sobą niesie. Już najmłodsze dziecko powinno wiedzieć, że w tym kryje się cel istnienia, ale też nie od razu musi poznać prawdę o tym, jak wiele wysiłku samo będzie musiało włożyć w osiągnięcie go. Zakończenie utworu jest otwarte, co może rzadko spotyka się w bajkach, lecz nie należy do rzadkości w utworach Heleny Bechlerowej, która przekonuje, iż wiara w spełnienie jest przecież czymś stałym, co nie musi dobiegać końca i może trwać.

„Stara wierzba potrząsnęła gałązkami, na których nie było już liści. Zaszleściła:

~ Jesteś teraz śnieżynką, ale...

~ Ale co? ~ zapytała śnieżynka.

~ Jesteś i tak kropelką wody ~ powiedziała wierzba.

Śnieżynka nie mogła tego zrozumieć.

~ Przecież nie pluskam już, tylko fruwać i tańczyć tak cicho, że mnie nie słyszysz.

Ale gałązki wierzby otulały już biały puch, chciały jej się spać, więc szepnęła tylko:

~ Zobaczysz sama. Niech no tylko zaśnie słońce...”

Wyraża więc *Jedna srebrna kropla* niezwykłą przez rzeczywistość wiarę w możliwość pokonywania przeszkód, czego w utworze, co prawda, nie ukazano, co jest jednakże naturalnym następstwem realizacji pragnień. Sfera marzeń dziecięcych dopuszcza realia tak fantastyczne, że pozwalające zachłystywać się cudem istnienia bez walki o przetrwanie. Dlatego właśnie bohaterem utworu jest tu bezwolna, zdana na łaskę i niełaskę natury, kropla wody, a nie zantropomorfizowane zwierzę, czyli istota żyjąca, a więc ~ niezależna.

Brana dziś do ręki bajeczka o przygodach Kuklika, zatytułowana *Wiosenna wędrówka* (1968) pozwala ponownie wnikać w świat dawnych numerów „*Misia*” czy „*Świerszczyka*”, świat który bezpowrotnie przeminął. Wśród ilustracji natknijmy się na wiele czarnobiałych reprodukcji, co wynikało oczywiście z oszczędności, paradoksalnie jednak czyniło bogatszym i wrażliwszym zmysł dziecka, ponieważ stawiało większe wymagania. Niewątpliwie też kształtowało wyobraźnię, kiedy wiele musiało zostać domyślone. W interesujący sposób wprowadza małego czytelnika Helena Bechlerowa do swej opowieści, bowiem nigdzie nie pada wyjaśnienie kim jest Kuklik, lecz od razu ukazany jest świat, z którego się wywodzi: drzewa Dębu, Kasztana, Jarzębiny, czyli świat jesieni. Ta tajemnica będzie zachowana do końca, o bohaterze wiadomo jedynie, iż jest „jesiennym Kuklikiem”. Jego wiosenna wędrówka w dużym skrócie przedstawia roczny cykl rozwijającej się przyrody, pisarka skupia się jednak, jak w wię-

## Prawo jazdy – szybko i skutecznie



88-100 Inowrocław  
ul. M. Skłodowskiej-Curie 5  
(05?) 357 75 64  
(0 605) 45 27 20



Dokończenie ze str. 15

szości swych utworów, na porach przelotnych. Stają się one czasem, w którym akcja nasila się, bohater przeżywa swe przygody, które również tworzą tylko pozornie mało istotne epizody, podczas których w prosty sposób wytłumaczone jest, iż drzewa, którym Kuklik zawdzięcza istnienie, owocują jesienią, a wiosną zobaczyć można jedynie ich kwiaty, w niczym nie przypominające znanych Kuklikowi jesiennych owoców. Upodobała sobie Bechlerowa, jako czas dla toku akcji swych małych próz, wczesną, budzącą się wiosną bądź niespieszącą się do odejścia jesień. Zawiera się w tym pewna harmonia, związana bezpośrednio z adresatem utworów, którego określony czas sięgania po nie to przecież także pora przelotna. Jednakże nakreślając swoiste piękno tego okresu za pośrednictwem nietrwałych rekwizytów natury wiosny (rozkwitające na drzewach pąki), czy usypiającej jesieni (opadłe, suche już liście drzew i krzewów), nietrwałych lecz jedynych w swoim rodzaju, nie pozwala godzić się z przemijaniem. Autorka wierzy, iż przynajmniej wspomnienia lub późniejsze rozdzielstwo pozwolą wracać do jej ulotnego świata. Pisała przecież swe małe prozy przez kilkadziesiąt lat, a więc z myślą o różnych czytelnikach.

*Zaczarowana fontanna* (1977) w warstwie stylistycznej najbardziej przypomina baśń spośród małych próz Heleny Bechlerowej. Sugeruje to już początek utworu:

„Była raz fontanna. W samym środku parku tryskała z paszczy wielkiego smoka. Zielony był ten smok, a oczy miał złote. Fontanna widziała wokół drzewa, które szumiły szeptają. I wydawało jej się, że sama jest także drzewem.

*Moje włosy śpiewające,  
moje włosy lśnią srebrzyście,  
wiatr kołysze gałęziami,  
wiatr rozrzuca moje liście.*

Tak śpiewała fontanna, a przecież gałęzie to były tylko strugi wody, a liście to krople, które rozpryskiwał wiatr.”

To utwór, odzwierciedlający dziecięcą ufność w rzeczywistość złudzeń, które pozwalają zapomnieć o szarych realiach. Przykładem będzie rozmowa z wiewiórką, próbującą uświadomić fontannie, że nie jest ona drzewem. Niesie ów dialog smutek. To tak, jak mówić brzydkiemu prawdę o jego wyglądzie. I o ile rzadziej stykamy się z tym okrucieństwem w świecie dorosłych, jest ono powszechne w środowisku dzieci, które bywają bezwzględne wobec rówieśników i znajdują przyjemność w mówieniu przykrej i często przekąśkowanej prawdy, a sytuacjom tym nierządkiem towarzyszy śmiech:

„Tę pluskającą piosenkę usłyszała wiewiórka i pokiwała głową:

- Wydaje ci się, że masz gałęzie. A jeżeli tak, to powiedz, czy skaczą po nich ptaki? A te twoje krople jak liście? Czy odpoczywają na nich motyle albo chociaż biedronki?

- Nie - szepnęła fontanna.

- No, widzisz. A gniazdo masz? Takie z małymi ptaszkami, co otwierają dzioby i cały dzień wołają jeść?

- Nie mam, nawet nie wiem, jak ono wygląda.

- No, to musisz wymyślić sobie inną piosenkę, bo ta jest nieprawdziwa - powiedziała wiewiórka i powiewając ogonem wbiegła na swój kasztan.”

Upersonifikowana fontanna w książce Bechlerowej jest więc jak to dziecko, które bezradnie rozkłada ręce i nawet nie próbuje się bronić przed wmawianą rzeczywistością i odpowiadając przecząco na wszystkie zadawane pytania, potwierdza nieciekawą, pozbawioną fantazji rzeczywistość. Kryje się w tym pewne poczucie winy, kiedy na pytanie wiewiórki o gniazdo fontanna odpowiada, że nawet nie wie, jak ono wygląda. W tym dialogu zaobserwować możemy, jak dzieci najprostszymi słowami pozbawiają się wzajemnie złudzeń. I, niestety, jest to zjawisko często spotykane i często leżące u źródeł problemów sa-

moakceptacji. A przecież kto, jeśli nie dziecko, powinien trwać jak najdłużej w wyimaginowanym świecie, gdzie odrealniona rzeczywistość jest wolnością, na którą przyzwala tylko krótki okres najwcześniejszego dzieciństwa? Następstwa tego „życzliwego” gestu przedstawia Helene Bechlerowa dalej, kiedy to w fontannie powoli wybiera zazdrość. W tej opowieści będzie ona, co prawda, bardzo niewinna, ale czyż nie jest to przyczyna niezawinionego zła w dziecięcym świecie, które rodzi się właśnie przez nieświadomość rówieśników lub bezmyślność starszych?

Fontanna nie mogła zapomnieć już o tym, co powiedziała wiewiórka: o ptakach, motylach i biedronkach. Zazdrościła kasztanom i klonom. Mają przecież to wszystko.

- A ja co? Mogę tylko śpiewać i śpiewać moją nieprawdziwą piosenkę.

Czy jest to jednak już powód, by stracić wiarę w sens wszystkiego? W dalszym ciągu opowieści wiewiórka przestaje być tym okrutnym listonoszem, przynoszącym złe telegramy i sugeruje, że spełnienie marzeń jest możliwe pod warunkiem, że:

„- Musi cię ktoś zaczarować - powiedziała. - Jakiś czarodziej. On podobno jest czarny, chodzi tylko nocą, czasem ma płaszcz w gwiazdy. Tak mi mówiła sowa, a ona zna się na takich rzeczach. Aha - i on umie też fruwać.”

Czyli wiewiórka również wierzy w magię, (jak większość dzieci przecież), wierzy i nie broni, wręcz przekonująco wmawia tę wiarę fontannie. Było więc słusznym powiedzenie jej wcześniej prawdy? Nie, nie było, ale i dzieci rzadko kiedy są konsekwentne, a opowieść o zaczarowanej fontannie, z samego założenia, przeznaczona jest dla dzieci i niejako przypadkiem ukazuje prawidłowości dziecięcych relacji tak, jak są one postrzegane przez dorosłych. Z wolna również rodzi się smutek „odczarowanej” przez wiewiórkę fontanny, czekającej na ponowne zaczarowanie.

„- Szkoda - westchnęła fontanna i zaśpiewała ciszej niż zwykle:

*Moje włosy szepczą, szumią,  
w dół spływają warkoczami,  
ale gniazda nie ostonią  
ani ptak nie siądzie na nich.*

*Pluskam, szepczę - piękna, srebrna  
i nikomu niepotrzebna”*

Lecz ani kot parkowy, ani latawiec, „*sluchający tylko wiatru*” nie są skłonne jej pomóc, a dziecko ukryte w upersonifikowanej fontannie czuje się nikomu niepotrzebne. Spójrzmy prawdzie w oczy, do czego może ona doprowadzić. Wydana kiedyś w serii *Poczytaj mi mamę* bajka powinna być wciąż ostrzeżeniem dla rodzica, jeżeli zależy mu na tym, aby chronić swe dziecko, które nie umie bronić się przed bezwzględną rzeczywistością. Znamienne, iż zakończeniem utworu jest już całkowicie fantazją autorki. Można, oczywiście, w fantastycznym Wierzbowcu, zamieszkującym dotychczas wierzbę, którą przewróciła burza, i szukającym schronienia w wodnych warkoczach fontanny, dopatrywać się tego, co odczytnia zło. Ale w takim razie ta pozytywna postać, przywracająca fontannie wiarę w siebie, należy do bajki i nie jest możliwa do odnalezienia w realnym świecie. Chociaż fontanna i wiewiórka posiadają cechy ludzkie, należą jednak do rzeczywistości, a Wierzbowiec? Wierzbowiec należy tylko do tej baśni. Zdaniem autorki w sferze już tylko marzeń pozostaje naprawienie raz wyrządzonego zła. Potwierdza to magiczna metamorfoza, gdy to fontanna zmienia się w prawdziwe drzewo po tym, jak zamieszkał w niej Wierzbowiec. Jest to, oczywiście, piękniejsza, lecz niestety tylko bajkowa rzeczywistość. Mówi ona o czymś jeszcze, a mianowicie, że po zburzeniu zamków na lodzie beztroskie istnienie nie jest możliwe, i może się zdarzyć też, że radość czerpana z bycia komuś potrzebnym będzie odłąd przynależać już bezwzględnie do baśni.

„No i stało się: wszystkie srebrne warkocze zmieniły się w warkocze zielone, liściaste, do samej ziemi.

- Będziesz teraz wierzbą - powiedział Wierzbowiec siedząc na gałęzi. Smutno śpiewałaś, więc będziesz wierzbą płaczącą. A ja zamieszkać u ciebie.”

Takie zdania wypowiedziane przez fantastycznego Wierzbowca mają tu swoistą wymowę, gdyż sugerują, iż złe były realia, kiedy niosły wraz z sobą marzenia, sugerują, że szczęście wiąże się tylko wraz ze spełnianiem ich:

„- Żadnych czarów! Zostaniesz wierzbą, bo jak nie, to gdzie ja znajdę mieszkanie? Jeżeli chcesz, możesz sobie tylko przypomnieć, kim byłaś. Ale to już nie będą czary. Sama zobaczysz.”

Jest to zatem spełniona baśń o szczęśliwym dzieciństwie, nieczęsto jednak odnajdywana w rzeczywistości. Już Andersen konsekwentnie ukazywał jej prawdziwość, objawiającą się zazwyczaj w odejściu ze złego, okrutnego świata (*Dziewczynka z zapałkami*, *Pod wierzbą*, *Ib i Krystynka* ~ by wymienić te najbardziej znamienne). A przecież przemieniona fontanna, gdy okrył ją mróz, nie bez żalu wspomina swą dawną postać.

O marzeniach o nieznanym traktuje historia Szymka, który z powodu nogi w gipsie zmuszony jest przez dłuższy czas pozostać w domu. *Przygoda na balkonie* (1982) spełnia ponadto rolę edukacyjną. Służą temu proste, sugestywne, poetyczne opisy gatunków lasów, morza:

„- Morze to wielka woda, która szumi i kołysze statkiem. A jak jest burza to kołysze bardzo mocno. Ale marynarz się nie boi.”

Nie bez znaczenie pozostają piękne, malarskie ilustracje Marii Orłowskiej-Gabrys. To typ ilustrowania książek dla dzieci, nie spotykany już we współczesnych wydawnictwach. Każdy obraz każe zatrzymać się dłużej, pozwala weń wnikać soczystość koloru (ilustracje przedstawiające lasy i morze). Następuje tu również ciekawe zestawienie barw. To, co dzieje się naprawdę (nudzący się Szymek z nogą w gipsie, bawiący się zabawkami na balkonie), utrzymane jest w sepii, jego marzenia zaś na ilustracjach są wielobarwne, pejzaże ukazane w najdrobniejszych szczegółach. Gdy natomiast spełnia się jedno z nich, o latawcu, na szarej ilustracji, przedstawiającej balkon, pojawiają się żywsze kolory. Ta plastyczna gra ułatwia głębsze zrozumienie tekstu. *Przygoda na balkonie* to jeden z bardziej interesujących utworów Heleny Bechlerowej. Akcja jest tu bowiem niemalże statyczna, a świat przedstawiony zmienia się tylko pozornie, jak tylko pozornie ważną rolę odgrywają tu opisane na początku lasy i morze. Rzeczywistą istotą utworu jest bezradność w osamotnieniu i pragnienie przyjaźni ~ a tego nie są w stanie zastąpić najpiękniejsze zabawki.

Omówione książki ukazują pisarkę jako matkę, którą zastępuje wówczas, gdy tej prawdziwej brak czasu na konieczną rozmowę i udzielenie wyczerpującej odpowiedzi na zadawane przez dziecko pytania. Bechlerowa to również ciekawość i poznawanie świata, a także spełnione marzenia o szczęśliwym dzieciństwie, które dzięki tym książkom nie musi należeć do bezpowrotnej przeszłości. ❁

## Bibliografia:

*Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik bibliograficzny*, pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szalagan, t. I A-B, WSiP Warszawa 1994

Helena Bechlerowa: *Kolczatek*, Nasza Księgarnia (seria: *Poczytaj mi mamę*) Warszawa 1984, wyd. V, il. Danuta Przymanowska-Boniuk; wyd. I: tamże, 1957, pt. *Jak Kolczatek szukał mieszkania*

*Śniadanie zajączka*, Nasza Księgarnia (seria: *Poczytaj mi mamę*) Warszawa 1972, wyd. VI, il. Halina Gutsche; wyd. I: tamże, 1958

*Mały biały koziołek*, Biuro Wydawnicze „Ruch”, wyd. I, il. Zdzisław Witwicki, Warszawa 1964

*Złotopiórek*, Biuro Wydawnicze „Ruch”, wyd. I, il. Marian Stachurski, Warszawa 1964

*Jedna srebrna kropla*, Nasza Księgarnia (seria: *Poczytaj mi mamę*), wyd. I, il. Joanna Jaworska, Warszawa 1966

*Wiosenna wędrówka*, Nasza Księgarnia (seria: *Poczytaj mi mamę*), wyd. II, il. Mieczysław Kwacz, Warszawa 1972; wyd. I: tamże, 1968

*Zaczarowana fontanna*, Nasza Księgarnia (seria: *Poczytaj mi mamę*), wyd. I, il. Elżbieta Gaudasińska, Warszawa 1977

*Przygoda na balkonie*, Nasza Księgarnia (seria: *Poczytaj mi mamę*), wyd. I, il. Maria Orłowska-Gabrys, Warszawa 1982

*Śniadanie zajączka*, Wydawnictwo „Kama” (seria: *Biблиотека Najmłodszych*), il. Krzysztof Wiśniewski, Warszawa 2000



Stanisław Nowicki

## W szpitalnych łózkach

Zdaniem mojego przyjaciela profesora medycyny **Zbigniewa Szreniawskiego**, to moje opowiadanie może zainteresować i lekarzy, i ludzi.

Urodziłem się we wrześniu 1920 roku w Będzinie. Mój ojciec był kolejarzem, dostałem się do gimnazjum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu, dorabiałem korepetycjami. Po wrześniu 1939 roku mój gimnazjalny przyjaciel **Jerzy Relfer** wciągnął mnie do organizacji podziemnej. Po „wpadce”, kiedy była obawa, że nas Niemcy zaaresztują, uciekliśmy z Jurkiem przez granicę, ale niedaleko Użhorodu zostaliśmy złapani, osadzeni na kilkanaście dni i odstawieni na granicę rosyjską, a to dlatego, że zeznaliśmy, iż przyszliznęliśmy na Węgry spod okupacji sowieckiej. Powód był taki, że nie chcieliśmy dostać się w ręce Gestapo. W więzieniu dostaliśmy adres Polskiej Ambasady w Budapeszcie od kuriera, regularnie kursującego między podziemiem i władzami polskimi na Węgrzech. Na granicy sowieckiej udało nam się uciec. Wróciliśmy do Użhorodu, idąc nocami wzdłuż kolei. W mieście kupiliśmy bilety kolejowe do Budapesztu, skąd ambasada przesłała nas z wielu innymi – do Palestyny. Po przeszkoleniu dostaliśmy się do Brygady Karpackiej stacjonującej w Egipcie, a potem łodzią podwodną do oblężonego Tobruku. Na patrolu zostałem ranny – a Jurek śmiertelnie ranny – od wybuchu miny. Zostałem przewieziony statkiem Czerwonego Krzyża do szpitala w Aleksandrii, i tam spędziłem parę tygodni. Potem Brygada Karpacka przeniosła się do Iraku, gdzie szkoliliśmy Polaków z Rosji. Brygada stała się 3 Dywizją Karpacką, skierowaną potem do Włoch. Największą bitwą była bitwa o Monte Cassino.

W lecie 1945 roku zostałem wybrany, jako jeden z trzydziestu na techniczne studia do Anglii. Studiowałem w Heriot Watt College, ale też zdałem egzamin inżynierii elektrycznej na Uniwersytecie Londyńskim. Przez 32 lata pracowałem w departamencie inżynierii w London Transport – przez ostatnie lata jako kierownik Sekcji Badań Technicznych.

Po przejściu na emeryturę moim głównym zajęciem było: studiowanie orientalnej, zwłaszcza buddyjskiej filozofii i co z tym ściśle związane – medytacja.

Z innych zajęć najważniejsza była „*Druga Bitwa o Monte Cassino*”. Niemiecka telewizja nadała program oskarżający Polaków, że kiedy zajęli podziemie ruin klasztoru Monte Cassino, to 18 maja 1944 roku wystrzelali kilkunastu rannych niemieckich spadochroniarzy. Podobna wersja została podana w powieści Wilii Berthold’a „*Vom Himmel zur Holle*”, która jest historią niemieckich spadochroniarzy. Mój gimnazjalny przyjaciel **Alexander Tiplt**, wychowany w Polsce (nazywałem go dwustuprocentowym człowiekiem, stuprocentowym Niemcem i stuprocentowym Polakiem) i ja zebraliśmy materiały i po około trzech latach oskarżeń doprowadziliśmy do oficjalnych odwołań tych oskarżeń.

A. Tiplt był historykiem i wiedział, że coś się zaczyna jako pogłoska, jeżeli nie jest zdementowana, przeradza się w „fakt” i może na przykład dostać się do podręczników historii. Nasza akcja była długa i skomplikowana. Jej opis znajduje się m.in. w wykładzie, jaki wygłosił on przy końcu lat osiemdziesiątych w Wojskowym Historycznym Instytucie w Warszawie. Paręset dokumentów – listy, raporty, zeznania – znajdują się w Instytucie Generała Sikorskiego w Londynie. Obaj zostaliśmy za tę pracę odznaczony przez Prezydenta RP. Mam Oficerski Order Zasługi Rzeczypospolitej Polski (*Legitymacja Nr 103 - 94 - 7, 22 czerwca 1994*). A. Tiplt dostał wyższe odznaczenie, bo jego wkład był o wiele większy.

Przechodzę teraz do mojej choroby.

Byłem w życiu po parę tygodni w dwóch szpitalach, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Po wyjściu z dwóch ostatnich szpitali – z powodu niezwykłości – napisałem długie opowiadanie dla mojej rodziny i przyjaciół. To są moje osobiste przeżycia, a więc nie uogólniam na inne szpitale i inne okoliczności. Siłą rzeczy opis jest znacznie skrócony.

W czerwcu 2001 roku pojechałem do szpitala *Central Middlesex Hospital* na przegląd przed operacją katarakty. Dostałem bólów piersiowych (*angina pectoris*). Ciśnienie osiągnęło poziom 200/110. To był zawał. Posadzili mnie na fotelu na kółkach i przewieźli na salę kardiologii. Moim głównym konsultantem był doktor **Mc Crea** i co mnie uderzyło to, że był on oficjalnym konsultantem dla ludzi starszych. Nie wiedziałem, że tacy są, ale z tego co słyszałem, to jest chyba wyjątkowy szpital. Drugi konsultant doktor **Villeros** (Hiszpan), był kardiologiem. Doktor **Mc Crea** natychmiast ze mną porozmawiał i oświadczył: „*doprowadzimy Pana do porządku*”. Spytał czy mam jakieś specjalne problemy. Powiedziałem, że w domu co dzień medytuję na chodząco około cztery godziny i chciałbym to samo czynić w szpitalu. On na to, że w pierwszych dniach im mniej ruchu tym lepiej i poradził, aby na razie medytować na siedząco albo na leżąco. Pozwolili mi chodzić dopiero po 2-3 dniach. Nad łóżkiem był ekran, monitorujący ciśnienie, tętno i tlen. Parę razy na dzień pielęgniarki mierzyły temperaturę i glukozę we krwi (jestem cukrzykiem, ale nie biorę ani insuliny ani tabletek). Powiedziano mi, aby natychmiast raportować pielęgniarkom w razie jakichkolwiek bólów piersiowych – wtedy robiono natychmiast EKG. Te bóle miałem bardzo rzadko, głównie z powodu *wysiłku fizycznego* (chodzenie to nie wysiłek), *niskiej temperatury* (pogoda była ciepła) oraz *emocji, przeżywania silnych uczuć*. W tym szpitalu znalazłem coś nadzwyczajnego: taką atmosferę uczynności, serdeczności, radości i wesołości, że czasem przed zaśnięciem myślałem, że jeśli taka atmosfera jest w niebie, to nie życzę sobie lepszego nieba. I lekarze, lekarki i pielęgniarki, i pacjenci byli różnych narodowości, ras i religii, Murzynki (bardzo wesołe), Chinki, Hinduski, Filipinki; chrześcijanie, Żydzi, muzułmanie, etc. z pewnością ateści i agnostycy – i tak wspaniale oni wszyscy ze sobą żyli.

Przez dwa dni leżał obok mnie **psycholog i lingwista**, który mi wiele opowiedział o swoim życiu. Pracował w Wiedniu i w Unii Europejskiej. Zaszła na stacji kolejki podziemnej, przywieźli go do szpitala i natychmiast podano mu tlen. Jego największym strachem było to, że np. w nocy coś się zepsuje w aparacie z tlenem, pielęgniarki nie będzie natychmiast i że on się uduśli. Opowiedziałem to przyjacielowi, który mnie odwiedził i pali.

Innym moim sąsiadem był **Robert Smith** (to nie jest prawdziwe nazwisko), przedsiębiorca i wynalazca, którego pierwszym zajęciem, jak zauważyłem, było pisanie czegoś bardzo szybko. Zapytałem, co pisze. Matematyczny opis operacji komputera, który potrafi myśleć w sposób tak samo skomplikowany, jak ludzie. Zaczęła się dyskusja – ja nie wierzę, że komputery przewyższą człowieka, ale to nie było u niego obecnie najważniejsze: jest w szpitalu, bo dostał arytmie serca i jego tętno wynosi 114 uderzeń na minutę. Powód: został oszukany przez współnika, który jest jego bratem bliźniakiem. Mówił, że finansowo jest zrujnowany i że z projektu wartego 1, 600, 000, który niedawno rozpoczął, nic nie będzie. Wyraziłem mu uznanie, że tak o tym spokojnie mówił, ale on mnie poprawił – to tylko zewnętrzny spokój – nie może pozbyć się kotłownika myśli w dzień i noc – stale myśli, co robić,

jak to będzie – obecnie wygląda na to, że trzeba wszystko likwidować. Powiedziałem, że w takich sytuacjach religia niektórym pomaga – on jest katolikiem – mógłby porozmawiać z jakimś mądrym księdzem. On myśli, że ksiądz mu powie, aby się modlił – on się modli, ale na tym nie można poprzestać. Zacząłem mu mówić o stójkach, dla których filozofia jest nauką reagowania na szok, rozczarowania, straty, nieuleczalne choroby, niesprawiedliwości itd. *Epiktet był kulawy i był przez jakiś czas niewolnikiem – to mu nie przeszkadzało być zadowolonym z życia. Kiedyś właściciel Epikteta bił go połogach. Epiktet zwrócił mu uwagę, że złamie mu nogę, po jakimś czasie tak się stało. Epiktet stwierdził ze spokojem: „Mówiłem, że złamiesz mi nogę i złamałeś”*. Filozofowie chińscy uczą, aby się nie przejmować jakiejś „*wieją wiatry*” w życiu tzn. przyjmować jednakowo sukces – niepowodzenie, zysk – stratę, zwycięstwo – klęskę, pochwały – potępienie itd. Takie nastawienie nazywa się niewzruszalność, pogodą ducha (*upekkha, equanimity*).

Powiedziałem Robertowi, jak bardzo pomaga mi medytacja – również obecnie w szpitalu. Dawniej w tej samej sytuacji przeżywałbym różne lęki, wyobrażenia, zmartwienia, itd. Obecnie tego nie odczuwam prawie wcale. Opisałem parę medytacji i że chyba najłatwiejszym sposobem, aby uczyszyć kotłownika myśli i uczuć, byłoby powtarzanie słowa „*spokój, spokój, spokój*...”. Opisałem Transcendentalną Medytację – tzn. powtarzanie dźwięków czy sylab, które nic nie oznaczają, ale mają kojące działanie podobnie jak szum morza albo drzew.

Następnego dnia rano Roberta nie było. Tu niektórzy pacjenci znikają ze szpitala za pozwoleniem albo bez. Przyszedł popołudniu. Przyniósł dwa aparaciki, które wynalazł w 1967 roku – jeden coś w rodzaju *biofeedback* – wydający dźwięki i regulujący funkcje fizjologiczne, które normalnie nie są świadomie regulowane. Na przykład można obniżyć albo podwyższyć temperaturę ręki czy nogi, można przyspieszyć albo zwolnić tętno. Drugi aparat wytwarzał szum drzew albo szum morza – pokazał mi jak ich się używa. Są słuchawki i aparaty dzięki temu nie przeszkadzają innym pacjentom. Z miejsca zaczęli ich używać.

Otóż, następnego dnia wracam z mojego spaceru i Robert mi mówi, że opuszcza szpital – lekarze uznali go za uleczonego. Tętno spadło z 114 uderzeń na minutę co czegoś normalnego i arytmia znikła. Jak to lekarze tłumaczą? Ze powody jego dolegliwości musiały być psychiczne. Widzę, że mówi o tym wszystkim spokojnie – mówię mu, że inni na jego miejscu skakałoby z radości. On na to, że niedawno ktoś mu powiedział, że jeśli się ma amputację nogi, to nie należy wpadać w rozpacz, a kiedy się wygrało milion funtów, to nie należy skakać z radości. Dał mi wizytówkę i serdecznie się pożegnaliśmy.

Jak stoicyzm może pomóc w ciężkich sytuacjach życiowych w naszych czasach jest wspaniale opisane w książce „*The full man*” Tom’a Wolfe z roku 1998 – jedna z pięciu najlepszych powieści, jakie czytałem w życiu. Jest też w niej wiele humoru.

Coś więcej o medytacji. „*Odkryłem*” ją w książce „*Diagnosis of man*”.

Kennetha Walker’a – lekarza. Jego głównym zainteresowaniem – oprócz medycyny – było poszukiwanie Mądrości, dążenie do Prawdy. Doktor Walker pisał, że „*Królewską drogą*” do mądrości jest medytacja. Zapisalem się (około 1955) do Towarzystwa Buddyjskiego. Moim nauczycielem przez wiele lat był **Mr Christmas Humphreys**, znany prawnik i założyciel Towarzystwa. Co tydzień grupa ZEN spotykała się na godzinę, z czego 5-10 minut to były głównie instrukcje, jak medytować a reszta czasu to była medytacja. W domu medytowaliśmy po 15-20 minut na dzień, albo ile kto chciał. Główną medytacją było oddychanie tzn. uważanie na do-



Dokończenie ze str. 17

tyk powietrza w nozdrzach, jak wchodzi i jak wychodzi. W książkach znalazłem setki metod medytacji i niektóre z nich też w domu praktykowałem. Najłatwiej nauczyć się medytacji przez powtarzanie słów albo zdań np. „Radość” albo „Niech wszystkie istoty będą szczęśliwe”. Najważniejszą – według niektórych – jest intensywna uwaga na to, co się dzieje wewnątrz i zewnątrz. Ta – nieustanna – medytacja ma też praktyczne korzyści: medytator jest sprawniejszy w pracy – uważny kierowca ma mniej wypadków itd.

Dla mnie najcenniejszą, praktyczną korzyścią było pozbycie się depresji. Główną medytacją, która mi pomogła – ale nie jedyną – było powtarzanie przez cały dzień zawsze i wszędzie (ale używając zdrowego rozsądku np. nie w pracy) takich zdań albo słów jak: „Cokolwiek jest, dobrze jest” – tak twierdził Hegel, ale to nie on mnie na to naprowadził – albo „Radość” albo „Chcesz być w depresji? - siedź w niej, nie chcesz? - wyjdź z niej, ale się nie wysilaj ani w jednym ani w drugim kierunku”. Z innych sposobów najsukuczniejszym był wgląd w siebie tzn. intensywne WPATRYWANIE się w depresję.

Według World Health Organisation za 20-30 lat depresja będzie na świecie drugą najważniejszą chorobą.

W Anglii co rok jest Narodowy Tydzień Depresji.

W książce *Guidelines On Student Mental Health Policies And Procedures*, wydaną w 2000 roku przez *Committee Of Vice Chancellors And Principals* jest oświadczenie: „Dotychczasowi zdrowi doradcy (counselors, medical staff) nie wystarczają w obecnych czasach, aby pomóc studiującym na uniwersytetach. Będą oni kontynuowali swoją pracę, ale jest konieczna dodatkowa pomoc psychiatrów, klinicznych psychologów, domowych lekarzy i innych”.

Problemy psychologiczne i pomoc studiującym książki *Students Mental Health Needs. Problems And Responses* pod redakcją Nicky Stoney i Jilla Manthorpe (2001, Kingsley Publishers, 232 stron), która podaje też statystyki o depresji i innych zaburzeniach psychicznych całej ludności w Anglii i młodzieży. W każdym roku jakaś dolegliwość psychiczna występuje u jednej na cztery osoby.

Również w jakimkolwiek momencie czasu, 20% dzieci i młodzieży przeżywa jakiś psychologiczny problem (dane zebrano przez *Mental Health Foundation* 1999).

Badania na wielką skalę (trzy razy do roku u studiujących rozmawiało z badaczami) na Uniwersytecie Cambridge pokazały, że co najmniej 20% raportowało w tych rozmowach za każdym razem o jakimś problemie psychicznym, około 6% o tendencjach samobójczych a 1% usiłowało popełnić samobójstwo. Dane z badań na innych uniwersytetach są podobne.

Kiedy stan mojego serca się pogorszył, pod wpływem książek, zwiększyłem długość codziennej medytacji. Najważniejsza z nich to *Reversing Heart Disease*. Autor doktor Dean Ornish rekomenduje małow tłuszczową dietę (ta książka „nawróciła” też mnie na wegetarianizm), ćwiczenia fizyczne, przyjacielskie stosunki z ludźmi oraz medytację. Doktor Ornish podaje trochę autobiograficznych danych m.in. jak medytacja uratowała go od samobójstwa (i jego siostra, która go namówiła do medytacji).

W książce *Heart Fitness For Life*, Mary Mc Gowan; kardiolog, poświęca jeden rozdział medytacji, głównie medytacji oddechowej i świadomości tego, co się dzieje wewnątrz i zewnątrz. Zaleca je ludziom chorym na serce m.in. dla obniżenia ciśnienia. Ona sama też medytuje, co jej m.in. pomogło kiedy jej dziecko chorowało. Jest 1200 naukowych raportów o skutkach medytacji: psychologicznych i fizjologicznych, np. na cholesterol. Doktor Mc Gowan pisze też o 8-tygodniowych kursach medytacji w USA organizowanych przez doktora Jon'a Kabat-Zinna'a,

które kosztują paręset dolarów. Miał już około 700 pacjentów z różnymi problemami; lękliwość, panika, depresja, narkomania, chroniczne bóle (np. artretyczne – on nie leczy artretyzmu, ale uczy, jak te bóle znosić), konflikty w rodzinach np. problem przemocy. Doktor Kabat-Zinn opisał swoje medytacyjne metody w książce *Full Catastrophe Living*, która mi pomogła w depresji. Niedawno dowiedziałem się, że wykladała na *Harvard Medical School* nowy przedmiot – *empathetics* – jak nauczyć się empatii, umiejętności czuwania się w stan psychiczny drugiej osoby. Ten przedmiot został niedawno pod inną nazwą wprowadzony na wydziałach medycyny w Anglii. Jedna z wykładowczyń opowiada, jak parę miesięcy po skończeniu studiów pracowała w szpitalu, jak pacjent prosił ją, aby opisała jego chorobę i jak parę minut po tym opisie szukał ją w szpitalu, bo pacjent chciał popełnić samobójstwo w ustępie.

Profesor fizyki Michio Kaku skontaktował się z ekspertami w różnych dziedzinach (podaje 90 nazwisk m.in. siedmiu laureatów Nagrody Nobla), co do obecnego stanu wiedzy i prawdopodobnego jej rozwoju. Ich przewidywania są podane w książce profesora *Visions, „How Science Will Revolutionise The Twenty First Century”*, 1998, Oxford University Press. Książka ma trzy części, dotyczące trzech rewolucji, które aktualnie przeżywamy: komputerowa, biomolekularna i kwantowa (fizyka). Między innymi pisze on o „powodzi” solidnych eksperymentów, które dowodzą związków między psychiką i ciałem. Badania (1996) w *John Hopkins School of Hygiene and Public Health* na 1551 ludziach trwające 13 lat pokazały, że ci, którzy cierpieli na depresję, mieli cztery razy więcej ataków serca niż przeciętni ludzie.

Badania w Goteburg (1993) na 752 mężczyznach pokazały, że ci których życie było bardzo stresowe, umierali trzy razy więcej niż ludzie spokojni. In *Carnegie Mellon University* przeprowadzono pomiary aktywności białych ciałek krwi w ciągu dnia u studentów: im większy stres, tym mniejsza aktywność. Inne studia pokazały przyczynowe związki między: (a) herpes i stres, (b) rak jelita i stres, (c) choroba serca i uczucie beznadziejności, (d) ilość ataków serca i optymizm. Lista tego rodzaju studiów jest długa. Konkluzja jest, że w XXI wieku lekarze będą się bardziej interesowali niż obecnie stylem życia i stanami emocjonalnymi pacjentów oraz że będą „przepisywali” ćwiczenia, relaks, jogę i medytację. To będzie głównie wynikiem postępu w medycynie molekularnej, która będzie grała główną rolę w rozwoju wiedzy o związkach między stanami psychicznymi i fizjologicznymi.

Istnieje lista obejmująca 200 stron – książek, artykułów, raportów napisanych przez lekarzy, psychologów i socjologów.

Nie zawsze efekty medytacji są dodatnie i jeszcze wiele trzeba by ulepszyć w badaniach nad medytacją, ale generalnie można stwierdzić, że medytacja leczy niektóre dolegliwości psychiczne i fizyczne.

Obecnie czytam *Zen and the Brain. Towards an understanding of meditation and consciousness*. Autorem jest James H. Austin, M.D. profesor neurologii na *University of Colorado* (1999, The M.I.T. Press, 844 stron) *Journal of the American Medical Association* pisze m.in., że książka „jest warta czytania przez tych, których interesują poznawcze funkcje, zwłaszcza mechanizmy świadomości”.

Warto też wspomnieć o „*Jak być szczęśliwym*” (*The art of happiness*), doktor Mirko Fryba, 1989, Shambhala. Otóż ta książka jest niczym innym jak, szczegółowym podręcznikiem medytacji. Autor jest m.in. psychoanalitykiem, przez wiele lat medytował w Sri Lance pod nadzorem sławnego mistrza. Obecnie leczy stosując techniki medytacyjne. Jego teza: SZCZĘŚCIA MOŻNA SIĘ NAUCZYĆ.

Profesor Nolan Pliny Jacobson uczy w swych książkach, że radość życia jest naturalnym stanem człowieka. Można być szczęśliwym, nie

tylko, kiedy moje dziecko zda trudny egzamin albo ja dostanę promocję, lub moja drużyna wygra, albo jeśli zapracuję na coś w pocie czoła. Każdy ma prawo i obowiązek wobec siebie i innych być zawsze i wszędzie szczęśliwym. Mój podziw dla szpitali CMH i HH jest: jak oni wszyscy potrafili w szpitalach, które się kojarzą z cierpieniem stworzyć tę atmosferę szczęścia.

Parę lat temu byłem w Polsce i kupiłem dla rodziny i przyjaciela dwie albo trzy książeczki Mistrza Medytacji Thich Nhat Hanh. Każda jego książka, zwłaszcza „*Cud uważności*” warta jest studiowania i medytowania. Podobnie z książkami doktora E. Conze, jednego z moich nauczycieli, którym jestem nieskończenie wdzięczny.

W szpitalu CMH byłem około miesiąca, czekając w kolejce na operację. Klara, jedna z pielęgniarek, coś powiedziała o czekoladkach. Kupiłem największe pudło, jakie było w sklepie i na najpiękniejszej kartce napisałem te słowa: „Dla Klary, reprezentującej dla mnie cały personel pracujący na sali A2 – z najgłębszą wdzięcznością – za życzliwość, delikatność, śmiechy, uśmiechy, cierpliwość, niestrudzoną pracę i za inne godne podziwu zalety. Gdyby wszyscy na świecie byli i były jak wy, nie byłoby wojen, terroryzmu, uciśku i cały świat byłby szczęśliwy. Stan Nowicki”.

Kiedy to pisałem, czułem oczywiście wdzięczność, ale byłem świadomy stosunkowo małej intensywności tego uczucia, np. takiej, jak w czasie odwiedzin przyjaciół (od czego są przyjaciele, jeśli nie od odwiedzania? Jestem im oczywiście wdzięczny, ale bez rozczulania się).

Ale co się stało? Natychmiast po napisaniu tych słów poczułem ból w piersi. Zgodnie z instrukcją zawiadomiłem siostrę i zrobiono mi EKG. Siostra uznała, że te bóle były spowodowane wzruszeniem (ona też zjadła czekoladkę i miała wyrzuty sumienia – czekolada poszerza biodra – ona jest jedną z tych par, które są nieszczęśliwe, bo mają za szerokie biodra). Ale dla mnie ciekawe było, że ja tego wzruszenia nie czułem. Ten incydent utwierdził mnie w przekonaniu, że jest tak jak w książkach o świadomości (np. *In the theater of consciousness*, Bernard J. Baars 1997; *Hare brain tortoise mind*, Guy Claxton 1998; *Going inside: A tour round a single moment of consciousness*, John Mc Crone, 1999 etc.) mianowicie, że jesteśmy świadomi tylko niewielkiej części tego, co się dzieje w naszej psychice: wiele dzieje się w podświadomości i niedawne eksperymenty to potwierdzają.

Po wyjściu ze szpitala znalazłem książkę, która najdobitniej udowodnia, że można być wzruszonym i nie wiedzieć, że się jest wzruszonym, mianowicie „*THE HIDDEN CAUSE OF HIGH BLOOD PRESSURE*” Dr Samuel J. Mann 1999, Thorson.

Autor zajmuje się ciśnieniem od 30 lat i jest specjalistą od ciśnienia krwi. Tą „*ukrytą przyczyną*” (*hidden cause*) są uczucia w podświadomości, o których pacjent nie wie, że istnieją – jak np. ja nie wiedziałem, że je miałem (patrz o czekoladkach – wyżej).

Po wyjściu ze szpitala kiedyś pisałem nieprzyjemny list – „*Poprzytykałem*” się z kimś. Nie czułem nic, byłem normalny, spokojny. Przyszło mi do głowy, aby zmierzyć ciśnienie: było (210/110) tzn. wyższe niż w czasie ataku serca (200/110) w *Central Middlesex Hospital*, kiedy to zaczął się mój pobyt w szpitalu.

Ten pomiar 210/110 był dla mnie definitywnym dowodem i od tego czasu książka dr. Manna jest jedną z moich „*Biblii*”.

EKG zostało natychmiast skonsultowane przez lekarzy i okazało się, że nastąpiło pogorszenie. Co by było, gdyby była śmierć, a nie pogorszenie? Ciekawy wypadek i dla medyków i dla zwykłych ludzi. Mogłoby nawet dotrzeć do gazet: „*Pacjent umiera z wdzięczności za pierwszorzędną opiekę lekarską i pielęgniarską*” – byłbym sławny przez parę dni.

Szpital CMH natychmiast skontaktował się ze szpitalem HH, gdzie następnego dnia przetransportowano mnie. Zaraz po przyjeździe miałem angiogram, a następnego dnia operację –



cztery pomostowania (*by passes*). W szpitalu *Hammersmith Hospital* (HH) były problemy z zatrzymaniem kału i moczu, ale najważniejsze, że operacja się udała. Prawie od razu fizjoterapeutka zaczęła nadzorować chodzenie, uczyła ćwiczeń rąk i ćwiczeń oddechowych. Ćwiczenia oddychowe były podobne do medytacji oddechowej, np. wciągając powietrze do dolnej części płuc, nie do górnej (*abdominal breathing*).

Powiedziałem jej o codziennej medytacji na chodząco – ona na to, że to mi teraz pomoże w powrocie do pełnego zdrowia.

Atmosfera w HH była podobnie serdeczna i wesoła, jak w CMH. Równie podobna mieszanina narodowości, religii i kolorów skóry, zwłaszcza miłe były Filipinki.

Są tam specjaliści pielęgniarki od rehabilitacji i pacjent po powrocie do domu – ja wróciłem po 10 dniach w HH – może w każdej chwili telefonować jeśli jest potrzeba – ja ani razu nie telefonowałem. Przez jakiś czas magistrat dowodził mi posiłki (mieszkam sam), zorganizowane przez HH. Jeździłem też na wykłady cotygodniowe i, jak każdy, dostałem obszerne materiały o różnych aspektach choroby serca.

Obecnie, po paru miesiącach, jeszcze czuję potrzebę spania albo odpoczynku po posiłkach, ale czuję się dobrze i jak dawniej medytuję, chodząc około cztery godziny na dzień.

Pobyt w szpitalach CMH i HH wspominam jako coś pięknego w moim życiu i to głównie dzięki lekarzom i służbie pomocniczej. Mam specjalny podziw dla pielęgniarek wszystkich narodowości, religii itd. – one są rzeczywiście aniołami, chociaż niektóre negują – „*Ja nie jestem aniołkiem!*”

Incydent z czekoladkami i wzruszeniem świadczy, że nie osiągnąłem niewzruszalności, pogody ducha. Niewzruszalność nie jest znieczulicą. Jest to taka cecha charakteru, która pozwala na uczucia, ale tylko na właściwie ich formy. Należy rozwijać (i są na to medytacje) pozytywne uczucia – przyjacielskość, współczucie, radość z powodzenia innych ludzi, wdzięczność itd., ale należy uważać, aby uczucie nie „zeszło na manowce”. Mistrzowie medytacji uczą, że niewzruszalność zapobiega wypaczeniom uczuć. Wdzięczność, która szkodzi zdrowiu jest wypaczeniem. Że miłość się często degeneruje, wiemy z książek, oper, gazet, które stale opisują różne tragedie „*Tak ją kochał, że musiał ją zabić kiedy go zdradziła*”. Kkobiety, lubią kiedy mężczyźni są o nie zazdrośni; ostatnia myśl zamordowanej – „*Teraz wiem, że on mnie naprawdę kocha*”.

Psychoanalicy na Zachodzie żyją z „*naprawiania uczuć*”. Orientalne filozofie uczą, jak każdy może zdobyć kontrolę – przez medytację – nad swoimi stanami psychicznymi.

Morał dla mnie – *więcej medytacji!*

## GABINET LEKARSKI ENDOKRYNOLOGIA

prof. dr hab. nauk med.  
Bogusława Baranowska

poniedziałki, środy, piątki 15.00-18.00

### KONSULTACJE:

- otyłość, anorexia nervosa, bulimia
- choroby tarczycy
- zaburzenia miesiączkowania, niepłodność
- menopauza, osteoporoza
- nieprawidłowe owłosienie, trądzik

### BADANIA:

- hormonalne, EKG, USG, densytometria

Warszawa, ul. Klauďyny 36/28

tel. 0-prefix-22 833 57 58

### INFORMACJA I ZAPISY:

tel. (godz. 8.30-14.00) 0-prefix-22 610 31 59  
tel. (po godz. 19.00) 0-prefix-22 751 20 11

## Sokrat Janowicz

### Białoruś – ciągle staje się sobą

Z Białorusią jest trochę tak, jak z rodziną naszego sąsiada, o której nigdy nie dowiemy się wszystkiego i dlatego stale popełniamy jakieś błędy w jej ocenie. Każdy zabierający głos na temat Białorusi i Białorusinów ma jakąś rację, lecz mniej lub bardziej cząstkową. Nawet sami autorzy białoruscy.

Główną omylnością w postrzeganiu Białorusi przez Polaków jest ich polskie widzenie jej spraw i problemów. Jakże słusznie zauważa Stefan Pastuszewski („*Akant*”, 2003, nr 4, s. 3), że *pierwej trzeba zanurzyć się w krajobrazie i ludzkim klimacie tego kraju, by móc wydać jakowyś osąd*.

W naszym zakątku świata pojęcie kraju wiążemy z narodowością. W przypadku Białorusi także, chociaż nacja białoruska ciągle jeszcze staje się sobą. W odróżnieniu od polskiej, ostatecznie uformowanej na przełomie „*wieku narodowości*” i „*wieku pary i elektryczności*”. Narodowość jest kategorią kultury, a zatem świadomość narodowa poczyna się w sferach społecznie elitarnych, dysponujących dostępem do dóbr wyższej użyteczności publicznej. Dlatego za Pierwszej Rzeczpospolitej nie był Polakiem chłop pańszczyźniany i jeno z rzadka mieszczanin. Białoruskość zaczęła kielkować ledwie w dobie powłaszczeniowej, wraz z uobywatelnieniem się wsi, zaś udział w tym warstw wyższych albo przynajmniej miejskich miał zaledwie incydentalny charakter (np. księżna Magdalena Radziwiłł). Przy tej okazji warto nadmienić, iż narody Europy dzielą się według swych metryk historycznych na arystokratyczne (np. Francuzi, Polacy), plebejskie, jak Czesi, i chłopskie – od Finlandii po Bałkany, z Białorusią – w najczystszej postaci. Narodowość białoruska nie jest więc szlachecko zarozumiała, kojarzy się raczej z chłopską uniżonością, wynikającą z kompleksu niższości.

Białoruscy uczestnicy polemiki na łamach „*Akantu*” – A. Kochan, E. Sień – niewątpliwie mają sporo racji w swych analizach istoty Republiki Białoruś jako resztówki Związku Sowieckiego. Jednakże zabierają oni głos językiem działaczy politycznych, przy czym opozycyjnych względem Aleksandra Łukaszenki. Ja natomiast chcę zwrócić uwagę na działanie praw uniwersalnych, bez uwzględnienia których skończy się na przyszłości „*Kowal zawił – Cygana powiesił*” (czy też odwrotnie). Oslawiony A. Łukaszenka broni się bowiem powiedzeniem: „*Nie ja zrusyfikowałem Białoruś*”.

Rzecz w tym, że Białoruś jest rzeczywiście do cna zrusyfikowana; aby przekonać się o tym, wystarczy zajrzeć do niej na dni kilka. Białoruski język narodowy słyszy się wyjątkowo i z reguły u inteligentów-humanistów; o wiele częściej w środowiskach masowego przekazu, aliści w wysoce nienaturalnych brzmieniu, co wskazuje na to, że jest to „*mowa zarobków, honorariów*”. Nawet nacjonalistycznie wręcz nastawieni bojownicy narodowi miewają problemy z derusyfikacją swych rodzin: żony, dzieci. To prawda, że nie tak bardzo sztywno ma się to u patriotycznie zaawansowanych młodożeńców, zwłaszcza z kręgów Białoruskiego Frontu Ludowego „*Adradżeńnie*”.

Prawie wszystkie narody europejskie mają już własne państwa. Poniżone utratą samodzielności onegdaj, nacje z arystokratycznym rodowodem przywróciły aż do przesady swą tożsamość (np. w Polsce każdy jest tytułowany *panią – panem*). Nie było u nich problemu z wyrugowaniem języka zaborcy. Inaczej zgoła dokonywało się to w państwach chłopskich. Czuli się one zmuszone do uciekania się do przymusu urzędowego w upowszechnianiu kultury narodowej. Najbardziej widoczne było to na Litwie za prezydenta Smetony, czy w Słowacji za Tiso. W Finlandii również długo dominował „*pański*” język szwedzki.

Państwo białoruską można uważać

## Jaka Białoruś?

jako dar niebios, a raczej pozostawioną na łasce losu sierotę po Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Nigdy nie wydarzyła się wśród Białorusinów wielka konspiracja niepodległościowa, a sam ruch narodowy wegetował w postaci marginalnej mniejszości wobec przesiąkniętego chłopską rewolucyjnością społeczeństwa, w przytłaczającej większości wiejskiego. Do tego dochodziły kolonialne rządy z obu stron, niedopuszczające jakiegokolwiek ducha separatyzmu. To zadziało na długą metę tym właśnie, że obecna Republika Białoruś nie jest państwem narodowym, lecz socjalnym. Państwem ludności. Białorusin to tyle, co obywatel Republiki Białoruś. Skąd my to znamy? Otóż z następujących odzywek: „*Mieszkaż w Polsce, więc jesteś – Polak! nie zauracaj głowy jakimiś polskimi Białorusinami...*” Pozostaje to w zgodzie zresztą z zachodnioeuropejskim pojmowaniem „*nation*” jako synonimu państwa.

Jestem pod wrażeniem inteligentnie napisanych dla „*Akantu*” wypowiedzi Daniela Kochana i Yauhiena Sienia. W schyłku swych, nieco przydługich lat, z radością obserwuję szybki wzrost poziomu umysłowego twórców nowoczesnej świadomości narodowej białoruskiej. Niemal bez wyjątków dotyczy to młodego pokolenia Białorusinów, wchodzących w aktywistyczne życie. Ta uwaga w zasadzie nie odnosi się do ich środowisk rodzicielskich, zastygłych w sowietyzmie. Proszę nie odbierać tego w tonacji jakiegoś gorzkiego przytyku, lecz jako refleksję międzypokoleniową. W końcu żaden z napoleonów czy chrystusowych naprawiaczy ludzkości nie zaczynał swego dzieła w wieku przedemerytalnym... Takie są prawidła czasu.

Zgadzam się z wywodami, w pierwszym rzędzie D. Kochana właśnie, choć nie wykraczają one w zasadzie poza bieżącą chwilę dziejową. To A. Łukaszenka być może jest winien zaprzeczania niepowtarzalnej w dziejach Białorusi okazji do odrodzenia jej osobowości, szans na cywilizacyjną moralność... W połowie 1994 roku, nastąpiła sowiecka kontra, iście w stylu Leppera (tyle tej różnicy, że u nas politycznie marginesowo i z dużym opóźnieniem).

Aby zrozumieć Białoruś, przynajmniej teoretycznie, trzeba wyjść z założenia, że myślimy o klasycznej kolonii, dla której pierwsze drobne ustępstwa poczyniono w Cesarstwie Rosyjskim dopiero po niesławnym dlań 1905 roku (zezwolono na wydawanie gazety tygodniowej „*Nasza Niwa*”). Podstawą nacji są jednak szkoły w duchu narodowym, a te były tutaj zawsze zakazane. Za sławetnej Kuratorii Wileńskiej administracja carska uznawała jedynie polskie szkolnictwo, które po likwidacji uniwersytetu wileńskiego przemieniono w rosyjskie. Jak wyjaśniają historycy, Wielkie Księstwo Litewskie uległo degradacji w podpaństwo polskie jeszcze za potopu szwedzkiego. Stąd ks. Janusz Radziwiłł, zrywający unię z Koroną Polską, uchodził już za sieniawiczowsku za zdraycę (zamiast zostania patriotą ówczesnej Litwy). Mocą konstytucji trzeciomajowej Polska naturalnie przesunęła się znad Bugu i Narwi, hen, na Dźwinę i Dniepr.

Białoruska kolonia doznawała huśtawki językowej – prawie spolonizowana, została odwrócona, niczym placek, na rosyjskie zarumienienie. Przebiegało owo chwianie się „*od płota do płota*” głównie na wysokości warstw oświeconych, potrafiących pisać i czytać w swym minimum edukacyjnym. W owym przechodzeniu „*z rąk do rąk*” doszło do zrodzenia nowożytnego piśmiennictwa w języku białoruskim, najpierw jako dialektalnie polskiego, po czym już narodowego, o czym dość obszernie wzmiankuje nieoceniony przyjaciel Bia-



Dokoliczenie ze str. 19

lorusi – Tadeusz Chróścielewski. Za obszerniejszą charakterystykę tego zjawiska – na trzeciego pomiędzy dwoma – niechaj wystarczą nam zaistniałe wówczas stereotypy polityczne, mianowicie: „literatura białoruska jest intrygą polską” (tak Moskałe), i „literatura białoruska jest intrygą moskiewską” (tak kłeli później endecy Lachowie). Ideę białoruską zdefiniował wcale nie Kastuś Kalinowski, dyktator Powstania Styczniowego w Litwie historycznej, lecz o pokolenie potem – narodnicki krąg Ignacego Hryniewickiego, zabójcy Aleksandra II. Wysławiali się oni po rosyjsku, i w tymże języku konspiracyjnie wydawali superbiałoruski periodyk teoretyczny „Gomon” (od białoruskiego „homan”, czyli pogłosy).

Stuprocetowa kolonia – a za taką uchodziła Białoruś – wyraża się przede wszystkim w mowie kolonizatora. Mamy więc kraje postkolonialne frankofońskie, anglofońskie, hiszpanofońskie, etc.

Czy Republika Białoruś jest krajem postkolonialnym? Jak najbardziej! Będąc podmiotem prawa międzynarodowego, nadal żyje w cieniu metropolii, jak to bywało per analogiam w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów. Rdzenna mowa tubylców uległa minimalizacji społecznej, niczym język irlandzki w niepodległej formalnie Irlandii. Na czym bowiem polega owa stuprocetowość ludu kolonialnego? Na etnicznym nierozwinięciu się w nim struktur hierarchicznych, na braku burżuazji narodowej zamiast kompradorskiej; powstawaniu ośrodków miejskich stanowiących nie więcej jak kościółki filialne potężnej metropolii. To nie przypadek, że krajobraz wielkomiński w literaturze białoruskiej nie był obecny aż po najnowsze czasy; miasto w Białorusi było i pozostało ciałem obcym, rdzajem państwa rosyjskiego w nierosyjskim państwie. Przykładowo w Grodnie do dziś nie ma ani jednej szkoły białoruskiej, nawet w dookólnych centrach powiatowych; w kołchozach – owszem – dla nierozgarniętych tubylców. Przypomina to nauczanie słówek francuskich np. Murzyniątek z plemienia Bantu, skupionych w cieniu rozłożystego baobabu... Pociąg do lekcji języka polskiego w zachodniobiałoruskich obwodach niewiele ma wspólnego z kochaniem polskości, w swej mechanice psycho-kulturalnej jest z grubsza identyczny z uganiem się w Polsce za angielszczyzną. Coś jednak znaczy to, że wysyłani na studia do Polski młodzi Polacy białoruscy z reguły nie wracają do swych małych ojczyzn. Polska dla nich, to jak USA dla naszych. Nie chcę obrażać inteligencji potencjalnego Czytelnika, drobiazgowo tłumaczę, dlaczego tak się dzieje.

Jedyną enklawą prawdziwie polskojęzyczną w Białorusi jest rejon Sopoćkina, który kiedyś stanowił część Kongresówki (ów północno-wschodni jej „rękaw”, w którym wykopano kanał augustowski do Niemna, by w ten sposób obejść blokadę pruską do Bałtyku). Polska nigdy nie była podręcznikową kolonią, zawsze czuła się okupowaną, jeszcze wtenczas, kiedy wieś nadwiślańska nie identyfikowała się z polskością.

Korzenie współczesnej państwowości białoruskiej niewątpliwie tkwią w dacie 25 marca 1918 roku, kiedy to po całonocnej burzliwej debacie Rada Kongresu Wszechbiałoruskiego w grudniu 1917 roku zdecydowała nieznaczną przewagą głosów ogłosić Akt Niepodległości, tworząc Białoruską Republikę Ludową na obszarach etnicznie białoruskich. W warunkach ciągle trwającej okupacji niemieckiej było to działanie nad wyraz platoniczne. Niemniej musieli z tym liczyć się przejmujący po Niemcach teren bolszewicy pod przewodnictwem Lenina, który, dla taktycznych korzyści, powołał do życia, gdzie się tylko działało, twory buforowe. Bliźniaczo podobnie zresztą Piłsudski rozwiązał problem z włączeniem Wilna do Państwa Polskiego, aranżując rzekomy bunt gen. Lucjana Żelichowskiego na rzecz ustanowienia państwa o nazwie: *Litwa Środkowa*, która rok później referendalnie złączyła się z nadwiślańską macierzą. Czerwonosztandarowa republika Białorusinów, którzy nic nie mieli do gadania w rządzie marionetkowym, oczywiście przylgnęła do Rosji Sowieckiej. Takie wtedy były gry w polityczne klocki.

Dzisiaj ja, Białorusin, nic a nic się nie martwię o dalsze istnienie Republiki Białoruś. Jej gwarantem bynajmniej nie jest Aleksander Łukaszenka, a już zupełnie nie jest nim opozycja polityczna, jeszcze nie wyrosła z wieśniaczej dziecięcinności. Gwarantuje Republikę – światowy przewrót technologiczny, w rezultacie którego utracili sens zdobycze terytorialne. Obecnie, żeby podwoić produkcję, nie trzeba wcale podwojenia rąk do pracy. Przypuśćmy, że znalazł się chętny dureri do zagarnięcia obszaru Białorusi z dziesięciomilionową ludnością. I co wtedy? Brać ją na utrzymanie ze swego budżetu? Bo tych dziesięciu milionów rąk wcale on nie potrzebowałby, a najwyższej niektórych surowców, jak ropa naftowa i gaz, ale Białoruś to nie Irak. Malutka Holandia posiada pieniędzy więcej, aniżeli cała olbrzymia, acz słabo ucivilizowana, Rosja od Kaliningradu do Władywostoku.

I wreszcie: Co znaczy dalsze istnienie Republiki Białoruś? W pierwszym rzędzie to, że narodowość jest wytwarzana przez odrębny względem innych los. Niechby w wojnach średniowiecznych pomiędzy Królestwem Polskim i Królestwem Czeskim – językowo póki co prawie jednolitych – zwyciężyło w sposób trwały jedno z nich, to dzisiaj byłibyśmy zapewne Czechami albo Czesi Polakami... Białoruski los wziął się wszak z Wielkiego Księstwa Litewskiego, po upadku którego żaden z mocarnych sąsiadów nie traktował tych ziem poważnie, lecz jako Kresy Wschodnie albo gubernialne zadupie tzw. Rosji Zachodniej.

Republika Białoruś jest poniekąd skazana na własne państwowe istnienie. BYCIE SKAZANYM NA NIEPODLEGŁOŚĆ w rozumieniu mapy politycznej jest zjawiskiem niesłychanie nowym, nie spotykanym wcześniej. Należy go łączyć z procesem dekolonizacji, najpierw w wydaniu brytyjskim. Anglicy jako naród kupców łącznie spostrzegli już w latach sześćdziesiątych, że posiadane kolonie przestają bogacić, stając się ciężarem, a zatem zabrano się do posyłania ich na swój chleb, nierzadko bez przygotowania do tego ludności tubylczej do suwerennego bytowania

w nowoczesnym świecie. W rezultacie zakotłowały się rzezie plemienne na Czarnym Łądzie. Odmienne jednakowoż przebiegał rozpad imperium sowieckiego jako zlepku mimo wszystko tworców państwowych (Czeczenia uchodzi za wyjątek).

Państwo to odrębny los i wynika zeń wszystko: inne widzenie świata, inna mentalność, inne psycho-kulturowe potrzeby, nie spotykane gdzie indziej mity, formułowanie własnej metryki historycznej. Obserwując takie państwowości, jak białoruska, które wcześniej utraciły pod imperialnym naporem rdzenne dlań języki, uwidoczni się teraz w nich gorączkowe poczynania w kierunku reanimacji ichże. Podobnie dzieje się ostatnio w Republice Białoruś: wystarcza zaledwie trzech uczniów chętnych do proponowanej klasy białoruskojęzycznej. Aktorzy mińscy mówią po białorusku na razie tylko na scenie, niczym w jakimś wyczynowym w tym celu języku obcym. Z denerwująco rosyjskim akcentem.

Asymilują wcale nie nacjonałści z naprzeciwną, lecz wspólną chleb. Twórcy konstytucji amerykańskiej mądrze uniknęli postanowienia o języku urzędowym, co w niczym nie przeszkodziło szerzeniu się angielszczyzny, wyprzedzającej niemiecką i tzw. Hiszpaniolów. Na wózku USA zgodni pojechali wszyscy, bo jakże mógł być inny wybór? Etniczna mozaika ludzkości nieuchronnie zabarwia się dwu- i trójjęzycznością wskutek powstawania „globalnej wioski”. Mój dziadek, chociaż był analfabeta, potrafił porozumiewać się w czterech obcych mowach: rosyjskiej, niemieckiej, żydowskiej, polskiej. Żył w przemysłowych ognisk Krynkach. Z oczywistą ulgą posługiwał się ojczystą białoruszczyzną, ale na co dzień słyszał na ulicach i w rynku różne gadanie. On już był w Europie, a ja, jego wnuk, to co – wycofałem się z niej?

Białoruś nie przestanie być rosyjskojęzyczną, ale z biegiem lat zaniknie w niej ważność słowa rosyjskiego jako warunku udanego życia, kariery. Białoruszczyzna, oczyszczona z kompleksu „mowy wiochy”, a za bolszewików „mowy nie-leninowskiej, kułackiej” w odróżnieniu od rosyjskiej „rewolucyjnej i postępowej”, zacznie partnerować. Rozwije się czad zatrujący jej rozwój. Mówiący po białorusku nie będzie pierwotniakiem-dziwolągiem albo zgoła niedorozwiniętym umysłowo. Dzisiaj takie epitety są nader częste w tłumie, wychowanym w chruszczowowskim idea fix: „Komunizm to władza radziecka plus język rosyjski w całym Kraju Rad”.

Białoruś – zapewne ku zdumieniu samego jej prezydenta A. Łukaszenki – znalazła się w sytuacji niechcianego dziecka, bez szans na adopcję, na którym – jak wiadomo – nie zależy nawet jego rodzicom. Dziesięciomilionowe państwo nie może wszakże popętnić zbiorowego samobójstwa, musi jakoś żyć i wyprostowywać się z parobczańskiej unizoności. Ten, kto wspomógł ją w tym, zyska na wdzięczności nowo-Białorusinów, którzy – w myśl praw biologii – przejmą w swe przyszłe władanie Republikę Białoruś. Którym Związek Sowiecki będzie jeno suchą informacją o odległych czasach w podręcznikach historii. Przewrotnie metaforyzując – to cmentarze w swej najwyższej instancji załatwią narodowe odrodzenie Białorusinów.✶

Sokrat Janowicz

## Stawanie się narodem

Z Białorusinami kłopot jest taki, że oni dopiero stają się narodem. Ten proces był ciągle wyhamowywany, jak nie przez zachodniego sąsiada to przez wschodniego. Wreszcie terytorium białoruskie – wskutek rewolucji technologicznych (produkcyjnych) – przestaje być łakomym kąskiem kolonialnym. Przestaje być OPLACALNE. Pozostawione teraz własnemu losowi pod przewodem jakiegoś Łukaszenki.

Wcześniej czy później Białorusini więc existują. Jest ich 10 milionów i Rosja nie weźmie takiej masy na swój garnuszek imperialny. I nikt inny. Muszą sami się wyżywić i jakoś rozwijać. Ciężko im będzie, ale specjalnie jakiejś pomocy oni sobie nie życzą, bo to jest formacja przednarodowa, bez świadomości własnych interesów. Jak długo ta amorfia potrwa? Moim zdaniem – przez dwa pokolenia, obecne młode i następane.✶

**DRUKARKI ❖ KOPIARKI**  
**FAXY ❖ SKANERY**  
**MATERIAŁY EKSPLOATACYJNE**

**BIUROMAX**

85-027 Bydgoszcz ul. Jagiellońska 70  
www.biuromax-bialker.pl e-mail: biuromax@byd.pl  
tel./fax 3461528, 3460165, 34601237, 3461306

**AUTORYZOWANY DYSTRYBUTOR**

**MINOLTA**  
**Gestetner**

**AUTORYZOWANY SERWIS**



Alfons Soczyński

## Prawda Starowieku

List otwarty do Joanny Rzeszotek

Jest mi niezmiernie miło, że jak wynika z listu Pani, zamieszczonego w lutowym numerze, znaleźli się, niewątpliwie również dzięki Pani urokowi, Czytelnicy, których zainteresował mój tekst o Stanisławie Vincenzie z grudniowego numeru „Akantu” nr 12, z 2002 roku. Z chęcią służę informacją, w jaki sposób można zapoznać się bliżej z dziełami tego autora, a myślę, że z wielu powodów, które postaram się niżej przytoczyć, warto. Jeśli redakcja „Akantu” pozwoli, chętnie napiszę jeszcze kilka szkiców, oddających moje, wręcz niezwykle, wrażenia z tej lektury. Twórczość Vincenza to bowiem materiał tak obszerny i tak bogaty, że nie sposób zmieścić się na kilku stronach tekstu, bez szkody dla autora i Czytelnika. Będę może jeszcze nie raz w życiu powracał do książek tego autora i mam nadzieję, że również na łaniach naszego ukochanego „Akantu”.

Lekturę pism Vincenza łączę aktualnie z innymi pracami. Największa z nich, to zaplanowana na kilka lat praca nad książką o roboczym tytule „Magiczny Wołyn”, do której od roku zbieram materiały i szkice pierwsze teksty. Moja książka będzie zawierała wrażenia z sentymentalnych podróży, eseje, opowiadania i poezje, poświęcone mojej rodzinnej, prawie zapomnianej już, a niesłusznie, Ziemi Wołyńskiej, która w historii naszego narodu i państwa, zwłaszcza w czasach świetności naszej Ojczyzny, odegrała wielką, dzisiaj niedocenianą rolę.

Ale wracajmy do Stanisława Vincenza. Dla oddania stylu i języka Vincenza będę miejscami przytaczał cytaty z jego książek. W tym szkicu, będą to tylko teksty poetyckie. W następnych nie odmówię sobie pokusy przytoczenia fragmentów prozy. Z mojego doświadczenia wiem, że nie da się po prostu, „z marszu”, przeczytać tych kilku obszernych tomów, ze względu na specyfikę języka, dość na początku trudnego dla osoby nie znającej gwary huculskiej, zawierającej szereg nie tylko rasyjizmów (na szczęście, na końcu każdego tomu jest załączony słowniczek), wielość wątków i postaci, bogactwo opowieści, legend, opisów i przemyśleń. Trzeba się więc powoli przebijać przez te teksty, gdyż, jakkolwiek jest to lektura pasjonująca, to jednak wymaga ciągłego skupienia, cierpliwości i świeżości umysłu. Czasami bogactwo materiału przeraża możliwość jego szybkiej percepcji.

W niniejszym szkicu spróbuję opisać część swoich najświeższych wrażeń z lektury pierwszego tomu „Prawda Starowieku”, zdając sobie sprawę z subiektywizmu i prosząc o wyrozumiałość, jeśli kogoś w przypiływie swoich subiektywnych wrażeń, urażę.

Dużo miejsca w książkach Vincenza, zajmują magiczne wręcz, opisy Czarnohorskiej przyrody i próba uchwycenia jej jakby duchowych, wiecznych, kosmicznych rytmów i doroczných cykli.

„Zadudniły czarne tucze, idą z Czarnohory  
Przylatują dwa sokoły - siadły na jawory  
Jeden patrzy w szlak wędrowni, drugi  
szuka gniazda  
Jeden sokół czarny junak, drugi siwy gazda  
Zderzyły się dwa sokoły, błyszczą szpony  
krzywe  
Oj już upadł sokół jasny wronom na pożywę  
Już ci brata nie optakać co poszedł na marne  
Wrony kraczą - i jut z dolów pełzną  
chmury czarne”

Czarnohora jest częścią wschodniego pasma Beskidów. Leży na południowy wschód od Bieszczad, od których odgraniczają pasmo Gorców. W Rzeczypospolitej Polskiej, po 1918

roku, należała do województwa stanisławowskiego i stanowiła najdalej kresy naszego kraju, graniczące z Rumunią. W czasie zaborów należała do Austrii. Od mojego magicznego, nie mniej bogatego w przejawy, zadziwiającego działania ducha dziejów, Wołynia, oddziela ją Podole. Bogaty i barwny, wręcz dla nas egzotyczny, jest, przedstawiony w książkach Vincenza, świat tamtejszych ludzi. Przewijają się rolnicy i hodowcy zwierząt - bacowie, i ich pomocnicy - najmici, parobkowie. Są tam wędrowni handlarze - Żydzi, Ormianie, wędrowni rzemieślnicy - Niemcy, Węgrzy, Cyganie. Gdy trzeba, pojawiają się wróżbiarze, wieszczuny i czarownicy. Wreszcie, najwięksi owiani legendami bohaterowie - opryski, czyli junacy - zbójnicy - jakbyśmy ich dziś nazwali, wśród których ważna była postać watażki. Do opryszków przystępowała młodzież z okolic, czasami nawet zubożała szlachta, zbiegowie z wojska, ludzie zagrożeni za jakiś czyn wysokimi karami oraz młodzieńcy unikający branki w żołdacy. Niejeden watażka za swoje czyny zawisał na szubienicy, ale czasami także przechodził do legendy jako bohater ludu. Watażka, kochający swój kraj, jakże inaczej aniżeli niektórzy dzisiejsi politycy, czemu dawał nie raz przykłady ryzykując życiem oprócz odwagi, sprytu i sprawności, musiał mieć charyzmę. Wielu z tych ludzi wyrasta ponad przeciętność i o nich powstają opowieści, wiersze i pieśni, które autor zbiera i przytacza w swoich książkach:

„Matko znają mnie Dunaje  
Gdy ja idę - fala staje  
Przejdę - wał się zamknie z grzotem  
Rozbóg wita mnie szczybiotem  
Bór hołubi pobratyma  
Zgraja wilcza straż mi trzyma

Weż garść piasku moja neni  
I posiej go na kamieniu  
Kiedy na piasku modre zejdą kwiaty  
Wtedy powróci syn do ojców chaty”

Jest Vincenz w swoich książkach jakby kronikarzem, ale zarazem także twórcą legendy. Opisani są tu także ludzie obcy, wdzierający się w świat huculów i zagrażający slobodzie, czyli naturalnej, jakby przyrodzonej, pierwotnej wolności, która wraz z rozwojem tak zwanej cywilizacji jest w swojej istocie zagrożona. Przewodzą obcym, stanowiącym zagrożenie dla slobody i stoją za nimi różnego rodzaju panowie, a wśród nich, występujący w książkach Vincenza książęta i cesarze. W ich imieniu działają podpanki, czyli słudzy panów - urzędnicy, policjanci i żołnierze. To są ludzie obcy dla matki Gai, jak wielu dzisiaj na naszej planecie, którzy nie kochają tej ziemi, oni chcą z niej wydusić pieniądze, a przez swoją interesowność i pazerność, rozsiewają w pierwotnym, przyrodzonym raju, okrutną zarzę.

Pamiętam jak mój ojciec bał się, abym nie zdradził jego i ludu wołyńskiego, i nie przystał do klanu panów, ale równocześnie pragnął dla mnie pomyślności, może chciał, abym został jakimś współczesnym watażką, przychylnym ojcu i naszemu rodowi. W części spełniłem te ojcowskie marzenia, stając się piewą własnej, mojego dziadka i ojcowskiej legendy, ale jak dotąd, poza piękną legendą, nie natrafiłem na ukryte w naszych rodzinnych górach, w Kamiennej Górze gdzie się urodziłem, wielkie, królewskie, godne mego rodu, skarby, poza skarbami wspomnień...

Świat prostych ludzi huculszczyzny, który zrosił się z tą krainą i przyswoił ją nie bez

wielkich przeszkód do potrzeb ludzkiego życia, był twardy, wymagający codziennego trudu i odwagi, czasami bolesny, a nawet okrutny, ale zarazem w twórczości Vincenza jakże piękny i poetycki. To piękno i poezję oddaje proza Vincenza z całym bogactwem i nieuchronnymi powikłaniami. Jest to proza bardzo jędrna, czasami chropowata, pełna niespotykane interesujących skojarzeń, zwrotów i zbitek językowych, daleka od gładkiego języka literackiego naszych salonów, do jakiego z wszystkimi niezbędnymi i niepotrzebnymi przecinkami, jesteśmy dzisiaj wdrażani. Jest to dzieło wielowątkowe i wielomelodyjne, tak bogate, jak bogactwo ludzkich dziejów i natury, w którą jesteśmy od wieków jakby wtłoczeni oraz sprzężonych z naturą od samego początku, powtarzających się, a równocześnie za każdym razem niepowtarzalnych w swym bogactwie, aktów stworzenia i zagłady. Twórczość Vincenza, wydobywana jest jakby z samego serca przyrody i elementów jej duchowości, pokazuje zadziwiającą duszę hucula - człowieka lasu i gór oraz pełne niespodziewanych zawilosci, zagadki i odpowiedzi na zagadki ludzkiego losu. Widziany oraz przeżywany świat wygląda i brzmi jakże inaczej, o wiele barwniej, nie tak rutynowo, nie tak jednopłaszczyznowo, nie tak interesownie, jak to co widzimy i przeżywamy w naszym dzisiejszym życiu.

Piotr Kunczewicz we wstępie do tomu „Prawda Starowieku” nazywa Vincenza odważnie, zaskakująco i niemal ryzykownie - *Homerem Czarnohory*. Ale po jakimś czasie, gdy wgłębiłem się w tę lekturę, myśł - rzeczywiście, pobrzmiwają nie raz w tekstach Vincenza tony zbliżone do wielomelodyjnych pieśni homeryckich, widać się poplątane i zadziwiające losy bohaterów, przypominające niekiedy losy bohaterów Iliady i Odysei. Bohaterowie jego, jak herosi Homera, zanurzeni są w dziejach, tkwią swoimi korzeniami w glebie ducha natury, podczas gdy my, jakbyśmy chcieli powyrwać i zniszczyć wszystko co nas trzyma w duchu naszych dziejów i przybliża do misterium kosmosu. Znaleźliśmy się nagle, gnani pogonią za pieniądzem, nie zawsze z własnego wyboru, ale z powodu wyboru i zarządzeń administratorów naszego życia, w jakimś wehikule, który pędzi do nikąd.

„Nieskalane Słoneczko, prawe lice Boże  
Praojciec i piastun rodów ludzkich  
Słoneczko - Hospod- ognisty  
Lelijo Słoneczko! zapasne prawe!  
dojrzyjcie mnie grzesznego!

A jak ja wyjdę z nocy głębiny,  
A jak ja wyjdę cicho - cichutko,  
A jak ja wyjdę, rano - raniutko,  
W niedzielę świętą rankiem wypłynę  
To uraduje się moim zorzom  
Zwierka i ptaszka i rybka w morzu  
Rade mi ziola i łąki zielne  
Cerkiewne bramy rozewrą się same  
Same się święte służby odprawiają  
Zdrowiem obdarzą - od złego zbawiają”

Ktoś, mający podejście tak zwane realistyczne lub pseudonaukowe, nasz płaski jak naleśnik realista, czasem purysta religijny, albo tak zwany biznesmen, ślepy na przyrodę, bojący się też duchów, bo nie zawsze te duchy są takiemu jak on człowiekowi przyjazne, nie ma czego szukać w krainie Vincenza, gdyż od razu ucieknie ze strachu albo go pogonią. Duchy tamtejsze bowiem potrafią być nadspodziewanie groźne dla obcych, szczególnie dla tych, którzy próbują zbudować raj oparty na pieniądzu, gdzie pieniądz i siła, ma zastąpić to, co najpierwsze na świecie i ostatnie - Boga.

Nie wiem, czy wolno mi, jak to życzy sobie miła Czytelniczka w liście, kopiować fragmenty tekstów, zresztą nie ma takiej potrzeby, jeśli można poszukać w bibliotekach, a nakład każdego tomu wynosi około 10 tysięcy egzemplarzy. Te książki trzeba i warto poczytać, poznać niewyobrażalny dla współczesnego mieszczucha



i nie tylko dla niego, świat, przenieść się w krainę z pogranicza rzeczywistości i bajki, krainę tysiące razy ciekawszą od najciekawszego Harry'ego Pottera, czy innego, wykreowanego za wielkie pieniądze bestsellera, ponadto krainę nie wyдуманą, ale autentyczną, ludową i naszą, rodzimą. Szkoda, że skazaną może na zagładę, a dla nas, tak bardzo już zagubioną. Czy jednak bezpowrotnie? Od czego jednak mamy, na razie choćby, wyobraźnię i język autora oraz wyobraźnię swoją?

P.S.

Podaję dla miłej czytelniczki – Joanny Rzeszotek oraz dla innych zainteresowanych, znane mi tytuły książek Stanisława Vincenza, opublikowanych w Polsce, w okresie od 1980 roku, pod ogólnym tytułem „Na wysokiej połoninie”:

Pasmo I Prawda Starowieku, IW PAX Warszawa 1980

Pasmo II Nowe czasy, IW PAX, Warszawa 1981

Księga I Zwada IW PAX, Warszawa 1981

Księga II Listy z nieba, IW PAX, Warszawa 1982

Pasmo III Barwinkowy wianek, IW PAX, Warszawa 1983

Wydania te oparte są na wydaniu londyńskim pism Stanisława Vincenza, z roku 1970. Raduj się Ziemi! Jest z nami Joanna Rzeszotek ze swoją grupą fanów „Akantu” i jest z wami wystarczająco stary, ale jeszcze jary, Alek, Alf, Alfond, w sumie o jedenastu imionach człowiek, w skrócie A. S., czerpiący siły z duchów kropel deszczu, wiatru, roślin i zwierząt, z przewrotnej filozofii przyrody doliny Baryczy, z antycznego „Akantu”, bardzo przesiąknięty dzisiejszymi, nie zawsze godnymi laurów, ambicjami Wrocławia, trwały tylko przez ciągłą więź z wiecznym Wołyniem i z boskim Vincenzem. Wierzę, że z pomocą „Akantu” i innych idealistów, uratujemy Cię, Ziemi!

Mam wielką pokusę, aby Joannie Rzeszotek, przyznać grudkę *Ekonażdiei Gai*, jeśli jakąś jeszcze kiedyś znajdzie w Starej Hucie. Ale będę się bardzo starał. Serdecznie pozdrawiam i z początkiem wiosny, zaczynam szukać dla Pani Joanny, grudki *Ekonażdiei*. Gdy ją znajdzie, z całą przyjemnością wręczone ją Pani.

Jerzy Przybyszewski

## Ciepło nasze kochane

W tłumie, opuszczającym terminal portu lotniczego, kilkunastu pasażerów włącza telefony komórkowe, by za ich pośrednictwem przesłać krótkie sygnały. Sygnały te docierają do mikroprocesorów, sterujących urządzeniami, dostarczającymi ciepło do mieszkań zapobiegliwych pasażerów. Włączony na czas nieobecności lokatorów oszczędnościowy program ogrzewania ustępuje miejsca bardziej intensywnemu, zgodnie z otrzymanym sygnałem. Gdy właściciele docierają z lotniska do swych domów, panuje w nich już miłe ciepło.

Tak wygląda teraźniejszość ciepłownictwa. Nie tylko w rozwiniętych krajach zachodniej Europy, gdzie wszystkie nowinki techniczne służące oszczędzaniu energii, szybko stają się chlebem powszednim. Również w naszym kraju, a nawet w rodzinnym mieście, dysponujemy wyrafinowanymi sposobami oszczędzania ciepła. Jedynie brak środków na gruntowną modernizację spółdzielczych zasobów mieszkaniowych stoi na przeszkodzie upowszechnieniu sterowania oszczędzaniem, w takim stopniu, byśmy mogli z niego korzystać wszyscy.

Dzień wczorajszy ciepłownictwa był zupełnie inny, niż opisany na wstępie, choć na pewno nie z powodu braku telefonów komórkowych. Niektórzy z nas mogli przecież zadzwonić sobie z lotniska do domu i ...przykazać panu palaczowi, żeby podrzucił do kotła. Co prawda nie było to jeszcze ciepłownictwo, lecz ogrzewnictwo. Z ciepłownictwem, które jest przedmiotem niniejszego kalendarium, zetknęliśmy się dopiero wówczas, gdy pojawiają się wyższe parametry ciśnienia i temperatury energii cieplnej.

Budowniczym, stawiającym w Bydgoszczy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pierwsze ciepłownice osiedlowe, wizja przyszłego zautomatyzowanego ciepłownictwa zapewne nawet się nie śniła. Wystarczająco skomplikowane było wówczas dla nich dostarczenie ciepła o wymaganych parametrach do ogrzewanych obiektów. I nie mówiono wtedy nawet o oszczędzaniu ciepła, ani tym bardziej o ochronie środowiska. Głównym problemem ciepłownictwa w latach sześćdziesiątych było ogrzanie budowanych masowo blokowisk, zwanych osiedlami mieszkaniowymi.

Początki ciepłownictwa wiążą się przede wszystkim z chronologią tworzenia osiedlowej infrastruktury ciepłowniczej, – jeśli spojrzymy od

strony tych, którzy mieli być ogrzewani. Natomiast od strony tych, którzy mieli ogrzewać, nierozzerwalnie z historią ciepłownictwa bydgoskiego związana jest bydgoska energetyka zawodowa. I to niemal od początku, bo za takowy należy uznać przebudowę elektrowni Jachcice na elektrociepłownię.

### Ciepło z dostawą do domu.

Cofnijmy się do lat pięćdziesiątych. Powstają w Bydgoszczy pierwsze osiedla mieszkaniowe. Budowę pierwszej tzw. wysokoparametrowej ciepłowni przy ul. Modrzewiowej na osiedlu Leśnym, poprzedza powstanie kilku osiedlowych kotłowni niskoparametrowych przy ul. ul. Kapuściska, Murarzy, Jaworowej i Czerkaskiej.

Rosną kolejne dzielnice. Ciepło dla nich wytwarzane jest w ciepłowniach, które swoje nazwy biorą od nazw osiedli. „Żywym” przykładem funkcjonującym do dzisiaj jest ciepłownia „Błonie”, (zwana przez załogę KPEC pieszczotliwie „Babcia”). To właśnie zaplecze warsztatowe tej ciepłowni dało początek budowie siedziby bydgoskiego przedsiębiorstwa ciepłowniczego. Obiekty po zlikwidowanych ciepłowniach „Bartodzieje - Skrzetusko” przy ul. Gajowej i „Szwederowo” przy ul. Konopnickiej zostały adaptowane na siedziby osiedlowych agend spółki.

W tym samym czasie powstaje ciepłownia przy ul. Fabrycznej, zasilająca w ciepło „Dzielnice przemysłowo - składową”, zwaną tak obiegowo nie tylko przez ciepłowników, oraz kotłownia osiedlowa przy ul. Podchorążych.

Budowany wówczas system doprowadzania ciepła do mieszkań oznaczał niewątpliwą postępowanie, w porównaniu z ogrzewaniem za pomocą kotłowni lokalnych, nie mówiąc już o ogrzewaniu piecowym.

Później zbudowana została ciepłownia „Fordon” przy ul. Altanowej (funkcjonująca aż do 1999 r.) oraz ciepłownia „Osowa Góra”, która jest do dnia dzisiejszego jedynym źródłem zaopatrzenia w ciepło dla tej dzielnicy, do której miejski system ciepłowniczy nie dotarł. Na obrzeżach miasta w pobliżu lotniska powstała w latach osiemdziesiątych duża ciepłownia, którą już w latach dziewięćdziesiątych miasto odkupiło od „Prefabetu”. Jest to ciepłownia „Białe Błota”.

Od zakończenia wojny w 1945 r. do roku 1963 ogrzewnictwem, a następnie ciepłownictwem w Bydgoszczy zajmował się Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych - praprzodek obecnie działającej w Bydgoszczy spółki – Administracji Domów Miejskich. Pod jego rządami pracowały wymienione na wstępie ciepłownice i kotłownie osiedlowe oraz blisko 240 kotłowni lokalnych w poszczególnych budynkach. Rozwój ciepłownictwa bardziej złożonego technicznie doprowadził w 1959 r. do wyodrębnienia w ramach struktur MZBM Zakładu Gospodarki Ciepłej, który stał się załącznikiem Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej powołanego uchwałą Miejskiej Rady Narodowej nr 50/14/63 z 9 grudnia 1963 r. W grudniu br. obchodząc będziemy 40 – lecie powstania MPEC.

Powołaniu specjalistycznego przedsiębiorstwa ciepłowniczego towarzyszyła przebudowa starej elektrowni Jachcice na elektrociepłownię. Niskosprawnej (16-17%) elektrowni groziło u progu lat sześćdziesiątych całkowite zamknięcie. W 1960 r. powstała jednak koncepcja ucieplenia miasta, liczącego wówczas już ponad 200 Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy na mocy zarządzenia nr 47/70 z 7 grudnia 1970 r. przejęło MPEC i na bazie miejskiego przedsiębiorstwa utworzyło pierwsze w kraju Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki



Budynek Zarządu KPEC, lata 70-80-te XX wieku

Fot. Tytus Żmijewski





Pierwsze komputery - lata 80-te XX wieku

Fot. Tytus Żmijewski

tys. mieszkańców. Udowodniono opłacalność przebudowy nieekonomicznej elektrowni kondensacyjnej na elektrociepłownię. Wytwarzanie energii cieplnej i elektrycznej w ramach jednego procesu produkcyjnego zwanego „kogeneracją”, lub produkcją ciepła, w „skojarzeniu” z produkcją energii elektrycznej jest bowiem do dzisiaj najbardziej efektywnym sposobem wytwarzania energii cieplnej.

Zmodernizowanej elektrociepłowni dotychczasowe schłodzenie przy pomocy kondensacji zapewnił system ciepłowniczy. Pierwszymi odbiorcami pary technologicznej stały się ZNTK, później Papiernia, „Eltra”, „Belma” i „Astoria”. Zasadnicza przebudowa elektrowni Jachcice przeprowadzona została w latach 1963 - 1967. Pierwsze ciepło, przeznaczone do ogrzewania miasta dotarło w sezonie grzewczym 1965/1966 rurociągami cieplnymi do „Śródmieścia” i „Błonia”. Dzięki przebudowie elektrowni powstało w mieście, źródło ciepła o najwyższej sprawności i najniższym wskaźniku zużycia paliwa umownego. Ten prosty rachunek ekonomiczny oznaczał wyrok śmierci dla wielu nieefektywnych kotłowni lokalnych i osiedlowych, do których została wkrótce doprowadzona sieć rurociągów cieplnych.

Rozpoczynające działalność z początkiem nowego -1964 r. Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej zatrudniało początkowo 127 pracowników, dysponując mocą 150 MW. Długość eksploatowanej sieci rurociągów cieplnych wynosiła 18 km. Lata 1964-1970 przebiegały już pod hasłem powszechnej likwidacji kotłowni lokalnych, postępującej w miarę rozwoju sieci cieplnej, zasilanej przez Elektrociepłownię „Jachcice”.

U schyłku 1970 r. załoga MPEC liczyła 479 pracowników, długość sieci cieplnej przekraczała 72 km. W systemie ciepłowniczym miasta funkcjonowało już znacznie mniej, bo tylko 110 kotłowni lokalnych. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że zmniejszeniu uległa „niska emisja zanieczyszczeń”. Wówczas jeszcze ochrona środowiska nie cieszyła się łaską budowniczych kraju.

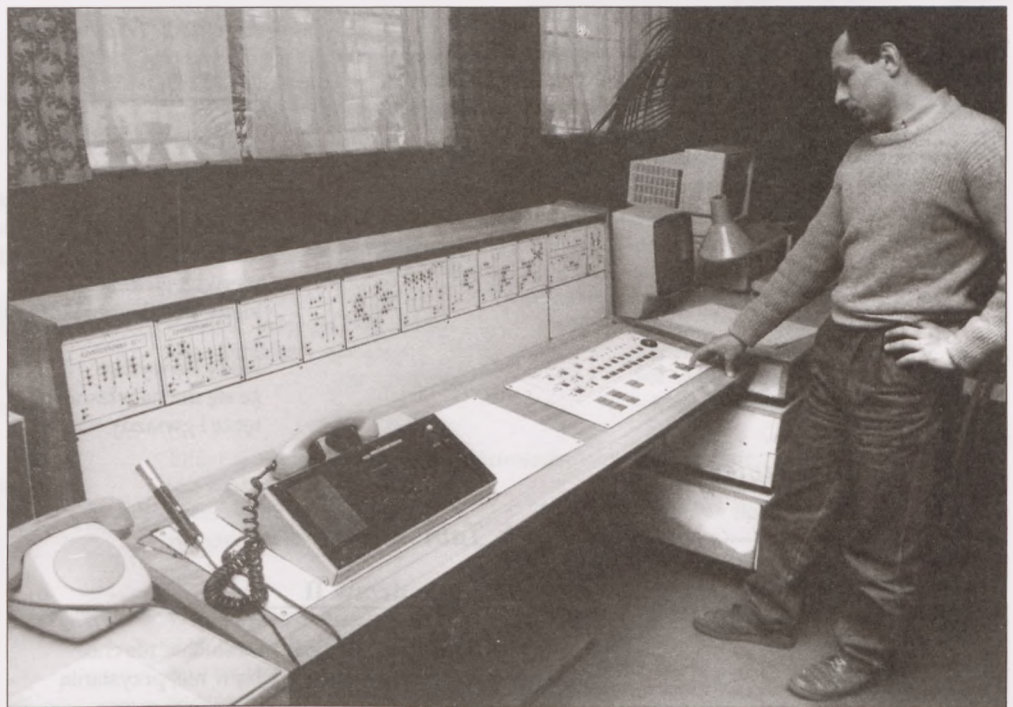
Krokiem milowym dla rozwoju ciepłownictwa miejskiego stała się budowa kolejnych dużych dzielnic mieszkaniowych „Wyżyny” i „Barłódziej” oraz decyzja o przyszłej budowie dzielnicy „Fordon”. Ciepło dla tych osiedli zapewnić miała budowa drugiej nowoczesnej elektrociepłowni w mieście.

### Fabryka ciepła.

1 marca 1966 r. rozpoczęła się budowa nowoczesnego źródła ciepła we wschodnim rejonie miasta w okolicy Zakładów Chemicznych. Tam właśnie powstała druga elektrociepłownia, której

moc cieplna z chwilą zakończenia I etapu budowy wynosiła 210 Gcal/h<sup>5</sup>. Postępujący rozwój budownictwa mieszkaniowego, infrastruktury i przemysłu spowodował dalszy wzrost zapotrzebowania na energię cieplną, zwłaszcza w rejonie wschodnim i zachodnim miasta.

1 stycznia 1971 r. powstał Zespół Elektrociepłowni Bydgoszcz. Od tego dnia elektrociepłownię „Jachcice” nazywamy - EC I, elektrociepłownię przy ul. Energetycznej - EC II, zaś elektrociepłownię „Zachemu” - EC III.



Początki dyspozycji, lata 80-te XX wieku

fot. Tytus Żmijewski

W 1976 r. nastąpiła dalsza rozbudowa elektrociepłowni EC I na Jachcicach, która w 1978 r. zwiększyła jej moc cieplną o 50 Gcal/h. Z kolei EC II już w roku 1974 osiągnęła moc cieplną 420 Gcal/h. Plany dalszej rozbudowy EC II zakładały podniesienie jej mocy do poziomu 980 Gcal/h. Pomimo to nadal występowała konieczność budowy nowych centralnych źródeł ciepła. Zapotrzebowanie w 1985 r. mocy cieplnej dla dzielnicy Fordon szacowano na 425 Gcal/h. Planowano budowę EC IV - Fordon. Na szczęście pozostała ona tylko w planach.

Starsi z nas pamiętają jeszcze, że w latach osiemdziesiątych dzienniki telewizyjne zwykły

zaczynać się od krzepiących wiadomości, dotyczących oddania do użytku „trzeciego kotła” w którejś z krajowych elektrowni, bądź całego bloku energetycznego o mocy iluś tam megawatów. Zwiększone moce wchłaniał bez reszty energochłonny przemysł. Dlatego pamiętamy także „25 stopień zasilania”, który przeszedł nawet do historii polskiego filmu. Z perspektywy dnia dzisiejszego możemy jednak mówić o szczęściu, że tzw. „stały i dynamiczny rozwój kraju...” na tyle w latach osiemdziesiątych zwolnił tempa, że w Bydgoszczy EC IV nie powstała. Bo i bez niej, pozostające dzisiaj w dyspozycji moce bydgoskiego ciepłownictwa, pozwalają na zaspokojenie potrzeb miasta uprzemysłowionego i liczącego grubo ponad 600 tysięcy mieszkańców!

Bydgoski przemysł nie przeżył transformacji gospodarczej z początku lat dziewięćdziesiątych, zaś szanse na osiągnięcie przez Bydgoszcz chociażby 500 tys. mieszkańców są już tylko iluzoryczne. Niewykluczone, że zanim to nastąpi, postępujące ocieplenie klimatu sprawi, iż dla ogrzania naszych mieszkań wystarczy energia słoneczna, zaś energię elektryczną będziemy pozyskiwać wyłącznie ze źródeł poruszanych siłą wiatru lub wodospadu...

### Patroni ciepłownictwa.

Powróćmy jeszcze do historii bydgoskiego ciepłownictwa, które pozostawiliśmy w latach siedemdziesiątych, gdy wracało ono dopiero na drogę wspomnianego: „stałego i dynamicznego rozwoju...” W ciągu niespełna siedmiu lat działalności, MPEC dorobił się grona specjalistów, potrafiących lepiej od innych radzić sobie z zawiłościami technologicznymi ciepłownictwa.

Takich specjalistów brakowało, zarówno w spółdzielczości mieszkaniowej, jak i w przedsiębiorstwach komunalnych na terenie województwa,

zajmujących się ciepłownictwem. Dostrzeżono ten problem. Wojewódzkie Zrzeszenie Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej Mieszkaniowej, początkowo nałożyło na bydgoski MPEC obowiązek sprawowania tzw. „patronatu” nad działalnością ciepłowniczą w całym województwie bydgoskim, w jego granicach sprzed roku 1975. Efekty patronatu pomimo wysiłków kadry MPEC nie były wielkie. Przyczyną tego stanu rzeczy był brak uprawnień decyzyjnych.

Koniec części pierwszej



## Jacek Tabisz

### Pieśń twojego anioła

Widziałem jak wchodzisz na ciemne wzgórze  
Chuda jak cień i drżąca gwiazdami  
I twoje dłonie delikatne szeptem  
Znaczące skały czarnymi smugami

Widziałem w twoich oczach pęknięte zwierciadła  
Wysmukłe kwiaty martwego błękitu  
I twoje stopy zgubione wśród trawy  
Gdy biegłaś rwąc cienkie nitki światła

Jestem tylko echem twojego wołania  
Zimnym księżycem twojego spojrzenia  
Lecz krzyczę zielenią liści i płacząc deszczem

Śnij wtulona w moje białe skrzydła  
Niech włosów twych nie burzą krople wosku  
Pozwól mi być lkarem i biegnij w ciche kraje

## Jacek Tabisz

\* \* \*

Dalej jest tylko morze. Jak okruch dnia.  
Dojrzewa w słońcu powoli pijąc z ziemi jej własną tajemnicę,  
Łączy ze sobą palce mgieł pożółkłe od wiecznego wołania...  
Za snem żegluję jeszcze jeden sen. Oko księżycy.

Światło wytycza stopnie błękitu. Schody głębin.  
Gamy półcienia składają się w etudę. Muzyka gaśnie powoli.  
Dalej niekształtne stworzenia o oczach zlepionych z latarni.  
Trwają przy dnie skupione na własnym istnieniu.

Srebro odbitego słońca opada w skamieniałych łuskach.  
Ziemia wznosi się przytłumionym ogniem. Woda zgniata lawę.  
Niżej. Coraz niżej całun mroku odziera życie z szaty wdzięku.

Myśl płonie pod niebem alg i wodorostów. Ocean trawi.  
Znikają polacie nurtów bezsensnych. Rodzą się nowe zagadki.  
Zmęczony motyl blasku rozplywa się, opada, ginie!

## Norbert Skupniewicz

### 26.II.

na wprost  
drzwi znużone

niepewne kierunki  
zamykane otwarte  
potrącane w zawiasach  
jak chorągiew u szczytu  
wahają się w niepewności

bezradne

co ważniejsze w wszechświecie  
zamykać  
otwierać

wprost drzwi znużonych  
dziecko stoi

chłopiec

## Stanisław Szwarc

### TO

O tym da się pomyśleć na różne sposoby.  
Przez łzy, lecz i z uśmiechem wymuszonym  
własnoręcznie, z zębami zaciętymi od zimnej logiki,  
a nawet, bardzo rzadko, z wisielczym humorem.

O tym wypada pomyśleć przez wzgląd na nas samych.  
Troskę o to jedno, co pewne jak życie  
w przyszłości ciemnej, tak blisko dalekiej,  
gdy nie ma kogo pytać o szczegóły.

O tym trzeba pomyśleć przez szacunek dla tych,  
o których już nic, tylko da się myśleć  
i nasza myśl jest im formą istnienia jedyną,  
nie licząc listów, zdjęć i temu podobnych drobiazgów.

O tym można pomyśleć z pewnością nie od razu.  
Potrzebny jest pewien dystans,  
gdy oddali się od nas, otarłszy się przedtem  
cicha jak kot i jak on z pazurami.

Pomyśleć i nazwać, i żyć...  
I żyć dalej.

## Łukasz Mańczyk

\* \* \*

kiedy się to robi  
po raz pierwszy  
kiedy się oddycha po raz pierwszy  
kiedy się trzyma za rękę po raz pierwszy  
kiedy się po raz pierwszy robi starszym  
pierwszego dnia  
kiedy się zdaje że ktoś przyjdzie

kiedy się wydaje  
że się ma na własność  
tęczę i gwiazdy

## Łukasz Mańczyk

\* \* \*

odrzuć  
chcieliby pójść we włosienicy  
i z złotym krzyżem  
ale nie mogą

odrzuć z niejasnych powodów

zawsze się czuli trochę inaczej  
sami w nowym roku  
na przystanku nocą

samotność pod mikroskopem

## Norbert Skupniewicz

\* \* \*

o wschodzie słońca  
między rozświetlone kłęby listowia  
grzęzną ciemne głębie

miasto nadal zalega  
toczy zgiełku bezsens  
drga

kosy nie wołają mnie jeszcze  
w czarną stronę  
każą stanąć w miejscu

i stoję  
gdy na torowisku  
pociąg pełnią kręty

## Jacek Tabisz

### Requiem dla drzew II

niech wysłucha mnie noc gdy nikt słuchać nie chce  
bo noc jest wyspą samotną i cichą w niej przystaną  
jest ramieniem i ostrzem i jest drogą tego ostrza  
jest sierpem księżycy który plewi przestrzenie graniczne  
i w mroku gęstniejącym zatopionym w rytmie  
krążą ptaki ognia po arteriach rzeki  
imię jedno krzyczą dziwnie zabobonnie  
nadając znaczenie rzeczom nadając kształt rzeczom  
kto pierwszy zamknie oczy by wcieliły się duchy  
i domem uczyni swój lęk zakryty ciemnością  
by mogła trwać wiecznie niezwykła przemiana  
jestem ogniem o ciepłych powiekach  
moje oczy zarosły dębowymi liśćmi  
jestem rzeką o ciemnych powiekach

## Stanisław Szwarc

\* \* \*

Zwykły żuraw  
z ramieniem nachylonym  
nad studnią.  
Samotna para w polu.  
Relikty.  
Nic tylko oni.  
Wierni sobie,  
opuszczeni.  
Nawet wiadro  
odcięte.  
Jeszcze trwają  
i murszejąc latami,  
spoglądają na siebie  
z czułością.



**Jan Junkiert****Rykoszetem do: „Kozła ofiarnego”**

Ewie Pralat

A może inaczej i tak nieraz trzeba,  
Choć się nie tłumaczę, nie winię, że Ewa.

Bywa też odwrotnie – Adama się wini,  
Czy Ewa przewrotna, czy Adam do bani?

Jeżdżę starym „Poldkiem”, żona ciągle gada,  
Popatrz na sąsiada, jaka piękna „Łada”.

Sześć lat harowałem na naszej chałupę,  
Sąsiad w rok zbudował z klimą, własnym sumptem!

Kiedy nad jezioro jechaliśmy latem,  
Żonie się madziarski zamarzył Balaton.

Rzekłem: – *Moja żonko, każda woda chłodzi,*  
– *Ale tam jest płytko nie potrzeba łodzi.*

W pracy się nie staram, w domu nie potrafię,  
O łożę nie pytam, mógłbym strzelić gafę.

Tak przez całe lata żonka mi wytyka:  
– *Popatrz na Adama, Krzyśka czy Patryka.*

*Ich żony jak lale w luksusach pływają,*  
*Ty w kredytach toniesz, oni wszystko mają!*

Więc, droga mi Ewo, choć kocham kobiety,  
Nie zgadzam się z Tobą i powiem: *niestety.*

Źle, że Twa pramatka to jabłko zerwała,  
Dzisiaj byłbym w raj. Ot i prawda cała!

**Georgi Gospodinow****O Ogniu Wiecznym**

Znam kilku włóczęgów, ogrzewają się przy Ogniu Wiecznym,  
ich nogi są bose, a zima zła – modlą się do Boga,

tam niedaleko Newskiej cerkwi (ich świeczką – Ogień Wieczny)  
i nie jest to Powieszenie Wasyla Lewskiego, nie jest alegoria,

ogień jest ogniem, płonie, dając ogień ich papierosom,  
wieczorem w jego świetle bardziej piśmienni sylabizują  
„Bułgario,

za ciebie oni po-mar-li...”, zaśmiewając się wstrętnie,  
jeśli jest czym, zapijają, później wyciągają noże,

szczują się jak psy, wyją jak wilki do Księżyca  
lub mrą z zimna na brudnym żółtym bruku,

tam obok Ognia Wiecznego jak rozrzucone pety  
widziałem twych gasnących synów, Bułgario.

Z bułgarskiego przetłóżył Robert Wilczyński

**Jacek Tabisz****Gdy ziemia ruszała na wojnę**

Na jaką wojnę wyruszyły rzeki  
W ramiona mórz bezlitośnie rzucone  
Jak nagie włócznie bezcielesnej ziemi  
Która pragnie pomścić pomarszczone czoło

Czyje duchy rzuciły do wody srebrne miecze  
Co mówią sztandary alg i wodorostów  
Ziemia wezwała swoje armie  
Aby utkać znów ciszę skalnych ogrodów

Co tu robisz rybaku księżycu  
Śpiewała mi ziemia gdy wędrowałem  
Licząc ze śmiechem źle wykute pstrągi

Przysłała mnie barwa twojego motyla  
To deseń płomienia który nie gaśnie  
Mała siostrzyczka w ciepłe twoich dłoni

**Maria Zabierowska****Przeznaczenie**

Praca jest powołaniem  
odbiciem boskiej kreatywności  
jest darem człowiekowi

Rzeczy osiągają swą prawdziwą wartość  
służbą dobru innych  
mają źródło w Boskim akcie

Rzeczami nie wolno rozporządzać  
bez podporządkowania dobru  
- i to (dobru) *każdego* człowieka

Zatracić perspektywę rzeczy  
ergo kataklizm globalny  
*i w moralności*

Bliźni w ekonomistycznych (na)strojach  
jest konkurentem  
przeszkodą  
wrogiem człowieka

W panowaniu służebnym  
z mądrością i miłością  
inni są braćmi  
siostrami

**Beata Anna Pokorska****elegia na śmierć szmula zygelbojma**

„złożyłem raport”  
Jan Karski

*czy wypełni pan misję*  
człowiek druty kolczaste wysoki i twardy  
tylko oczy mrok getta tamta kromka chleba  
z marmoladą na resztkę papieru  
*odsunąłem od siebie i podziękowałem*  
czyjeś akedah

żeby z bronią w rękę  
hermeneutyka śmierci interesy diabła  
puste usta jehowy diaspora w obłokach  
wkrótce coś się wydarzy  
*wiedzą lecz niczego nie widzą*  
statystycznie

*jesteśmy ludźmi czy pan to rozumie*  
rozwiązane erc przesłanie do kogo  
prezydent śniada głuche armie świata  
służba podaje jajka w koszulkach milczenia

patrz izraelu szmul zygelbojm frunie  
na niearyjską stronę

**Maria Zabierowska****Wolność: na rok 2006**

(czyli Marianna Bocian na seminarium)

Prawda  
jest wolnością od pozorów  
złudzeń  
sztucznych ograniczeń  
jest źródłem

„Zewnętrzne zniewolenie  
jest złem mniejszym”  
- Marianna wołała

„Zniewolenie zewnętrzne  
jest do pokonania”  
- gromiła Bocian

I jeszcze:  
„Wolność musi być  
*podporządkowana!*”  
- oto Marianna Bocian

**III Ogólnopolski Konkurs Literacki Ziemi Lubelskiej im. Józefa Łobodowskiego**

Konkurs ma charakter otwarty i odbywa się co dwa lata. Mogą w nim brać udział autorzy zrzeszeni i nie zrzeszeni w związkach twórczych, bez względu na miejsce zamieszkania.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie zestawu pięciu wierszy (w czterech egzemplarzach) o treści dowolnej. Szczególnie promowane będą utwory podejmujące problematykę wschodniego pogranicza kultur. Wiersze nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane na innych konkursach.

Zestaw utworów powinien być opatrzony godłem. Do tekstów należy dołączyć zaklejoną kopertę podpisaną tym samym godłem, a zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres i telefon autora.

Wiersze należy nadsyłać do 18 września 2003 roku pod adresem: Związek Literatów Polskich Oddział w Lublinie, 20-010 Lublin 1, ul. Dolna Panny Marii 3, skr. pocztowa nr 229.



Halina Petrykowska

## Kościół świętego Michała

Libreville, jak przystało na stolicę państwa afrykańskiego położoną nad Atlantykiem, szczyt się wspaniałą promenadą, wysadzaną palmami kokosowymi, ciągnącą się wzdłuż nadmorskich plaż. Przy niej rozlokowały się najwspanialsze budowle tego miasta: pałac prezydencki, ambasada francuska, nowoczesne banki, luksusowe hotele, katedra. Przy innej z głównych arterii, uświetnionej pozłacanym pomnikiem głowy państwa, wyrosły: uniwersytet jego imienia, ogromny, przypominający chińską pagodę, gmach ambasady rosyjskiej i supernowoczesny gmach towarzystwa naftowego. Nieco dalej, okolone szczelnie murami, wille miejscowych notabli i Europejczyków.

Pozostały, pagórkowaty teren około 100-milionowego miasta zamieszkują Afrykanie. Chaotycznie stłoczone, parterowe, przeważnie drewniane domki, pokrywa, wszechobecna tu zardzewiała blacha falista. Ulewne tropikalne deszcze wyłobily pomiędzy budynkami głębokie wyrwy, utrudniające wszelką komunikację.

Ten busz małych budowli otacza ciasnym kręgiem, położone centralnie targowisko pełne ryb, manioku, patatów, bananów, ananasów, afrykańskich przypraw i.t.p. Na jego obrzeżach przycupnęły małe sklepiki. Ich właściciele – przeważnie Mauretańczycy, wycoczywają leżąc w cieniu lub chłodząc się wentylatorami. Wystawili na zewnątrz swe towary: góry chińskich garnków, barwne ubiory, szyte według najnowszej mody afrykańskiej, wygodne fotele i kanapy obite pluszem, szerokie małżeńskie łóża, toaletki z wielkimi lustrami, ale też japoński i koreański sprzęt elektroniczny oraz inne skarby.

Fryzjerzy na wystawionych planszach reklamują bogaty asortyment propozycji modnych fryzur damskich i męskich. W niezliczonych maleńkich knajpkach, utrudzeni upałem przybysze sączą leniwie chłodną coca-colę, piwo, wino palmowe lub tzw. „małe wino” – produkt francuski bardzo lichego gatunku, produkowany chyba wyłącznie dla trzęsącego świata.

Ze wszystkich stron, z magnetofonów eksploduje głośna, agresywna, rytmiczna muzyka afrykańska. W powietrzu unosi się mdły zapach aromatycznych przypraw, gnijących owoców i ryb.

Jest niedziela. Korzystając z krótkiego pobytu w stolicy, idziemy pieszo do kościoła pod wezwaniem św. Michała, aby uczestniczyć w mszy.

Świątynia, położona w samym sercu tej egzotycznej dzielnicy, zamieszkałej przez małych, wesółych i wojowniczych członków plemienia Fang, jest szczególnie chętnie odwiedzana, zarówno przez parafian, jak turystów. Zbudowana dzięki staraniom misjonarzy, prowadzących tu od dziesiątków lat pracę duszpasterską, a którzy z pasją i ogromnym zaangażowaniem, poznawali język, obyczaj i potrzeby tubylców, jak też wyzwalałi w nich chęć zbudowania świątyni. Ich wspólny wysiłek zaowocował powstaniem tego oryginalnego dzieła architektonicznego, doskonale przystosowanego do tutejszego klimatu i nawiązującego do sztuki afrykańskiej.

Kościół ten, wyświęcony przez papieża Jana Pawła II, w czasie jego pierwszej pielgrzymki na kontynent afrykański, jest dumą tubylców przybywających tu tłumnie na modlitwę.

Zbliża się godzina rozpoczęcia mszy. Dwa olbrzymie, drewniane tam-tamy, umieszczone przed wejściem, ożywione zręcznymi męskimi dłońmi, uzbrojonymi w bambusowe pałeczki, zrywają wiernych na modlitwę. Rozsunięte ściany odstawiają porośniętą trawą pagórki, na

których jak w amfiteatrze rozlokowali się przybyli, nie mieszczący się już pod dachem wierni. Budowla przypomina teraz olbrzymi namiot, wsparty na smukłych, drewnianych, bogato rzeźbionych kolumnach.

Wokół usytuowanego centralnie ołtarza lokują się chóry. Pieśń „na wejście” rozpoczyna solista pełnym, doniosłym, prawie krzyżącym głosem. Śpiew przypomina dialog pomiędzy nim a wtórującym mu chórem; jest bardzo rytmiczny, złożony z krótkich fraz, powtarzanych dziesiątki a może setki razy przy akompaniementie tam-tamów, cymbalków i grzechotek. Chórzyści, przystrojone w fantazyjne turbany, potrząsają oburącz nad głowami białymi pióropuszcami. Ich ciała poruszają się w rytmie melodii. Zainicjowany śpiew i ruch wciąga wszystkich obecnych. Tłum faluje w zgodnym rytmie. Tańczą już nie tylko ręce unoszone w górę i poruszające kolorowymi „miotekami”; tańczą biodra, a wreszcie całe ciała, nogi w miejscu wykonują swoje „pas”. Wszystko sławi Pana głośnie: „Ooh, Senier, Ye! Oh, Senier, Ye! Ye! Ye! Alleluja!!!”.

Śpiew modlitewny milknie gwałtownie, jakby na sygnał czarodziejskiej różdżki. Z ciszy rozbrzmiewa głos kapłana. Msza odprawiana jest w języku Fang. Polecenia celebryśa wypełniane są niezwykle skrupulatnie i z pełnym zaangażowaniem. Tak więc, przekazywanie znaku pokoju to spontaniczne i serdeczne uściski, rozdawane hojnie nie tylko najbliższym sąsiadom.

Na zakończenie ceremonii odbywa się składanie darów. W kolorowym, śpiewnym korowodzie, tańcząc bardzo powoli, posuwa się w kierunku ołtarza procesja. Idą parami ofiarowując banany, wiązki manioku, owoce, ryby, chleb, cukier, puszki mleka, worki ryżu, gotowe potrawy, środki czystości i inne przydatne przedmioty.

Kapłani dziękują za dary. Po skończonej mszy, wszyscy jej uczestnicy w liczbie kilkuset osób spożywać będą wspólny posiłek na kościelnym dziedzińcu.

Dostępujemy zaszczytu jako goście zaproszeni przez naszego starego przyjaciela z Lambarene – ojca Sebastiana. Wita nas gorąco i przedstawia zebranych, z których niejedni miał okazję być naszym pacjentem. Lekarze „od Schwejtzera” są tu zawsze mile widziani, a z misjonarzami przeżyliśmy niejedne ciekawe i trudne chwile.

Tak mogłaby się skończyć owa opowieść o kościele św. Michała. Lecz życie pisze dalszy ciąg historii.

Po powrocie do kraju utrzymywaliśmy korespondencję z ojcem Sebastianem. Po kilku latach powrócił do Lambarene, gdzie rozpoczął budowę nowego kościoła. Przysłał zdjęcia obrazujące przebieg robót, z których był tak dumny. Cieszyliśmy się wraz z nim, wiedząc doskonale ile energii i wysiłku w pokonywaniu niezliczonych trudności, musi wydobyć z siebie ten drobny, skromny, ale jakże oddany swojej misji duchowny rodem z Normandii. Był nam bardzo bliski. Niejednokrotnie korzystaliśmy z jego wieloletniego afrykańskiego doświadczenia przy rozwiązywaniu trudnych problemów o tubylcami. Pomagał zrozumieć ich punkt widzenia, szanować ich odrębność i tradycję.

I nagle dotarła do nas wiadomość o jego tragicznej śmierci. Po wypadku samochodowym, w nocy zmarł natychmiast po przywiezieniu do naszego szpitala. W ten sposób zamknął się kolejny rozdział naszych afrykańskich przeżyć.

Andrzej Orylski

## Między ziemią a stratosferą

Grupa Twórcza „Cumulus” powstała w 1983 roku z inicjatywy Heleny Chłopek, Mirosława Janika, Lucyny Szubel i Bogusława Zakordońca. Patronat nad grupą objął Miejski Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Chrzanowie. Opiekunowie pozostawili twórcom całkowitą dowolność w pracy, zaś założyciele przyjęli otwartą formę działania.

Obok ludzi pióra znaleźli się więc w Grupie malarze, rzeźbiarze, muzycy, recytatorzy i liczna partia młodych ludzi, zafascynowanych teatrem małych form. Liczba członków i czynnych sympatyków była i jest zmienna. Płynność ta dotyczy przede wszystkim młodzieży, która kończąc szkołę średnią podejmuje naukę na uczelniach wyższych. Ale jest zespół osób, będących w Grupie przez całe dwadzieścia lat.

„Cumulus” współpracuje z wieloma innymi stowarzyszeniami twórczymi działającymi w pobliskich miastach np. w Sławkowie – „Stara Karczma”; w Bolesławiu z grupą przy MOK, w Żywcu z grupą literacką „Gronie”, w Krakowie – z „Rydlówką”. Grupa nawiązała współpracę również z prasą lokalną i regionalną m.in. „Echo Chelmska”, „Alchemik”, „Kroniką Chrzanowską”, „Przełomem”, „Kreatorem”, „Gazetą Krakowską”, „Dziennikiem Zachodnim”, jak również z prasą ogólnopolską: „Życie Literackie”, „Radar”, „Więści”, „Gromada Rolnik Polski”, „Tak i Nie”, „Akant”. Grupa podjęła z współpracę ze szkołami na terenie miasta oraz instytucjami kulturalno-oświatowymi w rejonie, m.in. Miejską Biblioteką Publiczną, Szkołą Muzyczną, Muzeum, a także z chórami: „Żaby” i „Canzona”.

Mając na uwadze nieustanne doskonalenie umiejętności literackich – grupa organizuje warsztaty literackie i spotkania autorskie z profesjonalistami. Gościli: Bogusław Żurkowski, Anna Węgrzyniak, Edmund Rosner, Maciej Szczawiński, Jolanta Baziak, Tadeusz Śliwiak, Feliks Netz, Tadeusz Kijonka, Renata Zwoźniakowa, Stefan Pastuszewski, Jerzy Piątkowski, Adam Ziemiannin, Józef Baran, Stanisław Gola, Juliusz Wątroba, Mieczysław Stanlik.

W 1994 roku podjęto działalność edytorstwa. W serii Biblioteki Poetyckiej GT „Cumulus” ukazało się już osiem pozycji książkowych, głównie staraniem dyrektora MOKSIR – Jana Smółki.

Podstawowymi celami działania Grupy jest rozbudzenie potrzeby obcowania z literaturą i poezją wśród mieszkańców całego regionu, wyzwalanie aktywności i inspiracji twórczej, budzenie wrażliwości na piękno języka ojczystego, propagowanie czytelnictwa.

Grupa od 20 lat prowadzi ciągłą i aktywną działalność literacką, konsekwentnie opiekuje się uzdolnioną pisarsko młodzieżą, organizuje warsztaty literackie, spotkania autorskie, konkursy recytatorskie, kontakty chrzanowskich poetów z uczniami w placówkach kulturalnych i oświatowych.

Do znaczących osiągnięć Grupy należy, zorganizowany rokrocznie, Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Herb Grodu Chrzanowa”. Dzięki niemu Grupa wyszła poza granice miasta, powiatu, a nawet kraju. Zainteresowanie konkursem jest ogromne, z roku na rok napływa coraz więcej wierszy (w 2003 roku – 550), których autorami są poeci z całej Polski, a także Australii, Włoch i Francji.

Grupa Twórcza „Cumulus” na trwałe wpięła się w życie społeczno-kulturalne miasta i regionu; doceniając realność, otwiera nowe przestrzenie, a więc jak głosi jej nazwa: *buja między ziemią a stratosferą*.

„Cumulusowi” udało się przede wszystkim stworzyć atmosferę szacunku dla sztuki i wyzwoić siły twórcze wśród młodego, tłumzonego przez trywialną konsumpcję, pokolenia. Swym entuzjazmem zaraził władze miasta z burmistrzem Ryszardem Kosowskim na czele. Gdy 24 maja 2003 roku świętował jubileusz 20-lecia istnienia, było to święto niemal całego 50-tysięcznego Chrzanowa. Almanach jubileuszowy pod redakcją Lucyny Szubel „Czas utrwalony” rozszedł się jak woda. I to nie tylko z uwagi na „znajome z sąsiedztwa nazwiska”...



Wiesław Kowalski

## Tradycja i styl

„Hrabina Marica”, skomponowana przez EMMERICHA KALMANA niemalże osiemdziesiąt lat temu, należy do kanonu wielkich klasycznych operetek. I choć świat w niej przedstawiony wydaje się nam już odległy, bo pochodzi jakby z innej galaktyki kultury, to muzyka – pomimo że popularna i lekka, nie straciła nic ze swej wartości.

LACO ADAMIK, w *Operze Nova* w Bydgoszczy, poszedł jako reżyser w kierunku stwo-

komedii ludzkich charakterów (wszak one nie zmieniają się od tysięcy lat) i komedii sytuacyjnej. Premierowa publiczność zrywała boki z aktorskiej szarży barona Kolomana Żupana, w interpretacji TOMASZA MADEJA. Śpiewak próbował wydobyć cały komizm, tkwiący w tej postaci i momentami czynił to brawurowo, co prawda na granicy szarży rodem z farsy, ale nie przekraczającej karykaturalnego przerysowania. Z tą samą rolą poradził sobie podczas II premiery



Fot. Witold Jurkiewicz

żenia widowiskowej opowieści w wielkim stylu. Zatem na scenie oglądamy efektowne dekoracje i bogactwo kostiumów zaprojektowanych ze smakiem przez LUCJĘ KOSSAKOWSKĄ, równie imponujące i żywiołowe obrazy baletowe w choreografii JANINY NIESOBSKIEJ (na szczególne uznanie zasługuje zatańczona na pustej scenie, w rytmie węgiersko-cygańskim, uwertura), pojawia się też zaprzężony w żywe konie powóz tytułowej bohaterki i automobil marki DKWV księżnej Bożeny Cudenstein. Wszystko to razem podbija klimat i nastrój operetkowych perypetii, jak zawsze dotyczących powikłanych związków uczuciowo-rodzinnych, w tym przypadku ludzi zamożnych, którzy jeśli nawet – jak hrabia Tassilo – wyprzedają fortunę, to szczęśliwym zbiegiem okoliczności pieniądze odzyskują.

Bydgoska „Hrabina Marica” to przedstawienie tradycyjne, co nie znaczy, że proponuje widowiskowość typu jurajskiego parku. Tyle, że w inscenizacyjnym rozmachu gubi się momentami dynamika i tempo spektaklu, a jego rytm jest mało nowoczesny w tym sensie, że nie przystaje do nowych czasów kultury wideoklipu, do wydobywania tego, co temperamentne. Mam wrażenie, że nie wszystkie ornamenty teatralne, zastosowane przez reżysera na drugim i trzecim planie, służyły właściwie wzbogacaniu scenicznego działania. Dlatego lekkie znużenie pojawiało się, gdy słabło tempo spektaklu, a brak płynności przechodzenia scen naruszał spójność i strukturę przedstawienia.

Widać, że wiele pracy włożył L. Adamik w wydobywanie z harlequinowego libretta elementów

MARCIN NARUSZEWICZ, tworząc portret młodzieńca niby cwane i prymitywnego, ale i na swój sposób mądrego i eleganckiego.

Premierowego wieczoru najsumienniejsze swoje zadania wywiązał się JANUSZ RATAJCZAK w roli Tassila. Potwierdził przede wszystkim swoje umiejętności wokalne, tworząc postać dostojną, honorową, pełną nostalgii za utraconą świetnością, braterskiego uczucia dla Lizy (w tej roli EWA GODLEWSKA zaskakuje dziewczęcym wdziękiem i naturalnością), gwałtownej, choć skrywanej miłości do Maricy.

Wiarygodne, prawdziwe i pod względem charakterologicznym ciekawe postaci stworzyli główni bohaterowie II premiery. URSZULA ROMASZKO jako hrabina Marica i WITOLD WRONA jako Tassilo prezentowali się na scenie naprawdę pięknie, dialog prowadzili w sposób naturalny, byli żywiołowi w tańcu eksplodującym miłosnym żarem.

Od strony aktorskiej podczas obydwu wieczorów najbardziej świadomą postać stworzył RYSZARD SMĘDA, jako sługa Maricy, Czekko. Doświadczony śpiewak po raz kolejny potwierdził swoje aktorskie predyspozycje.

Publiczność bydgoska zapewne przez wiele lat będzie mogła podziwiać smak i styl muzyki Kalmana, albowiem orkiestra pod batutą MACIEJA FIGASA osiągnęła idealne współbrzmienie z solistami i oddawała charakter czardasza, walca i fokstrotta z właściwą dynamiką i precyzją brzmienia.<sup>28</sup>

Jadwiga Stróżykiewicz

## Balet poetycki

Kiedy autor decyduje się na publikację, dręczy go dylemat: *Czy to się sprzeda?* Nie jest to rozważanie dosłowne. Pomimo tego, że z reguły jest to dla autora jedyne honorarium, nie mam na myśli sprzedaży jako towaru. Ważniejsze jest pozyskanie Czytelnika, który niekoniecznie musi być posiadaczem danej pozycji wydawniczej. Jak wiemy, zainteresowanie publikacją, zwłaszcza poetycką, ma coraz częściej charakter grzecznościowy. Gdy autor jest nam osobiście znany, a na dodatek sprezentuje nam swoją książkę, gratulujemy i wyrażamy podziw. Szczególnie mówiąc – rzekomo zafascynowani – odkładamy tę książkę jako lekturę „na potem”. Czasami do przeczytania danej pozycji wydawniczej zachęca nas recenzja, ale nie każda książka dobiega takiego szczytu. Z obserwacji wiem, że fachowe recenzje publikacji dostarcza nam *Miesięcznik Literacki „Akant”*.

Ponadto istnieje coś takiego, co działa jak magia. Właściwa promocja danej pozycji wydawniczej, o którą z reguły sam autor musi zadbać. Przyjął się zwyczaj spotkań autorskich, na których twórca powie coś o sobie, przeczyta część utworów, odpowie na kilka nic nie znaczących pytań i za przysłowiową złotówkę sprzeda kilka książek.

Po ostatniej publikacji pt. „Pamiętki inflacyjne” Stefan Pastuszewski miał więcej szczęścia. Wprawdzie odbył kilka spotkań autorskich w Bydgoszczy, nie wiem jaki one miały charakter, ale w Barcinie, jak sam nazwał, był to: „Balet poetycki”. Tutaj inspiratorką nowej formy promocyjnej była prezes „Stowarzyszenia Ekologicznego w Barcinie - JANINA DRAŻEK. Przy współudziale „Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury Sportu i Rekreacji”, promocja ta oczarowała zarówno autora, jak i przybyłych na ten spektakl.

Nie używam tu żadnej metafory, był to prawdziwy spektakl! Od kilku lat działająca w Barcinie, pod bacznym okiem założyciela - ARTURA JAKUBOWSKIEGO, grupa teatralna „ABSURD” wprowadziła obecnych w trzeci wymiar poezji. Przerzywniki muzyczne sprzyjały łagodnym ruchom na scenie i tworzeniu obrazów odnoszących się do poszczególnych utworów. Wiersze wplecione w sceny, przybierały ów trzeci wymiar.

Jestem przekonana, że za przyczyną tej inscenizacji, na którą przyszli niekoniecznie zainteresowani poezją, przynajmniej kilka osób będzie fascynowało się wierszami. Bez wątpienia, młodzież z grupy teatralnej „ABSURD”, obdarowana przez autora książkami, wielokrotnie weźmie do ręki tomik wierszy i podda analizie zawarte w nim utwory. Trud w przygotowaniu takiej promocji zapewnią wielu osobom satysfakcję.

Jest oczywiste, że nie każdy autor może liczyć na podobne promocje. Pomysłów nam nie brakuje, warto więc pokusić się o ich realizację.<sup>29</sup>

Urutuje każde auto  
szybko • uczciwie • elegancko

FIRMA USŁUGOWO-HANDLOWA

Jerzy Szreder

- blacharstwo samochodowe
- mechanika samochodowa
- sprzedaż części do różnych typów samochodów
- elektrotechnika

ul. Szajnochy 14, 85-738 Bydgoszcz  
tel. (052) 342 02 16



Włodzimierz Rutkowski

## Z pamiętnika wariata

To był wyjątkowo ciężki dzień, a wszystko zaczęło się na egzaminie praktycznej jazdy.

Podszedł do mnie instruktor i powiedział:

- Może będzie pan tak łaskawy pójść ze mną do garażu? Wie pan, coś jest nie tak z silnikiem. Wczoraj miałem problemy z jego uruchomieniem, więc jakby co, to popchnie pan samochód, okay?

Kiedy otworzył drzwi garażu, coś mnie pokusiło, by rzucić okiem na silnik. Podszedłem do przedniej części samochodu i z niemałym trudem otworzyłem maskę.

- Maestro, ale ktoś panu zrobił głupi żart. Tu najzwyczajniej w świecie nie ma silnika.

Na moje słowa popukał się w czoło i powiedział:

- Idioto, przecież to bagażnik.

Odwrociłem się na pięcie jak niepyszny i poszedłem na plac próbnej jazdy. Wkrótce zjawiał się instruktor.

- Za ten idiotyczny żart to będziesz pan musiał zapłacić żywą gotówką. Popatrz pan coś narobił. A swoją drogą to krzepę masz pan taką, że nie daj Boże dostać z takiej ręki.

Popatrzył na mnie dłuższą chwilę i rzekł:

- Proszę wsiadać. Zobaczmy, co pan potrafi.

W jednej chwili byłem w samochodzie. Nie zdążyłem się jeszcze wygodnie usadowić, gdy on z idiotycznym uśmiechem na głupawej twarzy zwraca się do mnie tymi słowami:

- Oblał pan egzamin.

- Ależ ja nie zdążyłem jeszcze ruszyć – protestowałem.

- Oblał pan egzamin, bo usiadł szanowny pan na tylnym siedzeniu.

Wysiadłem z samochodu, wściekły na cały świat. Trzasnąłem drzwiami chyba za mocno, bo mały fiacik, aż zakotłosał się na boki.

Jakiś czas włóczyłem się bez celu po mieście, gapiąc się beznamiętnie na sklepowe witryny. Tajemne przeczucie mówiło mi, że mogę zrobić jakieś głupstwo pod wpływem zdenerwowania. Toteż wstąpiłem do redakcji popularnej popołudniówki, by dać ogłoszenie tej oto treści:

„Chcę zostać porządnym człowiekiem.

Szukam współnika.

Sam nie będę się wygłupiał!”

Pani przyjmująca anonis pokręciła tylko głową; pewnie nie wróżyła powodzenia tej nocce. Wychodząc z budynku redakcji spotkałem kolegę z dawnych lat. Witając mnie bardzo wylewnie:

- Cześć stary! Kopę lat.

Ucisnęliśmy sobie dłonie; on dyskretnie ocierał łzy wzruszenia. Zaprosił mnie na nieco przedwczesny obiad. Nasze spotkanie, tak niespodziewane, ale jakże miłe, uczuliśmy butelką szampa. Wspominaliśmy miniony czas, jakże szczęśliwy, a tak odległy, choć zdawało się, że było to zaledwie wczoraj. Dużo też opowiadał o sobie. Objechał cały świat. Zastrzegł przy tym, że nie dla przyjemności, a w interesach. Wielkich pieniędzy dorobił się na sprzedaży lodu Eskimosom. Prawdziwy człowiek interesu. Szczerze mu zazdrościłem. Podczas pożegnania wspominał, że w kraju zabawi jeszcze kilka dni, i dobrze by było, gdybyśmy razem spędzili popołudnie, jako że on, sympatyk futbolu, wybiera się na mecz piłkarski pomiędzy Czarną Skibą z Koziej Wólki, a Ostrożnie Naprzód z Pacanowa. Ja mu na to, że ja bardzo chętnie, że właściwie nie ma sprawy, tylko nie jestem pewien, czy żona mi pozwoli.

- Coś ty. Chyba nie jesteś pantoflarzem – zapytał i wytrzeszczył oczy.

- Ależ skąd. Ostatnie słowo w domu zawsze należy do mnie. Wierz mi. Ono kończy wszelkie dyskusje. Mówię wówczas krótko i po męsku: „Kochanie, jak zawsze masz całkowitą rację”.

Zupełnie nie miałem pojęcia, z czego się śmiał i to tak głośno, że zwrócił na siebie uwagę wszystkich obecnych.

- Posłuchaj mojej rady. Jeżeli teraz też tak powiesz, gdy twoja wybranka serca powie „nie”, to koniec, kropka. - Rozumiesz?

- Rozumiem.

- No. Słuchaj dalej. Jeżeli ci powie „nie”, wtedy wiesz, co masz robić?

- Nie.

- Bierzesz ją na kolano, zdejmujesz to, co nosi się pod sukienką i dajesz parę klapsów. Mówię ci, wypróbowana metoda, zazwyczaj pomaga.

Postanowiłem tak zrobić. Kiedy stanąłem w progu domu powiedziałem stanowczym głosem:

- Idę na mecz.

Chwilę potem podnosiłem się z podłogi. Zupełnie przypadkowo spojrzałem w lustro, pod lewym okiem miałem potężnego siniaka. Z trudem doczłapałem się do fotela. Siadłem ociężale.

- Kochanie, co pomyślałaś sobie o moim podbitym oku, kiedy mi otwierałaś drzwi?

- Nic sobie nie pomyślałam – odparła, podnosząc głowę znad prasowanej koszuli. - Wtedy jeszcze go nie miałeś.

No, tego było już za wiele. Ogarnęła mnie furia. Zaczęłam demolować mieszkanie. Niszczyłem wszystko, co wpadło mi w ręce, a kiedy dostałem lekkiej zadyszki, złapałem ją w pól, przełożyłem ją przez kolano, zdjąłem majteczki zdobione koronką, podniosłem rękę i już, już miałem uderzać, lecz kiedym zobaczył jeden z najpiękniejszych widoków na ziemi, ręka bezwiednie się osunęła, a z mych ust dobył się głos rezygnacji: „e, w domu też jest fajnie”. Nawet nie wiem, kiedy zsunęła mi się z nóg. W biegu złapała telefon komórkowy i w okamgnieniu zamknęła się w łazience.

- Ty wariacie, ja ci pokażę, gdzie jest twoje miejsce.

Coś mi się zdało, że lepiej by było, gdybym jednak poszedł na mecz. Wkrótce mieliśmy gości. Byli to sami panowie, ubrani niczym angielscy džentelmeni: spodnie w kolorze bieli, tak samo i marynarka. Nie mieli jedynie muszki pod szyją.

- Dzień dobry panu – rzekli do mnie i zaproponowali, abym zechciał przymierzyć ubranko. Wyglądało to jak marynarka z przydługimi nieco rękawami. Nie wzbraniałem się zbyt, bo i nie wypadła mi gościom odmawiać. Rękawy były rzeczywiście za długie. Na zwróconą uwagę w tej materii, jeden z owych džentelmenów odparł, że i owszem są za długie, ale to żaden problem, można je przecież zawiązać na plecach. Tak też uczynił. Po czym zostałem zaproszony do samochodu. Chętnie przystałem na tę propozycję, gdyż oznajmili, że jedziemy do moich kolegów. Ach, coż to była za jazda.

- Ten kierowca to istny wariat – pomyślałem. Jechał jak opętany. Wszyscy zjeżdżali mu z drogi. Wcale się im nie dziwiłem, też bym zjeżdżał. Nie patrzył, że ma czerwone światło, że przejeżdża ciąglą linię, a do tego cały czas trąbił. Wyła ta syrena niesamowicie. Mówiłem mu, żeby ją wyłączył, ale gdzie tam. Pewnie głuchy jakiś był, czy co? A może coś się zacięło i dlatego tak to trąbiło całą drogę. Sam już nie wiedziałem. Ale żeby

policja nie ściagała takiego wariata? Tego to już całkiem pojąć nie mogłem.

Gdy dojechaliśmy szczęśliwie – dziwię się do tej pory, jak to było możliwe – wysłała nas powitać kobieta oszalamiającej urody.

- Ależ pani jest piękna! – krzyknąłem w zachwycie. - Tak piękna, że najchętniej bym panią zjadł. Byłem tuż, tuż przy niej, już pochylałem się ku jej czerwonym ustom, by je całować, gdy towarzyszący mi panowie grzecznie, acz stanowczo, powstrzymali mnie od tego zamiaru, mówiąc przy tym:

- Pani doktor tylko przyniesie sztucę i już będziesz mógł ją jeść. Zgoda?

- Jasne, że zgoda.

W niedługi czas potem leżałem w łóżku, przywiązany pasami. To chyba w trosce o to, abym z niego nie spadł. Mówiłem im zresztą, aby robili szersze łóżka, to nie będą musieli stosować pasów. Obiecali, iż zastanowią się nad tym pomysłem. Kto wie, może kiedyś przynajmniej patent racjonalizatorski. Za ścianą chyba mieli przyjęcie towarzyskie. Cały czas się śmiali. Co chwila slyszalem, jak ktoś krzyczy jakąś liczbę, po czym natychmiast następował wybuch śmiechu. Postanowiłem i ja, mimo że oddzielała mnie od nich ściana, wziąć udział w zabawie. Nabrałem powietrza w płuca i krzyknąłem: „sto dwadzieścia trzy”. Za ścianą zaległa cisza, ale już po krótkiej chwili usłyszałem tupot nóg i łomotanie do moich drzwi. Dopadli mnie całą chmarą. Bili, gdzie popadło. Gdy już nieco ochłonęli, przerażonym głosem zapytałem:

- Powiedziałem coś złego?

Jeden z tej rozwścieczonej gromady odezwał się w te słowa:

- Kawały z numerem większym od stu są kawałami o wariatach.

- Przepraszam was, ale nie wiedziałem o tym. Nietęgie mieli miny, najwyraźniej było im nieswojo.

- To może my kolegę rozwiążemy na zgodę?

- Nie mam nic przeciwko temu – odparłem.

Wkrótce byłem wolny. Ktoś krzyknął:

- Znalazłem drabinę. Możemy uciekać.

Wszyscy rzucili się w stronę ogrodu. Zatrzymali się tuż przy murze. Stali jak wryci. Na ich twarzach malowało się zakłopotanie.

- Czemu nie uciekamy? Zapytałem.

- Ale jak tu uciekać, kiedy brama na oścież otwarta. - Zauważył ktoś z tłumu.

- Ja tam uciekam. Oparłem drabinę o mur. Szybko wdrapałem się na jego wierzch. Zeskoczyłem i wmieszałem się w tłum przechodniów. Wielu z nich przyglądało mi się z zainteresowaniem. Pewnie podobało im się moje nowe ubranie. Marynarka, jak i spodnie, była zdobiona pasami pionowymi w kolorze biało-niebieskim. Butów nie miałem, bo i po co, kiedy lato w pełni, wprawdzie babie, ale zawsze lato.

Bez większych kłopotów dotarłem do domu. Moja biedna żona musiała bardzo za mną tęsknić, bo kiedy mnie zobaczyła w drzwiach, to ze szczęścia zemdląła. Cucilem ją, ale na wiele się to nie zdało. Co biedna moja żoneczka otworzyła oczy, ledwie mnie zobaczywszy, ponownie mdlała. Na szczęście zjawili się moi niedawno poznani panowie. Powiedzieli, że wszystkim się zajmą, i abym się o nic nie martwił. Gdy zobaczyłem za kierownicą tego samego wariata, kategorycznie odmówiłem wejścia do samochodu. Zaczęliśmy się mowocować. Jakimś cudem wyrwałem się czterem drabom. Chwilę potem szedłem z wiatrem w zawody.

### Laureaci XVIII Konkursu Poetyckiego Towarzystwa Miłośników Ziemi Świeckiej w Świeciu – 2003 rok

Jury po przeczytaniu 342 wierszy nadesłanych przez 65 autorów postanowiło przyznać:

Nagroda główna – Piotr IRZYK – Tczew

II nagroda – Lucyna WINOWIECKA – Lniano

Wyróżnienia: Ela Galoch – Turek, Krzysztof Grzelak – Łódź, Piotr Tomczak – Myszaków, Lech Lament – Turek, Mariusz R. Stoppel – Bydgoszcz, Łukasz Bagiński – Kluczbork, Bożena Zyś – Świecie



## Polemiki

Stanisław Stanik

## Kilka słów dopełniających

Przebąkiwano w kraju o dwuznacznej postawie obywatelskiej CZESŁAWA MIŁOSZA, noblisty z początku budzącego strach i szacunek. Strach, bo wszystko, co zagraniczne, w znaczeniu: zachodnie, było dla władzy komunistycznej rewizjonistyczne; szacunek, bo wiadomo – greńskie światowe dały nam do wierzenia, że autor „Doliny Issy” to twórca klasy światowej, innego by Noblem nie nagradzano.

Dla pewnych środowisk literackich przykładność ideowa Miłosa stała pod wielkim znakiem zapytania, co jednak nie było zaraz stawiane na najwyższym forum przez znawców pisarstwa poety, przynajmniej większości. Bo C. Miłosz jaki był, taki był, ale okazywał się wystarczającym straszakiem dla reżimu komunistycznego, jeśli poetę tego jako oponenta odpowiednio przykrawać, wycyzścić i wypolerować.

W czym Czesław Miłosz jest kontrowersyjny?

Myśliciel to wypróbowany, bo jego nurt filozoficzny w twórczości odsyła do szeregu ciekawych nazwisk przedstawicieli różnych doktryn, przy czym i od siebie ma dużo do powiedzenia, a problemy religijne są jego obsesją. Obserwator społeczny i rezoner ducha narodowego trochę gorszy, można powiedzieć – nie bardzo udany, gdyż przez całe życie szedł z prądem tendencji społecznych w Polsce. Wreszcie polityk bardziej dla siebie, dla swojego dobra, niż dla kraju, bo wiem towarzyszył mu nie tak całkiem niezłomie i oskarżał go o największe ułomności i wady.

Piszę o tych nurtach postawy ideowej poety, wyodrębniając je z różnych dopływów, niejako strumieni doręczności jego dzieła. Nierówno

rozkładają się akcenty słuszności w każdym z tych nurtów: właśnie najgorzej rzecz ma się z odpowiedzialnością pisarza za naród, za utożsamianie się z nim, za prowadzenie go, słowem – za nurt rezonatora społecznego i patriotycznego.

O tym chciałbym pomówić na kanwie dyskusji o Miłoszu, która za sprawą również „Akantu” wybuchła i zatoczyła szerokie kręgi. Przy okazji o trudnej religijności poety, religijności, która narzuca się zaraz po przywołaniu imienia Polski.

Wyszczególnione, a już jakby ograne zagadnienia podejmuję w związku z opiniami na łamach „Akantu”, jakie wyraził STEFAN PASTUSZEWSKI („Akant” 2003, nr 6, s. 46) polemizując z wcześniejszą wypowiedzią ZBIGNIEWA KRESOWATEGO („Akant” 2003, nr 5, s. 41) na temat książki MARIANNY BOCIAN i ERYKA OSTROWSKIEGO „O ukrytych nurtach w polskiej literaturze. Ostatnia rozmowa z Joanną Salomon” (2003). Te dwie, nie żyjące już niestety autorki, oskarżają autora „Traktatu moralnego” o „lisią naturę”, czyli kłamną kulturowość śródziemnomorską, w istocie zaś obnoszącego pogaństwo o rdzeniu litewskim i niechęć do Polski. Odpowiada autorkom (a i Z. Kresowatemu również) S. Pastuszewski słowami: „Twórczość naszego noblisty nie jest ideowo budująca, ale przecież wciąż powinniśmy przypominać sobie to, co powiedział P. Béranger: <Sztuka? To sztuka – i to wszystko>”. Zagadnienie ideowe sprowadził więc autor „Teraz Polska” do kwestii jego odbioru, płaszczyznę artystyczną zastąpił społeczną, i tak wytłumaczył Miłosa.

Może w istocie rzeczy nie warto kruszyć kopii o ducha wielkiego – jakby nie było – poety, ale gwoli jasności chciałbym ukazać szerszy krąg zarzutów co do postawy autora „Traktatu poetyckiego”, nadając im kontekst nie tylko jakiejś tam powierzchownej krytyki, ale poważnych badań naukowych ludzi z rozmaitych środowisk, nie od początku nieprzychylnych poecie.

Tak zwana sprawa Miłosa ożyła w ubiegłym roku pod piórem JANA MAJDY, o czym mówił w wywiadzie udzielonym mi niedawno do „Nowej Myśli Polskiej” KONRAD STRZELEWICZ: „A jeśli mówimy o antypolonizmie Miłosa, to odsyłam do dopiero co wydanej w 2002 roku książki pracownika naukowego Instytutu Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jana Majdy pt. <Wisława Szymborska, Karol Wojtyła, Czesław Miłosz>. Rozdział poświęcony Miłoszowi posiada znamienne, druzgocące podtytuły: <Awersje Czesława Miłosa do Polaków i polskości>, <Opinie historyków literatury o awersji Miłosa do Polaków i polskości>, <Antypolskie wyznania Miłosa>, <Miłosz szydzi z języka polskiego> itd. Autor nie napisał wprawdzie rozdziału pt. <Miłosz – chory obywatel świata>, ale i tak sumiennie wypunktował antypolskie obsesje narzucone nam noblisty, kukulcze jajo polskiej literatury”.

Wydawałoby się, że dyskusja ma świeżą markę, wybuchła po latach wnikliwych badań, długim namyśle. Tak nie jest! Od czasu pozyskania wolności w wypowiedzaniu się, mniej więcej od 1989 roku zaczęła się i trwa. Polemiści, już ujawnieni w „Akancie” i ci, co dopiero wystąpią przed szereg, mogliby sądzić, że wyważają zamknięte drzwi. Tak nie jest! Warto dla ostudzenia ich zapалу przywołać głosy czytelników Miłosa i znawców jego życia, które zaświadcza, że drzwi zostały dawno otwarte.

W książce pt. „Proza, proza, proza” ALEKSANDER SZUMANSKI wytacza ciężkie działa przeciw naszemu nobliście w następujących (długu tu wybieranych) słowach:

„Opinie naukowców – historyków literatury i krytyków literackich w większości są zgodne; przytoczę najistotniejsze z nich. Bożena Chrzastowska w swojej książce <Poezje Czesława Miłosa> (1992) przytacza kilka antypolskich wypowiedzi tego noblisty, by stwierdzić: <Laureat Nobla przyjmowany jest w kraju jako pisarz narodowy, a z tym pojęciem wiąże się polsność, ze wszystkimi

tradycyjnymi uwarunkowaniami, jak katolickość, jak współodczuwanie wszystkich narodowych tragedii, jak obywatelskość i społeczno-polityczne zatroskanie o losy narodu. W esejach... Miłosz jest w ciągłym konflikcie z polsnością>”.

Aleksander Fiut w książce „Moment wieczny” jak i Bożena Chrzastowska cytuje Miłosa: „Nie urodziłem się w Polsce, nie mieszkam w Polsce, ale piszę po polsku... Przyznaję się: na polsność jestem alergiczny”.

Jacek Trznadel stwierdza: „W Paryżu, po nastaniu stanu wojennego, jak sam słyszałem, Miłosz przedstawiał się w radiu francuskim jako Litwin piszący po polsku”. I dalej Aleksander Fiut stwierdza: „Miłosz... oskarża tyłcz naród, co jego język...”. Widać u niego „sprzeczność pomiędzy miejscem urodzenia a kulturą przynależnościową, językiem i etnicznym pochodzeniem (...), „Miłoszowski spór z narodem, z polsnością, będzie nieustannie i na stałe wplątany w historyczne i literackie konteksty”.

Jacek Trznadel w naukowym studium pt. „Miłosz – lewy profil” omawia niektóre antypolskie wypowiedzi tego noblisty rozsiane w jego książkach. Autor tej pracy przytacza liczne wypowiedzi Miłosa pełne nienawiści do naszej międzywojennej II Rzeczpospolitej, a w czasie okupacji do Państwa Podziemnego AK i polskiego rządu londyńskiego. Widać u autora „Traktatu teologicznego” niechęć nawet do Polski po 1989 roku. Prokomunistyczne stanowisko ujawnił on już w Wilnie w latach trzydziestych, pisząc lewicowe artykuły, gloryfikując komunistyczny, radziecki kraj: „Jest pod bokiem najciekawszy kraj świata – ZSRR”.

Uff... Dają te wypowiedzi na świadectwo, że nie ma co wyważać drzwi już raz otwartych. Po pierwsze książka Marianny Bocian, Eryka Ostrowskiego i Joanny Salomon, nawet pod pewnymi względami mnożąca zarzuty wobec Miłosa, po wtóre polemika Stefana Pastuszewskiego z tymi autorami, nie są na tyle odkrywcze, aby nie rozumieć racji jednej i drugiej strony. Oskarżenia Miłosa o antypolonizm, o podległość historii, o sprzeczność w sobie, dwudzielność nawet – na użytek publiczny i użytek prywatny, to wszystko jest prawdą, którą można wynieść z tekstów noblisty, a przecież i druga strona – Stefan Pastuszewski, ma swoją rację.

Miłosz jest pisarzem wybitnym, a co najmniej głębokim i można gustować w jego sztuce. Nawet można powiedzieć, że Miłosz przegrał jako polityk, jako patriota, jako myśliciel, bo ton oskarżycielski jego utworów już zdezaktualizował się, ale wygrywa artyzm, szerokie horyzonty „widzeń” poety (od Litwy po San Francisco), głęboka jego penetracja kultury (od tłumaczeń Biblii po tak romantyczną prozę, jak „Dolina Issy”) itd.


Jest jeszcze jeden rozdział twórczości Miłosa, jeden aspekt jego postawy: wiara. Napisał on w pewnym wierszu tak:

Religię bierzemy z naszego litowania się  
nad ludźmi  
Są za słabi, żeby żyć bez boskiej opieki (...)  
Ośmielaj się, bądź wolny od winy  
i grzechu (...)  
Nie chcę być posiadaczem prawdy

Z dużej głębokości wynikają te słowa: może je wypowiedzieć tylko ktoś, kto na rozmyślanie strawił długie życie i u jego niemal kresu radzi powrót do źródeł. Wynika też z nich, że autor jest gnostykiem: przemysłiwując istotę świata i prawdopodobieństwo obecności w nim Boga, ujawnia się jako ktoś, kto uznaje boskość za niepoznawalną. Wyraża wreszcie pogląd, że poznanie istoty świata jest ograniczone, a prawda jest boleńsza niż naiwna wiara.

Kimże więc jest Czesław Miłosz? Zgorzkniałym klerkiem, mędrcom nieszczęśliwie „ukąszonym przez Hegla”, jak sam podaje?

Jakby nie było, mogą pocieszyć się stwierdzeniem pewnego filozofa, że ludzie mądrzy nie dowidzą Boga w świecie, ale ludzie bardzo mądrzy znajdują i dla Niego miejsce. I tak naprawdę ani antypolonizm ani bezbożność chyba nie są postawami, które jednoznacznie poeta przyjmuje. Myślę, że raczej chce on przemawiać z pozycji wieszczka, wypominać narodowi wszystkie wady, błędy i głupotę. Lecz rola wieszczka jest dziś tak staroświecka, że nikt nie chce jej odbierać za zbawiającą. ■



## Tulipan „Akantu”

KUPON PLEBISCYTOWY

---

AUTOR

---

TYTUŁ UTWORU

---

ROK I MIESIĄC DRUKU

---

IMIĘ I NAZWISKO TYTUŁUJĄCEGO

---

ADRES

Chcemy, by Czytelnicy „Akantu” mogli uczestniczyć w kreowaniu zewnętrznego wyrazu współczesnej literatury poprzez ocenianie utworów drukowanych w miesięczniku.

Redakcja prosi wskazujących na najlepszy utwór w każdym gatunku literackim o wypełnienie i nadsyłanie kuponów (jeśli ktoś kolekcjonuje „Akant”, a jest takich osób coraz więcej, to można kupon ten skserować, nawet wielokrotnie). Typowanie może dotyczyć utworów z całego 5-lecia „Akantu”.





Fot. Adam Juszkiewicz

## Clemens Conrad Rössler

### Walter Leistikow

Choć twoje dzieła noszą nazwy inne,  
od obcych krain i obcych przestworzy,  
to jednak z głębin ich zawsze wychynie  
bogini Wschodu i eden otworzy:

Lasy sosnowe, suche wrzosowiska,  
głęboka cisza, pustka w rozpadlinie,  
kreślone trzcina wodne rozlewiska,  
a czas jak płynął, tak i teraz płynie.

Tak już jest: źródło twoich lat młodzięcych,  
z nich wzięta głębia twego przedstawienia,  
i ich barwami każdy kształt się wieńczy,

a przez zmysł czasu dziś w przeszłość się zmienia.  
Tak już jest: ogień w nas pamięć rozpala  
i bliskim staje się co błyszczący z dala.

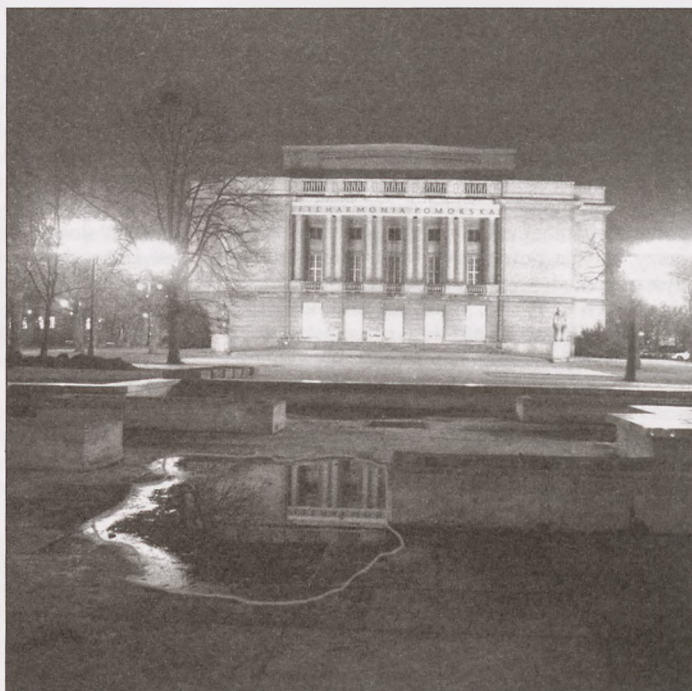
Z niemieckiego przełożył **Stefan Pastuszewski**

## Arkadiusz Mika

### Na moście, z boku

Na moście spotkałem Stachurę  
W ponurym stał mroku  
Spoglądał podwójnym spojrzeniem  
Na wody lustro i dalej  
Na światła miasta i jeszcze  
Lecz tego już nie widziałem  
Dziwne to było wrażenie  
Wszak ten sam człowiek  
Który wróblowi  
Wieniec dał z piórek  
Nie wiem tylko czy  
Były one gniazdem  
Czy chciał go oskubać

A u nas w Bydgoszczy  
Jakby trochę z boku  
Można więc powiedzieć  
Lepszy wróbel w garści...



Fot. Adam Juszkiewicz

## Wojciech Kowalczyk

### Ballada o Bydgoskiej Łuczniczce 502491391

Szanowny Panie Robin Hood 502021341  
Szanowny Panie Winnetou 60262819  
Szanowni Panowie Łucznicy  
przybywajcie  
Już rachityczny staruszek muska  
chudą laską nadziei roziskrzony mirażem  
kapsel złotej obietnicy  
2 złote  
to banan gazeta i szklana lufka  
2 złote  
to święto niczym dostojnie wnoszona  
kryształowa kompotiera  
Park  
Tylko ten parszywy pies z „Pomorską”  
w pysku  
wpatruje się w nagi majestat brązu  
jakby igrał z jego napiętą cięciwą  
Ach jeszcze ty Amorku 60477366  
o tobie zapomniałem  
Ustrzel z Jej głowy jabłko na szarlotkę  
rozkoszy  
Dla galopujących już na pokuszenie  
Szanownych Panów Łuczników



Fot. Adam Juszkiewicz



**Clemens Conrad Rössler****Nad Kanałem Bydgoskim**

Niczym w pradawnej puszczy stoją stare drzewa;  
zielenią, brązem, czernią oplatają wodę.  
Obraz ten, utrwalony na wieki, opiewa  
Króla Prus wciąż Wielkiego i ziem tych urodę.

Ślizgają się szkuty po wodnym zwierciadle;  
jedne do Wisły, a inne, hen, aż do Łaby.  
Ostatnich błysków słońca czerwienią żagle.  
Jastrząb zatacza kręgi. Milczą cieniem graby.

Ciągną łańcuchy tratw flisacy zgarbieni;  
śpiewają niczym struny naprężone liny.  
Nad jarem płynie bocian jak tancerz na scenie.  
Wraz z leśnym wiatrem kroczy chłodem wieczór siny.

Przybliź się do złożonych w koniczynie sieci,  
które schwytały ciężki przedwieczorny opar,  
a ujrysz jak wśród czasów minionych zamieci  
pojawił się Fryderyk i o dąb się oparł.

*Z niemieckiego przełożył Stefan Pastuszewski*



Fot. Adam Juszkiewicz

**Kurt Ihlenfeld****Spichrze w Bydgoszczy**

Kanały ciągną wolno poprzez kraj.  
Do Wisły ciągnie Brda, spokojna już.  
Woń dziegciu i zbóż. Parowców przystań.  
Rudy warkocz tratw sunie wśród wzgórz.

Biało-czarny malunek wielkich ścian  
spichlerzy, obraz i odbicie ich.  
Symbol dbałości o nasz wspólny stan.  
Spadek Józefa, Frydryka czyn.

Wspomnienie. Inne oczy widzą,  
co widzieliśmy. Inne słowa też  
słyszą wśród ech. Inne kroki idą

tą naszą drogą, myśmy poszli precz.  
Jaka realność przeciw tym zwidom?  
Bywa, że dom. Ale bywa, że wiersz.

*Z niemieckiego przełożył Stefan Pastuszewski*

**Wojciech Kowalczyk****Modlitwa w Farze Bydgoskiej**

Trwam tak w wysiłku pochylenia  
jak opuszczony kołnierz pokory  
Wpatrując się w srebro 20 groszówki  
zastygłej w kolumnadzie  
I choć wszeptuje w nią mantry nadziei  
nie mam odwagi spojrzeć na przybraną  
w ołtarz  
Różę Złotej Obietnicy



Fot. Adam Juszkiewicz

**Clemens Conrad Rössler****Na jazie młyńskim w Bydgoszczy**

Mógłbym tak stać godzina za godziną  
i wsłuchiwać się w wodospadu grzmot,  
i wpatrywać się w fale, które płyną,  
kontemplować wasz, wody, z czasem splot.

Z daleka przybywacie, z ciemnych borów,  
gdzie wiatr w gałęziach jak na harfie gra.  
Minęłyście pola w tysiącu kolorów  
i nie jeden przebyłyście jar.

Dotąd i odtąd – w ruchu bez ustanku;  
dzięki wam nie ustaje młyna puls.  
W syku i w pianie, w dzień, noc, o poranku  
dacie się ujarzmić, aby gród nasz rósł.

Mógłbym myśleć godzina są godziną –  
jak krótki i zamknięty ludzki czas.  
Nurty rzek w wieczność sobie płyną,  
my zaś jesteśmy i... już nie ma nas.

*Z niemieckiego przełożył Stefan Pastuszewski*

**Wojciech Kowalczyk****Miasto B.**

Magdzie

Bydgoszcz

Jak beza na talerzu słodka i dla wszystkich  
Oparta Bydgoszczanką o szarą poręcz Brdy  
Jeszcze tylko jej portret niesiony szałwiami  
i za chwilę wypełni się spiżarnia sezonem na  
miłość



Fot. Adam Juszkiewicz



## Alfons Soczyński

## Taniec żurawi

Są ptaki, które uruchamiają moją wyobraźnię, nie tylko z przyczyn przyrodniczych, ale raczej z symbolicznych, magicznych wręcz powodów. Do takich naszych ptaków należą, nieco większe od bocianów i unikające pobliza siedzib ludzkich, żurawie, żyjące zazwyczaj na rozległych, otwartych bagnistych terenach. Aby zobaczyć na niebie gwiazdną konstelację żurawia, trzeba udać się do Afryki, czy Ameryki Południowej, czyli na drugą stronę naszego kurczącego się świata, gdyż *Gwiazdozbiór żurawia* należy do nieba południowego i tylko jego niewielki fragment można czasami zobaczyć na naszym niebie, patrząc na południe, tuż nad horyzontem. Cały gwiazdozbiór, rzeczywiście przypomina swoim kształtem żurawia w locie.

Pierwszą rzeczą, jaką zaskoczyły mnie na początku wyjazdów do Starej Huty, przylatujące wiosną w dolinę Baryczy żurawie, były triumfalne ale i alarmujące fanfary, z jakimi tuż po przylocie, o wschodzie słońca, jakby grając na trąbkach, oznajmiały one, czasami już w końcu lutego, o zbliżaniu się do nas najpiękniejszej po zimowym zmęczeniu Pani Nowego Świata, czyli Wiosny. Po pewnym dopiero czasie zauważyłem, że żurawie najczęściej podchodzą do nas od strony Sośni.

Zdałem sobie sprawę z tego, że Sośnie Ostrowskie leżą w samym sercu dawnej puszczy, nic dziwnego więc, że najczęściej, z tamtej właśnie strony, podchodzą do nas także jelenie, danielle, sarny, dziki, dzikie gęsi, czaple, a nawet orły bieliki. Tam nadal żyje najstarszy w tych okolicach dąb, zwany *Janem*, pamiętający może nawet czasy bitwy pod Grunwaldem. Tamtędy przebiegał w czasach rzymskich szlak bursztynowy z Włoch nad Bałtyk. Tam poznałem w lesnictwie Moją Wola ptasi budzik, namalowany na wielkiej tablicy.

Sośnie, albo Sosznie, to po staropolsku sosnowe barci, w których żyły kiedyś pszczoły i miejscowość tę musiał założyć jakiś bartnik. Mam coraz większą ochotę udać się śladami przyrody oraz historii tych terenów, i uruchamiając wyobraźnię, na podstawie szczątków wiedzy, zrekonstruować mityczny i baśniowy świat tych okolic. Jest tam miejscowość Bogdaj, związana z jakąś łaską Boga, jest pałac w Mojej Woli, posiadający bogatą historię, są do opowiedzenia legendy o starym młynie. Marzy mi się spotkanie z Madonną Sośnieńską; jej obraz przemyka czasami w moim śnie, z którego wyrwyją mnie tutaj nad ranem, wdzierające się w ciszę, głosy żurawi.

Te przeraźliwie donośne i barwne głosy żurawi przybyszających spod Sośni, były pierwszymi głosami wiosny, które budziły nas o świcie w Starej Hucie i swoją mocą oraz niezwykłością barwy, za każdym razem od nowa, zastanawiały, jakby tkwiło w nich jakieś głębsze prze-

Podpatrzone  
w Starej Hucie

ślanie budzącej się do nowego życia przyrody. Jest coś tajemniczego, triumfalnego, a zarazem tragicznego w głosach żurawi, jest w nich jakaś zaskakująca i zastanawiająca sprzeczność, oznajmienie o zwycięstwie i porażce zarazem, przy pomocy których niezbadana głębia natury stara się dotrzeć do naszych, również niezbadanych, najczulszych pokładów naszej duszy, odradzając się każdej wiosny nie tylko wokół nas, ale również i w nas.

Gdy klucząc po pustkowiu wśród szuwarów i krzewów, udaje się podejść bliżej do pary żurawi, co nie jest łatwe, gdyż są one bardzo płochliwe, można zaobserwować, że muzyce towarzyszy taniec. Samiec wydając donośne głosy, rozpościera swoje skrzydła na szerokość dwóch i pół metra, wykonuje susy na wysokość do trzech metrów i chwyta dziobem metrowej długości kije, którymi groźnie potrząsa i rzuca przed siebie, jakby chciał swoją, na tych kilka sposobów demonstrowaną siłą, zaimponować partnerce, a jednocześnie przestraszyć rywali. W pewnym momencie do tańca, trąbiąc do taktu, dołącza partnerka. Przy pomocy tańca, partnerzy jakby sprawdzają i demonstrują, istnienie łączącego ich wspólnego rytmu; taniec jest testem łączącej parę, wzajemnej harmonii uczuć. Rzeczą, która zadziwia przyrodników jest to, że wśród związanych ze sobą przez całe lata tych samych par żurawi, co roku dochodzić musi do ponownego potwierdzenia ich związku, poprzez wiosenny, godowy taniec.

Jeśli chodzi o osobniki młode, nie połączone jeszcze w pary, to zaczynają wspólny taniec grupki samców, których taneczne poczynania z boku obserwują samiczki. Gdy którejś z obserwujących samiczek spodoba się melodyjna gra oraz taniec któregoś z samców, dołącza do niego tańcząc i trąbiąc do taktu. W ten sposób, właśnie w tańcu, tworzy się załazek przyszłej pary żurawi. Taniec żurawi stanowi więc próbę ustanowienia i ciągłego potwierdzania harmonii wzajemnych uczuć. Bywa, że raz powiązane w tańcu pary, łączą się od tej pory na całe życie, chociaż, jak wcześniej wspomniałem, muszą ten związek co roku na nowo potwierdzać wspólnym tańcem, tak, jakby taniec każdorazowo sprawdzał i zarazem odradzał ich związek. Ich sylwetka, zarówno w tańcu jak i podczas chodzenia, odznacza się niespotykaną gracją i elegancją.

Według starożytnych Greków taniec żurawi zwał się *geranos*. Tak samo zwał się grecki rytualny zbiorowy taniec ludzi, powiązanych sznurem, wykonujących skomplikowane, pełne zawiłości figury, obrazujące jakby wychodzenie z labiryntu. *Geranos* zwały się także zawiłości mitycznego labiryntu, z którego wydostał się Tezeusz dzięki kłębkowi nici Ariadny i zdołał uwolnić Kretę od śmiertelnego potwora Minotaura.

Kunciewiczową, H. Musierowiczową. Ale faktycznie wolą oglądać filmy lekturowe. Młodsza młodzież szkolna czyta chętnie Alfreda Szklarskiego. A starsi (szczególnie dziewczyny) Krystynę Sie-sicką, Olę Tokarczuk, ale też poezję, w tym coraz bardziej znanych twórców z Bydgoszczy: Jolantę Baziak, Stefana Pastuszewskiego i Zdzisława Prussa. Chętnie też lubią i czytają różne czasopisma: „Pod Wiatr”, „Przyjaźń”, „Przyjaciółkę”, „Na Żywo”, „Klaudia”. Od czasu do czasu trafia do nas „Akant”, który też ma swoich zwolenników. Dzięki Klubowi Polskiej Książki powoli, bardzo powoli poszerza się paleta czytelnicza i – co najciekawsze – przybliża literatura współczesna, tworzona dziś. Proces ten jednak jest niezwykle powolny... Ale konieczny!

Regina Michałowska

Jest więc jakiś magiczny, nie do końca może jasny związek, pomiędzy tańcem żurawi, wiosną, miłością, a także naszym, trwającym już wiele wieków błędzeniem w labiryntcie, jakim jest ludzkie życie i świat. Dla starożytnych kapłanów Egipcjan, żurawie w racji wysokiego lotu (ptaki te latają na wysokości 2-3 km nad ziemią i posiadają instynkt umożliwiający przewidywanie kształtowania się w czasie kilku, czy kilkunastu dni, prądów powietrznych) były symbolem astronomów. Dla wielu starożytnych ludów, żurawie symbolizowały kosmiczne łączniki pomiędzy różnymi światami, czy też, tak bardzo światu potrzebne, nadające mu głębszy sens, a pozrywane przez jednowymiarowe, płaskie widzenie rzeczywistości, szczególnie w dzisiejszych czasach, więzi pomiędzy Niebem i Ziemią.

Taniec żurawi wywierał wielki wpływ na ludy żyjące na ziemi, na różnych kontynentach. Poza wspomnianymi już Grekami, bardzo ważną rolę odgrywały żurawie w wierzeniach i mitologii Celtów, żyjących przed nami na rozległej przestrzeni od Wysp Brytyjskich po Turcję, bardzo silnie powiązanych swoim życiem i wierzeniami z rytmem przyrody. Podobne figury godowego tańca żurawi, powtarzają w swoich rytualnych korowodach poprzednicy dzisiejszych Japończyków, Ajnowie, jak też wschodnioafrykański, chamiński lud Watussi, żyjący w Rwandzie.

Wiele opowieści o żurawich słyszałem we wczesnym dzieciństwie na Wołyniu od swojego dziadka Ado, ale ich szczegółów nie zapamiętałem. Mity dotyczące żurawi, odżyły we mnie po niedawnym, krótkim pobycie w Afryce Południowej, gdzie znalazłem również duchowe ślady mojego dziadka. Poczulem to zwłaszcza w dniu, gdy znalazłem się w kraju Suazi. Wciąż mam przed oczyma starego murzyna, podobnego już bardziej do ducha aniżeli do człowieka, który siedząc na pniaku drzewa w zaroślach nad jakimś kanałem, czy rzeką, śnił i zarazem opowiadał... „Jednym z tańców naszego ludu jest *żyrulanga*, czyli taniec żurawi. Narodził się on w czasach, kiedy nie było jeszcze na świecie człowieka. Żył we wnętrznosciach nadmorskiej góry na naszym pradawnym kontynencie Lemurii, z którego pochodzili nasi przodkowie, jakby zagubione czy uwięzione w macicy ziemi, stado żurawi. Te żurawie przez cały czas słyszały plusk morskich fal, mówiący im, że istnieje poza ścianą góry inny, nieznaną świat, którego odgłosy dobywały się do ich uszu zza ścian góry i przez to poczuły tęsknotę za innym światem. Ponadto, pomimo tego że bardzo się kochały, nie mogły siebie zobaczyć z powodu ciągłych ciemności, panujących wewnątrz góry. Chciały więc wydostać się na inny świat, którego istnienie przeczuwały, świat, w którym byłoby światło. Uchwyciły się więc nawzajem za skrzydła i tak utworzonym sznurem zaczęły jeden za drugim posuwać się przed siebie, wiążąc się na wszystkie strony w poszukiwaniu wyjścia z labiryntu ciemności, w którym czuły się uwięzione. Bardzo długo i cierpliwie zakreślając zygzyki tanecznych figur, pokonywały po drodze wiele przeszkód i uparcie dążyły ku upragnionemu celowi. Wreszcie ujrzały pierwszą smugę światła. Okazało się jednak, że droga do niej nie była łatwa i prosta. Jeszcze siedem razy opanowywały je po drodze ciemności i ponownie pokazywał się promyk światła, a idąc ku światłu trzeba było kreślić zawiłe figury labiryntu i pokonywać liczne przeszkody. Jednak podjęty trud po długiej wędrówce, doprowadził je wreszcie nad brzeg morza, skąpany w świetle słońca. Od tej pory każdej wiosny żurawie, poszukując w okresie godowym partnerów do wędrówki tańczą, a tym tańcem każdego roku przypominają i powtarzają przebytą kiedyś drogę, prowadzącą z ciemności do światła. Człowiek podpatrzył ten taniec żurawi, gdy zaczął poszukiwać dróg ku światłu w labiryntcie świata i swojego życia, i dzięki żurawiom nauczył się tańczyć. Taniec stał się dla człowieka jedną z wielu dróg do wtajemniczenia w nieodgadnione głębie kosmosu własnej duszy i duszy świata...”

Suchając tej opowieści poczułem się w pewnej chwili tak, jakbym znowu po latach usłyszał mojego dziadka.

Jeszcze do niedawna żurawie zamieszki

## Podbrodzie



Na Litwie polskie dzieci czytają głównie literaturę programową. Wiersze lubiane przez uczniów to przede wszystkim:

1. K. Iłakowiczówna
2. A. Mickiewicz
3. K. I. Gałczyński
4. J. Słowacki
5. J. Twardowski

Z prozaików to szczególnie lubią H. Sienkiewiczą, E. Orzeszkową, J. Iwaszkiewiczą, M.



wały całą Europę. Jednakże zostały wyparte przez ludzi i opuściły wiele terenów po ich osuszeniu, i obecnie zamieszkują tylko niektóre, północne części Europy. Największe skupisko, około trzydziestu tysięcy żurawi, przelatuje każdej wiosny z zimowisk w Afryce północno-zachodniej, trasą zachodnioeuropejską, nad Hiszpanią, Portugalią, Francją i Niemcami, do Skandynawii.

Żurawie składają najczęściej dwa, rzadziej jedno lub trzy jaja. Gniazdo na ziemi skapo wysłane jest źdźbłami i mchem, a czasami jest to gołe, płytkie zagłębienie w ziemi. Młode wylęgają się w odstępie zazwyczaj dwóch dni i natychmiast opuszczają gniazdo. Aby ochronić je od drapieżników i nauczyć przetrwania w najtrudniejszym okresie tuż po przyjściu na świat, szybciej wyklutym małym opiekuje się samiec, a młodym później wyklutym, opiekuje się samica. Żurawie odżywiają się różnymi fragmentami roślin wodnych, polnych i łąkowych, bezkręgowcami takimi jak owady, mięczaki i pierścienice, a także drobnymi kręgowcami – gryzoniami, kretami, jaszczurkami, żabami.

Są to ptaki wędrowne, przemieszczające się na wielkich przestrzeniach wiosną i jesienią, pomiędzy miejscami gniazdowania i zimowiskami. Istnieją cztery główne trasy wędrówek żurawi europejskich i zachodniosyberyjskich, wybierane w zależności od miejsca gniazdowania i miejsca zimowania tych ptaków. Poza wymienioną już trasą zachodnioeuropejską, którą przelatują żurawie zimujące nad północno-zachodnią Afryką, istnieje trasa środkowo-europejska, obierana przez część żurawi ze Skandynawii i Północnej oraz Środkowej Europy, wiodąca przez Jugosławię i Włochy, na zimowiska do Tunezji. Trzecia trasa wiedzie żurawie z zachodniej Syberii przez tajgę rosyjską i stepy ukraińskie, zachodnim brzegiem Morza Czarnego, nad Cyprzem, do zimowisk w Egipcie i Etiopii. Czwarta trasa prowadzi przez zachodnią Rosję, Kaukaz, na zimowiska do Iraku i Iranu. W marcu i kwietniu żurawie przylatują z zimowisk do miejsca gniazdowania, zaś w okresie od września do listopada wracają do miejsc zimowania, ciągnących się od północno-zachodniej Afryki, poprzez Tunezję, Egipt, Etiopię, do Iraku i Iranu.

W odróżnieniu od bocianów, które podczas lotu unikają otwartego morza i pasm górskich, żurawie nie przelatują wyłącznie przez cieśniny morskie, lecz szybują nad pełnym morzem oraz nie unikają lotów nad wysokimi górami, przelatując na przykład nad Kaukazem i innymi pasmami górskimi, również omijanymi przez bociany.

Oprócz znanych nam żurawi żyjących w Europie, istnieje jeszcze występujący dość rzadko na Syberii żuraw biały, który zimuje w Indiach i Chinach, żuraw krzykliwy, występujący w Ameryce Północnej na terenie Kanady, a zimujący nad Zatoką Meksykańską oraz najbardziej barwny żuraw koroniasty, występujący w Afryce, na południe od Sahary,

Lot w kluczu tworzącym w powietrzu kształt litery V, lub w kształcie ukośnej linii i zmiany podczas lotu prowadzącego grupę, pozwalają ptakom na bardziej ekonomiczne pod względem ilości wydatkowanej energii i sprawniejsze pokonywanie olbrzymich przestrzeni.

Kto wie, czy patrząc w czasie lotu z góry, żurawie nie widzą lepiej od nas wielu spraw otaczającego nas świata? Może żurawie nauczyły mogły by nas nie tylko tańca?

## Beata Anna Pokorska, Maciej Kuczyński

### „Za co nie dają nagród?”

rozmawiają z JANEM TOMKOWSKIM, prozaikiem, eseistą, krytykiem literackim i historykiem literatury

**B.P., M.K.** – Przedstawiciele krytyki literackiej formułują tezę o śmierci wielkich narracji epickich, o bezpowrotnym wyczerpaniu się formuły „rzeki opowiadania”. Czy zgadza się Pan tą diagnozą?

**J.T.** – Wielka epika powieściowa związana była jak najściślej z wiekiem dziewiętnastym, z jego wizją wszechświata, wiarą w postęp i siłę cywilizacji. To wszystko pozwalało stworzyć stałą hierarchię wartości, w której kluczową rolę odgrywał szacunek dla jednostki. Wiek XX należał do tłumów, wielkie zrywy masowe i wielkie manipulacje doprowadziły do wyraźnego kryzysu duchowego. Ponadto nasz wiek inaczej myśli o czasie, innymi oczyma patrzy na ludzką kondycję. Ostatnia udana polska powieść tego nurtu to *Noce i dnie*, napisane co prawda w wieku XX, ale ukazujące panoramicznie wiek dziewiętnasty. Późniejsze próby nawiązania do epickiej narracji, mniej fortunne np. w *Sławie i chwale* czy tylko nieco bardziej udane w prozie Jerzego Andrzejewskiego, świadczą o schyłkowości zjawiska. I mimo, że epika nieuchronnie podlega transformacji, wkracza w doświadczenia dwudziestego wieku (Pasternak), czujemy, że korzeniami nadal tkwi w dziewiętnastym wieku. Jednak szeroko zakrojone, ukazujące rozległość czasu utwory nie znikają, ale podlegają znaczącej transformacji, pojawiają się nowe modele epickie, w których korzysta się z rozmaitych doświadczeń – najlepszym tego przykładem jest proza Faulknera czy Marquez.

**B.P., M.K.** – Proza chora na „ja”. Problem od pewnego czasu poruszany przez Czesława Miłosza. Rozrost owego „ja”, zaniedbanie wszystkiego, co wokół „ja”, staje się przyczyną obkurczania się nie tylko form, ale i treści. Czy aktualne jest stwierdzenie, że twórczość wymaga dystansu, owego „przerobienia”, które gwarantuje oddalenie „ja”? A może ów problem dystansu, owego „przerobienia” „ja”, także „wypalił się”, może przyszła pora na patrzanie przez to „ja”, bo przecież świat został już dostatecznie opisany, skategoryzowany, choćby przez media, które przynoszą przerażającą ilość obrazów rzeczywistości, mniejsza o to, czy prawdziwych?

**J.T.** – Jest to stara diagnoza, formułowana przy okazji różnych przełomów, zwrotów czy też mniejszych zakrętów w historii literatury. Mówiono o tym przy Prouście, którego twórczość jest dla mnie niezwykła, mówiono w okresie międzywojennym (spór o literaturę „choromaniaków”) i w latach sześćdziesiątych, kiedy zapowiadano koniec powieści, a wkrótce po tym pojawiło się *Sto lat samotności*. To z gruntu fałszywe kryterium, wszystko zależy od jakości pisania, od języka, wyobraźni, wykorzystania zasobów pamięci, gry tych elementów. Zresztą odkąd pamiętam, w Polsce zawsze mówiono o kryzysie prozy.

**B.P., M.K.** – Mirosław Dzień w ankiecie *Kwartalnika Artystycznego* na temat kondycji literatury polskiej formułuje pogląd, że „w literaturze nie ma miejsca na puszczanie oka w stronę nowinek”, ale czy znowu nie jest tak, że kierując się tą perspektywą tracimy cenne nowum. Geniusz wyprzedza epokę – czy historia nas tego nie nauczyła? Innymi słowy, czy polska literatura nie powinna brać pod uwagę zmiany hierarchii wartości formalnych czy treściowych?

**J.T.** – Polska proza jest mocno zapóźniona. Daleko nam do recepcji nowych trendów pisarskich, nie można wskazać dzieł literackich, które byłyby porównywalne np. ze sztuką pisarską

mojego ulubieńca Iana McEwana, zachwycającą wirtuozerią narracyjną, budowaniem niewiarygodnych nastrojów, paletą wielopoziomowych odniesień do tradycji pisarskiej, m.in. Prousta. To niesamowity opowiadacz, który posiadał tajemnicę operowania metafizyczną tajemnicą, a wszystko to potrafi zastosować w nowoczesnej formule tematycznej – powieści sensacyjnej, szpiegowskiej. Widać wyraźnie, jak pytanie o „ja”, o jego rozrost bądź niedostatek, jest tu nie na miejscu, jak bardzo staroświeckie byłyby to kategorie.

Można, w pewnym sensie, mówić o chorobie polskiej rzeczywistości literackiej. Nie ma mechanizmów wspierania młodych twórców, zauważalny jest brak obiektywizmu krytyki literackiej. Systemy promocji okazują się formą manipulacji, nie ma równych szans, za to samoreklamujące się getta i koterie. Krytyka i rynek wydawniczy nie podejmują ryzyka promocji dzieł ambitnych, co w przypadku literatury oznacza marginalizację wartościowej twórczości. Poważne wątpliwości budzić może np. medialny sukces pisarki Olgi Tokarczuk której, wtórna względem realizmu magicznego, proza jest nierówna (o reprezentującego przyzwoity poziom, wypieszczonego przez redakcję *E.E.* do znacznie słabszych *Podróży ludzi Księgi* czy *Domu dziennego, domu nocnego*). Hołubiona przez media Olga Tokarczuk pisze coraz słabsze książki, nikt nie zauważył natomiast świetnego debiutu Bożeny Budzińskiej. W obronie *Sezonu na pomarańcze* nie stanęło żadne imperium medialne. Poszukujący i odważni przegrywają. Można mówić nie tylko o zaniedbaniach czy zaniechaniach. Przykrym aspektem polskiej rzeczywistości literackiej bywa też niszczenie dobrze rokujących twórców, jak to miało miejsce w przypadku Witolda Horwatha, autora przejmującej powieści *Seans*, o którym niektórzy krytycy napisali rekordową liczbę bzdur. Podobnie ma się rzecz z prozą Piotra Wojciechowskiego, zapewne najwybitniejszego z żyjących polskich prozaików. Jego *Próba listopada* i *Harpunnik otchłani* – książki znakomite w swoim rodzaju – przeszły prawie bez echa.

**B.P., M.K.** – Czy wykrystalizowały się jakieś szczególne prądy w polskiej prozie, które stanowiłyby autentyczne novum na tle współczesnej literatury europejskiej? Czy można mówić choćby o dorobku pokoleniowym? Mamy na myśli głośne ostatnio *Tekstylii*, których autorzy zdają się swą antologią lansować tezę o wyróżnieniu pokoleniowym?

**J.T.** – Problemem polskiej współczesności literackiej jest jej atomizacja. Zamykanie się we własnych środowiskach, jakże hermetycznych i „odpornych” na, nikłe zresztą, wpływy innych środowisk. Kolega recenzuje powieść lub tomik poetycki kolegi, rodzi się ostatnio żenująca praktyka „zamawiania”, czyli – nazwawszy rzecz po imieniu – kupowania recenzji, wszystko to nie wpływa dobrze na rozwój środowisk literackich. Dotyczy to zwłaszcza najmłodszego pokolenia, któremu oczywiście najtrudniej zostać zauważonym. Twórca nie związany z określonym środowiskiem, gazetą czy wydawnictwem praktycznie nie istnieje na polskiej mapie literackiej. Rzecz jasna nie lekceważę znaczenia ruchu młodopoezytyckiego, pism i pisemek, działań w internecie. Ale brakuje mi czasopisma literackiego, które mógłby wziąć do ręki inżynier albo lekarz. Brakuje pisma otwartego, budującego obraz całości, no i wychodzącego w miarę często i regularnie. Niemniej po części rolę taką spełnia „Akant”.

## Pracownia plastyczna

Ingi Iwińskiej  
Marka Iwińskiego

oferuje usługi w zakresie

grafiki użytkowej

i malarstwa portretowego

85-047 Bydgoszcz, ul. Chrobrego 24/4  
tel. (052) 3214718



Dokończenie ze str. 33

To trochę paradoksalne, że w dzisiejszych, raczej prozaicznych czasach, poezja radzi sobie na ogół znacznie lepiej. Głos polskiej prozy jest natomiast słabszy. Mamy zresztą skłonność do lekceważenia wybitnych prozaików. Bo czy Leopold Buczkowski był doceniony? Albo Leo Lipski? Haupt? Straszewicz? Wchodzimy w fazę wielkiego kryzysu. Ostatnie kanoniczne, to znaczy czytane przez wszystkich książki powstały w latach siedemdziesiątych, to właśnie był czas Redlińskiego, Mrożka, Buczkowskiego, Dygata, Strykowski, Parnickiego, Konwickiego, Kuśniewicza. Potem przyszedł czas lektur – jakby to powiedzieć – nadobowiązkowych.

Co do *Tekstyliów*. Uważam, że wszelkie inicjatywy wydawnicze, prezentujące zjawiska przekrojowe, jak i środowiskowe, są cenne. Jestem wyznawcą chińskiej maksymy: „*Niech rozwija się sto szkół, niech zakwita sto kwiatów*”. Dzięki takim antologiom łatwiej o nawiązanie komunikacji między różnymi pokoleniami – pod tym względem obszerna publikacja zbiorowa ma oczywiście większą siłę przebicia niż debiutancki tomik.

**B.P., M.K. - A kanon literatury światowej ?**

**J.T.** - Wszystko wskazuje na to, że z drugiej połowy XX wieku pamiętać będziemy raczej książki niż pisarzy. Oczywiście, z małymi wyjątkami (Borges, Beckett, Nabokov, u nas Gombrowicz i Herbert). Ale poza tym? Raczej *Błaszany bębenek* niż całe dzieło Grassa, raczej jedna powieść *Jeśli zimową nocą podróżny* niż kompletny dorobek Calvina. I raczej *Paragraf 22*, bo cały Heller na pewno się nie ostanie.

**Jak to jest z przelamywaniem tabu? Idzie o problematykę feminizmu, homoseksualizmu, ateizmu? Czy mamy w tej materii jakieś szczególne dokonania?**

**J.T.** - Z pewnością środowisko warszawskie, choćby skupione przy IBL-u, wiedzie w tym względzie prym, zwłaszcza bujnie rozwijająca się krytyka feministyczna. Jednakże nieproporcjonalność w podejmowaniu pewnych tematów może budzić sprzeciw. Jeżeli przez pół roku renomowane studium podyplomowe, jako wiodącą pozycję odnoszącą się do holocaustu, omawia i „*walkuje*” na wszelkie sposoby *Sąsiadów* Grossa, to coś jest nie tak, jak być powinno. Zdaje się, że mamy znacznie lepsze pozycje literackie i bardziej rzetelne opracowania historyczne dotyczące tej tematyki...

**B.P., M.K. - Dochodzimy do pytania o krytykę literacką. Czy prawdą jest mówienie o atrofii w tym względzie? Dawne nazwiska ( Błoński, Janion, Burek) to dzisiaj głównie, jak pisze Jarosław Klejnocki we wspomnianej już ankiecie *Kwartalnika Artystycznego*, „*wydawanie sądów zdziwiających i nieadekwatnych do komentowanej sytuacji*”.**

**J.T.** - Krytyką literacką nazywa się dziś to wszystko, co pozwala książce zaistnieć w świadomości czytelnicy: *informację, reklamę, tekst wystąpienia promocyjnego*. W zaniku znajduje się natomiast model krytyki ukazującego pisarzowi zarówno nowe perspektywy, jak i mielizny jego działalności artystycznej, jednym słowem – krytyka towarzyszącego autorowi, prowadzącego za rękę, a nawet popychającego w tę czy inną stronę. Ale czy to wina pisarzy? Ostatecznie ktoś chciałby być prowadzony przez niedouczonego dogmatyka – kogoś w rodzaju Tomasza Burka, w poprzedniej epoce dzierżącego pod pachą dzieła wszystkich Lenina, a dziś wymachującego, pobieżnie przekartkowanym, katechizmem?

Sądy dzisiejszej krytyki literackiej znaczą zresztą tak niewiele. Najczęściej mówią nam one o zapobiegliwości twórcy lub o jego towarzyskim usytuowaniu. O ile mi wiadomo, w znikomym stopniu wpływają też na decyzje czytelnicy i wysokość nakładu. Nie zawsze dzięki nim otrzymuje się nagrody...

**B.P., M.K. - No właśnie: a co z nagrodami?**

**J.T.** - Z jednej strony – biorąc pod uwagę sytuację materialną większości pisarzy, dobrze, że są. Ale oczywiście zdarza się i tak, że pragnienie otrzymania prestiżowej nagrody jest silniejsze niż marzenie o stworzeniu arcydzieła, które powinno towarzyszyć każdemu, trzymającemu pióro w dłoni. No i pamiętajmy, co powiedział Fiodor Dostojewski: „*Za to, co ja piszę, nagród nie dają*”. Piękna maksyma!

**B.P., M.K. - Bardzo nas zmartwiła ostatnio śmierć Marianny Bocian. Czy nie uważa Pan, że jest ona poetką niedocenioną?**

**J.T.** - Wielka szkoda, że twórczość Marianny Bocian jest tak mało znana. Czeką na swego wielkiego odkrywcę, przede wszystkim zaś na rzetelne opisanie. Pani Marianna była postacią wielkiego formatu, jej bezkompromisowość, odwaga, gotowość do nazywania rzeczy i zjawisk wprost, nie zawsze spotykały się z uznaniem środowiska pisarskiego, nie mówiąc już o mediach. To właśnie zdaje się być przyczyną, że nie zdobyła takiej pozycji, na jaką zasługuje. Nie zmienia to faktu, że *Prywatne widzenie Leśmiana* jest perłą, która stanowić może ozdobę każdej antologii, a *Gnoma* to jeden z najważniejszych tomów poetyckich minionego ćwierćwiecza. Bez lęku podejmowała spór z autorytetami – Różewiczem, Miłoszem. Spór przemyślny, wynikający z walki światopoglądów, a nie personalnej rywalizacji o lepsze miejsce na Parnasie. Bliższy był jej Parmenides ze swoją wizją niezmiennych kuli bytu, w której zanurzone są także stałe wartości niż na przykład Heraklit, dowodzący płynności wszystkich rzeczy. A to znaczy oczywiście, że musiała opowiedzieć się po stronie Herberta. I przeciw Miłoszowi, rzecz jasna.

**B.P., M.K. - Dziękujemy za rozmowę.**

**J.T. - I ja dziękuję.™**

## Beata Klary

### Mniej oświetlona strona Parnasu

Uważam, że postacią ostatnio zapomnianą, a może po prostu mniej rzucającą się w oczy jest MARCIN ŚWIETLIICKI, o którym chciałabym tu kilka słów wspomnieć.

„*Czynny do odwołania*” (2001) to tomik poety, który choć powszechnie komentowany, to jednak już zapomniany, mimo iż, nie łatwo jest zapomnieć choćby motta z owego tomu, które brzmi:

*my nic nie sprzedajemy /  
my nic nie kupujemy /  
my zawsze zdradzamy /  
my wyjeżdżamy /  
nie chcemy z wami żyć w jednym mieście /  
nie chcemy z nikim żyć /  
kochankowie zawsze zdradzają /  
my zawsze zdradzamy.*

Jest to podana w pigułce treść całej książki, treść „*wytreszczona*” gestem negacji i zaprzeczenia, w którym zamyka się liryczne „*ja*” i jego czynności - czynności mowy oraz pisania. W końcu zanegowana zostaje sama książka, zamknięta ironiczną klamrą (*Czynny do odwołania*) pomnażania kolejnych zdań braku i straty (głosu, ale i *piśma*) wedle reguł matematyczno-sakralnej tabliczki alfabetu (44 wiersze)<sup>1</sup>.

Dla mnie, młodego człowieka, rzeczą rzucającą się od razu w oczy w przypadku wierszy z tego tomu jest motyw samotności i wyobcowania, tak przecież bliski każdemu w XXI wieku, zwłaszcza w powiązaniu z problemem upragnionej przez wszystkich miłości. Mężczyzna odchodzi od kobiety, bo pragnie pozostawić kobietę samą, by się stęskniła i zapragnęła znowu aktu

zespolecia, albo szybko wycofuje się, często zmienia kobiety, bo boi się, że czeka go samotność, pustka, a nawet próżnia. Miłosnej zabawie towarzyszy motyw obcego miasta: jest depresyjne patrzeć w lustro, jest śmiertelne podobieństwo (podobieństwo w byciu śmiertelnym, w sposobie przeżywania śmierci) do „*wszystkich innych hamburgerów*”, do wszystkich innych ludzi:

*Znajduję ślad twoich zębów w obcym mieście.  
Znajduję ślad twoich zębów na swoim  
ramieniu.  
Znajduję ślad twoich zębów w lustrze.  
Czasami jestem hamburgerem<sup>2</sup>.*

Tytuł wiersza „*McDonald*” przywołuje pole skojarzy, które otwiera rejon kultury masowej. Przedmiotem wiersza nie są przyjemności jedzenia, lecz doznania miłosne. Kochanek zostaje utożsamiany z hamburgerem (przedmiotem masowo wytwarzanym), zaś akt miłosny staje się jedzeniem, pochłanianiem potraw. Bycie hamburgerem odsłania swoje konsekwencje: zewnętrzne – kochanek wygląda jak on, wewnętrzne (sposób i struktura istnienia) – jest zbudowany jak on – z kilku nakładanych na siebie warstw. Tym, co najistotniejsze w mężczyźnie, tym co najgłębiej zabarwia jego istnienie jest ślad, jaki pozostawia w jego ciele i psychice kochająca kobieta (choćby był to tylko ślad jej zębów). Wiersz jest przywołaniem erotycznej gry, prowadzonej przez mężczyznę i kobietę, zreńczenie łącząc ze sobą grozę świata oraz grozę bycia z drugim człowiekiem, demonstracyjnie odwołując się do tandetnych elementów z dzisiejszego świata, by przerażenie z jednej stro-

ny nieco złagodzić, a z drugiej – umieścić w centrum współczesności. To nie jest tylko gra z kochającą kobietą, to jest gra z sobą samym i ze światem. *Jestem hamburgerem, czyli jestem ochłapem mięsa, który sprzedają jako smaczne danie*. Kobieta – adresatka miłosnego wyznania – zdradza swą obecność w jeden tylko sposób: poprzez ślady zębów, pozostawione na ramieniu mężczyzny. Miłosne wyznanie nawiązuje do mitu modliszki (mitu kanibalizmu), który obecny jest także w innych wierszach Świetlickiego<sup>3</sup>.

Otoczenie współczesnego człowieka automatyzuje jego życie praktyczne i psychiczne, skracając drogę poznania świata o jednostkowe zmaganie się z przedmiotem, w tym przypadku z hamburgerem. Wszechobecnym, znajdującym się na każdej ulicy. W takiej relacji powstaje wspólnota ludzko – przedmiotowa, gdzie partnerem może być drugi człowiek albo przedmiot przez niego wytworzony. Brak zasadniczej, kulturowo nacechowanej różnicy między człowiekiem, a rzeczą (hamburger) wywołuje niepokój o własną jednostkową tożsamość<sup>4</sup>. Następuje pomylenie pojęć i człowiek nie wie już kim lub czym jest.

Cała twórczość Marcina Świetlickiego oscyluje w świecie dochodzenia kim tak naprawdę jest człowiek i dlatego warto choć czasem znów sięgnąć po zakurzony już zbiór jego wierszy.™

<sup>1</sup> A. Sobol, Pokruszony w krtani alfabet. Czynności nieczynnych cząstek mowy. [W:] „*Megalopolis*”, www.magazyn.pl

<sup>2</sup> M. Świetlicki, McDonald's [W:] 37 wierszy o wódce i papierosach, Bydgoszcz 1996, s. 11

<sup>3</sup> Porównaj: „*Niedomówienie*”, gdzie świat jawi się jako bezwzględny organizm, który trawi ludzi, najpierw redukując odrębność jednostki, później sprowadzając na nie zagładę; „*Zimne kraje*”, gdzie pada stwierdzenie „*pariństwo ma zęby*”.

<sup>4</sup> Porównaj: U. Eco, *Semiologia życia codziennego*. Przeł. J. Ugniewaska i P. Salwa, Warszawa 1996



**Zdzisław Drzewiecki****Blues dla syna**

Pewnego dnia obudzisz się w jakimś dalekobieżnym pociągu.  
Zobaczysz umykający za oknem krajobraz.  
Nieodwracalnie umykający.  
Zdasz sobie wówczas sprawę z tylu rzeczy stanowiących  
Dotychczas spokojne tło.

Pewnego dnia urosną ci ikarowe skrzydła  
a ja będę wpatrywał się w widnokrąg z bezradnością Dedala.  
Dotrzesz do brzegu gdzie poznasz smak  
zakazanego owocu. Będziesz szczęśliwy.  
Twoja gwiazda lśnić będzie w moich oczach.  
I nie będziesz wyznawał boga samotności.  
Choć niewątpliwie piękny jest.

Pewnego dnia przyprowadzisz do domu kobietę  
I nazwiesz ją.  
Jak nazwiesz wszystko inne.  
Bo będzie to dla was nieznane.  
I będzie to piękne.  
Tak bardzo że będziesz chciał tańczyć rankiem  
nad brzegiem morza.

Pewnego dnia napiszesz  
blues dla syna.

*II nagroda w Konkursie „O herb Grodu Chrzanowa”*

**Tadeusz Lira-Śliwa****Aforyzmy**

Halina Poświatowska: umysł i zmysły.  
\*

Ewa Lipska: umysł kontra zmysły.  
\*

Jolanta Baziak: umysł i mistyka.  
\*

Ryszard Milczewski-Bruno: słownik wyrazów osobliwych.  
\*

Jerzy Harasymowicz: mityczne peryferie Krakowa.  
\*

Andrzej Bursa: realne perypetie w Krakowie.  
\*

Tadeusz Różewicz: poezja jest milczeniem.  
\*

Sobowtór Tadeusza Różewicza: milczenie jest poezją.  
\*

Konstanty Ildefons Gałczyński: zaczarowane wersy.  
\*

Ksiądz Jan Twardowski: błękitne wersy.  
\*

Stefan Pastuszewski: różnobarwne wersy.  
\*

Julian Tuwim: roztańczone wersy.  
\*

Bruna Jasiołki: wersy w butonierce.  
\*

Edward Stachura: wersy w plecaku.  
\*

Thomas Stearns Eliot: suche wersy.  
\*

Josif Brodski: wilgotne wersy.  
\*

Konstandinos Kawafis: klasyczne wersy.  
\*

Jarosław Seifert: złote wersy.  
\*

Bertolt Brecht: wersy za trzy grosze.  
\*

Jorge Luis Borges: wersy w labiryncie

**Marek Zgaiński**

\* \* \*

w mieszkaniu numer siedem pewnego dnia  
zabrakło pożywienia  
dlaczego nie ma chleba zapytała żona  
bo wczoraj nie kupiłaś odpowiedział mąż  
a dałeś mi pieniądze  
w tym momencie dwunastoletnie dziecko zapytało  
co będzie na śniadanie  
nic odparli zgodnie mąż i żona  
bo mama nie kupiła wczoraj chleba dodał mąż  
bo tata nie dał mi pieniędzy dodała żona  
dałem ci pieniądze tylko zapomniałaś kupić  
a dlaczego ty nie mogłaś kupić  
to co z tym śniadaniem dopytywało się dziecko  
ktoś musi pójść po chleb powiedział mąż  
ja nie pójdę jest zimno powiedziała żona  
mi się też nie chce wychodzić powiedziało dziecko i wróciło do  
łóżka  
w mieszkaniu numer siedem pewnego dnia  
zabrakło wszystkiego

*I nagroda w Konkursie „O herb Grodu Chrzanowa”*

**Zbigniew Włodzimierz Fronczek****Ciocia Mania leci do Ameryki**

W rękę dźwierży bilet i wizę. Do Ameryki. W Chicago  
Czeka syn Krzysztof, synowa i wnuki. I praca. Będzie  
Sprzątać, gotować, pielęgnować ogródek.  
Na lotnisku stoję obok jej córek i zięciów. Patrzy  
Nad nasze głowy. Może widzi wieś, swoje Dąbie,  
Chatę podpartą kołkiem i rozwalony  
Plot. Tam płynęły jej wiosny i jesienie, lata i zimy. Za –  
Siewy i zbiory. Co roku wagon buraków i kartofli. Sama. Wuj  
Wczesnie spoczął na cmentarzu.  
Potrafiła przeżyć, przetrwać. Utuczyć prosię, wykarmić psa  
i kota. Kupić dla dzieci buty, zeszyt, czasem książkę. Zawsze  
zdrowa. Raz była w szpitalu, a wtedy suka Sójka umarła  
z tęsknoty. Czy coś zostawia?  
Zbyt trudne pytanie. Poprawia

Siwe włosy. Ma 65 lat. A życie dopiero przed nią.

*Wyróżnienie w w Konkursie „O herb Grodu Chrzanowa”*

**Piotr Ginter****Uspokojenie**

To tylko jesień  
nie bój się  
posłuchaj drzew  
wieczne opowieści  
mówiąca księżka  
o latach zamkniętych  
w jedną godzinę milczenia  
to tylko deszcz  
nieśmiały  
jak pierwszy uścisk dłoni  
to tylko szarość  
zakrywająca oczy  
nie bój się  
to tylko chłodny wieczór  
tak chłodny  
że nie ogrzeją go  
nawet wszystkie odsłonięte serca

**Dorota Dziedzic****Recepta na wczoraj**

Dziś patrzę wreszcie przez oczy

Tomek powiedział:  
jest tak jak jest  
a lepiej nie będzie  
bo nigdy nie było  
jedyne co mogę obiecać  
to to że potrwa to wiecznie  
choć gorzej też być może  
i niekoniecznie przez ciebie

jestes najlepszym drzewem  
o które można się oprzeć

Rzucalam nieme spojrzenia  
córka się darła za ścianą

to nasza mała syrenka

**Robert Czempiński****Jutrznia**

Klasztorną ciszę porankiem przerywa  
głos rozmodlonych braci  
przez słowa brewiarza Bóg ich dotyka  
prowadząc z nimi rozmowy

Chóralny gwar jak błyskawica  
przecina mury klasztorne „Do Pana należy  
ziemia i wszystko, co ją napętnia, świat cały i  
jego mieszkańcy”. (Ps 24)  
A kot klasztorny w promieniach słońca  
kości wygrzewa  
mruczy cicho dodając  
swoje Bogu miłe sowa



## Stanisław Januskiewicz

## Ludzie nieodpowiedzialni

Spośród instytucji niepolitycznych w Polsce najgorsze notowania uzyskały sądy i prokuratura.

Sędziowie i prokuratorzy korzystają u nas z tzw. immunitetu. Sędzia nie może być zatrzymany ani pociągnięty do odpowiedzialności karnej – sądowej lub administracyjnej bez zezwolenia właściwego sądu dyscyplinarnego; podobnie prokurator bez zezwolenia właściwej komisji dyscyplinarnej.

Według badań OBOP sądom nie ufa u nas 50 procent respondentów, podczas gdy np. w USA, gdzie nie istnieje coś tak anachronicznego jak immunitet, 75 procent deklaruje zaufanie do sędziów, a u nas tylko 38 procent. Główną przyczyną takiej oceny społecznej sędziów wydaje się być zła jakość ich pracy.

W praktyce nie dokonuje się skutecznej oceny pracy prokuratorów, zaś zgłaszane na nich skargi i zawiadomienia o ich postępowaniu sprzecznym z prawem są ignorowane i oddalane, ogólnikowymi stwierdzeniami, które nie wiele mają wspólnego z rzeczywistymi dowodami. Legalizują taką niepraworządność niektórzy sędziowie wydając jednoosobowo postanowienia, które zgodnie z art. 426 kpk są ostateczne i nie podlegają zaskarżeniu do sądu wyższej instancji.

Wiele „dowodów” opiera się na fałszywych zeznaniach świadków, których wykorzystuje się w postępowaniu przygotowawczym i w postępowaniu przed sądem. Jaskrawym tego przykładem jest jedna ze spraw w Sądzie Rejonowym w Bydgoszczy, w której czterech świadków złożyło łącznie 64 zeznań niezgodnych z prawdą (fałszywych), a zawiadomienie pokrzywdzonego w

tej sprawie zostało załatwione negatywnie przez prokuratorów i później przez sąd (jednoosobowo) w sposób „hurtowy”, bez wdawania się w merytoryczną ocenę poszczególnych zarzutów fałszywych zeznań.

Z powyższego można wysnuć wniosek, że część rezultatów pracy tzw. organów ścigania i niektórych sędziów opiera się na zakłamaniu, w czym wykazują oni solidarność dla własnej wygody, w tym i na skutek układów i łapownictwa (o których często się mówi i pisze, a co jest trudne do udowodnienia).

Nie należy sądzić, że winę za ten stan ponoszą „starzy” prokuratorzy czy sędziowie. Dysponują materiałami, z których wynika, że trzech asesorów Prokuratury Rejonowej w Bydgoszczy i dwóch asesorów Sądu Rejonowego w Bydgoszczy „popisało się” nieznaną im istotą sprawy, w której orzekali.

System kształcenia sędziów jest fatalny i to nie jest bynajmniej moja opinia, a praktyka (aplikacja) polega chyba na przyswojeniu najgorszych nawyków, aby nie narazić się komu nie trzeba, nie dążąc do ustalenia prawdy i postępowania sprawiedliwego. Szokuje na przykład to, że osobnicy z tytułem magistra prawa nie potrafią ustalić stanu faktycznego zdarzenia, jeżeli np. z trzech świadków każdy zeznaje inaczej. Wyciągają wnioski, które są dalekie od zasad prawidłowego rozumowania (logiki). Rodzi się pytanie, co dają studia prawnicze, skoro człowiek o przeciętnym poziomie inteligencji bez studiów prawniczych bardziej prawidłowo zawyrokuje o prawdzie lub kłamstwie, o winie i niewinności.

20 czerwca 2002 roku wystosowałem do Prezesa Rady Ministrów (albowiem wg art. 118 Konstytucji: Radzie Ministrów przysługuje inicjatywa ustawodawcza) wniosek dotyczący spowodowania wprowadzenia zmian prawa, który zawierał m.in. następujące propozycje:

1. Wprowadzenie do Kodeksu Karnego odpowiedzialności policjantów, prokuratorów i sę-

## Dokąd zmierzamy?

dziów za niezawiadomienie niezwłocznie organów ścigania przestępców o dokonaniu czynu zabronionego w art. 233 kk (fałszywe zeznanie) lub nie wszczęcie takiego postępowania we własnym zakresie. W praktyce można by uzupełnić art. 240 kk (niezawiadomienie o przestępstwie) np. o § 4.

2. Zniesienie immunitetu dla sędziów (art. 50 ustawy z 20.06.1985 r. o ustroju sądów powszechnych).

3. Zniesienie immunitetu dla prokuratorów (art. 54 ustawy z 20.06.1985 r. o prokuraturze).

4. Zlikwidowanie „monopolu” prokuratorów podporządkowanych Ministerstwu Sprawiedliwości do sprawowania nadzoru nad dochodzeniami, prowadzenie takich dochodzeń i śledztw oraz sporządzania aktów oskarżenia do sądów w sprawach ściganych z urzędu.

Kancelaria Prezesa Rady Ministrów przesłała mój wniosek do Ministerstwa Sprawiedliwości z prośbą o rozpatrzenie oraz powiadomienie zainteresowanego o zajętych stanowisku.

Ministerstwo Sprawiedliwości w osobie Beaty Mik – zastępcy dyrektora Departamentu Legislacyjno-Prawnego było oczywiście przeciwne jakimkolwiek zmianom, które uszczuplały by przywileje prokuratorów i sędziów oraz skutecznie mobilizowały ich do przestrzegania obowiązującego prawa.

W piśmie z dnia 30 września 2002 roku dotyczącym wniosków wprowadzenia zmian prawa wystosowanym do Ministra Sprawiedliwości Grzegorza Kurczuka stwierdziłem m.in., że:

„Pani Beata Mik prokurator Prokuratury Krajowej w zakresie pkt 1 propozycji ograniczyła się tylko do stwierdzenia, że „nowelizacja art. 240 Kodeksu Karnego, w kierunku przez Pana proponowanym nie jest możliwa” (...).

„Największe zło w praktyce polskiego systemu prawnego to opieranie się na fałszywych zeznaniach świadków, których toleruje się i ochrania przed odpowiedzialnością karną z art. 233 kk”.

Ten zwyczaj przez to system opiera się więc w jakimś zakresie na zakłamaniu, dlatego też nie słyszy się aby ktoś poniósł odpowiedzialność karną za złożenie fałszywych zeznań.

Immunitet sędziowski jest anachonizmem pozwalającym na rozplenienie się sędziów popełniających przestępstwa z racji wykonywanych obowiązków zawodowych (nieprzestrzeganie kk i kpk), za co nie ponoszą żadnych konsekwencji karnych i służbowych, co nie ma odniesienia do innych zawodów. Immunitet nie ma nic wspólnego z niezawisłością sędziowską i nie może być gwarancją niezawisłości, która przecież oznacza zasadę wymiaru sprawiedliwości polegającą na tym, że sędzia rozstrzygając sprawę podlega wyłącznie ustawie, a nie może być skrepowany żadną instytucją administracyjną.

Podobnie immunitet prokuratorski niewiele ma wspólnego z niezależnością (niepodporządkowanie komuś), ale daje przywileje i prawo niepodlegania temu, co ciąży na innych, co spowodowało zwyrodnienie w jakości pracy niektórych prokuratorów ochraniających przed odpowiedzialnością karną przez innych prokuratorów. Mogą więc oni bezkarnie preparować dowody w oparciu o fałszywe zeznania świadków, wydawać kłamliwe postanowienia i sporządzać akty oskarżenia niezgodne z zasadami kodeksu postępowania karnego po przeprowadzeniu sfingowanych dochodzeń lub śledztw.

Na podstawie wieloletnich doświadczeń a zwłaszcza ostatnich uważam, że obecna prokuratura, nie generalizując oczywiście sprawy, jest nieudolną i niepraworządną instytucją, w której niektórzy przedstawiciele posługują się prymitywną argumentacją i kłamstwami. Jak mogą oni skutecznie ścigać przestępców, skoro sami postępują jak przestępcy?

Ministerstwo Sprawiedliwości z Grzegorzem Kurczukiem na czele nie podjęło merytorycznie tematu w wygodny dla siebie sposób i nie nastąpiła też żadna zmiana na lepsze w zasygnalizowanych problemach i konkretnych sprawach.■

## Andrzej Dorobek

## „Przepraszamy” czy „przebaczamy”?

Politycy zapisują się w dziejach nie tylko czynami, lecz i słowami. I tak Cezara od zawsze kojarzymy z „Kości Zostały rzucone”, Piłsudskiego z „Wysiadłem z czerwonego tramwaju socjalizmu na przystanku niepodległa Polska”, a trzeciego prezydenta tzw. III Rzeczypospolitej - z „Przepraszamy”.

Słowem tyleż niezbędnym, ile, w pewnych sytuacjach, mało adekwatnym. Dowiódł tego właśnie „Aleksander Wielki Kwaśniewski” (wedle kuriozalnej formuły jednego z mazowieckich ekskacyków): po raz pierwszy na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to, rozpoczynając przygotowania do zabiegów o prezydenturę, przeprosił za nieprawość, jakich się kiedykolwiek dopuszczono pod szyldem PZPR. Po raz wtóry - w lipcu 2001 roku w Jedwabnem, przepraszając w imieniu wszystkich Polaków za zbrodnie popełnione na potomkach Abrahama i Mojżesza.

Zauważmy jednak, że nieadekwatność prezydenckiego „przepraszam” w obu przypadkach miała inny charakter. W pierwszym słowo to zabrzmiało nieomal jak drwina z ofiar stalinizmu czy stanu wojennego, którym poniesionych wówczas strat moralnych, materialnych i fizycznych nikt przecież nie zamierzał wynagrodzić. W drugim okazało się nie tyle wyrazem spóźnionej skruchy i wrażliwości moralnej, ile przejawem słabości, jeśli nie wręcz swoistego serwilizmu, niegodnych głowy suwerennego państwa.

Wiadomo, że kilkunastoletnia, boleśnie zakłamaną historią diaspory żydowskiej w Polsce daje rozliczne podstawy do wzajemnych żalów i pretensji. Wiadomo też jednak, że mniejszość semicka, bezwzględnie dyskryminowana w średniowiecznej Europie, w Polsce znalazła najlepsze, mimo wszystko, warunki egzystencji; że rewanżowała się za to w sposób zgoła nieoczekiwany (próby wykreowania na terenie Polski na początku I wojny światowej w porozumieniu z władzami niemieckimi niezależnego państwa żydowskiego); że ponad ćwierć wieku później nowojorska plutokracja żydowska, regularnie

monitowana przez rząd londyński w sprawie pomocy dla ofiar Holocaustu na terenie Polski, zachowała całkowitą obojętność; że aparat SB, odpowiedzialny za terror stalinowski w naszym kraju, był, w sensie etnicznym, zasadniczo semicki - i że, na koniec, sprawa mordu w Jedwabnem nie wzbudziła większych emocji, gdy po raz pierwszy, bodaj pod koniec lat czterdziestych, znalazła się na wokandzie.

W podobnej sytuacji stawianie Polaków *en bloc* pod pręgierz światowej opinii publicznej jako współwinowajców Holocaustu (między innymi na podstawie fałszywek w rodzaju „Sąsiadów” J. T. Grossa, znakomicie przywołanych przez J. R. Nowaka) i domaganie się przeprosin na szczeblu państwowym jest szczytem obrzydliwej hucpy. Zwykłym szantażem, przed którym prezydent formalnie suwerennej III Rzeczypospolitej nie powinien się ugiąć.

Zwłaszcza że, chcąc postąpić inaczej, znalazłby godny precedens... jeszcze z czasów peerelowskiego zniewolenia. Idzie nam tu o gest polskiego episkopatu wobec narodu niemieckiego, streszczający się w słowach: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Mimo iście nieprzytomnej wrzawy, jaką wywołał wśród gomułkowskich propagandystów, z perspektywy czasu gest ten okazał się początkiem normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Był godny przedstawicieli niezależnego państwa - którym ówczesna Polska przecież nie była! - i głęboko chrześcijański w swej wymowie.

Tym bardziej więc powinien on zostać powtórzony podczas wiadomego mityngu w Jedwabnem przez prezydenta kraju zasadniczo katolickiego, w odpowiedzi na nagonkę, w której udział miały też, niestety, „suwerenne” media tzw. III Rzeczypospolitej. Powinien - tak dalece jak Nowy Testament, Biblia wszechmiłości i przebaczenia, różny jest od Starego, Biblii strachu, osaczenia i bezlitosnego odwetu. Od których przecie jakże blisko do wspomnianych wcześniej szantażu i hucpy.■



## Jerzy Hłond

## Goliat

Często przychodzi nam odwoływać się do zamierzchłych czasów, których dzieje przybierają opowieści, tkwiące w naszej współczesności. Nie można im odmówić prawdy. Odległe mity się sprawdzają i wpisują się w wydarzenia w wymiarze nader dramatycznym czy tragicznym dla wielu narodów świata. Dlatego krótka opowieść Czesława Raszewskiego „Na dobranoc dla zniewolonych” („Akant” nr 3/2003) jest publikacją aktualną, kiedy przeżywamy nie emocjonalnie wojny rewolucyjne w imię demokracji i w obronie ludzkości przed terroryzmem, które prowadzone były przez wojska koalicji amerykańsko-brytyjskiej w Afganistanie, a ostatnio z reżimem Saddama w Iraku.

Zgodzić się wypada z przytoczonym przysłowiem: „Mądry Polak po szkodzi”. Wiadomo bowiem, że Polska w tej ostatniej wojnie przez większość naszego społeczeństwa uważana jest za agresywną. Sprawujący z wyboru w Polsce władzę, bez liczenia się z głosami przeciwnymi, pierwsi wystąpili przed innymi deklarując politycznie, moralne i militarne poparcie inwazji na Irak przez koalicję amerykańsko-brytyjską jako lojalny sojusznik i strategiczny przyjaciel w razie zagrożenia. Trudno powiedzieć, skąd można oczekiwać zaborczych zakusów?

Rezydujący w pałacu prezydenckim i w rządowych gabinetach udawadniają wbrew, być może własnej świadomości, temu, iż mimo sprzeciwu organizacji międzynarodowych, można podejmować decyzje. Większość narodów świata solidaryzowała się z narodem amerykańskim po zamachach z 11 września 2001 roku. Wtedy to nikt nie przejawiałby, nawet w myślach, iż nastąpi radykalna zmiana w odczuciach narodów po runięciu wież WTC. Na szpaltach „Akantu” trwała dyskusja, która sygnalizowała o degradacji cywilizacji w nadchodzącym XXI wieku. Nikt bowiem nie spodziewał się tak gwałtownych zawirowań. Ten akt terroru bynajmniej nie może usprawiedliwiać wszystkich, i nie tylko ostatnich, amerykańskich reakcji wpisujących się w długi łańcuch zachodniej polityki imperialnych interwencji.

Mało komu są znane wypowiedzi wybitnych amerykańskich intelektualistów, jak Edwarda W. Saida, czy Noama Chosky'ego. Nie mówiąc o innych publikacjach, zamieszczonych w półroczniku polityczno-artystycznym „Lewą Nogą” (nr 14/02). Ponad stu uczonych z amerykańskich wyższych uczelni wystosowało znanymi list, który w swym tonie jest oskarżeniem rządzących z Pentagonu. W pierwszych słowach czytamy: „W następstwie samobójczych zamachów 11 września 2001 roku na World Trade Center i Pentagon prezydent George W. Bush wydał wojnę terroryzmowi. Wojnę, która nie ma żadnej widocznej granicy ani w przestrzeni, ani w czasie, ani w zniszczeniach, które może powodować. Nikt nie wie, który kraj może być podejrzany o ukrywanie elementów terrorystycznych albo oskarżony o przynależność do <Osi Zła>. Amerykańscy uczeni w imię zgłady nie tylko cywilizacji, co biologicznego zniszczenia wielu społeczeństw, wyrażają swój głęboki protest. Będąc obywatelami Stanów Zjednoczonych poczuwają się do obowiązku w imię nadrzędnych i humanitarnych celów do przeciwstawienia się szalonemu pędowi ku wojnie”. Demaskują wojskowych sojuszników USA w NATO, iż przyszłość ich również jest w niebezpieczeństwie. W obawie przed różnego rodzaju represjami owi „sojusznicy” czy „przyjaciele” nie mają odwagi przeciwstawić się polityce wojny.

W opublikowanym *Liście obywateli amerykańskich do przyjaciół w Europie* poddają krytyce, rzekomo przez niektórych antycypowany pogląd, iż „cały świat patrzy na Stany Zjednoczone z uwielbieniem bądź z zazdrością”. Autorzy temu nie wierzą, gdyż skutki władzy amerykańskiej za granicą nie mają nic bowiem wspólnego z wartościami, które pielęgnują podobno w swoim kraju.

Autorzy listu bez jakichkolwiek niedomówień twierdzą, iż wydana wojna Afganistanowi, nie była podyktowana w imię prawa do samoobrony. Nie była to też reakcja na wydarzenia 11 września, ale kontynuowanie tego, co robiły Stany Zjednoczone w przeszłości. Dokumenty bowiem poświadczają o tym, iż Stany Zjednoczone od dawna bombardowały inne kraje, wysyłały do nich siły zbrojne, obalając rządy suwerenne wybrane przez narody. Często otwarcie głoszą, że

w niektórych wypadkach skłonni są wywołać wojnę totalną z użyciem broni nuklearnej.

Oddajmy jeszcze głos amerykańskim uczonym: „Prawo do obrony powinno być prawem, przysługującym wszystkim. Ludzkość ma prawo bronić się przeciwko samozwańczej „samoobronie” niekontrolowanego mocarstwa. W ciągu ostatniego półwiecza Stany Zjednoczone wielokrotnie okazywały obojętność wobec szkód nazywanych „ubocznymi” i zniszczeń spowodowanych przez wątpliwe wysiłki poprawienia świata. Wartości uniwersalne, których bronimy, wyrażamy poprzez solidarność z ofiarami dominacji amerykańskiej na świecie”.

List amerykańskich uczonych „do przyjaciół w Europie” jest wyrazem ich sumienia wobec narodów, którym grozi agresja w imię obrony ludzkości przed wyimaginowanym zagrożeniem demokracji i nowego ładu w wydaniu rządzących w Pentagonie. Bo, jak powiada lubelski poeta Henryk J. Kozak w wierszu „God Bless America”, zamieszczonym w tym samym numerze czasopisma: „...bo kiedy Ameryka się gniewa/ jest jak Zeus gromowładny/ co ciskał na oslep błyskawicami/ / Ty kochać Ameryka zawsze i wszędzie/ i nawet wtedy/ gdy rzuca po świecie tomahawkami/ bo ma jeszcze straszniejsze bomby/ siedmiotonowe/ burzące i rozpryskowe// te zabijają wszystko/ nawet powietrze/ i polne kamienie”. Tyle poeta! Z pewnością się nie myli i z wyrażonym sądem trzeba się zgodzić. Narody dawnej Jugosławii przeżyły „dantejskie” piekło tych bomb, które wywoływały niemałe spustoszenie. Nie mówiąc o cierpieniach, bo i tutaj „zaaranżowano” swoisty spektakl telewizyjny. Po drugie, urządzono poligon, na którym testowano nowe pociski z domieszką zubożanego uranu. Podczas likwidacji reżimu solennie obiecywano odbudowę miast i obiektów publicznej użyteczności. Wszystko spelfo na słowach i obietnicach. Podobnie było po wprowadzeniu rządów demokratycznych w Afganistanie i podobnie wyglądać będzie sytuacja w Iraku. W tym ostatnim państwie zniszczenia oblicza się na kwotę w wysokości, bagatela, 380 mld dolarów. Wierzyć, nie wierzyć amerykańskiej propagandzie, zrzucono ponad 800 sztuk pocisków tomahawk, którego wyprodukowanie szacuje się na kwotę 1 mln dolarów.

W krótkim czasie przeżyliśmy trzy krwawe wojny, które nie wiadomo, ile pochłonęły cywilnych ofiar i jakie poniesiono straty. A ile cierpień w ludziach i dzieciach. Tego amerykańskie dokumenty nie podają do publicznej wiadomości. Zastanawiać może coś innego. Nawet amerykańscy uczeni i dziennikarze nie zadają sobie trudu na udzielenie odpowiedzi na pytanie – ile wyprodukowano i ile aktualnie produkuje się w amerykańskich zakładach zbrojeniowych bomb i rakiet, które nieprzerwanie są używane wobec „nieposłusznych” państw i ich przywódców. Z pewnością nie doczekamy się tego rachunku. Świat nie dowie się prawdy, a jedynie fragmentarycznie między wierszami ujawnia się w przybliżeniu cyfry.

Noam Chomsky, myśliciel polityczny, pisarz, eseista, profesor lingwistyki w Massachusetts Institute of Technology, w wywiadzie udzielonym Davidowi Bersamianowi pt. „USA to człowiek państwo terrorystyczne” próbuje, na niepodważalnych przykładach, zdefiniować, dlaczego Stany Zjednoczone zalicza się do państw o tym charakterze.

Profesor geografii na Uniwersytecie Wisconsin-Madison w USA, Zoltan Grossman w artykule pt. „Zabijanie cywilów w imię obrony bezbronnych” stara się bez niedomówień wyjaśnić historię amerykańskich interwencji zbrojnych. Nieobytoczne są wydatki zbrojeniowe USA (343 mld dolarów w 2000 r.) są aż o 69 procent większe, niż pięciu kolejnych największych państw razem wziętych.

Interwencje zbrojne amerykańskiej opinii publicznej tłumaczy się tym, iż występuje się w imię ochrony życia i praw ludności cywilnej. Wszystkie po drugiej wojnie światowej określano jako w rzeczywistości wolności czy wprowadzaniu demokracji, a faktycznie służyły one dalszemu umocnieniu dyktatur, sprawowanych przez amerykańskie elity. Niejednokrotnie wypróbowano nowe technologie militarne, które pozwolą uniknąć ofiar wśród ludności cywilnej. Czy nie takimi informacjami „upajala” się wojskowa propaganda podczas zbrojnych nalotów samolotów? Żniwo ofiar tłumaczono i wciąż się tłumaczy jako „przypadkowe”, czy „niemożliwe do uniknięcia”. Często przedstawiają siebie jako niezaangażowanego rozjemcę, kierującego się li tylko racjami wyłącznie humanitarnymi.

Autor wstrząsającego artykułu dowodowego pt. „Interwencje amerykańskie po II wojnie światowej” William Blum jest bardzo odważnym dziennikarzem. Ten

wolny strzelec w 1967 roku porzucił pracę w Departamencie Stanu, protestując przeciwko zaangażowaniu Ameryki w wojnę w Wietnamie.

W wymienionym artykule W. Blum w chronologicznym zarysie opisał wykaz amerykańskich interwencji zbrojnych po roku 1945, które przeprowadzono w ponad 70 krajach. W polityce zagranicznej Stany Zjednoczone kierowały się „szumnie” deklarowanymi racjami moralnymi, a nie celami politycznymi czy gospodarczymi. Zestawienie to obejmuje zarówno wydarzenia, jak wojna w Wietnamie, Korei, interwencja w Zatoce Świń na Kubie, ale też niesłusznie zapomniane, jak obalenie demokratycznie wybranych rządów Gwatemali w roku 1953, Brazylii w 1964, Dominikany w 1965 i Grecji w 1967, wspólny udział w eksterminacji prawie miliona ludzi w Indonezji w 1965 czy wreszcie terrorystyczna kampania CIA przeciw świeżo wyzwolonej spod dyktatury Nikaragui w latach 80. Wstrząsająca to lektura.

Przytoczymy kilka przykładów. W latach 1956 – 1956 na Bliskim Wschodzie obowiązywała doktryna Eisenhowera, która głosiła, iż Stany Zjednoczone są przygotowane do użycia broni, do wspierania jakiegokolwiek państwa na tym terenie, które prosi „o takie wsparcie przeciwko zbrojnej agresji ze strony jakiegokolwiek państwa kontrolowanego przez międzynarodowy komunizm”. Świadczyło to więc o tym, iż na Bliskim Wschodzie dominować i sprawować gospodarczą kuratelę nad bogatymi złożami ropy naftowej winny Stany Zjednoczone. Podejmowano wiele pokazowych akcji militarnych, aby przypomnieć państwu basenu Morza Śródziemnego, kto tu jest „panem” i kto strażnikiem ich interesów.

Starsze pokolenia przypominają sobie amerykańską interwencję zbrojną w Wietnamie w latach 1945 – 1973. Dick Gregory o tej inwazji powiedział: „To co robiliśmy w Wietnamie, spowodowało się do wykorzystywania czarnych ludzi do zabijania żółtych, aby biali mogli zachować ziemię, którą zabrali czerwonym”. Ież w tym wyrachowania i zadufania w rzekome posłannictwo wobec innych narodów. Po wycofaniu się z Półwyspu Indochińskiego Francji, prawo do jego opanowania zapragnęli zasiadający w Pentagonie. Wojna trwała prawie 16 lat. Po tych latach wojska amerykańskie zmuszone zostały do puszczania walczącego Wietnamu, a Stany Zjednoczone do dziś szukają swoich żołnierzy. Mówią, iż USA przegrały tę wojnę. Nieprawda. Po sobie pozostawili całkowicie zniszczoną infrastrukturę, chemicznie zatrutą ziemię i wodę oraz doprowadzono do genetycznej degradacji całych pokoleń mieszkańców. Tak więc, Waszyngton osiągnął swój główny cel: zapobiegł „powstaniu czegoś, co mogło się stać właściwą opcją rozwoju dla Azji”. A to wszystko dlatego, iż przywódca ich Ho Chi Min był „komunistą”

Polska oświadczeniami prezydenta A Kwaśniewskiego i premiera L. Millera zaświadczyła, że poparcie militarne w Iraku jest jej obowiązkiem lojalnego sojusznika dla partnera strategicznego. Zapewnienia przywódcy amerykańskiego G. W. Busha „podbudowują” naszych przedstawicieli narodu, iż zostaną jako przyjaciele włączeni do odbudowy Iraku. A skąd będą środki? Wreszcie czy amerykańskie firmy scedują je na niektóre nasze wybrane przedsiębiorstwa? Tak samo będzie, jak z kontraktem na samoloty F-16 i z zakupem przyznania offsetu. Z pewnością uwzględni się w nim budowę fermy kurzej w okolicach Hrubieszowa, gdzie w przyszłości, być może zlokalizowana będzie baza amerykańskich marines.

Zakłady przemysłowe upadają, w skali nienotowanej rośnie bezrobocie, dzieci głodują, a odpowiedzialni za ten stan rzeczy radzą. Nie ma się czym martwić, kiedy strumieniem płyną z ust prezydenta USA G. W. Busha słowa pochwały, które niczym balsam osładzają codzienne życie polskiego narodu. Oczekiwać należy, iż w niedługim czasie jeden z mężów stanu z Pentagonu zdobędzie się na takie słowa, jak niegdyś była sekretarz stanu USA, Madeleine Albright, która po wycelowaniu się z dawnym ministrem spraw zagranicznych Bronisławem Geremekiem publicznie rzekła o nim, iż to „skarb polskiego narodu”. Czyż nie może to wyróżnienie zastąpić inne codzienne troski? Z pewnością wyrażane pochwały bardziej się liczą, niż uliczne protesty czy strajki zwalniających z pracy. Podobnie poszukujący jej winni zadowolili się, pokazywaniem się na wizji telewizyjnej dostojników, wypowiadających się w imieniu moim i innych. Żnów dowiadujemy się za pośrednictwem mediów, że szef resortu obrony narodowej przysposabia nowych żołnierzy do walki z terroryzmem, a może z zagrażającym nam reżimem. Cóż nam więcej potrzeba w życiu i do życia, prawda?\*



# Jaka jesteś współczesna poezjo?

Jerzy Fryckowski

## Chwałę konkursy

Przeczytałem artykuł JACKA KAROLAKA pt. „O roli konkursów poetyckich” („Akant” 2003, nr 4, s. 46) i też postanowiłem wypowiedzieć się na temat roli konkursów poetyckich. Upoważnia mnie do tego konkursowy staż, bo bawię się w konkursy już blisko 20 lat, a i laurów trochę zdobyłem.

Dla mnie konkurs poetycki to szlachetna walka z przyjaciółmi po piórze. Coś na kształt turnieju rycerskiego. Cieszę się, gdy uda mi się pokonać Zawadowskiego, Kośmidra, Popławskiego czy wielu innych moich wspaniałych kolegów poetów. Chylę przed nimi czoło, gdy przegram. Traktuję konkursy też jako okazję do spotkania z innymi „nawiedzonymi”. Trudno określać nas normalnymi, w obecnym goniącym za forszą świecie. Kiedy żyje się na wsi, pracuje w szkole i uchodzi za „dziwaka”, takie spotkania jest spotkaniem z myślącymi podobnie jak ja. I nie są tu ważne miejsca na podium, ale to, że jesteśmy razem z przyjaciółmi, że na pewno przegadamy przy alkoholu większość nocy (dymu jest coraz mniej), wymienimy poglądy na temat nowości, pism, książek, które wydali koledzy i zrozumieemy, że nie jesteśmy sami, że tak naprawdę, to odstają od rzeczywistości ci, co mają nas za „innych”.

Nie uważam, by konkursy miały być skierowane tylko do młodych. Trzeba się od kogoś uczyć, fajnie jest spotkać ludzi tworzących nie tylko literaturę, ale i legendy. Bardzo wysoko cenię sobie osobiste spotkania z Jerzyną, Śliwnikiem, chorym już Śliwiakiem czy Bryllem. Oczywiście, byli to zaproszeni goście na plenery lub jurorzy, ale nic by nie przeszkadzało, gdyby i ci z samego szczytu naszego Parnasu stanęli w szranki z młodymi i dali się pokonać.

Przecież brak nagrody dla Miłosa czy Różewicza o niczym nie świadczy. Ocena poezji jest bardzo subiektywna i werdykt zmieniałby się wraz ze składem jury. Oczywiście grafomanię zauważy każdy. Dlaczego w konkursach nie mieliby brać udziału ci wielcy? To tak, jakby zakazać startów Małyszowi po mistrzostwach świata. Przecież każdy wie, że jest najlepszy. A jednak można go pokonać. I tak jest z poezją. (O udziale poetów znanych w konkursach pisał zresztą S. Pastuszewski w „Akancie” 2002, nr 12, s. 38-39).

Corocznie odbywa się w Polsce grubo ponad sto konkursów literackich. Obecnie ich wartość jest oceniana przede wszystkim po wysokości nagród, czy zwracane są koszty podróży, czy jest nocleg, a na samym końcu, niestety, skład jury. O pokonanych przeciwników mało kto pyta. Może jeszcze liczy się ilość nadesłanych zestawów. Zawsze to lepiej pokonać dwie-trzy setki rywali niż trzydziestu. Niestety, organizatorzy muszą oszczędzać na jurorach. Czasami przynosi to całkiem dobry i powiedziałbym „wietrzący” skutek. Chodzi o to, że jurorzy mają Polskę podzieloną między siebie na strefy wpływów. Taki konkurs łatwo wyczuć po dwóch, trzech edycjach. Albo zdobywamy wiele nagród, albo nigdy nie mamy szans, bo „nie leżymy” w poetyce pana jurora i nie ma zmiłuj. Możesz mieć książkę sto, nagrody nie dostaniesz!

Niestety, jest kilka ciemnych stron konkursów. Wcześniejsze otwieranie kopert z godłami,

faworyzowanie miejscowych (szczególnie w konkursach na tomik), rozpoznawanie uczestników po stemplach pocztowych (większość organizatorów konkursów wie, ilu poetów mieszka w Dębicy Kaszubskiej, na szczęście doczekałem się całkiem zdolnej uczennicy).

Osobisty odbiór nagród... Rozumiem organizatorów. Dużo wysiłku, każdy chciałby się pokazać przed swoimi przełożonymi, a tu nikt nie przyjechał. Trzeba jednak wziąć pod uwagę kilka spraw. Nie można wręczać nagród w środku tygodnia w południe. Znam takie przypadki. Przy nagrodach rzeczowych nie opłaca się laureatom jechać przez całą Polskę i dokładać do imprezy. Jednak, gdyby nie konkursy, nie miałbym całkiem pokaznej kolekcji albumów. Należy także brać pod uwagę to, że mamy wielu bardzo dobrych poetów niepełnosprawnych, którzy wysyłają czasami po odbiór nagrody kogoś z rodziny, ale tu już organizatorzy przesadzają. Wyjątki od reguły muszą być zawsze.

Przy obecnych cyrkach na kolei i braku zniżek konieczny jest zwrot kosztów, nawet za cenę mniejszej nagrody. Tylko bez przesady, bo 10 lat temu dostałem w Krakowie więcej za zwrot kosztów przejazdu niż za III nagrodę w konkursie satyrycznym. Organizatorzy powinni zapewniać nocleg laureatom, nawet w internatach, które obecnie świecą pustkami. To właśnie tu realizuje się prawdziwy finał imprezy. Nie każdy ma moje zdrowie (4 noce w pociągu pod rząd). Ale to było kilka lat temu.

Rację ma Jacek Karolak pisząc, że bardzo ważny jest almanach pokonkursowy. Czasami czekają na nas wspaniałe niespodzianki nawet na papierze czerpanym. Dla niektórych jest to pierwszy druk, więc wspaniałe przeżycie, a ostatnio może pomóc nauczycielom w awansie zawodowym jako publikacja. Zdarza się także, że zostaniemy nagrodzeni niespodzianką po kilku latach, gdy konkurs obchodzi jubileusz.

W latach cenzury konkursy spełniały rolę trzeciego obiegu (termin mój). Ci, którzy byli przeciwni, a nie mieli dojścia do drugiego obiegu, istnieli tylko na konkursach i trwało to kilka lat. To na konkursach rodziły się udane debiuty po 1989 roku. A ile przyjacieli? Wiedzą to ci, którzy mieszkają w Białymstoku, Bydgoszczy, Poznaniu, Zduńskiej Woli, Zelowie, Bełchatowie, Płocku, Lubinie, Bielsku-Białej, Olecku, Ciężkowicach...

Kolejne spostrzeżenie konkursowicza: Im mniejszy ośrodek, tym lepszy konkurs. Oprę się tylko na swoich doświadczeniach. Za najlepsze obecnie konkursy uważam im. Krzewniaka w Karczewie (wysoka nagroda, wspaniała oprawa, wielki szacunek dla laureatów), im. Stryjewskiego w Łęborgu (za to samo), Turniej Łgarzy w Bogatyni; tu dochodzi niesamowita konkurencja w tym roku 1500 tekstów, konkurs im. J. Śpiewaka w Świdwinie (kiludziesięcioletnia tradycja, 90% laureatów i nagrody to wybitni dziś poeci). Zaangażowaniem organizatorów i przede wszystkim wspaniałą atmosferą imprez towarzyszących nie odstają Tarnów, Ciężkowice, Zelów, Krotoszyn. Do niektórych miejscowości jest bardzo trudno dojechać, tak się dzieje z Łomżą, gdzie rodzi się ciekawy konkurs. Wiele dobrego słyszałem o Ciechanowie i Chrzano-

wie, wspaniale nas przyjmą w Przedborzu. Osobiście żałuję, że upadł niesamowity konkurs na poezję miłosną „O Laur Miedzianego Amora”. Nagroda pieniężna nie była ważna, każdy chciał zdobyć bardzo ciężką statuetkę Amora.

Właśnie. Statuetki... Dobrze gdy są. Warto tu wspomnieć Złotą Lampkę Górniczą, Drewnianą Sowę w maleńkim Gostyniu, pięknego amorka w Szamotułach, rubinowe puchary z huty „Hortensja” w Piotrkowie Trybunalskim, kiedyś wspaniałej kowalskiej roboty buławy hetmańskie w Białymstoku (teraz niestety drewniane i brzydkie, na szczęście są tam jeszcze puchary ZNP). W Przywidzu można było otrzymać wspaniałe rzeźby madonn Zbigniewa Bukowskiego (ale tylko za I miejsce), zaś w Bydgoszczy na agon „Akantu” – wspaniałe głowice kolumn.

Bywało również i tak, że impreza trwała kilka dni i była połączona z warsztatami. To już przeszłość. I jak widać, nie znalazły się w moim rankingu duże miasta. Nie ma tam pasji ludzi odpowiedzialnych za kulturę. Jest konkurs im. Klemensa Janickiego w Poznaniu, na pewno dla wielu ważny i nagroda się liczy w środowisku, ale niestety tylko pierwsza. Wysiłku Jerzego Grupińskiego nie popierają władze na tyle, by odejść wreszcie od tych zenujących czasami nagród w stylu obrazków 10 x 15, których nikt nie chce kupić, dzięki czemu galerie „robią” za wielkiego sponsora. Nie jestem wazeliniarzem i nie będę chwalił „Wieńca Akantu”. Musi minąć kilka lat. Może po piątej edycji będzie można coś powiedzieć.

Konkursy muszą istnieć, choćby na przekór tym, którzy twierdzą, że w Polsce nie ma życia literackiego. Jest, czego dowodem są konkursy, pisma takie jak „Akant” (zawsze myślałem, że macie więcej niż 5 lat, że jesteście od przelotemu), o internecie nie wspomnę, bo tam dopiero widać, czym jest pisanie dla młodych ludzi, a niestety nie wszyscy starzy chcą się przekwalifikować, oni jeszcze pobawiliby się myszką, ale tą z futerkiem, niedepilowaną. Internet pokazuje, gdzie powoli zaczynają się przenosić salony literackie. Oczywiście te tradycyjne muszą się ostać. Ciężko jest literacko zaistnieć w kraju poetów. Czasy zaborów i ciągle „igrania” z cenzurą wyniosły polską metaforykę na niedostępne dla innych nacji poziomy.

Dłatego nie załamujmy się konkursowymi porażkami, zawsze gdzieś nas zauważą, jeżeli mamy naprawdę coś do powiedzenia. Bo konkurencja jest, że użyję słowa, które ostatnio straciło na swej wulgarności, a stało się komplemtem oczekiwanym przez fanów „Ich Troje”, ZAJEBISTA. ♣

## „Akant” spisany

Ukazała się „Antologia «Akantu» 1998-2002” czyli monografia pierwszego pięciolecia naszego miesięcznika. Zawiera ona oprócz sylwetek wszystkich autorów (970) spisy bibliograficzne, analizy ważniejszych treści, wreszcie – co istotne jest dla autorów poszukujących Czytelników dla swych utworów, a taki przecież czas nastał – adresy ważniejszych bibliotek oraz 100, w większości szalenie nieregularnych, czasopism literackich. Antologia, która może być niezłym przewodnikiem po zagmatwanym i zagęszczonym świecie literatury współczesnej, a szczególnie przydatna magistrantom i doktorantom, jest dostępna w sprzedaży wysyłkowej prowadzonej przez redakcję. Wystarczy wpłacić 30 zł na konto Instytutu Wydawniczego „Świadectwo”, 85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51 B/4, PKO BPI/O Bydgoszcz10201462-73033-270-11. Na przekazanie prosimy zamieścić dopisek: „Antologia «Akantu»”.





## Beata Klary

## Bądź prawdziwa!

O poezji dnia dzisiejszego można powiedzieć wiele, w tym również to, że poezja ta jest kumoterska, że podkłada się tematowi, sprzedaje na konkursach, by choć na chwilę zabytnać.

Jednym z takich „błysków” był finał konkursu poetyckiego „O kwiat konwalii”, który odbył się 23 maja 2003 roku w Grodzkim Domu Kultury w Gorzowie Wielkopolskim. Poezja tam zaprezentowana była różnorodna. Poeci zarówno młodzi, starsi, jak i prawie już sędziwi. Nikomu nieznanymi debiutanci lub ci z dorobkiem mniej lub bardziej obszernym. Wiersze były i lepsze, i gorsze, co jest całkowicie zrozumiałe, a nawet pożądane, by wylotwić „same perły”. Jednak nie szlachetność formy, nie wartość słowa odegrały tu główną rolę w walce o laury, a właściwie o konwalie, lecz „układy, gusta, guściki i poprawność

polityczna”. To nie jest ważne kto wygrał, natomiast mechanizm owej wygranej powala z nóg nawet tak silną osobę jak ja.

– „Kazimierza Furmana uważam za jednego z najlepszych polskich poetów” – stwierdza laureat pierwszego miejsca przed przeczytaniem nagrodzonego utworu, w obecności oczywiście wyżej wymienionego.

Nogi uginają się pod człowiekiem – czy już taka jesteś poezjo służalczą? Czy już takie kumoterstwo w tobie? Słowo o poecie wyróżniającym w naszym mieście daje przepustkę do nagrody, upoważnia do spijania nektaru z niewinnej konwalii? Takiej poezji mówię nie! POEZJO, CZERP ZE SWOICH KORZENI, bo inaczej nikt nie będzie chciał czytać twoich „ślepnych błysków” i zastanawiać się nad tym jaka jesteś. ■

## Anetta Kuś

## Słowo jest idea

Trywialne pytania wymagają złożonych odpowiedzi. Głos, którym posługuje się człowiek, jest echem jego wewnętrznej konstrukcji. Każda myśl przeraża się w truizm, kiedy zestawiona zostaje z własną niewyraźnością. Słowo jest idea, której cieniem zawsze pozostaje twórca. Twórcą jest ten, który widzi.

Niech moim głosem w dyskusji *Jaka jesteś współczesna poezja?* (bardzo ważnej i wielowymiarowej) będzie wiersz *wybryki sprzeciwu*. A głosem do niego przekonanie, że poezja, jako wewnętrzna misja człowieka, nie podlega kategorii czasu. Estetyka (frazja) jest jedynym *momentem poetyckim*.

## Wybryki sprzeciwu

poezja sprzeciwu jest jedyną poezją

dobro i strach  
pochodzą od jednego boga

wszystkie wybryki rzeczywistości

wojny i rzezie pogromy i wygnania  
nie są niczym innym jak tym co

mówi o

wojnie i rzezi  
pogromie i wygnaniu

orchidee kwitną kiedy  
się na nie nie patrzy

orchidei nie ma kiedy się na nie nie  
patrzy

Bydgoszcz, 5 września 2001

## INSTYTUT WYDAWNICZY „Świadectwo”

świadczy usługi w zakresie edycji i kolportażu:

- ◆ książek ◆ broszur ◆ czasopism
- ◆ prospektów i ulotek ◆ plakatów

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4  
tel. (052) 321 33 71, fax (052) 371 40 90  
e-mail: akant@akant.telvlnet.pl

W dyskusji dotychczas udział wzięli:

Tomasz Agatowski (2x), Zdzisław Antolski, Józef Baran, Maksymilian Bart-Kozłowski, Jolanta Baziak, Genowefa Bazyli, Ryszard Biberstajn, Emil Biela, Wojciech Boros, Mateusz Burkane, Bożena Budzińska (2x), Maciej Bury, Marzena Chełmowska-Chruszczewska, Tadeusz Chrościelewski, Stanisław Chyczyski, Jan Cichosz, Lechosław Jan Cierniak, Wiesław Ciesielski (3x), Ludwik Filip Czech, Stanisław Dłuski, Andrzej Dorobek (2x), Janina Drażek, Robert Drobysz, Barbara Dziekańska, Janusz Gdowski (2x), Krzysztof Grzechowiak, Marian Hermaszewski, Jerzy Hłond, Arkadiusz Irek (2x), Kazimierz Ivosse (2x), Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, Katarzyna Fronk, Jerzy Fryckowski, Lech Marek Jakób, Jarosław Jakubowski, Teresa Januchta, Marek Jastrząb (4x), Katarzyna Jeziórkowska, Andrzej Kaliszewski, Jerzy Kałwak (3x), Jarosław Kamiński, Jacek Karolak, Beata Klary (2x), Mariusz Kosmala, Tomasz Kościkiewicz, Stanisław Krawczyk, Krzysztof Krejckant-Ożarski, Zbigniew Kresowaty (2x), Renata Krupa, Władysław Kubicki, Wojciech Kudyba, Anetta Kuś, Eugeniusz Kupper, Paweł Kuszczyski, Robert Lipski (3x), Tadeusz Lira-Śliwa, Daria Danuta Lisiecka, Łukasz Litwiński, Joanna Ładanaj, Zdzisław Łączkowski, Leszek Łęgowski, Magdalena Łuka, Adam Majewski (2x), Alicja Mazan-Mazurkiewicz (2x), Krzysztof Michałowski (2x), Wiesław Mikulski, Agnieszka Mrugowska, Sławomir Mrugowski, Dariusz Muszer, Ariana Nagórska (8x), Kazimierz Oblój (2x), Teresa Olewczynska, Janusz Orlikowski (3x), Stefan Pastuszewski (8x), Małgorzata Piotrowska, Jan Pomin, Maciej Porzycki (2x), Anna Przybyszewska, Tomasz Wincenty Rzepa, Roman Senski, Marta Skoneczna, Paweł Skutecki, Jan Stanisław Smalewski (2x), Sławomir Socha (2x), Alfons Soczyński, Stanisław Sosna-Sarno (2x), Łukasz Stadnicki, Stanisław Stanik (2x), Jan Stępień, Jadwiga Stróżykiewicz, Stefan Szczygłowski, Piotr Szreniawski (2x), Eugeniusz Szulborski, Małgorzata Szweda, Renata Ślepowron-Byrska, Natalia Ślesińska, Jacek Tabisz (2x), Cezary Tajer, Jan Tomaszewicz, Stanisław Truchan (2x), Jacek Uglik, Magdalena Wachowicz, Waław Wiercioch, Alicja Wiśniewska, Radosław Wiśniewski (5x), Dariusz Wiśny, Magdalena Witek, Barbara Witucka (4x), Jarosław Wojciechowski, Mieczysław Wojtasik, Grzegorz Wróblewski, Anna Zabacka, Leon Zdanowicz, Antonina Ziarkiewicz-Sebesta, Rafał Zięba.



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować książki Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie.

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 322 88 77, spotkania w trzeci wtorek każdego miesiąca godz. 18.00
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. J. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Pub „Żubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie
- KPK Podbrodzie, Pabrades Internatienia Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK, Waław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie
- KPK, Pub „Parnasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Lotwa – Latvija
- KPK Malta, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Rezeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Lotwa – Latvija
- KPK Rzezyca, Rezeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV – 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Lotwa – Latvija
- KPK Łohiszyn, Janina Łukaszewicz 225740 Łohiszyn, Pinski rajon, Biestskaja oblast, Białorus
- KPK Klub „Zaufek 11”, 85-007 Bydgoszcz, tel. (052) 345 77 62 w. 258, spotkania w pierwszą środę każdego miesiąca o godz. 18.00
- KPK Wępbork, Liceum Ogólnokształcące, 89-410 Wępbork, ul. Pocztowa 14

## Zaufek 11

Zaprasza codziennie od godziny 11.00

Organizuje:

bankiety, przyjęcia, szkolenia, konferencje, wesela, imprezy cateringowe  
codziennie: obiady za 7,50

## Klub „Zaufek 11”

Odbywają się tu:

wieczory literackie, koncerty muzyki poważnej, przedstawienia teatralne, wernisaże, spotkania i próby młodzieżowych grup muzycznych, spotkania bractw rycerskich, szachowe. Klub Polskiej Książki prowadzi Jolanta Papała (pierwsza środa każdego miesiąca godz. 18.00)



Rys. Hanna Mierzwa

## Zaufek 11

85-007 Bydgoszcz  
tel. (052) 345 77 62 wew. 258





## Łukasz Tresenberg

(Wyróżnienie)

### Bizancjum

Agnieszce S.

Kiedy już zbudujesz Bizancjum, nie zapomnij o sekwojach. Nawet jeśli odejdziesz, będziesz żyła wiecznie. I zacznij wyrabiać dzbany, aby twoi poddani mieli z czego pić. Nie zezwól na uprawianie nierządu, lecz pozwól na wolną miłość, ale tylko w obrębach murów. Poza nimi pozostaw tygrysy i łanie. To ich królestwo. Niech drogi ku bramom będą szerokie i piaszczyste, a studni niech będzie bez liku. A w kalendarz wpleć święta. W święta otwórz wrota dla żebraków i włóczęgów. Na pewno przybędę.

## Jerzy Fryckowski

(Wyróżnienie)

### Fotografia Reginy Szpilman z 1935 r.

Idziesz w moją stronę  
Cicho stukają białe buciki  
Jeszcze siedem lat tłustych szczęściem  
Wypełnionych troską ojca  
O rozbite kolano o najbliższy egzamin  
Słońce okrywa różowym blaskiem  
Ocykowane blachy domów  
Chmury białych gołębi  
Zataczają kręgi na błękitnie nieba  
Zapach bzu przekrada się przez płoty  
Twoja twarz kwitnie podobnie  
Mimo surowej powagi matki  
Jej kapelusz wykrojony z żurnala niemego kina  
Przyciąga wzrok eleganckich mężczyzn  
Którzy nie szczędząc ci uśmiechów i ukłonów  
Zbiegają oczyma w okolice kolan  
Twoja twarz niesie marzenia o prawie  
I dumę z talentu brata  
Jesteś już kobietą  
Wie o tym wszędybolski wiatr  
Nie zauważasz moich błazeńskich min  
I prób otarcia się o twoje szaty  
Traktujesz mnie jak powietrze  
Przechodzisz Plac Grzybowski  
Idziesz w stronę Placu Bankowego  
Jeszcze nie znasz adresu  
Na Umschlagplatz

## Anna Piliszewska

(I nagroda)

### Wiatr

Pamięci Żydów chrzanowskich

Słuchaj! –  
To wicher jęczy i wzdycha  
Tułając się  
Po uśpionych ulicach miasta...  
- Czy tu mieszkała Sara...  
Czy tu...?  
Zagląda  
W czeluście  
Dawno nie istniejących pokoi –  
Nie błyszczą menory  
Kurz zapomnienia skapuje  
Jak łzy  
- A tutaj było getto...  
Czy tak...?  
Czy wciąż jeszcze  
Cienie ust zdrętwiałych od strachu  
Otwierają się  
W niedokończonej modlitwie...  
Stukają niemieckie obcasy...  
- Wywożą ich do Auschwitz! –  
Ktoś szepną?...  
Jahwe zamyka Księgę Czasu...  
Budzi się dzień...

# KONKURS „O herb grodu Chrzanowa”

## Zdzisław Drzewiecki

(II nagroda)

### Ojcu

Coraz więcej rzeczy dostrzegasz  
w rzece  
ludzi  
dat  
zdarzeń

widzisz więcej i ostrzej  
niż przez swoje życie  
mimo że dni teraz krótsze  
i tylko noce dłużą się niemiłosiernie

twój czerwony krawat  
wypłowił w szufladzie  
oszukiwali cię tato  
cały czas cię oszukiwali  
zakpili sobie z ciebie  
w ślepe oczy

w jakie ci oni bogi kazali wierzyć  
w jakie

na twoim pocie  
budowali swój świat  
dając ci w zamian  
chore od marzeń serce  
i świecidełka którymi już dawno  
nie przystrajasz niedzielnego garnituru

coraz więcej rzeczy dostrzegasz  
w rzece

ona jedna cię nie zdradzi  
kiedy przyjdzie pora  
wejdiesz w jej nurt  
i popłyniesz po widnokrąg  
wprost w pomarańczowo zachodzące słońce

coraz więcej czasu spędzasz nad rzeką  
w tajemnicy przed nami  
mącisz kamykami jej spokojne lustro  
aby nie było widać jak w nurt  
spadają łzy  
twoje łzy tato

## Wiesław Stanisław Ciesielski

(III nagroda)

### Weronika

Obłąkana Weronika opowiada wszystkim,  
że została zgwałcona przez diabła,  
z wystawionymi rękami przez kraty  
wyje przez zagryzione do krwi usta.

Zacięcie konia, który na moment zapomniał  
jakiej to maszyny jest trybem.

Obłąkana Weronika wystawia dłonie jak dwa ptaki,  
patrzcie,  
krzyczą sanitariusze, zaraz odleci.

Założcie mu klapki  
bo lęka się przejeżdżających samochodów,  
zakładają klapki, wędzidło, podkowy.

Sanitariusz Gawel mówi,  
że takie jak Weronika powinni usypiać.  
Stary już ten koń,  
do rzeźni na paszę dla bezdomnych psów  
trzeba go zaprowadzić.

A Weronika jeszcze jest młoda,  
mówi pijany sanitariusz,  
patrząc na pośladki odwróconej do okna  
Weroniki.

## Zbigniew Włodzimierz Fronczek

(Wyróżnienie)

### Michał Podsiadło uczy fruwać bociana

Bociana każdy widział, nie każdy może mieć.  
Ma Michał Podsiadło, bo znalazł, ocalił  
I pokochał. Podsiadło ma swój wiek. Gotowi  
Go przyjąć w domu starców, ale z bocianem nie chcą.

Ma też psa, kota i chatę jak on starą.  
Chatę wziąłby sąsiad, psa i kota dobrzy ludzie. Ale  
Komu bociana?

Toż to anielski ptak.  
Grzech kalekę oddawać. Takiego trzeba odkarmić  
I nauczyć latania.  
Podsiadło ma swój rozum, wie,  
że ten ptak nigdy nie będzie fruwał.  
Ale uczy. Może mówi tylko o nauce  
Bo nie chce do starców.  
Boi się.  
Chce jeszcze pocieszyć się życiem, swoim stołem,  
koślawym krzesłem, chce  
gładzić sierść psa, kota, białe skrzydła ptaka.

Kto wie, może anielski ptak zrezygnował z latania,  
aby stary Michał  
mógł siedzieć w walącym się domu, łowić  
dla boćka myszy i żaby,  
a kiedy Michała zabierze do siebie dobry Bóg  
wtedy kaleki ptak wyprostuje chore skrzydło  
i odleci.  
Do innego starca.



## Ernestyna Lewandowska

(wyróżnienie)

### Wrastanie

Nie lubiłam  
tego miasta  
bezbarnych myśli  
w wąskich uliczkach  
szarych spraw  
w powiatowych urzędach  
ciasnych sklepów  
z witrynami  
pozbawionych namietności  
pasji tworzenia  
uciekałam  
opóźnionym autobusem  
i czekałam na klucze  
do spełnienia marzeń

Wcisnąjąc obcasiki w błoto  
odnalazłam tę ulicę  
odnalazłam ten dom  
odnalazłam te drzwi  
kobięcymi krokami  
zmierzyłam pokój i kuchnię  
dołożyłam ogródek  
i dzień dobry  
dla sąsiadów  
według szablonu architekta  
postawiłam szafę i tapczan  
w ostatniej kropli wina  
kamienny krajobraz  
za oknem  
zamieniłam w rajski ogród  
i rozpoczęłam  
WRASTANIE

## Aleksander Chłopek

(wyróżnienie)

### Pamięć

O zmroku  
tamten smutek  
wypełza  
na stare ulice  
Chrzanowa

Dzwony kościołów przeraźliwie  
milczą

Ulice  
pulsują nabrzmiałą skórą  
tynków

Pod stopami słyszę krzyk  
wypędzonych

W bramach sieniach  
w ostrym smaku uryny  
codzienna stypa  
osieroconych

Jahwe

## XVII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O herb grodu Chrzanowa”

### lury w składzie:

1. Stefan Pastuszewski – przewodniczący
2. Jolanta Baziak – członek
3. Beata Anna Pokorska – członek
4. Jolanta Kupiec – sekretarz

przyznało następujące nagrody:

**Kategoria I** – wiersze o tematyce związanej z Chrzanowem i Ziemią Chrzanowską

### Nagroda główna

Godło „Menelaos” – Anna Piliszewska – Wieliczka

### Wyróżnienia

1. Godło „43” – Aleksander Chłopek – Gliwice
2. Godło „Erle” – Ernestyna Lewandowska – Chrzanów

**Kategoria II** – ogólna

### Nagrody

1. Godło „BIP” – Marek Zgaiński – Poznań
2. Godło „Brzoza” – Zdzisław Drzewiecki – Biały Bór
3. Godło „ZŚC” – Wiesław Stanisław Ciesielski – Słupsk

### Wyróżnienia

1. Godło „Zieleń” – Zbigniew Włodzimierz Fronczek – Lublin
2. Godło „Lazur” – Jerzy Fryckowski – Dębica Kaszubska
3. Godło „Inez” – Łukasz Tresenberg – Katowice

**Kategoria III** – dziecięca i młodzieżowa

### Nagrody

1. Godło „Maciek” – Maria Chłopek (17 lat)
2. Godło „Sara Nie Sara” – Katarzyna Stawarz – Karniowice-Dulowa (15 lat)
3. Godło „Gwiazdeczka” – Aleksandra Leśniak – Kraków (17 lat)

### Wyróżnienia

1. Godło „Jarzębinka” – Izabela Kozik – Chrzanów (8 lat)
2. Godło „Niebieska” – Joanna Rasińska – Kraków (16 lat)
3. Godło „Gałqzka wiśni” – Karolina Łukasik – Kraków (12 lat)
4. Godło „Alicja” – Alicja Braniewska – Chrzanów (15 lat)
5. Godło „Candy” – Katarzyna Dyląg – Kraków (16 lat)
6. Godło „Sandau” – Aneta Jatocha – Kraków (15 lat)
7. Godło „Jeden” – Piotr Pietrzak – Chrzanów (14 lat)
8. Godło „Szymon” – Szymon Słomczyński – Kraków (15 lat)
9. Godło „Pati” – Joanna Kućmierz – Kraków (15 lat)
10. Godło „Klaudia” – Klaudia Słowik – Kraków (17 lat)

## Marek Zgaiński

(I nagroda)

### Podanie do ministerstwa kultury o stypendium

szanowny panie ministrze  
nie wiem czym zasłużył pan sobie na szacunek  
ale o pieniądze trzeba albo ładnie prosić  
albo wziąć je samemu niestety nie  
mam pojęcia jak się włamuje do gmachu ministerstwa i  
czy w ogóle macie tam jakieś pieniądze  
bo z tego co pan mówił w telewizji to raczej nie  
więc proszę najładniej jak umiem  
co panu szkodzi odpalić parę złotych na czynsz  
i zaległe rachunki za prąd  
bo niech pan sobie wyobrazi  
jak się nie zapłaci to wyłączają a potem jest ciemno i zimno  
humanistom a nadto ludziom wrażliwym trudno jest  
dostosować się do reguł które pan tu z kolegami wprowadził  
więc co panu szkodzi  
powiem potem znajomym ten minister to klawy gość  
dał mi na buty nr 43  
rozumiem że oczekuje pan jakiegoś poręczenia lub gwarancji  
że nie wydam tej kasy na alkohol narkotyki czy kobiety  
panie ministrze bądźmy poważni  
ja chcę przeżyć a nie używać życia  
sugeruje pan że powinienem się jakoś odwdziżyć  
stworzyć dzieło lub inny utwór  
nie ma sprawy opiszę panu jak  
się traci wiarę w języku polskim i jak się wymawia  
te wszystkie szeleszczące spółgłoski z obrzydzeniem  
a może woli pan zgrabny poemacik albo okolicznościowy wierszyk  
zgadzam się pan mi płaci a ja napiszę  
to jak umowa stoi  
nie jest pan przekonany rozumiem  
ja też robię to wbrew swoim przekonaniom  
też mam wrażenie że ktoś tu kogoś dyma  
a przynajmniej nie jest do końca uczciwy  
więc dajmy sobie spokój  
na biurku od cholery ważnych papierów  
kosz na śmieci pełen  
i kawa wystygła

## Aleksander Gerow

### Pisarz

Jestem pisarzem.  
Myślę o ludzkich duszach  
i o swojej duszy.  
Dlatego rano wstaję o dziesiątej.

Dziś jednak wstałem o piątej.  
Była zima.  
Było zimno.  
Było nieprzyjemnie.  
Było obrzydliwie.  
Wszystko przypominało mi epokę lodowcową,  
kiedy człowiek jeszcze nie istniał.

Ale tu i ówdzie zaświeciły okna  
Ukazał się w nich człowiek  
szybko wyszedł na ulicę.

I poprzez kałuże,  
poprzez zaspy,  
poprzez błoto  
ruszyli ludzie do tramwaju.

Opięli jego schody jak winogrona,  
zmagali się z uchwytem,  
aby czym prędzej dostać się do pracy.

Wszyscy ci ludzie więcej byli warci ode mnie:  
i motorniczy,  
i konduktorzy,  
i podróżni,  
Wszyscy mnie przewyższali.

Jeśli w niczym innym nie mogę być do nich  
podobnym,  
przynajmniej rano będę wstawał o piątej.

Z bułgarskiego przełożył Robert Wilczyński



Beata Anna Pokorska

## Nadzieja w Trójkacie! (Literackim)

To, że w Bydgoszczy życie literackie szwankuje, nie jest tajemnicą. A przecież nie musiałyby tak być, gdyż środowisko bydgoskie ma wielu znakomitych pisarzy. Dość wspomnieć: **Wojciecha Banacha** (*Było nas kilku, Czarna skrzynka, Czas odnaleziony, Punkty wspólne, Skrzyżowanie*), **Maksymiliana Barta-Kozłowskiego** (*Człowieczy poemat, Daleko od San Marino, Innej pogody czas, Krzyk oszukanych, Księga domu, Lot brylantowych ptaków, Opowiadania na czas podróży, Pochyleni w stońcu, Posłuchaj Julianie, Ukrzyżowanie ziemi obiecanej, W drodze do Efezu, Wygnanie w wieczność*), **Andrzeja Baszkowskiego** (*Kartka z kalendarza, Kwarantanna, Na jeden sezon, Wybór wierszy*), **Jolantę Baziak** (*Bezdomni w ciałach, Daleka Wenus, Pół szyby światła, Strefa pomyślonych, Wielbłądzica, Wiersze wybrane*), **Piotra Cieleśza** (*Anatomie, Obok, Trzy źródła, Z księgi wschodniej*), **Ryszarda Częstochowskiego** (*Do początku, Inna wersja, Liryki mordercze, Mnie już nie ma, Wybrane fragmenty świata, Z sufitu nocy*), **Stanisława Delugę** (*Staccato, Wychođenje z cienia*), **Krzysztofa Derdowskiego** (*Chłód, Robal: opowieści, Znikanie*), **Janusza Drzewuckiego** (*Podróż na południe, Światło września*), **Grzegorza Dudzińskiego** (*Czarcie znamię*), **+Bolesława Eckerta** (*Mikołaj z Ryńska, Na styku*), **Janusza Garlickiego** (*Czarna i inne opowiadania, Tusiek, Balbinka i inni, Ruda małpa i inne opowiadania*), **Jana Górec-Rosińskiego** (*Czarna perła, Czarnopis, Demony, Krzyżec będą kamienie, Przychodzący: Sacrum et Profanum, Przechodzień róż, Siedem wieczerników, Słoneczny spłot*), **Jerzego Grundkowskiego** (*Ja, Ulrych..., Lancelot znad Renu, Las Teutoborski, Prawdziwa historia smoków..., Wybraniec bogów*), **+Adama Grzymałę-Siedleckiego** (*Cud Wisły, Śladami bitwy warszawskiej-współautorstwo*), **Kazimierza Hoffmana** (*Dziesięć prób tematu, Przenikanie, Stary człowiek przed poematem, Trwająca chwila*), **Jarosława Jakubowskiego** (*Marta, Wada wymowy*), **Zbigniewa Jankowskiego** (*Morze przybrywa z daleka, Pacyfik dnia*), **Marka Jastrzębia** (*Playboy dla niewidomych*), **+Kazimierza Jułgę** (*Godziny, Tędy chodzą chmury*), **Edwarda Kaczmarka** (*Honoratus, Magister, Maturitas, rozmowy myślących osiołków, Rzeźbiarce ziemi, Władca strychu, Zadumanie*), **Janusza Kryszaka** (*Mały wybór, Rzeczywistość trzecia, Życie wewnętrzne*), **Danutę Künstler-Langner** (*Kaktusowe ogrody, Mała wyspa- Bydgoszcz w poezji*), **Dariusza T. Lebiotę** (*Chłopcy z cmentarza świętej Trójcy, Cmentarz niebieskich aniołów, Czarna kałuża, Czarny jedwab, Czaszka Kartezjusz, Descartova lebka, Droga do Ashramu, Kraina jaskółki, Krew jednorożca, Piloci ultrafioletowych dali, Płacz, moje pokolenie, Wiersze o miłości i śmierci*), **Marzenę Lewandowską** (*Chwile wyluskane z szarości, Dopiero w ścianach ciszy, Ja, kobieta, Na planecie rozbitków miłości, Nie*

*chcę tańczyć nad ranem, Szaty miłości, Szukam ciszy pośród gwiazd, w urokliwych ogrodach Wenus, Zostań ze mną dłużej*), **Roberta Mielhorskiego** (*Góra szybocowa i inne wiersze, Inicjały, Rozpadlina, weneckie okna, Wybór*), **Grzegorza Musiała** (*Al. Fine, Berliner Tagebuch, Smak popiołu, W ptaszarni*), **Krzysztofa Myszkowskiego** (*Funebre, Kozi rog, Pasja według świętego Jana*), **+Dimitrios Nikolidisa** (*Dolina Jozafata, Odys i ja, Tyle mi starczy, Znak zapytania*), **Tadeusza Nowakowskiego** (*nieżyjącego* (*Obóz Wszystkich Świętych, Szopa za jaśminami, Urzeczenie, Za kurtyną snu*), **+Krzysztofa Nowickiego** (*Bez tytułu, drugie życie, Od rzeźby, Przetoka*), **Tadeusza Oszubskiego** (*Drapieznik, Mesjasz, Twierdza nienawiści*), **Antoniego Pachotę** (*Wiersze na świat nie proszone*), **Edmunda Rogzowskiego** (*Klisze i ziarna*), **Piotra Panasewicza** (*Skarb pod starym dębem, Tajemnica zamkowej studni, Z okrętowej żęzy*), **Stefana Pastuszewskiego** (*Dwanaście miłosnych miesięcy, Grad, Karły, Kobiety są, Listy do Pani, Nie-do-opowiadania, Pamiętka inflanckie, Po przelomie, Późne majowe popołudnie, Prostoni casu, Przepaść w brzuchu, Róża i miecz, Smak malin i czereśni, Sonety i poematy, Szczególny zbieg okoliczności, Teraz Polska, Wiersze wybrane, Zachanność*), **Zdzisława Prussa** (*Adresat nieznan, Oddział, Wysypisko, Pogrzeb starej marynarki, Wyspy Olaboga, Żarty na bok*), **+Wiesława Rogowskiego** (*Guz, Odmiana, Pomorska ballada*), **Marka Siwca** (*Kostka*), **Krzysztofa Solińskiego** (*Albo*), **Krzysztofa Stanisławskiego** (*Próba końca, Rozbite witraże*), **+Jerzego Sulimę-Kamińskiego** (*Bilet do Singapuru, Dokąd biegną twoje konie, Kockajł Dalajlamy, Most Królowej Jadwigi, Piołuny i Lukrecje, Trzydzieści jeden lusterek*), **Małgorzatę Szulczyńską** (*Lustra, Według Abelarda, Wpisani w biel*), **Wiesława Trzeciakowskiego** (*Książce pisze list, Ogród moralny, Śmierć w kwitnącym sadzie, Uwodziciele, Wyrwanie się*), **+Jadwigę Tyrankiewicz** (*Dla wspólnych ogrodów, otwieranie ścian, Ślady, Światło i cienie*), **Mieczysława Wojtasika** (*Nie pijałem ptasiego mleka, Niech ma na imię choćby Kain, Po śladach wołania i ciszy*), **Zbigniewa Wróbla** (*Figle, frywole i rozpusty, Gagatek, Modlitwy, utopie, otuchy*), **Marka Żelkowskiego** (*Nadciąg burza, Piętno mroku*). I pewnie wielu innych, mniej znanych, którzy z takim trudem kołatają do naszej czytelniczej świadomości.

Nie podaję pełnych bibliografii, czytelnicy poradzą sobie bez tego. Ważniejsze jest uświadomienie nam wszystkim, jak wielu pisarzy wydało (i wydaje nadal) Bydgoszcz i jak mało o ich pamiętamy. Dlaczego? Czy nie w naszym, dobrze pojętym, interesie jest krzewienie wiedzy o ich dorobku? Jak można mówić o wychowaniu literackim młodego pokolenia, skoro brakuje dbałości o aktywnych dzisiaj artystów słowa, nie

wspominając już o odeszłych na zawsze? Temu właśnie służyć miało pierwsze publiczne spotkanie – 16 maja 2003 r. – w ramach *Bydgoskiego Trójkąta Literackiego*, sygnowanego przez: Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną (wystawcę dzieł wyżej wymienionych pisarzy), Księgarnię „Kujawską” (gospodarza spotkania pisarzy z czytelnikami, w trakcie którego można było porozmawiać z artystami i nabyć ich dzieła) oraz Kawiarnię Artystyczną „Węgliszek”, (która użyczyła lokalu na spotkanie dyskusyjne literatów z notablami i włodarzami miasta).

O tym, że problem jest nabrzmiały, mieli okazję przekonać się przybyli: prezydent miasta Konstanty Dąbrowicz, wiceprezydent Maciej Obremski i dyrektor Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UM – Mariusz Krupa, dyrektor wydziału..., zasypani gradem pytań, dotyczących działań na rzecz promocji i rozwoju kultury regionu, a – przede wszystkim – ich wsparcia finansowego. Uczestnicy spotkania domagali się konkretnych i usłyszeli je: prezydent zadeklarował wzmocnienie promocji artystycznej za granicami kraju oraz udział władz miejskich w organizowaniu konkursu na Książkę Roku, zaś wiceprezydent wzmocnienie tzw. *Ścieżki Regionalnej*, realizowanej aktualnie w szkołach. Dyrektor M. Krupa obiecał zmianę formuły BIK-u (Bydgoskiego Informatora Kulturalnego) o dotychczasowej informującej na promocyjną. Nie ustosunkował się, na co czekali niewątpliwie zainteresowani, do propozycji wykupu części nakładów książkowych przez władze miejskie i nieodpłatne zasilanie nimi bibliotek regionu. Podsunął też, niezbyt dobrze przyjętą przez dyskutantów radę, by sami twórcy zajęli się tzw. „marketingiem bezpośrednim” plonów swej twórczości. Mym skromnym zdaniem, rada tyle oryginalna, co niestosowna. Zamieńcie, Państwo Pisarze, swe dotychczasowe zajęcia na nowe: przedstawiciela handlowego, zwanego inaczej akwizytorem. Tego jeszcze nie było...

Z nieoczekiwana, i mile przyjętą, ofertą wyszedł do środowisk twórczych Józef Herold, redaktor naczelny bydgoskiej *Gazety Wyborczej*, który zaferował się publikować informacje o nowościach wydawniczych, o ile otrzyma od zainteresowanych stosowne materiały. Obiecał też wsparcie przez oddział *Gazety Wyborczej* konkursów literackich.

Niewątpliwie te deklaracje ucieszyły bydgoskich pisarzy, zwłaszcza oferta sponsoringu przez władze miejskie niektórych inicjatyw artystycznych. Wskazali jednak na inne, nierozwiązane do tej pory problemy: brak kontaktu ze środowiskami akademickimi, zwłaszcza z bydgoską polonistyką, która winna być naturalnym partnerem dla wszelkich inicjatyw literackich, słabą promocję książki naukowej, a także nienajlepszą współpracę wydawnictw regionalnych z księgarniami, zarówno w zakresie oferty asortymentowej, jak i ekspozycji rodzimej twórczości. Zwrócili uwagę na niewystarczającą realizację, wspomnianej już, „*ścieżki regionalnej*” w oświacie, a także na, co tu dużo mówić, liche czasami stosunki personalne między samymi twórcami, którzy niekiedy sami przyczyniają się – swymi niepocholebnymi opiniami o kolegach – do dyskredytowania środowiska literackiego w mediach.

Czy uda się te trudności przezwyciężyć, czas pokaże. Entuzjazmu nie brakuje, o czym świadczą może aktywna działalność trzech bydgoskich pism literackich: *Akantu*, *Kwartalnika Artystycznego* i „*Metafory*” nowopowstałej „*Galerii*”. Także rozwijająca się, międzynarodowa już, sieć Klubów Polskiej Książki, sygnowana przez *Akant*, nowo powołane „*środki literackie*” w kawiarni „*Zaułek*”, także warsztaty literackie, prowadzone przez Jolantę Baziak i Stefana Pastuszewskiego, z młodzieżą szkół średnich dowodzą, że chęci (i pomysłów) nie brakuje. Żeby tylko włodarze miejscy zechcieli pojąć, że samymi chęciami... a i że społeczne zaangażowanie to nie perpetuum mobile... Gdyby jednak tego zrozumienia zabrakło, pozostanie nam nasze oddolne działanie, w ramach którego rozpoczynamy ponownie, jakże potrzebną, wyliczankę: **Wojciech Banach ...**

**CENTRUM HANDLOWE**  
**DOM i styl**

85-796 Bydgoszcz  
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11  
www.domistyl.com.pl  
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

**PN.-PT. 10.00-20.00**  
**SO.-N. 10.00-14.00**

- STUDIO ZDROWEGO SNU
- PIĘKNE PREZENTY
- WYGODNE MEBLE

**Lubię ładne rzeczy**



Klub Polskiej Książki  
prowadzi Hanna Mierzwa



Wiesław Kowalski

## Międzyludzki trójkąt

IWONA KEMPA nie ukrywa, że lubi pracować z aktorami Teatru im. W. Horzycy w Toruniu. Nic dziwnego; sukcesy „Końcówki” Becketta i „Samotnego Zachodu” McDonagha muszą zachęcać do współpracy ze Sławomirem Maciejewskim, Michałem Markiem Ubyszem i Pawłem Tchórzelskim. Tych też aktorów wybrała młoda absolwentka Wydziału Reżyserii Dramatu PWST w Krakowie, obsadzając głównych bohaterów dramatu Yasminy Rezy „Sztuka”. Wydawać by się mogło, że taka konstelacja realizacyjno-aktorska, z TOMASZEM POLASIKIEM jako scenografem, powinna przynieść w efekcie ważny i niewzбудzający większych sprzeciwów interpretacyjnych spektakl. Tymczasem „sztuka”, w reżyserskich rękach Iwony Kempy, stała się nie do końca udaną próbą zestrojenia tercetu aktorskich indywidualności, a tym samym postaci dramatu. A zatem rozczarowanie?

Przychodząc dzisiaj na wernisaż sztuki nowoczesnej wielokrotnie zastanawiamy się czy dany eksponat jest dziełem niepokromionej wyobraźni artysty, czy też może tylko elementem technicznym wyposażenia galerii. I wokół tego dylematu oscyluje efektownie i błyskotliwie napisany dramat Yasminy Rezy, w którym „biały obraz w białe paski” dobrze notowanego malarza Antriosa – staje się przedmiotem sporu trzech przyjaciół, sporu doprowadzonego do kryzysu dotychczasowych wartości i niemalże zerwania ich piętnastoletniej znajomości. W takiej sytuacji wiadomo, że autorce nie chodziło wcale o to, czy ów absurdalny przyspieszacz wydarzeń jest przedmiotem wysoce artystycznym, czy też nie.

Przedstawiony w „Sztuce” konflikt obnaża relatywizm motywacji bohaterów, poszukujących klucza do tajemnicy drugiej osoby oraz fałsz konstruowanych na własny użytek kryteriów ocen i wyobrażeń o innych. Precyzyjna struktura dramatu Rezy pozwala reżyserowi dawkować pulsujące napięcie, a aktorom wyraźnie zarysować postaci istniejące zarówno wobec siebie, jak i wobec widzów. Daje szansę stworzenia spektaklu tyleż śmiesznego, co tragicznego. Umiejętnie tę dwoistość nastrojów potrafili pokazać w swoich przedstawieniach Krystian Lupa w Krakowie i Paweł Miśkiewicz we Wrocławiu. W przypadku toruńskiej realizacji Iwony Kempy, nie trudno zauważyć, że humor i komizm wyraźnie dominują, a farsowa zabawność, sprowadzana czasami li tylko do formalnych gier, bywa momentami irytująca i drażniąca. A przecież nie zabawa wydaje się być najważniejsza w „Sztuce” Yasminy Rezy, gdzie trzy różne indywidualności – Marc, Serge i Yvan – zostały bardzo świadomie przez autorkę skontrastowane. W wielu scenach – nigdy jednak nie pozbawionych psychologicznej prawdy – nie trudno przewidzieć jaka będzie reakcja publiczności, tak jak w sekwencji bójkii o wyraźnie burleskowym zabarwieniu, kiedy to w ucho obrywa Yvan, starający się rozdzielić – niczym arbiter – skonfliktowanych przyjaciół. Dlaczego więc ten fragment akcji w toruńskim przedstawieniu zupełnie nie robi wrażenia? Chyba dlatego, że atmosfera niedomówień, przypuszczeń, wątpliwości, przeczuć i tłumionych emocji zdaje się w tej inscenizacji nie istnieć, a jedyną wymodelowaną precyzyjnie postać tworzy MICHAŁ MAREK UBYSZ, jako koneser nowoczesnej sztuki, krytykant, nie zawsze pełen swoich racji. Psychologiczne wołty pozostałych bohaterów są już zdecydowanie mniej przekonujące; w przypadku PAWEŁA TCHÓRZELSKIEGO może nawet przeszarżowane w serwowanej w nadmiarze neurastenicy. W ten sposób w relacjach między publicznością a aktorami Kempa gubi – a nie podkreśla – wspólnotę doświadczanych emocji, wzruszeń i przeżyć.■

Marc, w dramacie Rezy, to „inżynier w dziedzinie aeronautyki”, trzeźwy racjonalista, nieaprobujący sztuki, której przesłanie jest według niego pozbawione sensu, mętne i mało czytelne. W interpretacji SŁAWOMIRA MACIEJEWSKIEGO Marc zgubił gdzieś swoje specyficzne poczucie humoru, jest od początku do końca zasadniczy, zacięty i podejrzanie niesympatyczny. Zbudowanie tej roli na jednym pogardliwym tonie wydaje się mało uzasadnione. Drażni również jego krzykliwy ton, kiedy pełną oburzenia drwiną wyraża swój stosunek do tego, czego zrozumieć nie potrafi.

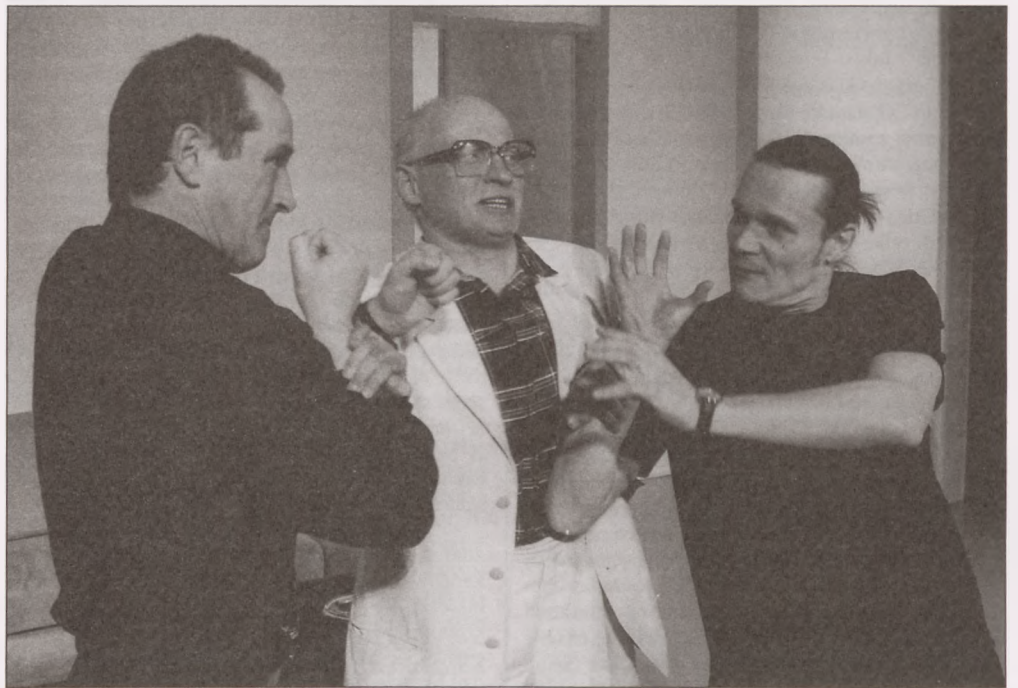
Serge, spiritus moves caego zamieszania, to facet wyrafinowany i gustownie intelektualny, odczytany, pełen erudycji i dobrego smaku lekarz dermatolog. Michał Marek Ubysz tworzy postać najciekawszą, bo niejednoznaczna i nieprzewidywalna w swoich reakcjach. Jego odruchy litości w stosunku do partnerów, namaszczenie z jakim traktuje zakupiony za grube pieniądze obraz, mogłyby sugerować, że oto mamy do czynienia ze snobem pozbawionym krytycyzmu, zapatrzonym w ślepo tylko w to, co wisi w największych i najmodniejszych galeriach. Ale nic bardziej złudnego. Serge, to także niepoprawny idealista, rozmarzony i ogarnięty pasją odmieniec, który pra-

gnie w swej osobowości widzieć więcej niż inni.

Yvan, ta „rozlazła i bezwolna hybryda”, to osobnik neurasteniczny, tyleż narcystyczny, co histeryczny, rozwibrowany w swym lęku przed konwenansami i zakompleksiony. Tak przynajmniej mówią o nim jego dwaj przyjaciele. Ale PAWEŁ TCHÓRZELSKI chyba zbyt mocno zawierzył słowom wzburzonego Marca. Przecież jego pokiereszowane życie zawodowe każe mu właśnie w przyjaźni widzieć najistotniejszą wartość w jego marnej egzystencji. Niestety, aktorowi wymknęło się gdzieś wpisane w tę postać cierpienie, a komizm w jego interpretacji nie osiąga znamion okrucieństwa.

Z przedstawienia Iwony Kempy trudno dobiec jakie więzy łączą mieszczańskiego i prostodusznego Marca, snobistycznego Serg’a i neurastenicznego Yvana. Tak samo jak nie poznamy granic poświęcenia i idei przyjaźni. Toruński spektakl nie dotyka tajemnicy. Tak samo jak nie jest traktatem złożonym wyobraźni i sztuce w ogóle, nawet wziętym w ironiczny cudzysłów.■

Yasmína Reza „Sztuka”, przekład: Barbara Grzegorzewska, reżyseria: Iwona Kempa, scenografia: Tomasz Polasik, premiera: Teatr im. W. Horzycy w Toruniu 29 marca 2003 roku



Serge - Michał Marek Ubysz, Yvan - Paweł Tchórzelski, Marc - Sławomir Maciejewski

Stanisław Truchan

## Na granicy światów

Czytelnikom „Akantu” nie trzeba MARKA ŻELKOWSKIEGO przedstawiać. Pojawiał się na tych łamach jako pisarz i jako krytyk. Jego powieść „Piętno mroku” stała się na przełomie roku 2001 i 2002 przedmiotem ostrej polemiki z udziałem niżej podpisanego. Od pewnego czasu M. Żelkowski znany jest też czytelnikom prasy branżowej, publikującej fantastykę; niedawno na łamach miesięcznika „Science Fiction” zagościło opowiadanie zatytułowane „Kaplanka”. Jest więc autor „Piętna mroku” wierny gatunkowi, reprezentowanemu przez jego pierwszą powieść. Potwierdza to również jego ostatnia publikacja na łamach „Science Fiction” – opowiadanie „Długa przerwa w podróży” („Science Fiction”, 5/2003), a także kolejna jego książka.

Do rąk czytelników trafia właśnie nowa książka Marka Żelkowskiego: zbiór szesnastu opowiadań fantastycznych, zatytułowany „Nadciągą burza”. Są wśród nich również dwa wymie-

nione przed chwilą teksty. Całość wyróżnia się na tle współczesnej fantastyki pewnym szczególnym, niepowtarzalnym klimatem, który – jak się do niedawna mogło wydawać – przeszedł już w zapomnienie wraz ze starymi mistrzami gatunku, tworzącymi w czasach, gdy nie było jeszcze ani science fiction, ani fantasy, ani współczesnego horroru. W Polsce w ostatnich czasach tak pisał chyba tylko Jerzy Nowosad, twórca rzadko chwytający za pióro, o którym po roku 2000 jakoś nie słychać... To jest fantastyka opisana ongiś przez bułgarskiego historyka literatury Cwetana Todorowa, poddana prawidłom, sformułowanym przez tego znawcę twórczości Edgara Allana Poe i innych XIX-wiecznych twórców, głównie anglosaskich, francuskich i niemieckich (w Polsce podobnie pisal w łowianin Stefan Grabiński).

A przy tym – jest to fantastyka na wskroś współczesna. Osadzona w realiach Polski przełomu XX i XXI wieku. Wiele łączy ją z niezwykle popularnym w ostatnich czasach horrorem – na przykład z twórczością Stephena Kinga. Jak u Kinga, u Żelkowskiego też obca, nieznaną, często złowroga, siła wdiera się w senną rzeczywistość pro-

Dokończenie na str. 44



Dokończenie ze str. 43

wincjonalnych miasteczek – bardzo często w świat oglądany oczami dziecka. Tak samo też – choć horror dziedziczy tę szczególną cechę właśnie po XIX-wiecznych prekursorach, a nawet po wcześniejszej od nich powieści gotyckiej – odnajdujemy tu zło, kryjące się w mrocznych zakamarkach starych domów („Kaptanka”) albo w niepozornych gadżetach, które okazują się być czymś innym, niż się na pierwszy rzut oka wydają („Zołnierzyk”).

Jednak więcej łączy Żelkowskiego ze wspomnianymi wcześniej starymi mistrzami gatunku. Jego mroczne opowieści dzieją się niejako na granicy dwóch światów: realnego i ukrytego. Ten ostatni raz stanowi sferę bytu niedostępnego zwykłemu, codziennemu doświadczeniu, ujawniającego swoje istnienie pod wpływem szczególnego splotu wydarzeń – kiedy indziej znów wydaje się być jedynie wytworem wyobraźni wykreowanych przez autora postaci. Żelkowski, jak na twórcę czerpiącego inspirację z dzieł starych mistrzów przystało, najwyraźniej woli to drugie rozwiązanie. Pewien specyficzny klimat, który sprawia, że chociaż – jak w piosence – wierzymy, iż „życie jest formą istnienia białka”, to jednak odkładamy na bok nasz oświecony racjonalizm, gdy tylko „w kominie coś zalka”... I – jeśli nie jesteśmy pozabawieni wyobraźni – na przekór naszemu racjonalizmowi, świadomie lub podświadomie, „wiemy swoje”. Jak u E. A. Poe, E. T. A. Hoffmanna czy Villiers de L'Isle-Adama, w najlepszych spośród jego „Opowieści okrutnych”. A równocześnie wolno nam zamknąć drzwi, prowadzące do świata fantazji. A może jednak – jak podpowiada nam tkwiący w nas racjonalista – demoniczny Afalkha, władca „Mrocznego Bezmiaru” w „Kaptance”, to jednak tylko wytwór dziecięcej wyobraźni? Czy przybysze z krainy Tarat nie są wytworem zbiorowej halucynacji?

Żelkowski potrafi jednak tkwiącego w nas, racjonalistę – przepraszam za kolokwializm – „wystawić do wiatru”. Oto w opowiadaniu „Coś się kończy, coś się zaczyna” wprowadza nas w świat będący – wszystkim na to wskazuje – wytworem rozbrykanej wyobraźni małego chłopca... po czym ujawnia niepokojący i niewytłumaczalny związek świata ukształtowanego przez tę wyobraźnię z żyjącą w jeziorze ogromną rybą, utożsamianą przez chłopca ze „śpiewającym potworem”, w którego istnienie Mateusz niezachwianie wierzy. W „Likwidacji” odkrywa przed czytelnikiem świat urojeń schizofrenika, by na ostatniej stronie uprawdopodobnić realność jego wizji... Te „zmyłki” nieodparcie się kojarzą z „Ligeją” i „Bereniką” E. A. Poe, a także z „Weraq” Villiers de L'Isle-Adama. To po prostu jeden z klasycznych chwytów narracyjnych w tym gatunku. Autor „Piętna mroku” potrafi go zastosować na sposób całkowicie własny, oryginalny. Tchnął – podobnie jak w latach 90. ubiegłego stulecia J. Nowosad – nowego ducha w starą, ale wciąż żywą konwencję.

Nowa książka Marka Żelkowskiego jest więc w polskiej fantastyce wydarzeniem ważnym. Dobrze więc się stało, że znalazła uznanie branżowej krytyki, o czym świadczy choćby recenzja (dość lakoniczna, ale bardzo przychylna) na łamach „Science Fiction”. Tym lepiej, że wydawca tej książki nie jest do tej pory znany w świecie miłośników fantastyki – a to stanowi często barierę trudną do sforsowania.

A skoro już o wydawcy mowa – znalazłem w tomie „Nadciągająca burza” aż dwa zdania „przepełnione” w środku strony i jakby nigdy nie kontynuowane w następnym wersie. Chyba autor popełnił techniczny błąd, a korekta przeoczyła... Aż się prosi o przypomnienie, że chociaż klawisz opatrzone napisem „Enter” miewa czasem poważne rozmiary, to jednak w trakcie pracy nie powinno się na nim stawiać filiżanki z kawą... Niby nic, a czytelnika trochę drażni. Zwłaszcza w książce naprawdę dobrej. ■

Marek Żelkowski, „Nadciągająca burza, Drukarnia „Gardar”, Bydgoszcz 2003; ss. 238

Stanisław Truchan

## Beskidów czar w okrucach wspomnień...

Długo się zastanawiałem, czy to ja powinienem pisać o książce MAGDALENY PONURKIEWICZ. Nie dlatego, by rzecz dotyczyła jakiejś dziedziny, na której się nie znam, w rodzaju np. fizyki jądrowej czy dendrologii. „Okrucy pamięci” to przecież najzwyklejsza powieść oparta na wątkach autobiograficznych. Problem polega na kłopotach z moją własną pamięcią, narzucającą pewien subiektywizm, od którego trudno się uwolnić. Patrząc na zdjęcia, jakimi autorka ilustruje swoją powieść – i nawet one mówią mi zbyt wiele, bym się od tego subiektywizmu uwolnił. A oprócz nich – tyle w tej książce znajomych nazw, tak wiele mi mówiących...

Bo Magdalena Ponurkiewicz jest człowiekiem gór. Dlatego w jej powieści pobrzmiewają echa ballad Bellona, a wtóruje im szum stuletnich buków (przepraszam za ten liryzm, ale uprzedzam: będę subiektywny). Spędziła dzieciństwo w Barciach nad Popradem – i tamte lata odcisnęły na jej psychice niezatarte piętno. To widać.

Główną bohaterką powieści, Magdę, poznajemy jako trzyletnie dziecko. Pierwowzorem tej postaci jest sama autorka, która jednak postanowiła pisać o niej w trzeciej osobie, patrząc na nią cudzymi oczami. W pierwszej części powieści trzyletnia Magda wydaje się zaledwie jednym z wielu elementów niezwykłego, pełnego uroku, ale i tajemniczego świata Beskidów, oglądanych oczami przybyłej do Barci aż z Poznania nastolatki zwanej Julą, dalekiej krewnej rodziny. To Julia wydaje się postacią pierwszoplanową – ale jednak wkrótce znika z kart powieści, a Magda, dziecko widziane cudzymi oczami i rzadko uczestniczące w kluczowych wydarzeniach, pozostaje, jakby po to, by nam powiedzieć: „To nie jest opowieść o mnie, to opowieść o świecie mojego dzieciństwa, o ludziach, górach, bukowych lasach, o oswojonej wydrze i o służącej, która ma niewyparzoną gębę. O ciężkich powojennych czasach i o brutalnym oderwaniu od tego świata, który jest najpiękniejszy pod słońcem”.

W tym świecie dzieje się wiele. Raz po raz zdarza się zabawny incydent, ale też jego mieszkańców nie pozostawia w spokoju nasza trudna historia. Beskid Sądecki jest matecznikiem antykomunistycznego podziemia, z którym współpracuje ojciec Magdy, tamtejszy leśniczy. Nowe władze nie wiedzą o tym, ale co do lojalności leśniczego nie mają złudzeń. Rodzina Magdy musi w końcu opuścić góry, by trafić na równiny, do Włoszczowej. To jest prawdziwe wygnanie, niemal zesłanie. I nie chodzi tu wyłącznie o przymus; to rozerwanie organicznego związku z pewnym miejscem na ziemi, z jego niepowtarzalnym pięknem, z pewnym nieuchwytnym *genius loci*... A opuszczone miejsce pozostaje swego rodzaju środkiem świata, punktem, ku któremu kieruje się igła wewnętrznego kompasu człowieka, który je opuścił.

Część druga powieści jest właśnie historią – czy raczej okrucami historii owego „czasu wygnania”. To w gruncie rzeczy „składanka”, powstała z wielu luźnych epizodów: wydarzeń z życia rodzinnego, wspomnień ze szkoły, spotkań ze znajomymi, incydentów z udziałem – wspomnianych bardzo ciepło – zwierząt domowych... Można powiedzieć, że w tej części książki tytułowe okrucy są o wiele bardziej „pokruszone” i rozproszone niż w pierwszej; zupełnie jakby – wbrew prawidłom rządzącym ludzką psychiką – z tego w pełni świadomie przeżytego okresu życia pozostało w pamięci mniej niż z pierwszych lat dzieciństwa, które przecież łatwiej pokrywa kurz zapomnienia. Wszystko jednak wskazuje na to, że mamy tu do czynienia ze świadomym zabiegiem autorki; jest to jak gdyby przypomnienie o punkcie odniesienia, jaki stanowi tamten czas i tamto miejsce. W tej części zyciorysu Magdy szczególnego znaczenia nabierają nie „węzłowe punkty” zyciorysu – takiego, jaki sporządza się, że tak powiem,

„w celach formalno-urzędowych” – ale wszystko to, co powstała w dzieciństwie, więz z owym czasem i miejscem odtwarza i podtrzymuje: sporadyczne wyjazdy w góry, kontakty z pozostałymi w tamtych stronach ludźmi czy wreszcie wspomnienia snute w gronie rodziny i przyjaciół. W pewnej chwili czytamy słowa: „We Włoszczowej czuję się jak w poczekalni” – i autorka najwyraźniej nie ma serca do wspomniania włoszczowskiego okresu życia. To sprawa, niestety, że czytelnik też poniekąd „czuje się jak w poczekalni”; z powodu fragmentarycznego, nadmiernie „okrucowego” ujęcia tego okresu ucierpiała konstrukcja powieści, w drugiej części nieco zbyt rozwihrzona.

Słabość to zresztą nie jedyna. W tejże drugiej części poznajemy niektóre wydarzenia poprzez relację bohaterki, stanowiącą część dialogu – ale dialogi te bardzo szybko przechodzą w suchą relację, której język przestaje być mową żywych ludzi i zaczyna – przepraszam za kolokwializm – szeleścić papierem. W dodatku postaci poznane na samym początku tracą tu zapamiętaną z części pierwszej wielowymiarowość i pełnię życia. Jednym słowem – wyrażna niechęć do tego okresu życia, traktowanie go jako czegoś przejściowego i „zastępczego”, odbija się na jakości samego tekstu. Ja, człowiek podobnie oczarowany krainą gór i pagórków, chętnie to Magdalena Ponurkiewicz wybaczam – ale żałuję tego braku pełnej palety barw, jaką mieni się opowieść o czasach barcickich... Nie jest zresztą przypadkiem, że służąca Kaśka – żywy pomost „między dawnymi a nowszymi laty” – do końca pozostaje sobą; portret tej wiejskiej kobiety o niewyparzonej gębie i złotym sercu, naszkicowany śmiałą kreską, do końca nie traci świeżości barw.

Ale Kaśka – czego być może nie powinienem przysłowiemu czytelnikowi wyjawiać – nie dożyła Wielkiego Powrotu. A oczekiwaniem na ten powrót był cały wspomniany „okres włoszczowski”. Pobyt w „poczekalni” dobiega końca, a Magda – jak mówi na ostatniej stronie – „zawija do portu”; jest nim „magiczne miejsce pod lasem”, a w nim „prześliczny domek z drewnianych bali”. Wszystko to zaledwie „o rzut kamieniem od Sącza”. Historia zatoczyła koło.

W takim „magicznym miejscu” można z „okruców pamięci” odtworzyć ten kolisty szlak, którym los doprowadza człowieka z powrotem do przysłowiowych „korzeni”. Do świata, bez którego nie byłby sobą. W bliskie sąsiedztwo innych, równie magicznych miejsc, wiecznych na fotografiach, ilustrujących książkę (nie ukrywam, że sam pozostaję pod wpływem magii tychże miejsc, najczęściej dość dobrze mi znanych, wobec której niewiele znaczą nawet zaklęcia Harry’ego Pottera...).

Zatoczywszy krąg bohaterka „Okruców pamięci” zakotwicza się w jedynym i niepowtarzalnym świecie, w którym można spojrzeć w „wilgotne czarne oczy sarny”. I na tym polega prawdziwa magia... ■

Magdalena Ponurkiewicz, Okrucy pamięci, Sądecka Oficyna Wydawnicza Małopolskiego Centrum Kultury „SOKÓŁ”, Nowy Sącz 2001

## Budownictwo lekkie

tylko i wyłącznie docieplanie,  
renowacja wnętrza

0503 368833  
0503 645464



Stanisław Truchan

## Baranina w dwóch sosach i niepotrzebny skandal

Przyznaję się, że nad sensem i celem pisania o tej książce długo się zastanawiałem. „Czas Golema” ANDRZEJA SEPKOWSKIEGO może się wydawać tuzinkową powieścią sensacyjną, osadzoną w umownych realiach odległej o jakieś dwadzieścia – trzydzieści lat przyszłości. Jako political fiction ustępuje nie tylko dziełom Huxleya czy Orwella, ale również najlepszym dokonaniom np. Ziemiakiewicza („Walc stulecia”, opowiadania ze zbioru „Czerwone dywany, odmierzony krok”), a szum, jaki powstał wokół tej powieści w mediach na przełomie roku 2000 i 2001, był rezultatem dosyć – mówiąc ogólnie – wątpliwego moralnie chwytu marketingowego, zastosowanego przez wydawcę. Jeśli doszedłem do wniosku, że jednak jest to rzecz godna uwagi, to ze względu na szeroki kontekst, od którego nie można się uwolnić czytając tego rodzaju utwory. Początek wieku i tysiąclecia – niezależnie od takich okoliczności, jak np. perspektywa rozszerzenia Unii Europejskiej – sprzyja stawianiu pytań o przyszłość i kreśleniu jej optymistycznych lub pesymistycznych wizji. A wizja Sepkowskiego – zdecydowanie z gatunku tych ostatnich – należy z pewnością do najbardziej oryginalnych.

Kluczem do opisu europejskiej rzeczywistości trzeciego dziesięciolecia XXI wieku jest w „Czasie Golema” niewątpliwie słowo „anomia”, z upodobaniem używane przez autora. Oto dzięki automatyzacji i robotyzacji praktycznie całej produkcji przemysłowej rozwiązany został problem bezrobocia: każdy, kto nie znalazł swojego miejsca w procesie produkcji – a tacy stanowią już wówczas zdecydowaną większość – otrzymuje środki wystarczające do przeżycia, zapewnienia sobie dachu nad głową i „zagospodarowania” wolnego czasu. W imię wolności zniesiony zostaje zakaz produkcji narkotyków i obowiązek szkolny. Mafia, która do tej pory niepodzielnie zdominowała rynek zakazanych wcześniej używek, rośnie w potęgę i staje się jedną z głównych sił społecznych i politycznych. Powstają narkotyki nowej generacji – tak zwane oniryki, których skutki uboczne nie są w takim stopniu odczuwalne, jak efekty konsumpcji tradycyjnej „hery” czy „amfy”. W rezultacie przeciętny „zjadacz oniryków” (to pojęcie w powieści Sepkowskiego zastąpiło starego, swojskiego „zjadacza chleba”) spędza niemal cały swój czas przed telewizorem, w dodatku – mówiąc językiem młodzieżowym – „na haj”. Po zmroku nie wychodzi na zewnątrz, bo ulice zostały opanowane przez bandy rzucające się na wszystko, co się rusza, a więc opuszczenie mieszkania równa się samobójstwu... Telewizja niszczy w zarodku każdą myśl, kwestionującą opisany wyżej porządek świata. Kontestatorzy tworzą trochę bezzastatny ruch społeczny o nazwie Youth Power...

I w tej oto sytuacji dochodzi do zamachu na władzę zjednoczonej Europy. W ciągu kilku sekund przestają istnieć ośrodki władzy i struktury państwa – z wyjątkiem armii. Równocześnie otumanione narkotykami masy młodzieży (i nie tylko) otrzymują ogromne ilości broni z niewiadomego źródła – oczywiście wraz z amunicją. Na ulicach europejskich miast rozpoczyna się upiorna „zabawa w strzelanego”. Do przywrócenia porządku przymierza się armia; ta jednak jest bezsilna w zaistniałej sytuacji. Zaś sprawcami chaosu okazują się aż trzy potęgi: europejska mafia, tajna organizacja stworzona przez najbogatszego człowieka Europy, profesora Golda (uczynego, a zarazem szefa koncernu Robotics Inc.) i coraz śmielej sięgająca swoimi mackami na Zachód mafia rosyjska. Łączą je tylko konieczność rozbicia starych, zmurzałych struktur, stanowiących przeszkodę w realizacji własnych celów. Tworzy się jedyny w swoim rodzaju sojusz wilków, gotowych w każdej chwili skoczyć sobie nawzajem do gardła... Stawką jest niepodzielna władza nad kontynentem. Likwidacja struktur europejskiego państwa jest dziełem wyszkolonych przez ludzi profesora Golda (a konkretnie: przez

laureata nagrody Nobla, doktora Topfera) zamachowców – tytułowych Golemów, cyborgów nafaszerowanych elektroniką i chemią, po wykonaniu zadania, przeznaczonych do „odstrzału”. Jednak dwaj spośród nich dostają się w ręce armii, a jeden z jeńców – główny bohater powieści Chris Ivor – zostaje „przeprogramowany” i wykonuje zadania wyznaczone mu przez sztabowców. Obserwujemy skomplikowany proces przemiany jego świadomości, w wyniku którego – wciąż pozostając niezwykle sprawną maszyną do zabijania – Chris uzyskuje zdolność refleksji nad światem i samym sobą, a także zdolność do przezwycięzania zwykłych ludzkich uczuć. Warstwa psychologiczna powieści należy zresztą do jej najbardziej udanych elementów – niezależnie od tego, co można by sądzić o samym pomysłem wprowadzenia do akcji bohatera, stanowiącego podrasowaną elektronicznie i wspomaganą chemicznie hybrydę Jamesa Bonda i Schwarzeneggera.

Powieść Sepkowskiego jest, niestety, powieścią dość nierówną, jeśli chodzi o jej stronę formalną. Autor – jak się dowiedziałem z artykułów prasowych – to pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego, antropolog czy też historyk kultury, posiadający (o ile dobrze pamiętam) tytuł doktora. I – na nieszczęście dla powieści – to widać. W „Czasie Golema” momentami razi i nuży nadmiar języka dyskursywnego, gdy autor przedstawia procesy, zachodzące w wymyślonej przez siebie Europie przyszłości w taki sposób, jakby wciąż pisał doktorat, albo co najmniej artykuł do branżowego periodyku. Inna słabość tej książki to pewna nielogiczność obrazu, ogarniętego chaosem kontyentu. Ja rozumiem, że gospodarka w świecie przyszłości funkcjonuje automatycznie, prawie bez ingerencji człowieka (nie mówiąc o telewizji i produkcji narkotyków, które to dziedziny życia wciąż są w rękach mafii, poza zasięgiem wszechogarniającej anarchii) – ale co z dystrybucją? Zerwana została więź między miastami a obszarami wiejskimi (skądinąd ostoją względnego ładu, a także zdrowia moralnego) – więc co z żywnością? Teoretycznie już po tygodniu mieszkańcy miast powinni umierać z głodu! Watahy uzbrojonych ćpunów przywłaszczają sobie wszystko, co znajdują w sklepach i magazynach – a reszta? Tymczasem w całej powieści znalazłem tylko jedną wzmiankę o „zdobywaniu czegoś do zarcia”. A przecież, w sytuacji, wymyślonej przez Sepkowskiego, na jednego trupa z czaszką rozwaloną strzałem z jakiegos uzi czy kałasznikowa przypadają powinno z dziesięć obciążonych skórą szkieletów...

Inna słabość tej powieści to powielanie pewnych motywów i schematów fabularnych. Ilekroć można czytać o szalonych uczonych, dysponujących nieograniczonymi zasobami finansowymi i wykorzystującymi je po to, by gdzieś w jakimś tajnym ośrodku przygotowywać się do przejęcia władzy nad światem? Już w filmach o Bondzie nie było to nowością... Im bardziej zaś wykorzystany jest użyty w powieści schemat fabularny, tym większej potrzeba oryginalności. A w wątku profesora Golda trudno coś oryginalnego znaleźć.

Jednak to nie te słabości – moim zdaniem – zaszkodziły książce w odbiorze czytelnicy. Zdarzyło mi się czytać gorsze, które osiągnęły większy sukces. „Czasowi Golema” zaszkodziło... nazwisko autora. Nie dość, że nieznanne, to jeszcze niezwykle podobne do innego, bardzo popularnego – które to podobieństwo wydawca postanowił wykorzystać, stosując swego rodzaju manipulację czytelnikiem – manipulację opartą na znajomości techniki percepcji języka pisanego. Wszak już dawno temu udowodniono, że słowa ogarniamy całościowo, jednym spojrzeniem, a nie szeregowo, litera po literze; gdy więc mamy do czynienia z dłuższymi szeregami liter, prowadzi ten mechanizm do utożsamienia słowa mniej znanego (lub rzadziej używanego) z innym, podobnym do niego. Ja sam kiedyś, patrząc na okładkę

książki Edmunda Niziurskiego „Zaba, pobieraj się!”, odczytałem tytuł jako... „Zaba, rozbieraj się!” (tu chyba kłania się Freud...). A więc – nazywając rzecz po imieniu – wydawca liczył na skojarzenie zupełnie nieznanego **Andrzeja Sepkowskiego** z o wiele bardziej znanym i popularnym **Andrzem Sapkowskim** (tym od wiedźmina). By to skojarzenie utrwalić, opracowano projekt okładki bliźniaczo podobny do „białej serii” wydawnictwa „SuperNOWA”: białe tło, nazwisko wydrukowane kapitalikami, imię wypełniające przestrzeń nad drugą i następnymi literami nazwiska, tytuł białymi wersalikami na ciemnym pasku... Taka okładka pod koniec roku 2000 pojawiła się w Internecie (nie pamiętam już, czy w katalogu księgarni wysyłkowej KKKK też). I wybuchł skandal, który zmusił wydawcę do jej zmiany. Przez prasę przetoczyła się dyskusja, w której mówiono o etyce, o upadku obyczajów, odsądzano od czci i wiary zarówno wydawcę, jak i autora, pojawiło się też twierdzenie, jakoby nazwisko „Andrzej Sepkowski” było pseudonimem wymyślonym *ad hoc* z myślą o opisanym wyżej chwycie marketingowym (sprawę wyjaśnił ostatecznie sążnisty artykuł w „Polityce”). Wszystko to razem bynajmniej się „Czasowi Golema” nie przysłużyło. W świadomości wielu miłośników fantastyki autor tej powieści pozostał „tym, który chciał się podszyc pod Sapka”... We wrześniu 2002 r. w sprzedaży wysyłkowej obniżono cenę książki; co to jest przecena – chyba nikomu wyjaśniać nie trzeba. Spodziewanego sukcesu komercyjnego nie było.

A „Czas Golema” – mimo wielu słabości niepotrzebnego „okładkowego” skandalu – zasłużył na coś więcej. Powieść Sepkowskiego zawiera interesującą, choć nie do końca przekonującą, wizję przyszłości; wizję, której trochę brakuje siły wyrazu, ale jednak godną uwagi. Ta wizja zaś jest – jak to zwykle bywa w political fiction – ekstrapolacją stanu dzisiejszej rzeczywistości; dla **prognozy** punktem wyjścia jest **diagnoza**. U Sepkowskiego myślą przewodnią prognozy przyszłości i poprzedzającej tę prognozę diagnozy jest koncepcja człowieka sprowadzonego do roli *submana* (to – warto zauważyć – dosłowne tłumaczenie niemieckiego *Untermenscha*) poprzez manipulację jego słabościami. Ta manipulacja wykorzystuje (poza skłonnością do poszukiwania przyjemności i wygody) instynkt stadny człowieka. Nie tylko w „Czasie Golema”, ale już dziś, uważamy dwie postacie ludzkiego stada, uformowanego w zależności od techniki manipulacji: **stado bez przewodnika** i **stado z przewodnikiem**. Pierwsze z nich orientuje się na najbliższe koryto, źródło zaspokojenia elementarnych biologicznych potrzeb i prymitywnych instynktów; kierunek wyznacza mu reklama i trendy cywilizacyjno-konsumpcyjne. To drugie poddaje się woli przewodnika, która czyni z niego ślepa, ale zwartą masę. Zamiast człowieka mamy więc baraninę na przemian w dwóch sosach: ultraliberalnym i autorytarno-totalitarnym, z domieszką pseudomoralności dla lepszego smaku. Już dziś jesteśmy świadkami starcia obu tych tendencji – i służących ich urzeczywistnieniu technik manipulacji. W „Czasie Golema” uosabiają je dwie główne, chwilowo sprzymierzone ze sobą, ale wciąż antagonistyzowane siły: mafia, której potęgą zrodziła się z handlu narkotykami, i „*trust mózgow*” profesora Golda, który chce zapobiec degrengoladzie poprzez poddanie ludzkiej masy działaniu nagej siły. Sepkowski jest – przynajmniej na razie – jedynym twórcą political fiction, który stworzył swoją wizję dalszego biegu wydarzeń, przyjmując jako punkt wyjścia obecny „*układ sił*” zaangażowanych w spór o przyszłość. Ta wizja, co warto zauważyć, wpisuje się w szeroki kontekst zagadnień poruszanych w dyskusjach o stanie i perspektywach cywilizacji. Choćby dlatego – i głównie dlatego – jego powieść uważam za godną uwagi. Zaś opisany powyżej „*skandal okładkowy*” może być przykładem choroby drażniącej wszystkie sfery naszego życia związane z obiegiem pieniądza; wydawanie i dystrybucję książek również. ■

Andrzej Sepkowski, *Czas Golema*, Wydawnictwo „Prószyński i S-ka”, Warszawa 2000; ss. 336



Jerzy Fryckowski

## Między biodrami a księżycem

Kujawska miejscowość Kowal pojawia się czasem w wywiadach z aktorem Janem Nowickim. Chwała mu, że nie wstydy się małowia- steczkowych korzeni. Miasteczko to ma jednak więcej powodów do dumy. W 1988 roku miałem możliwość poznać twórczość Mirosława Glazika, który ostatnio jakby poetycko zaniemówił. Mam nadzieję, że nie zniszczyły go oświatowe reformy (Mirek był, a może jest nadal, nauczycielem). Ostatnio rzeczony miasteczko i jego władze (sponsorują tomiki) rozślawia MARZENA LEWANDOWSKA, choć choć rodem z Bydgoszczy. I robi to coraz lepiej. Jej dwunasty tomik, mam nadzieję, że dobrze policzyłem jest chyba najbardziej dojrzałym dziełem autorki.

I nie sprawił tego temat tomiku - miłość, bo większość wierszy poetki oscyluje wokół spraw damsko-męskich. O poziomie świadczy sposób, w jaki to ujęła i pewna śmiałość w nazywaniu stanów i uczuć, ale bez przekraczania granic estetycznych języka.

Miłość temat tak samo łatwy jak i trudny. Ciężko jest napisać coś oryginalnego, co nie brzmiałoby czymś już nam znanym. M. Lewandowska się odważyła. I słusznie. Jej poetycka świadomość zagrała dla nas na całkiem wysoki nucie.

75 erotyków w jednym tomie to oczywiście dużo. Ciekawostką jest, że wszystkie mają tytuły; już to świadczy o pomysłowości i inwencji poetki.

Przejdźmy jednak do wierszy. Swoim nastrojem przypominają Leśmianowski „Malinowy chruśniak”:

*łłusty chrabąszcze  
wędruje obłokiem na przestrzał  
w lepkiej ciszy mojego ogrodu*  
s.21

*dnieje  
różowa pszczoła świtu  
wyczesuje krople miodu  
z moich włosów*  
s.4

Przeźrenie tych wierszy sięgająca od ud po sam księżyc jest jednak bardzo gęsta i lepka. Wszystko tu dyszy miłosnym zmęczeniem, szepcaniem erotycznych zaklęć i jest mokre od wilgoci nagich ciał. Kochanka - główny podmiot liryczny tych wierszy (tak się dzieje w 60 utworach, w pozostałych 15 kochanka jest bohaterką utworu) ciągle czeka w „rozchyleniu” na swojego partnera. Cały czas jest gotowa przyjąć jego miłość:

*jej wewnątrz rozchyła płatki*  
s. 5  
*rozchyłała różowo  
spragnione ramiona*  
s. 20  
*w pośpiesznym rozchyleniu ramion*  
s. 23  
*rozchyłasz dłonie*  
(...)  
*rozwieram uda*  
s. 26  
*palce różowe rozchylamy*  
s. 47  
*zmąciłeś leniwą urodę  
rozchylonych nóg*  
s. 53  
*z rozwartymi ramionami leżę*  
s. 54  
*nad twoją głową senną  
rozchylam ramiona*  
s. 76

Może trochę brak tu agresji. Postać kochanki jawi się jako zbyt uległa i posłuszna. Pozbawia to tomik dramatów, jakie niesie miłość, ale najwidoczniej chodzi tu o miłość spełnioną, wzajemną, bez odrzucenia.

We współczesnym, kulawym języku polskim trudno znaleźć pozbawione wulgaryzmów opisy seksu. Język M. Lewandowskiej jawi się tu jakby nie z tego świata, traci epoką wyszukanego stylu i eleganckich manier. Porównałbym tu poetkę do Whartona ze „Spóźnionych kochanków”. Te obrazy poetyckie są najwycyżajniej piękne, dlatego pozwolę sobie na więcej cytatów:

*opadasz na mnie miękko  
jak grudniowe płatki*  
s. 3  
*przyjmuje go w sobie cicho  
przyjmuje po prostu*  
s. 5  
*zakwitniesz czerwonym krzykiem  
spopielejesz i wejdziesz we mnie  
po wielokroć  
nim świt nastanie*  
s. 45  
*ostrym sierpem księżycza  
wschodził nad nią każdej nocy*  
s. 50  
*wdarłeś się w moją ciszę  
przebiłeś ją ostrym spazmem  
i  
zamilkłeś  
jak znużony liść*  
s. 55  
*zjawił się o świcie  
zmącił ciszę w wazonie  
nappełnił stęsknioną pośpiesznym spełnieniem  
zasnął*  
s. 64  
*biodra twoje  
drapieżne jak skrzypce Chagalla  
przecinają ciszę wąską struną nocy  
i dźwięczą  
starganymi kroplami*  
s. 66  
*rozedrgana i stroma  
zanoszę się ostrym językiem  
jak struna wilgotnej harfy*  
s. 73

Świat, którego przestrzeń wydaje się być zamknięta tylko w sypialni, zaczyna wyrastać swoją namiętnością w przestrzeń kosmiczną. Kierunek poziomy ukazany tu przez łożo miłości przecina się z pionowym, jaki wyznacza najwyższe uniesienie w miłosnym spełnieniu. Pojawia się więc symbolika krzyża. Ta miłość tak cielesna, spełniona i wzajemna (co ważne) jest odpowiedzią Marzenny na list św. Pawła do Koryntian „... a z nich najważniejsza jest miłość”.

W tym tomie ważnym elementem są również kolory, jakie pojawiają się w „ogrodach Wenus”:

*twoje spojrzenie  
schwytało mnie w zieloną sieć*  
s. 6  
*moja zieleni  
dojrzała owocem*  
(...)  
*zanurz zęby w różowym miąższu*  
s. 8  
*nawet czerni  
jest jak rozkosz czerwona*  
s. 9

Tu miłość uczy latania, jest spełnieniem marzeń Ikara. Wracajmy jednak do kolorów:

*rozkladam w niej czerwone kobierce*  
s. 14  
*zieloną koronę pragnień*  
(...)  
*szarą ciszę*  
s. 15  
*brunatne korale pragnień*  
(...)  
*od czerwonej nocy jej warg*  
s. 16  
*wabię cię biała obietnicą ciała*  
s. 22  
*czerwieni ust i marzeń*  
s. 23

To tylko 1/3 tomiku. Dominuje zieleń - kolor nadziei na spełnienie, ale także kolor odrdzającego się życia, każdej nowej spełnionej miłości. I ta wszechobecna czerwień, ale nie w znaczeniu krwi, a w znaczeniu otwartego w oczekiwaniu ciała.

M. Lewandowska dała swojemu zbiorowi podtytuł „Wiersze dla dorosłych”. Można to potraktować jako marketingowy chwyt, by właśnie młodzież sięgnęła po „zakazany owoc”. Osobiście jednak zachęcałbym nastolatków do sięgnięcia po te wiersze. Oczywiście to nie jest instrukcja, jak się kochać, ale można się z tego tomiku dowiedzieć jak należy o miłości mówić i pisać, a tego drugiego przecież skutecznie uczą nas SMS-y.

Piękny język polski, obrazowanie poetyckie interesujące:

*pod rozwianą sukienką  
dojrzał pośpieszny płomień*  
s. 7  
*kiedy jesteś ze mną  
wiatr zwija się w kłębek  
i zasypia w koszu pod drzewem*  
s. 9

Zbiór M. Lewandowskiej przypomina w swoim nastroju „Kochanie” L. Latus. Jednak u tej drugiej więcej było bólu i niespełnienia. Tam kobieta miała dzielić się swoim szczęściem z inną, tu ma swojego ukochanego dla siebie. Nie ucieka od niej przed nastaniem świtu. Jednak u obu poetek triumfuje miłość.

Ta pozycja na pewno zasługuje na szersze zainteresowanie i uwagę. Oczywiście autorka nie ustrzegła się swoich „starych” błędów. W takiej ilości wierszy znalazło się kilka słabych i banalnych. Dla przykładu: „Świątynia miłości” i „Korona pragnień”. Już tytuły zwiastują złe wiersze i ograna metaforykę.

Mimo wydania 12 tomików brakuje bowiem Marzannie dystansu do własnych wierszy, odrzucenia „sentymentalnych” związków z danym wierszem, wspomnieniem. Tak ciekawa literacko propozycja powinna mieć też bogatszą oprawę graficzną. Nie może tak być, aby zdjęcie autorki było jej najlepszym elementem, bez względu na urodę sfotografowanej.\*

Marzenna Lewandowska, W urokliwych ogrodach Wenus, Włocławek 2002, Nauczycielski Klub Literacki

**Bydgoska**  
**Spółdzielnia**  
**Spożywców**

ul. Gdańska 47, 85-950 Bydgoszcz

**BSS było już**

**przed zachodnimi marketami:**

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie opłaca się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski



## Eugeniusz Bobula

## Pękająca kra

JERZY MICHAŁ WĄSIK, wieszcz oszalałej i rozpadającej się rzeczywistości, znikającej na naszych oczach. Jak gród Kasandry, otoczony kosmiczną chorobą samonegacji, wchodzącej w jej, nasz świat doznań, gradacji wartości i ich zaprzeczeń. Jego nowy tomik zamyka myślenie o przyszłości:

*czas poezji się skończył - myśmy zabici.*

Śluchając, nie dziwimy się zwycięstwu zła nad dobrem, spotkania Ormuzda z Arymanem nie dzisiaj wystawiały rachunki kulturom, dzisiaj apokalipsą jest natomiast transfiguracja dobra jako zła a zła jako dobra. Poeta ogłasza swój niebyt jako realizację kalekiego istnienia:

*kosmos przenikający przez wszystkie mury  
naszych domów ulic i miast  
tego więzienia nazwanego życiem*

czy innymi nieco słowy oceniając własną drogę wśród istnienia:

*idąc za czasem w las  
przez tę nieożywioną niczym przestrzeń  
spotykałem po drodze te trzy nieznanome  
walkę, nienawiść i śmierć.*

## Stefan Pastuszewski

## Szeroko i kobieco

Zbiór wierszy TERESY JANUCHTY „Ścieżki dostępu” jest bardzo obszerny. W odróżnieniu od zbioru Jana Stanisława Smalewskiego „Kamień i miłość” jest to mnogość i szerokość nie liczbowa (51 wierszy) ale tematyczna i... formalna. Prosi się więc o podział na rozdziały, na przykład: o kondycji człowieka, o Bogu, o rodzicach, miłosne, społeczno-polityczne, peregrynacyjne, muzyczne wreszcie. Jest to podział tematyczny, a pod względem formy mamy z jednej strony zgrzebny, nieraz nawet ascetyczny, werslibryzm z drugiej – swobodną, ale zgrabną sylabotonię z quasi-dytyrambem „Dopóki jesteś”, poświęconym ojcu, na czele. Zdarzają się również zapisy quasi-graficzne jak, przypominający kieliszek „W pułapce” (z cyklu: społeczne) o zapijających się bezrobotnych, bardziej z uwagi na mnogość przerzutni (bo jak tu bez łamania fraz uformować „szkło”?) proza poetycka niż wiersz. Podobnie jest z „Drogą” – pewną, bo „pod wielkim bezpiecznym parasolem Boga”, ukształtowaną na kształt grotu lub właśnie parasola (znakomity, heroiczny jak na kobietę pasus: „nawet najpiękniejsza suknia i auto z ametystem oddalają się ode mnie”) i z „Przeobrażeniem” w kształcie krzyża, choć pobrzmiwa on, trochę reinkarnacyjnie, co jest typowe dla kobiet, organicznie wręcz doświadczających związku ze wszechświatem:

*zanim się stałam byłam  
kosmicznym kwantem  
w czasoprzestrzeni nieprzeniknionej (...)  
oczyszczona z ciała i rozumu  
zapukam kiedyś do wnętrza tajemnicy  
i zanurzę się  
w Wieczystym*

W ogóle cykl o kondycji człowieka, głównie jednak w kobiecym wydaniu („w zachwyceniu przeznikać”, „maski zamierzchłej młodości”, „życie po życiu wykrada ciało”, „myśli wtulone w kocie futro”, „opętaniczy taniec”) zdaje się być najgłębszym, obok oczywiście miłosnych wobec rodziców (przejmujące spostrzeżenie: „nie pozostał po Tobie nawet

Można uwierzyć, że J. M. Wąsik jest chory chorobą świata. Gorzej jeśli zauważa on, jedyny żywy, chorobę świata.

Jak wygląda ta doznawana przez nas rzeczywistość? Czy jest zwycięska, jak odnotowujemy to w Iraku, czy jest haniebna zarażająca nas wirusem SARS na kolejne, być może ostatnie już pokolenia. Przeczytajmy:

*I czas się zabija jak afrykańskie słońce  
i czas w Polsce to los żubrów w puszczy biało-  
wieskiej*

*ten czas, ten czas  
jest czasem morderców*

*...  
najpierw był las, a drzewa ścina się jak dłonie.*

Nie widać w wizji poety dnia jutrzejszego:

**W ginących lasach i światłach wielkich  
miast umierali wszyscy poeci po kolei**

Jednak Croniamantal jako ostatni umierający poeta potrafił wtedy wskazać winnego, oskarżać: „hołoto, twoim nieszczęściem jest nuda”. Poeta Wąsik nie jest już w stanie nikogo wska-

kurz ani zapach”), bowiem miłosne wobec męskiego partnera przypominają mi trochę „płonące ogniem nie na miejscu” erotyki Jolanty Nowak-Węklarowej, które ośmieliłem się nazbyt może obcesowo przenicować („Akant” 2001, nr 4, s. 43). Doprawdy, ale jak można złapać taką seksualną figurę, aby „nabrzmiałe miłością wargi pod przepocnym mundurem trzepotały zmęczone tęsknotą”? Niemniej i tu mamy do czynienia z interesującym i optymistycznym komentarzem do heraklitowskiego panta rhei: „wszystko w miłości przemija”. Rzeczywiście, tak może tylko pisać kobieta-owo odwieczne i kosmiczne zarazem naczynie miłości!

Wstrząsają, ale też trochę drażnią (w zbiorze wierszy oczywiście) utwory o kloszardach i mencełach, dziwi, przynajmniej mnie, bo na muzyce się nie znam, wiersze o muzyce z „wróblami na pięciolini parkanu”.

W omawianym zbiorze autorka „Na rozstajach” prezentuje zarówno bogactwo zainteresowań humanistycznych jak i niezwykłą sprawność warsztatową, ale też autoironiczny humor, lokując na zakończenie tomu taki oto utwór:

*\*\*\*  
wiersze rodzą się  
zwykle w porze pierwszego  
piania budzików  
na przekór prawu ciężenia  
powiek*

*na szczęście  
(dla literatury)  
zapisują, się przeważnie  
w niepamiętniku  
snów*

Wydaje się mi, że w przypadku autorki „Przed światłem” wiersze „nie zapisują się” także z powodu jej zachłannego zagonienia się „w wielu ważnych sprawach” („tak łatwo się rozpraszam z pospiesznie trwonionego czasu”, „zazdroszczę staruszkom godzin gołębiom darowanym”).

Dobre czy złe to dla literatury, nie wiem. W każdym razie ja wciąż podziwiam warsztat, dowodem czego są precyzyjnie dobrane i nie przesadzone metafory oraz ciekawe neologizmy (np. „ciężar niedouwierzenia”).

Ter sa Januchta, Ścieżki dostępu, Poznań 2003, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 56

zać. Zawinił czas! Co stało się w wieku XX, przeniósł swój od nowego okresu interwał ku niebytowi. A dzień dzisiejszy jest jedynie świętokradztwem i zapowiedzią pustki:

*bo na pomnikach więcej jest  
nazw i rocznic niż myśli człowieka  
i naszych kroków w ciemność*

Groźba tkwi w nas, pysze i braku rachunku sumienia. Braku spojrzenia wstecz, być może już niemożliwości odwrotu i znalezienia światła:

*nie zrozumiesz totemów  
satelitarnych  
nie pomogą modlitwy  
ani biblijna zemsta  
kiedy wychodzisz w ulicę i krzyczysz  
a w tłumie nikt prawdy nie rozpozna  
nie starczy ci życia,*

*by w innym miejscu skonstatować:  
Urodziliśmy się w czasie zagłady  
ja i moi współcześni.*

Każdy ruch, każdy gest prowadzi do rozstrzygnięć, których eschatologia odbiera nadzieje zmartwychwstania, pytania stawiane Bogu językiem detalicznych rzemiosł zamykają drogę światu:

*zanurzony potem  
w rzece krwi  
staję nad mogiłą dni.*

By odpowiedzieć wreszcie o własnym, niezwykłym zbawieniu ludzkości:

*oni będą się bawić  
dalej twoim nieszczęściem  
i zamiast żyć ot, tak sobie  
i wierzyć na słowo  
wtedy ty im odpowiesz  
tekstem z nekrologów  
że, był kiedyś człowiek*

Abyś nie myślał, że zawrócisz świat z drogi, że wyzwolisz uśmiech dziecka, poeta grodzi świadomości:

*bazy danych zamknięte  
nie obronisz się sam.*

To zło dostrzegane, a może iluzja, licentia poetica, któż to potrafi zgłębić. W wierszu poświęconym znanemu krakowskiemu lekarzowi Tadeuszowi Szymusikowi poeta zamieszcza motto, odbierając nadzieję:

*Trzeba więcej ludzi chorych aby społeczeństwo  
uwierzyło  
w swą cywilizacyjną śmierć*

Jerzy Michał Wąsik, Szkice polskie, Fundacja Sztuki Osób Niepełnosprawnych, Kraków 2002, ss. 108



Fot. Grzegorz Korba



Marcin Smoliński

W kierunku osoby, w stronę *sacrum*

Twórczość poetycka KRZYSZTOFA GUZOWSKIEGO nie jest znana szerszej rzeszy czytelników, wpisuje się w rozległy obszar współczesnej poezji, tworzonej przez poetów – kapłanów. Choć, jak sądzę, ujęcie takie skazuje „*poezję kapłańską*” na bycie literaturą dość hermetyczną, mało uniwersalną, skupioną wyłącznie wokół problemów związanych z tajemnicą kapłaństwa. Tymczasem zakres poruszanych tu tematów i występujących motywów jest jednak znacznie szerszy, ujawnia się często poprzez charakterystyczne relacje, w których istotnym jest określenie i usytuowanie człowieka wobec szeroko rozumianego *sacrum*, wobec drugiego człowieka lub wybranych aspektów współczesnego świata. Pomimo tego, że Krzysztof Guzowski realizuje w swym życiu, oprócz poetyckiego, powołanie kapłańskie, to w poezji tej napotykaemy, jak sądzę, na tożsamość, choć artystycznie dynamiczną, zróżnicowaną, to jednak, w warstwie literackiej wypowiedzi, spójną, integralną, niepodzielną. To tożsamość księdza-poety. Czytając bowiem tego rodzaju literaturę, nie sposób rozpatrywać i interpretować tej charakterystycznej lirycznej przestrzeni bez autobiograficznego kontekstu – powołania kapłańskiego, które tak naprawdę będąc określonym zakorzenieniem duchowym, w znacznym stopniu wpływa na kształt i charakter twórczości poetyckiej.

Poezja ks. Krzysztofa Guzowskiego nie poddaje się łatwym opisom i analizom, skutecznie wymyka się jednoznacznym formułom i propozycjom interpretacyjnym, stawia wiele pytań. Jednak w ostatnim tomie poety, zatytułowanym *Wyspy: poemat najważniejszą zdaje się być bardzo interesująco ujmowana, i w różny poetycko sposób przeżywana, przestrzeń sacrum. Wyspy to także liryczne rozpoznawanie i próba dostrzeżenia w człowieku personalistycznie rozumianej Osoby, wpisanej w aksjologiczny horyzont. Guzowski bowiem, oprócz poety, jest personalistycznym filozofem (jego „mistrzem” jest jeden z twórców polskiego personalizmu filozoficznego ks. prof. Czesław Stanisław Bartnik). Myśl persona-*

listyczna w najnowszym tomie poety jest widoczna w sposób znaczący. *Wyspy to szczególnie personalistyczny poemat o osobach. Symbol wyspy zaś to literacko doskonały przykład na ujęcie bytu ludzkiego właśnie przede wszystkim jako osoby.*

Interesującą poetycką przestrzenią w tekstach Guzowskiego zdają się być, rozumiane osobowo, doświadczenia religijne, które są spotkaniami z rzeczywistością Transcendencji. Spotkania te określają tożsamość, nadają rangę, wartość i znaczenie światu osoby ludzkiej – niejako uprawomocniają egzystencję człowieka, czynią ją istotną. Podążanie ku Transcendencji jest tym samym swoistym wejściem na „*Boży trakt*”, wstąpieniem na określone drogi prowadzące do Boga. Rzeczywistość absolutna, boska przestrzeń *sacrum* w poezji Guzowskiego jest odsłaniana i odkrywana poprzez charakterystyczne „*poruszenie*”, które dokonuje się w człowieku. Możemy nazwać to usłyszeniem „*głosu*” Boga. Podmiot liryki Guzowskiego próbuje odpowiedzieć na to wezwanie. Relacja taka zrozumiała jest wówczas, kiedy uświadomimy sobie osobowy charakter tego kontaktu. Wyrazem takiej świadomości i zarazem takiego „*poruszenia głosem Boga*” wydaje się być utwór XXXVI, poprzedzony charakterystycznym mottem: „*Wezwałś mojego imienia, Jesteś moim Bogiem*” (Lz. 43, 3). Wiersz jest swoistą liryczną odpowiedzią na słowo Boże, jest tym samym jednocześnie wejściem w „*orbitę*” osobowego Boga: „*Nie dlatego świat wielki / że wiele skał pod niebem / że brakłoby życia / by opłynąć go ogarnąć ramieniem / ale wielki on jest / bo wielkie światło / zaglądnące co dzień w oczy / bezkres jutrzeźni prowadzącej / serca na spacer / [...] jesteśmy wielcy / gdy mało w nas groć i załamań / gdy echa wypełnione / świętymi marzeniami*” (s. 53).

W innym utworze Guzowski wspaniale przedstawia i opisuje zjawisko tej niezwyklej relacji, jaką jest kontakt człowieka z Bogiem, lecz także Boga z człowiekiem. To bardzo „*interaktywna*” komunikacja, dynamiczny dialog, to szczególnie rodzaj zaistnienia „*Nieskończoności*

*w skończoności*”. W wierszu dokonuje się wręcz mistyczne połączenie tych dwóch, wydawać by się mogło, zupełnie niezależnych, porządków metafizycznych, które tu zaczynają się łączyć i trwać we wspólnej rzeczywistości. W człowieku istnieje wszystko w czysto ludzkim, „*skończonym*” wymiarze i chyba właśnie dlatego naturalnym „*odruchem*” jest pragnienie zaistnienia i potrzeba tworzenia się w nim wieczności, możliwe staje się, jak to ujmuje poeta, tworzenie się progę Nieświadomego, który w takim rozumieniu jest sferą poza i ponad ludzką: „*[...] a my jak drobne wysepki / kręcimy się wokół odległych prądów / [...] jakby to nie uczucie i nie serce / mierzyły dni i przeżycia / jakby nie Bóg i nie człowiek / wazyli losy świata / a w nas potoki drż / [...] w nas susza stwarzająca / pragnienie i postęp / oto w nas tworzy się wieczność / i próg Nieświadomego*” (XXV, s. 40).

W przypadku poezji Krzysztofa Guzowskiego odkrywanie Boga, zarysowanego w osobowej perspektywie, jest warunkiem dostrzeżenia osobowego wymiaru w człowieku. Osoba Boga jest początkiem, inspiracją i źródłem osoby, którą stać się może człowiek. Przykładem tego szczególnego rodzaju poetyckiego myślenia i w duchu personalistycznym, opisywania człowieka jako osoby, jest cykl zatytułowany *Wyspa osoby* (utwory XXVIII – XXXIII, s. 43 – 48) zamieszczony w tomie *Wyspy*. Jest on propozycją lirycznego opisu i zdefiniowania człowieka na nowo w jego osobowym wymiarze. W wierszu XXX *Wyspa osoby III* czytamy: „*Uciekamy od własnej fizjologii / do własnej filozofii / od pocenia się silenia slineń / do postępu transcendencji myśli / wtedy unosi nas czysty oddech / miarowo oczyszcza się świat / odpędza chaos chwilowych głodów / geniusz miłości przynosi spokojne bicie serca [...]*” (s. 45).

Poemat „*Wyspy*” ks. Krzysztofa Guzowskiego, ujawniając swój personalistyczny charakter, ważniejsze wskazuje jednocześnie na sferę osobowego *sacrum* jako znaczący punkt odniesienia dla zidentyfikowania osobowej natury człowieka. Tak zarysowana poetycka perspektywa, w połączeniu z filozoficznym wymiarem twórczości Guzowskiego, czyni z tej poezji propozycję literacko przemyślaną, oryginalną a przy tym ambitną i dojrzałą artystycznie.✶

Krzysztof Guzowski, *Wyspy: poemat*, Lublin 2001, Wydawnictwo „*Gaudium*”, ss. 80.

Jan Tomaszewicz

## Codzienność uwznioślona

Jednym najbardziej utrwalonych w myśleniu współczesnego człowieka stereotypów jest, mające swe źródło w średniowiecznej filozofii przekonanie, że stawianie znaku równości pomiędzy genezą jakiegoś zjawiska, a tego zjawiska istotą bywa zabiegiem nie tylko uprawnionym, ale i pożądanym, bo wnoszącym do tworzonego dzieła, najcenniejszy literackiego, nieraz nadzwyczaj ciekawe elementy, choć należące do innego, że się tak wyrażę, zbioru. Uzupełnianie treści utworu, mniej lub bardziej wiarygodnymi opisami mechanizmów inspirujących autora czy, wręcz odwrotnie, utrudniających mu skomplikowany proces konstruowania wątków, może niekiedy być udaną próbą wzbogacenia mało atrakcyjnej fabuły, zwłaszcza gdy nie starcza inwencji, a ambicja nie pozwala na rezygnację z postawionych sobie, czasami za wysoko celów. Dlatego, z dużą dozą uznania dla jej inteligencji, trzeba stwierdzić, że MILENA HRYCENKO, informując już na samym początku swoich zwierzeń, że pisze w szczególnych warunkach emocjonalnie rozchwianej osobowości, jednocześnie, dodatkowo poddawanej, permanentnym wpływom silnie działających środków psychofarmakologicznych, z obu tych możliwości z powodzeniem skorzystała.

Skutecznie chroniona zreżymowanym parasolem psychiatrycznej aury, snuje jednowymiarowe, skąpe w wyrazie, zupełnie pozbawione dramatycznego napięcia, refleksje nad losem samotnej, przez męża porzuconej kobiety z dzieckiem, stając się mimowolną, zupełnie nie zdającą sobie z tego sprawy, karykaturą madame Butterfly. Z tchnących niezafalszowaną prawdą wynurzeń współczesnej kobiety wynika, że w XXI wieku, wbrew powszechnemu mniemaniu, wcale nie jest łatwo, bez narażenia się na śmieszność, wykreować się nawet na Damę Kameliową, której nasza bohaterka, mimo posiadania w krótkim okresie czasu jednego miesiąca, trzydziestu przypadków partnerów seksualnych, jest jedynie wątłą imitacją, w najmniejszym stopniu nie dorównującą skalą tragicznych przeżyć pani Marie Duplessis. Albowiem, naprawdę trudno sobie wyobrazić gejszę Cho-cho-san albo Traviatę śpiewającą arię o tęsknocie za czasem (cytuje): „*jak był we mnie*” i ukojeniu jakie daje noszenie „*jego majtek*”, z których „*jeszcze kilka par zostało w domu*”.

Przyjmując zdecydowaną postawę, przez Karen Hornej nazywaną „*do ludzi*”, autorka wyraźnie idealizuje obraz samej siebie, a identyfikując się z nim, uważa się za, jeśli nie lepszą, to przynajmniej równą tym, których w swojej hierarchii wartości stawia najwyżej, dzięki czemu, w sprzyjających warunkach uzyskuje, co prawda chwiejną, bo neurotyczną, zależną od innych, ale zawsze jakąś, wewnętrzną równowagę. Chcąc za wszelką cenę zrealizować swoje podstawowe

pragnienie bycia kochaną, akceptowaną, lubianą, potrzebną i podziwianą, stała się namiętną konsumuentką modnych produktów światowej i rodzimej popkultury. Ulegając infantylnej fascynacji zdewaluowanymi wartościami, karmi się do cna wyeksploatowanymi namiastkami szczęścia. Wypełniony bezkrytycznym entuzjazmem, nie tylko do Madonny – światowej sławy kabotynki, ale i do Grzesia, Edytki, Ani oraz Anitki (dokonane przez M. Hrycenko zdrobnienia imion cenionych w młodzieżowych kręgach piosenkarzy) świat autorki, tak się ma do autentycznego i odpowiedzialnego życia, jak fałszywe przekonanie autorki, że siulpiryd to barbiturat o działaniu viagry, do oficjalnej wiedzy farmakologicznej.

W literaturze aż się roi od nazwisk świetnych pisarzy mających częste i długotrwałe kontakty z psychiatrą i psychiatrami. Jednak dla żadnego z nich dysfunkcja psychiczna nie była źródłem inspiracji czy natchnienia. Zawsze pisali mimo, obok albo wbrew chorobie, w żadnym przypadku z powodu choroby. Znakomity prozaik, Michał Choromański, całymi latami borykał się z psychotycznymi trudnościami adaptacyjnymi (patrz: Marek Sołtyś, „*Świadomość to kamień*”, Wydawnictwo Poznańskie, 1989), lecz nigdy i nigdzie, nawet w „*Menuarach*” nie epatował czytelników tym, z pewnością dla wielu sensacyjnym wątkiem swojego życia.✶

Milena Hrycenko, *Jak to wszystko się skończy?*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „*Świadectwo*”, ss. 20



Jolanta Szwarz

## Niepokój do wynajęcia, czyli szukanie igły w stogu siana

„Niepokój do wynajęcia” GENOWEFY BAZYLI jest próbą powiedzenia o przeżyciach współczesnego człowieka, o jego poszukiwaniach bratniej duszy, o marzeniach.

Któż z nas nie odstąpiłby swojego niepokoju „za grosik”. Kto, choć czasami, nie czuje samotności i nie marzy o kimś serdecznym, kto będzie wsparciem i nie zawiedzie. Lekcje, które dają nam życie, uczą ostrożności.

„Ostrożnie niosę serce moje,  
jak puchar z kryształu.

Omijam  
ogień namiętności,  
mroczne zakamarki  
niezyciowych cieni...”

A mimo to szukamy, marzymy o szczęściu i bliskości drugiej osoby.

„nieznany przechodniu  
wejdź  
w pochmurny dzień  
na filiżankę aromatycznej goryczy  
(...)  
i pozostań”

Poetka, snując swoją opowieść, pozwala nam uczestniczyć w tych poszukiwaniach, uciec czasami od „chłodu nowoczesności” w „ciszę tataraków”. Przeżyciom człowieka w jej utworach nieustannie towarzyszy przyroda.

„Niesiona sennym wiatrem,  
płynę z nicią pajęczą  
w drgającej złościście przestrzeni.”

Bohater wierszy ulega jej. Czasami „płynie z nicią pajęczą”, niekiedy spowija go mgła.

„Na ręce splecione,  
oddechy pospieszne,  
mokra, lepiąca się mgła.”

Mgła dominuje na polach, na twarzach i wronach. Poetka zręcznie wywołuje nastrój smutku i przygnębienia. Jednak życie tak naprawdę nie jest tylko szarością.

„Za dzień, za dwa,  
za jakiś czas,  
słońce zapłonie w szarości,  
(...)  
światłości rozedrga się mgła.”

Czy o tych sprawach ludzie jeszcze rozmawiają? Czy może coraz częściej używają słów do pozornego porozumiewania się?

Padają stereotypowe pytania i powierzchowne odpowiedzi. Słowa nie zawsze oddają nasze myśli. Powstają nieporozumienia, czasami z nieodwracalnymi skutkami. Christopher Lippelt, współczesny niemiecki poeta i pisarz, napisał wiersz o obchodzeniu się ze słowem:

## „Próby mówienia

wziąć w dłoń słowa  
każde z nich  
ważyć jak rozgrzane słońcem pomarańcze  
dotykać jak ciało  
pieścić (...)

Genowefa Bazylki tak właśnie traktowała słowa w wierszach, składających się na tomik „Niepokój do wynajęcia”. Dotykała każdego wyrazu,

ważyła i pieściła. Nie zawsze jednak słowa są posłuszne poecie, czasami bywa...

## „Niepowodzenie

Napisałabym wiersz, słowami  
gorejącymi  
by zapłonął szkarlatem,  
duszę ogniem roziskrzył.  
Obojętność zmroziła słowa,

opadły jak liście.”

Obojętność jest wrogiem wszystkiego. Obojętność wobec przyrody, rzeczy, drugiego człowieka skazuje na hibernację. Wprawia nas w stan obniżenia intensywności działania, spowolnienia. Bliska obojętności jest znieczulica. Czy poeta może być dotknięty znieczulicą? Na pewno nie. Chociaż i on może mieć momenty zubożnienia albo silnie odczuwać zubożnienie świata, ale wtedy nie powstanie dobry wiersz. Zmrożone, zwarzone zimnem słowa skazą go na niepowodzenie. Tylko zaangażowanie i uczucia mogą poruszyć odbiorcę.

Genowefa Bazylki jest poetką głęboko czującą i wrażliwą na otaczający świat, w którym obok człowieka najbliższa jej jest przyroda. Zwykły człowiek i zwykła przyroda. Nie ma w niej rzadkich okazów roślin, są pospolicie kwitnące wiosną fiołki, konwalie i bzy, letnie chabry, pachnące ziola i rosochate jabłonie.

Poetka nie epatuje czytelnika niezwykłościami. Buduje prostą scenografię, na tle której przedstawia proste, znane wszystkim uczucia. Wszyscy dotykają świata takimi samymi zmysłami.

„Siądź przy mnie  
pod jabłonią rosochatą,  
pomilczymy o wiosnach,  
co pachniały nam odmiennie,” (...)

Wszyscy, to nie znaczy tacy sami. W cytowanym fragmencie wiersza wyraźnie widać indywidualizm, jednostkowość i odrębność każdego zamkniętego w słowie „wszyscy”.

Czytając i przeżywając wiersze Genowefy Bazylki wynajmujemy jej niepokój o to:

„czy słońce zaświeci,  
telefon zadzwoni,  
czy jesteś gdzieś tylko dla mnie”,  
czy przyjmiesz zaproszenie -  
„Wejdź  
perłowym zmierzchem  
na strumień blasku lampy  
i pozostań”,  
czy będziesz czekał, gdy  
„przejdę bosa po kroplach rosy,  
będę w ogrodzie  
w woni bżów i konwalii”,  
czy będę  
„szeleścić niespełnionymi marzeniami”,  
czy potrafię jeszcze wzruszyć się muszlą  
śpiącą na piasku?

## „Muszla

Patrz!  
Muszla usnęła na piasku.  
Pienista fala ułożyła ją troskliwie.  
Ostrożnie pochyl się,  
tak niewiele nas wzrusza.”

Prawdą i pięknem przesycone są wiersze, zawarte w tym tomie. Migoczą słońcem i zapa-

dają w szarość pochmurnego dnia. Unoszą marzeniami i nostalgiczną zadumą. Przygnębiają samotnością i drgają zmianą nastroju. Pozwalają zza firanki podpatrzeć zarówno nurtujące nas uczucia, jak i świat.

„Za firanki wyrzał świat  
opleciony siecią woni,  
rozłożył na ścianach  
seledynowe, drzące cienie...”

Siła wierszy Genowefy Bazylki tkwi zarówno w poruszanych problemach, bliskich każdemu człowiekowi, jak i w sposobie przełożenia ich na poezję. Jej język poetycki jest bardzo urozmaicony. Zaskakuje czytelnika pomysłowością obrazowania, konceptem i bezpretensjonalnym, trafnym doбором słów, jak choćby w wierszu „Obraz w lustrze”.

Jego bohater wykonuje banalną czynność – myje ręce, ale wystarczy spojrzenie w lustro, by zobaczył coś, co może dostrzec tylko oko poety. Zawężony świat w zwierciadlanym obrazie. Zawężony potrójnie, bo zanim zamknięty został w lustrze, już ograniczyło go okno, a jeszcze mniej dostrzegł bohater wiersza. Zobaczył tylko to, co chciał (a może mógł) dostrzec, bo był chyba w nieszczęśliwym nastroju. Ujrzał więc dziurawą rynnę, tynk powiązany suchymi pnączami, posiwały trawnik i zapomniane jabłka. Zjednoczył się w tym momencie z przyrodą, zrównał z jabłkiem „rubinowo płonącym” (ile pragnień wyrażają te dwa słowa), a jednak zapomnianym, bezużytecznym, samotnym.

Poezja Genowefy Bazylki przekonuje, że nie ma pełni szczęścia, ale nie zwalnia od marzeń i poszukiwań, choćby to były poszukiwania igły w stogu siana.

A cierpienia są zawsze „na własną miarę”.

Genowefa Bazylki, *Niepokój do wynajęcia*, Wydawnictwo „ANANKE”, Poznań 2003, ss. 36

## HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Ernest Bryll,  
Adriana Szymańska, Jolanta Baziak,  
Teresa Kowalska, Kazimierz Braun,  
Tadeusz Lira-Sliwa, Krzysztof Bilica,  
Janusz Mrzygód

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),  
od 165 zł (pokój dwuosobowy),  
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”  
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz  
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,  
fax 322 88 70



Przy hotelu kawiarnia dla niepalących z najlepszymi ciastkami w grodzie nad Brdą!

Raz na miesiąc, w trzeci wtorek,  
w godz. 18.00-20.00 spotkanie  
Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski  
tel. 052/3796-789



Sławek Kuźnicki

## Jeszcze Polska nie zginęła...

Tadeusz Dąbrowski to gdański poeta, związany z wydawanym w Sopocie „*Toposem*”, który mimo bardzo młodego wieku – rocznik '79 – oczekiwał się już dwóch bardzo udanych książek poetyckich: *Wypieków* z 1999r. i *e-maila* z 2000r. (nie wspominając o „*poniższych*” wydawnictwach, w rodzaju arkuszy poetyckich). Teraz trafia do nas jego trzeci „*wypiek*”, potwierdzający pokładane w nim nadzieje, a może nawet je przekraczające. W każdym razie, poprzeczka ustawa (sobie i innym) Dąbrowski bardzo wysoko.

Już samo ujęcie tytułu książki wprowadza nas w przewrotny świat autora (nie bez powodu okazuje się omińnięcie na I stronie okładki imienia autora) – oto trzymamy przed swoimi oczami *Mazurek* Dąbrowskiego. Można by to nawet odczytać jako rodzaj nawiązania do „*wielkich narracji*”, tak charakterystyczne dla naszych czasów, których podważanie stają się niejako głównym patentem poety. Ale nie jest to w żadnej mierze negacja ślepa, odwołująca się do najniższych instynktów sensacjonalizmu – wszak parodia zakłada znajomość i poważanie dla „*tekstu*” parodiowanego. Dąbrowski nie zapomina o tym ani na chwilę. Zresztą poeta nie kryje swojego stosunku do tradycji literackiej – w wierszu *harczerz w grindersach*, jego podmiot liryczny stwierdza: „*jestem niby barbarzyńcą/ lecz tak naprawdę klasy-cystą*”, zajmując zdecydowane stanowisko w ciągle aktualnym podziale tzw. nowej poezji polskiej, dokonany przez Karola Maliszewskiego.

To, co na pierwszy rzut oka może wydawać się szarganiem wartości i symboli narodowych, jest w gruncie rzeczy trzeźwym komentarzem do otaczającej nas rzeczywistości, bo przecież ta „*ku-rewska niepodległość*” (*Noc listopadowa albo jakakolwiek*) i tak jest w gruncie rzeczy niepodległością. Personifikując Polskę, podmiotem lirycznym targają emocje charakterystyczne dla konfliktu z kochanką, czyli kłótnia kłótnią, ale przecież ją kocha. Mało tego, to podmiot liryczny w wierszu *Wielka ściana* jawi się jako ten, który w Polskę wierzy; problem w tym, że nikt inny wierzyć nie chce: „*Co zrobić, byście Państwo w Nią uwierzyli/ (...)? Nie/ zaistniejesz prawdziwie dla nikogo (...)*”. W podobny sposób rozumieć można intertekstualne użycie tytułu tomu. Przecież tradycyjny *Mazurek* Dąbrowskiego był najpierw tekstem, wierszem. To później „*obrót*” w znaczenia patriotyczne i narodowe, stając się najpierw pieśnią, a następnie zyskując status hymnu narodowego.

Zacicie parodystyczne Dąbrowskiego nie ogranicza się tylko do intertekstualnej gry z polskimi symbolami narodowymi. Wydawać się wręcz może, iż w ujęciu poety metanarracją staje się też klasyczna literatura polska. Aluzji jest wiele, choćby w tytułach wierszy: od *Romantyczności* Mickiewicza do *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego. Autor nie tylko doskonale poetycko ale i z ogromną zręcznością techniczną nawiązuje do poszczególnych dzieł i stylów z przeszłości. Szczególnie polecam tu doskonałą parodię Mikołaja Sępa Szarzyńskiego w wierszu \*\*\*[*jakże ja...*], zresztą tym dedykowanemu, którą pozwolę sobie zacytować w całości:

„*jakże ja  
pić mogę  
kasy już  
nie mając*

*jak mogę  
się kochać  
miłości  
nie znając*

*uratuj  
mnie Panie  
bo jestem  
w kropce*

.....  
.....

(A kropek jest równo po trzynaście w każdym wersie. Czy to też ma znaczenie?) Tym samym, niejako podświadomie (bo nie podejrzewam poety o megalomanię, patrz: ironiczna *Literatura*) Dąbrowski zwraca jednocześnie uwagę na ponadczasowe walory swojej sztuki. A o tym, że jest to sztuka najwyższych lotów, już wspominałem.

Osobnym tematem tomu wydaje się być, ujęta w typowo polskie realia, katolicka religijność mas przeciwstawiona prawdziwej, żarliwej i nie zinstytucjonalizowanej wierze jednostki. Jednak polskie tradycje głęboko drzemią w podmiocie lirycznym Dąbrowskiego – jego kpina z niej zgroda na wszechotaczającą dewocjonalność jest umiarkowana i pobłażliwa, co wyraźnie widać w utworze *Druga część prawdy*, który to wiersz, niejako przy okazji, zdaje się odkrywać przynajmniej część tej (jakiej?) tytułowej prawdy. Często bywa i tak, że ten głęboko zakorzeniony (również w podmiocie lirycznym) polski katolicyzm okazuje się być powodem do bezsilnego wstydu i zagubienia, jak w *Żalu rozrutnika*:

„*Wracając z poetyckiej imprezy do domu,  
przypomniałem sobie, że jest niedziela, a  
ja nie byłem w kościele. (...)*

*Wiedziałem, że gdy wrócę, zapytają: Czy  
byłeś na mszy? O czym była ewangelia?”*

Na szczęście liryczne „*ja*” nigdy nie zapomina o wierze prawdziwej, w wierszu *Pranie brudnych pieniędzy* wysłuchujemy takiego wyznania: „*(...) wrzucam monety do dziurki, a one wypadają dołem, niby te same, a jednak inne. O tych wiem bowiem, że są od Boga.*”

*Mazurek* jest dziełem pełnym, co charakterystyczne dla współczesnych czasów, autoironii. To dlatego wiersze Dąbrowskiego o miłości nie rażą sentymentalizmem, czy też przesłodzeniem. Poeta potrafi być tak perfidnie przełamującym nieoczekiwanymi „*zmianami akcji*” i klimatu, że powstaje jakoś zupełnie nowa, oryginalna; np. wiersz *peknięcie* poeta puentuje w ten oto sposób:

„*(...) Miłość  
jeżeli jest to jedynie  
na styku nas między  
nami (mówiąc).*”

Generalnie rzecz biorąc, szukanie miłości staje się jednym z głównych motywów przewodnich książki. Naznaczone jest jednak charakterystycznym dla twórczości Dąbrowskiego (a może i całej ponowoczesności) czarnym humorem, jak w wierszu *List ze starego kontynentu pocztą elektroniczną*: „*Nie szukaj miłości./ Miłość sama się znajdzie.*” Tym samym miłość, kiedy już staje się niemożliwa do odnalezienia, zdefiniowana zostaje jako jeszcze jeden produkt (*Zakładnik*). To pewnie stąd ten gorzki uśmiech w, przypominającym litanię, utworze \*\*\*[*Kiedy zapomnę, czym jest miłość...*].

*Mazurek* nie jest, o czym już wspominałem, pierwszą książką Dąbrowskiego. Wręcz przeciwnie, po uważnym przeczytaniu, wydaje się, że to ostatnia książka takiego Dąbrowskiego. W *Mazurku* osiągnął on perfekcję dotychczasowego stylu poetyckiego. Teraz musi przyjść nowe i przyjdzie na pewno. Kto wie, może za kilka lat ocenimy *Mazurek* jako zamknięcie pewnego etapu i drogowskaz na etap kolejny. Ja w każdym razie czekam na następne wydawnictwa Dąbrowskiego wręcz z „*wypiekami*” na twarzy. ■

Tadeusz Dąbrowski, *Mazurek*, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, Kraków 2002, s. 82

BYDGOSKIE BIURO ORGANIZACJI IMPREZ

orimp

CENTRUM  
WIZOWO-PRZEWOZOWE85-109 Bydgoszcz, ul. Grodzka 6/5,  
tel. (052) 3451299

rok 2003

ROKIEM IMPREZ  
dla DZIECI

- Heide Park 3 dni
- Hansa Park 3 dni
- Holandia 6 dni  
z Eftelingiem
- Kraina Pipi 4 dni  
Langstrumpf
- Parki Rozrywki

co sobotę o godz. 11  
SPOTKANIA INFORMACYJNEPRZYJDŹ!  
SPRAWDŹ!  
JEDŹ!

Sztuka i doświadczenie

PRACOWNIA PLASTYCZNA  
HALINY I WŁODZIMIERZA KRZEMKOWSKICH

Hart

ul. Malinowa 6, 85-363 Bydgoszcz  
tel. 052/379 67 89, e-mail: krzemart@abas.plUsługi z zakresu:  
grafika użytkowa, reklama, informacja  
wizualna, projektowanie mebli i wnętrzStowarzyszenie  
Archiwistów PolskichZarząd Główny  
ul. Bonifraterska 6 lok. 21,  
00-213 Warszawa, tel. (22) 635 87 68,  
tel./fax (22) 831 31 71  
www.sap.waw.pl, sap@sap.waw.plJesteśmy najstarszą, największą i najbardziej  
profesjonalną firmą archiwistyczną w Polsce.  
Działamy na polskim rynku już od 37 lat.Zakres naszych usług obejmuje, m.in.:  
Archiwizacja od @ do z

- tworzenie planów organizacji i zarządzania dokumentacją
- przechowywanie dokumentacji
- prowadzenie działalności szkoleniowej w ramach Centrum Edukacji Archiwalnej
- archiwizowanie, porządkowanie dokumentacji
- tworzenie archiwów elektronicznych
- opracowywanie przepisów kancelaryjno-archiwalnych.



Sławomir Kuźnicki

## Przeciętni zjadacze aniołów

TOMASZ ZACHAREWICZ, związany z (a tym samym ze Stowarzyszeniem Żywych Poetów), publikował już swoje wiersze w różnych antologiach; jest laureatem wielu konkursów poetyckich; prowadzi też od jakichś dwu lat cykliczną audycję na antenie Radia Opole o wiele mówiący tytuł *Krótki program o poezji*. Dlatego niezręcznie powiedzieć o Zacharewiczu, że jest debiutantom. A jednak, książką poetycką *Anioły nie umierają na raka* Zacharewicz właśnie debiutuje.

Zastanawia już sam tytuł, jak można odkryć, trafnie dobrany do utworów Zacharewicza. Otóż, istotnie, okazuje się, iż jego poezji bliżej owym „aniołom”, niż „rakowi”. Od pierwszych stron książka zaskakuje liryzmem i pewnym odezwaniem od hałasu świata nas otaczającego. Jak słusznie zauważył Karol Maliszewski, który przyozdobił książkę krótkim posłowiem, mamy tu do czynienia z twórczością jawnie prowincjonalną i prostą. Metaforyczna ucieczka w kierunku upoetyzowanej wsi widoczna jest np. w nie spotykanych, jak na dzisiejszą „nową” poezję, opisami przyrody, jak ma to miejsce w wierszach: \*\*\* (w sadzie...), \*\*\* (gdy zagrają...), czy \*\*\* (czuwajcie nad nami kamienie...).

Czytelników, przyzwyczajonych do mocnej, hałaśliwej poezji doby postmodernizmu musi też razić jawne odwołanie się do tradycji pastoralnej w utworze \*\*\* (mam duszę pasterza...), kiedy podmiot liryczny stwierdza: „przemierzam słoneczne pastwiska/ (...) wędruję od słowa do słowa/ strzygąc wiersze, najwierniejsze owce”. Tym samym wyraża w twórczości Zacharewicza, i istotna z punktu widzenia jego inspiracji, staje się literatura romantyzmu. Nie chodzi tu tylko o samo użycie formy pastoralki, ale również o charakterystyczną teorię poezji, obecną w cytowanym wyżej fragmencie.

W twórczości Zacharewicza zwraca też uwagę szacunek dla słowa. W wierszu *Spacer naktowy*, będącym rodzajem credo poety, czytamy: „w moich wierszach potwory nie walczą/ nie ranią szaleństwem, nie broczą słowem”. To odważna deklaracja, którą autor realizuje z żelazną wręcz konsekwencją. I trzeba przyznać, że przy takim, a nie innym obszarze tematycznym wierszy, za-

sada ta sprawdza się idealnie. Proste, w gruncie rzeczy, problemy ubrane są tutaj w oszczędne formy. W wydaniu Zacharewicza ta surowość wypada interesująco.

Przez proste problemy rozumiem sprawy codzienne, może i blahe, ale przecież fundamentalne dla każdego „przeciętnego zjadacza chleba”, a to właśnie kogoś takiego bierze Zacharewicz pod swoją poetycką lupę. Problemem może być np. jego nieprzystosowanie do hiperrzeczywistego świata, w którym dane mu jest egzystować. I nic dziwnego, że człowiek Zacharewicza gubi się w takim świecie, że go nie rozumie, że się go boi; w wierszu \*\*\* (pod szarym skrzydłem wróbla) czytamy:

„od Jeruzalem po Belfast  
przekupnie krzyczą – śmierć  
w promocji otrzymasz najtaniej  
(...)  
jest miłość – nie ma miłości  
jest strach – nie ma strachu  
jest życie – nie ma życia”

W takim kontekście przejmująco musi zabrzmieć przywołanie wyidealizowanych obrazów z przeszłości: „to nie będzie połów jak przed laty” (*Ostatni rybak z Eckernforde*), co z kolei wprowadza do poezji Zacharewicza rodzaj melancholii, smutku, też przecież dość charakterystyczny dla poezji romantycznej.

Jednak to co najbardziej w twórczości Zacharewicza zachwyca, to ta specyficzna, wspomniana już, tematyka prowincjonalizmu i zmęczenia wielkim światem, przedstawiona w bardziej śmiałej, gorzko ironicznej formie, choćby w takim wierszu jak *Ikar 1997*. W utworze tym doskonale współbrzmia taki, nieukrywany przecież, światopogląd autora ze słownymi gramami na poziomie tego konkretnego archetypu, tzn. mitu o Ikarze; np.:

„... w skrzydłach coraz mniej kości  
a coraz więcej żelaza  
miłość już nie w dotyku  
ale przez telefon  
ziemia już nie pod stopami  
tylko, w betonowym chodniku”

Okazuje się, że w tym to wierszu, bardziej śmiałym i „współczesnym” od większości pozostałych, podmiot liryczny Zacharewicza odnajduje ciekawy i oryginalny głos.

Osobną grupę wierszy stanowią erotyki. I ponownie mamy tu do czynienia z utworami wyciszonymi, łagodnymi, jednym słowem mocno Zacharewiczowskimi. Widać, że poeta ma już za sobą okres pisanie o gwałtownej, pierwszej miłości. Ta ze stron *Aniołów...* to miłość zdecydowanie dojrzała, jak w wierszu *Dzisiaj moja żona*, gdzie pada takie oto zdanie: „Dzisiaj moja żona kładzie dłoń/ na głowie mężczyzny jakim będę/ i czeka na miłość co ma się zdarzyć”. Skoro już o rodzinie mowa (niezależnie od tego do jakiego stopnia jest ona projekcją artystyczną), niesamowicie wrażenie robią wiersze napisane dla nowonarodzonego dziecka: *List do Julii (II tygodnie)* i *List do Julii (17 dni)*. Urzekają wręcz niepowtarzalnym klimatem, czymś czego nie da się dotknąć – może wcielonym w słowa uczuciem.

Nie sposób też nie wspomnieć o tytułowych aniołach, tym bardziej że w książce Zacharewicza jest ich sporo, czy to w postaci utajonej (np. w *O drodze*), czy też ujawniają się one czytelnikowi bezpośrednio. Anioły są dla podmiotu lirycznego rodzajem bytu, w którym nie ma miejsca na cierpienie, ale również na miłość – \*\*\* (*anioły...*). Dlatego też stosunek lirycznego „ja” do nich jest dość ambiwalentny (co również mogą ilustrować symboliczne zdjęcia, które co jakiś czas przeplatają wiersze). Anioły jawią się tu jako istoty bądź stany tak doskonałe, że aż odpychające. Może to dlatego wspomniany powyżej wiersz kończy następującą puenta: „stróżem/ został jednak człowiek”...

Skoro już o aniołach było, to warto też zwrócić uwagę na ciekawe wykorzystanie tradycji chrześcijańskiej. Zaskakują motywy apokaliptyczne w *Nocy jesiennej II* i *Nocy zimowej*, które to wiersze chyba nie przez przypadek noszą podobne tytuły. W pierwszym z nich czytamy: „porzucam noc jak psa na drodze/ z łapą spletaną starym bandażem/ miską pełną nadziei/ że koniec nadejdzie przed świtem”, by z drugiego dowiedzieć się, że „... nad ranem/ stróż gasi latarnie/ jak słońca”. Chrześcijaństwo, rozumiane przez swoje wątki martyrologiczne, powraca też w świetnej *Opowieści*, kończącej się zaskakującym odwróceniem dychotomii Chrystus-Judas, kiedy to podmiot porównujący się do drugiego z nich stwierdza: „bo tam gdzieś/ w ukrzyżowaniu ulic/ czeka na mnie/ drzewo”. I chyba wolę Zacharewicza takiego właśnie, lekko mrocznego, niedookreślonego, poszukującego. Bo to właśnie wiersze w rodzaju *Opowieści*, wspomnianego już wyżej *Ikar 1997*, czy też utworu *Spróchniałe księgi mówią*, że każdy trup potrzebuje swojego cienia, zostają w głowie na dłużej.

*Anioły nie umierają na raka* to książka więcej niż obiecująca, bo też niektóre z tych obietnic zostają na jej stronach spełnione. Dlatego zdecydowanie należy śledzić dalsze „poczynania” wydawnicze jej autora. Dobra, komunikatywna poezja, to przecież nie aż tak powszechne zjawisko w naszych szaleniach pokomplikowanych czasach...\*

Tomasz Zacharewicz, *Anioły nie umierają na raka*, Wydawnictwo „Mamiko”, Nowa Ruda 2003, s. 60

Rok założenia 1991

PPH **DOMAROLL**<sup>®</sup>

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

**Nagrody i wyróżnienia na:**

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy  
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu  
III i V Pałacowych Targach Rolnych w Żninie  
III Targach 2001 w Mogilnie  
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina – 2002

**Biura handlowe:**

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30  
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17  
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/341 61 31  
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66

**Okna PCV**

w systemie TROCAL posiadającym  
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

**Stolarka ALU**

Stosujemy nowoczesne rozwiązania technologiczne  
zapewniające właściwą wymianę powietrza bez ingerencji  
w strukturę techniczną okna i jego szczelność:  
- uszczelkę samowietrzącą **COMFOLIP**<sup>®</sup>  
- specjalne elementy przewietrzające **REGEL-air**<sup>®</sup>





Eryk Ostrowski

## Wnuczka Małgorzaty Hillar?

W ubiegłym roku nakładem krakowskiej serii poetyckiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich ukazał się niedostrzeżony, a zdaje się ważny tomik poetycki. Nosi on tytuł *Zupełnie inna gwiazda*, zaś jego autorką jest młoda (rocznik 1975) poetka, członkini Koła Młodych przy krakowskim oddziale SPP, laureatka Stypendium Twórczego Miasta Krakowa (2001), BEATA KUREK. Tom ten nie jest debiutem autorki. Wcześniej opublikowała już dwa zbiorki; *Słowem malowane* (1997) i *Milczenie o zapachu pomarańczy* (1999). Lecz w świetle zawartych w nowej książce wierszy omawiany tom pozwala traktować się jako swego rodzaju początek. Poprzednie dwa zbiory nie wydają się nawet istotne, może konieczne dla samej autorki, jako wprawki do zmierzenia się z otoczeniem. W *Milczeniu o zapachu pomarańczy* odnajdziemy wszak dość obszerny zbiór lekkich, nierzadko dowcipnych liryków miłosnych, garść aforyzmów, które zachwycają świeżością, potwierdzają, że gatunek ten wciąż może inspirować i odkrywać nowe przestrzenie. Lirykę miłosną tego zbioru trafnie scharakteryzowała w *Posłowie* Elżbieta Zechenter-Splawińska: *Autorka nie kryje się za żadną maską, używa pierwszej osoby liczby pojedynczej. Podmiot liryczny jest z nią tożsamy; świat przedstawiony jest jej światem wewnętrznym. Zwierzenie jest szczere (...)*.

Nowy tomik powstał dość szybko i równie nieoczekiwanie zmienił dominanty tej poezji. Pozornie nadal przeważają znane już wątki, lecz ton wypowiedzi i sposób wyrażania jest inny. Poetka nagle przestała bawić się słowami, gdzieś znikły celne puenty, które jeszcze niedawno były znakami rozpoznawczym jej poezji. Ich miejsce zajęła dosłowność. Tak, dosłowność. Czyli to, co dla wiersza zdawałoby się niewskazane. Zatem sama esencja nie komentowana przez poetkę, nie obudowana metaforą. Wielkie słowa, jak „przeznaczenie” znajdują tu banalne definicje, które nie rażą, ponieważ – są prawdziwe (*Przeznaczenie*). Beata Kurek chyba nie próbuje bawić się w poezjowanie. Ale też i zastanówmy się, czy należy ubierać w metaforę to, co już nią jest: *Kiedy śpię / rozmawiamy. / Mam odwagę / zadawać ci pytania / i odpowiadasz. / Jesteś tak blisko / że widzę tylko / czarne punkty twoich oczu. / Rano / nic nie pamiętasz. / Tęsknię za oceanem*. Słowa w wierszu, te potoczne, zwyczajne oddają to, co składa się na obraz, jak barwy na płótnie budują pejzaż: *Odgarniam włosy / z szyi / żebyś mógł wypełnić / miejsce / między obojczykiem / a uchem*. Potrafi także stworzyć coś na kształt japońskiego haiku, ale bez tak częstej ostatnio, że nachalnej już i przeważnie chybionej, próby naśladowania oryginalnej formy. Poetka osiąga cel malując tylko delikatną kreską (*Orchidea*).

*Zupełnie inna gwiazda* to książka, która mówi o tym, co w życiu człowieka jest najważniejsze, jest jedyne, dlaczego szukanie nazw, określeń jest próżne. Mówi o tym, co nienazwane; mówi o miłości. Tylko o niej. Takie ujęcie tego tematu zaproponowała ostatnio Ewa Lipska w wierszu *Miłość: Żadnych objaśnień. Odsyłaczy. Przypisów. Haseł. (...)* *Wszystko zależy od tego / jak długo będziemy zawsze*. Credo tomiku Beaty Kurek łatwe jest do odnalezienia w jednym z zamykających go wierszy; tu jest miejsce tylko na piękno tej liryki: *Najbardziej lubię cię / przed burzą / kiedy liście / otwierają się / na srebrną stronę. / Wiatr porzywa / moją sukienkę / i odbijam się naga / w twoich żrenicach. / Po burzy / nasze oddechy / uspokajają się*. Chociaż sama pisała w poprzednim zbiorze o słowach „kocham” i „miłość”, że, jak wytarte dzinsy, dobrze leżą, więc należy je nosić, teraz odeszła od prób

udosłownienia. Potrzeba nierzadko tkwi w naiwności, mówieniu takim właśnie językiem: *Chociaż deszcz nie padał / szyba była mokra czy taki fragment z wiersza Do rycerza: Lubię chłód / bo wiem / że dasz mi / swój sweter*.

*Zupełnie inna gwiazda* to analiza jednego związku, który choć dopiero w fazie narastania, pozwala już dojrzeć do przyjęcia tej wielkiej wiedzy jaką jest gotowość zrozumienia wszystkiego co będzie, lub też nigdy się nie zdarzy. A więc pragnienie zniewolenia, przedstawione najbardziej subtelnym językiem i najpiękniejszym obrazem: *Bardzo lubiałam / pistacje / które podawałaś mi ustami / jakbym była ptakiem*. Świadomość przemijania: *Pamiętaj mnie / tłukącą talerze / i rozspaną nad ranem*; esencja bólu: *Po raz pierwszy / Odchodziłeś / i nie mogłam zawołać: / zostań. / Patrzyłam / jak znikasz na Plantach / najczarniejszym lesie smutku. / I nie pomogła energia Wawelu. / Odchodziłeś*. Przechucia: utraty nawet w tym, co wiąże jako pierwsze; zapach: *Koniec świata / nastąpi niespodziewanie. / Przyjdę do domu / i nawet nie zdejmując butów / będę musiała spakować / książki / sukienki / i wiersze. / Zostanie tylko mój zapach / ale ty zawsze / szeroko otwierasz okna. ; tego, co złe i tego, co oczekiwane. Lecz i czekanie jest tu dwojakie. W wierszu pod tym tytułem czytamy o czasie odmierzonym lampkami wina, który jest „płynny”, „lekkorozkny” i – „kiedyś się skończy”. I jest też inne czekanie, które równoważy zawsze dwojaki ton tej poezji: *Czekanie na ciebie / ma kolor słoneczny. / Pachnie ciastem, / nakrochmaloną pościelą. / Jest ciągle czekaniem / ale nie ma w nim soli*.*

Wspomniałem, iż jest to ważny tom. Nie decyduje o tym tematyka, w której niczego nowego już chyba powiedzieć się nie da. To, co najistotniejsze w tej książce, to chyba po raz pierwszy od czasu Małgorzaty Hillar tak bezpośrednio podjęty dialog z partnerem o współodczuwaniu. Od Hillar odróżnia Kurek przede wszystkim czas powstania tych wierszy. Czas Beaty Kurek nie jest czasem nazywania bez dosłowności (choć w jednym bodaj wierszu - *Nie potrafisz pisać listów* - zmysłowa gra z poetyckim językiem jest obecna). Beata Kurek musi wiedzieć, iż uczucie i obraz bez dosłowności już nie obroni się, a ta z kolei jest na tyle uniwersalna, że pozwoli odnaleźć się w tej poezji każdemu, kto raz kiedyś kochał i był kochany (*dotyk wzrokiem / pocałunek głosem*). Szybki przepływ informacji, ukazuje już inne obrazy trwania tej jedynej wieczności: *Pytasz / dlaczego się chowam / przed światem / w gnieździe twojej pachy, / chcę spać cały dzień / i nic nie jem? / Sam powiedziałeś: / „Jutro po śniadaniu / pakujemy twoje rzeczy” / Dopóki nie wstanę z łóżka / to ciągle jest noc*. Wydaje się, że poetka odnalazła się w tej nowej estetyce nie sprzyjającej wrażliwości. Jej wiersze przekonują dobrym smakiem, mimo iż bywają pełne chłodu i zawziętej determinacji (*Suka*). Taka też – o czym należy pamiętać podczas lektury tego zbioru - jest i liryka Małgorzaty Hillar, w swoim czasie najgłośniejszej polskiej poetki. Z nią łączy Beatę Kurek bardzo wiele, zdarzają się nawet te same podjęte wątki, co sytuuje *Zupełnie inną gwiazdę* również względem tradycji, której nasza poetka jest w pełni świadoma. Ow ponadczasowy dialog podnosi wartość tej książki, wśród zalewu podobnych tomików. Oto kilka przykładów takiej zbieżności, która objawia się nie li tylko w tożsamej kadencji, brzmieniach, czy oszczędnej, wyważonej, pełnej całej dramaturgii wersyfikacji. Oto w wierszu *Za granatowym murem* pisała Małgorzata Hillar o sennym świecie swego ukochanego i o sobie samej w nim: *Chodzisz tam / ze mną / zupełnie mi nie znaną*

*/ tylko twoją*. Beata Kurek nawiązuje podobnie do tych niepokoju: *nawet w snach / jesteś z inną kobietą / nasze pocałunki / kończą się przebudzeniem*. Odnajdziemy też bliskie podobieństwo do znanego wiersza Hillar *Myslałam że będę mówić*. *Zacytuję tu cały wiersz Beaty Kurek: Tego słowa / już we mnie nie ma. / Umierało dwa dni. / Dużo spałam. / I nawet nie chciałaś się domyślać / dlaczego mam inny uśmiech. / To słowo było / za zbyt dużymi górami. / Teraz jesteśmy tylko dłużej / i szczęśliwie*. O tym samym mówi wspomniany liryk Małgorzaty Hillar. Biologizm Hillar z okresu jej pamiętnego, kontrowersyjnego tomu wierszy *Czekanie na Dawida* odzywa się, tutaj jeszcze nieśmiało, w dwóch zaledwie wierszach. Przytoczmy jeden z nich dla dopełnienia obrazu: *Mówi o swojej / trzy centymetrowej fasolce / z uśmiechem. / Lekko dotykając dłonią brzucha. / A mnie niepokoi / pojawiający się ciężar piersi. / Ratuję się myślami, / że stają się kobietą*. Poetyka pejzażu w analizowaniu miłości także jest podobna: *Chcę być horyzontem / bo ten na który patrzysz / przyciąga cię / i porzywa. / Będę sztormem*. Dalej znowuż powracają subtelne rekwiizyty rodem z tomów autorki *Glinianego dzbanka*: *Wieczorem petunie / pachną bardzo mocno. / Księżyc z marmoladą / złocą się na stole / a my / na jednym krześle / zrosnięci skórą / jak drożdżowe bułki / oszukujemy gwiazdy. / Przenoszą się na taras / chociaż wcale nie jest niebieski*. Beata Kurek zgadza się z Małgorzatą Hillar, która w jednym z ostatnich swych wierszy przed zamknięciem pisała: *Naucz mnie mówić / Naucz mnie mówić tak / żeby światło. Wie, że pewnych rzeczy się nie werbalizuje: Czuję strach / Przed tym, / że zawali się / mój wewnętrzny wieżowiec. / Nikt tego nie zauważy / a we mnie będzie tyle pyłu. Ale bywa też i niezgoda na poddanie się, może w niej najbardziej widoczna staje się różnica dzieląca czas powstania tej liryki. Hillar pisała: *Stają tak czasem / w środku dnia / na białej ulicy / i zakrywam ręką usta // Nie mogę przecież krzyknąć, Beata Kurek zaś sprzeciwia się takiej postawie: Cztery kobiety / na smyczkach / ze złotymi krząkami / na palcach prawej ręki / spokojnie grają / niespokojną symfonię. / A ja stanę między nimi / i pustymi palcami / rąbnę w kocioł*.*

Pewnie mniej przekonuje liryka sytuacyjna związana z konkretnymi miejscami (wiersze *Zakopane, Chińska restauracja, Na szerokiej*), lecz pozostaje przecież zapisem naturalnych skojarzeń; nic tu nie przekłamane, szczerza prawda. Daleko tym wierszom do jugosłowiańskich utworów Małgorzaty Hillar. Może jedynie *Spotkanie pod Złotą Bramą*, które jawi się w swych skojarzeniach jako sama już tylko czułość, to piękno chwili której sprostał opis: *Dzieci spały / śniąc o matce. / Pocałowałaś mnie. / Bóg Ojciec pobłogosławił / nasze splecione ręce*. Skróć myślowy, napięcie, moment zagrożenia, ale tak klasyczny dla współodczuwania w miłości znajdziemy w dwóch wierszach: *rozbudowanym, może najlepszym w tomiku Jak przeciągnięcie grzebieniem oraz - inny jego wymiar - w wierszu Śmierć, który tu przywołam: *Sluchales kiedyś / swojego tętna? / To jakby ktoś / uderzał pięściami / od wewnątrz / próbując się wydostać. / Czasami mu się to udaje. I wszędzie obecna niepewność, skromność, jakby nieustanna gotowość do narodzenia się dla i zarazem w drugim człowieku*.*

Co daje lektura *Zupełnie innej gwiazdy*? Czy to tylko trafny prezent walentynkowy dla ukochanej osoby? Daje uspokojenie, które odnajdujemy we współodczuwaniu z poetką tego, co najważniejsze. *Zupełnie inna gwiazda* dobrze nazywa te wszystkie stany i niepokoje. A czy rzeczywiście nowa Małgorzata Hillar, to już czas pokazać. Ten tomik wierszy jest wyrazem dojrzenia do pełni człowieczeństwa, która jest w całkowitym dzieleniu się sobą z drugim człowiekiem.\*

Beata Kurek, *Zupełnie inna gwiazda*, Wydawnictwo „PLUS”, Kraków 2002, ss. 56



Stefan Pastuszewski

## W brzuchu miasta, miasto w brzuchu

Spośród – jak dotąd – 7 zbiorów poezji dotyczących Bydgoszczy (Stanisław Helsztyński „Wenecja nad Brdą”, 1932; Gabriel Tadeusz Henner „Stara Bydgoszcz w pieśni”, 1924; Wincenty Sławiński „Miasto moje...”, 1938; Marian Turwid „W zakolu Brdy”, 1979; Danuta Künstler-Langner „Mała wyspa”, 1996; Alojzy Michalski „Okolice Wieży Ciśnień”, 1998) ten zdaje się być najpełniejszy. Najpełniejszy w sensie organicznej relacji między miastem, autorem a bohaterem lirycznym wierszy. Czytając tom KRZYSZTOFA LUTOWSKIEGO pt. „33 wiersze” (w 2000 roku S. Barańczak wydał tłumaczenia poezji Henrego Vaughana pod tym samym tytułem) czuję się jakby zatopiony w kuli. Zewsząd otacza mnie Bydgoszcz, odczuwana nie tylko jako zbiór kamieni i ludzi, ale jako pulsujący życiem i śmiercią twór czasoprzestrzenny, jądrem którego jest zarówno bohater liryczny, jak i autor, ale też czytelnik. Ta *poezja kulista* wciąga w swój wir poprzez przywoływanie dobrze wszystkim znanych strzępków rzeczywistości. Staje się jądrem ogromnej komórki zwanej Bydgoszczą i – co najciekawsze – inni też są takimi samymi jądrami. Bo K. Lutowski jest szczególnie partnerski wobec innych ludzi, mimo że jak przeciętny przedstawiciel pokolenia z lat siedemdziesiątych (rocznik 1976) bardzo boleśnie przeżywa swoją i świata egzystencję. Istotą tej egzystencji, którą myślimy, pokolenia z pierwszych sześciu dekad XX wieku, zafundowali zstępnym, jest atomizacja w wielości, śmietnikowej wręcz wielości:

Moje okno, z fotela,  
wypełniono konarami drzew i niebem (...)  
Okno, nie ma wielkiego znaczenia,  
jeśli nie wiedzieć, które to z nich.

Tylko ze środka jest prawdziwym oknem.

Nie ma nic, co by zwracało uwagę.  
Pojedyncze, oderwane.

Efekt jest więc samotności – dramatycznej, bez perspektyw. Nic też dziwnego, że jawią się anantymiczne pytania: „Dlaczego noc jest taka ważna? Dlaczego słońce nie jest ze mną zaprzyjaźnione?” i wciąż pojawiają się próby osławiania rzeczywistości, zarówno tej szerokiej, jak i tej miejskiej, bydgoskiej:

\*\*\*  
Mam prawo, do tego, co widuję.  
Mam prawo do tego, co mijam  
na mieście, i na co nie zwracam  
uwagi.  
Mam prawo do jednego telefonu.

(Proszę zwrócić uwagę na typowo bydgoski związek frazeologiczny: „na mieście”).

W odróżnieniu od innych twórców z Generacji „Nic” (tak krytyka literacka określa *ac hoc* roczniki siedemdziesiąte XX wieku, bazując głównie na braku wspólnego przeżycia generacyjnego i zbyt łatwym „rozpuszczaniu się w rzeczywistości”) K. Lutowski nie jest „fałszywym outsiderem”. Nie reprezentuje dwulicowości moralnej i schizofrenii ideowej. Nie mówi tak jak inni jemu rówieśni „nie” temu światu tylko dlatego, że ten świat nie przyjął ich z otwartymi rękoma i od razu nie podarował (sic!) wyróżnionych pozycji. Większa bowiem część Generacji „Nic” de facto akceptuje rzeczywistość, przeciwko której tylko słownie się buntuje, ale tylko nie akceptuje swego kandydackiego miejsca w niej.

Autor „33 wierszy” nie ocenia raczej świata, w którym przyszło mu żyć, choć intuicyjnie, jako młody idealista, nie jest w stanie go zaakcepto-

wać. W końcu, po wielu bojach, usiłuje go zrozumieć, a przy okazji zrozumieć siebie. Wyjątkowość tego procesu (wiersze sygnowane są latami 1994-1999) – w odróżnieniu od innych rówieśnych – polega na odczuciu i pielęgnacji (sic!) wyjątkowej więzi z gniazdem swej małej ojczyzny. I jest to pierwsze osiągnięcie w – ukazany w omawianym zbiorze – procesie dojrzewania, jako że jest to tak naprawdę książka o dojrzewaniu młodego człowieka na przełomie wieków, dojrzewania jednak nie sam na sam ze sobą, tylko w konkretnym środowisku, bydgoskim. Odkrycie wspomnianej więzi jest jakby kamieniem węgielnym pod gmach zwany: „moje życie”.

Bez wątpliwości bohater liryczny tych wierszy ma kłopot z określeniem swojej tożsamości („To pytanie! Jestem, czy mnie nie ma?”), bowiem, szukając dobra wokół siebie, chyba jednak za bardzo dał się rozpuścić w świecie zewnętrznym, co potwierdza tezę o jego organicznych, jakby odłonowych, związkach z miastem. To ono wyznacza rytm, cel i sens. Staje się *jedyną przestrzenią*:

W swoim mieście chodzę  
najważniejszymi w życiu ulicami,  
do najważniejszych w nim miejsc (...)

Na zegarku mam piątą rano.  
Po raz kolejny podchodzą do okna,  
przecieram szybę ręką.  
Park, pierwsze samochody,  
autobusy.

Wyszłaćka się więc nowy człowiek: człowiek miejski, *homo urbis*.

A jednak K. Lutowski (w takiej *poezji kulistej* można mówić o pełnej tożsamości autora z podmiotem lirycznym, mimo że poeta kokieterijnie zastrzega: „podmiot liryczny którego nigdy nie utożsamiając z autorem”), po pewnym czasie po części wyzwala się z wszechpanowania miasta, a raczej ustanawia dynamiczną równowagę między nim a sobą. Wiersz „Teraz wiem” będący relacją ze zderzenia się oraz... używania świata i miasta („nie poszedłem do wojska (...) pływalem w kolorowych piżemkach w lunaparku (...) kąpałem nago w śmierzdzącym stawie obok tabliczki (...) idąc po szynach tramwajowych rozważałem skok z wiaduktu”) kończy się dość optymistycznym: „teraz wiem mniej więcej kim jestem”.

A jednak to miasto nadaje imię. Ono nie tylko rodzi, ale i chrzci. W rezultacie – na zasadzie wzajemności, co jest cechą *poezji kulistej* – i Bydgoszcz nabiera indywidualnych rysów. Autor-bohater nie bywa już wszędzie, tylko ma swoje kręgi i ulice. A są to „punkty z rodowodem wystawionym przez ichni Związek”, „bezdumni, którzy włączą z butami w życie normalnych”, „jacyś pijani”, „trzeźwe panie nieciężkich obyczajów”, ci, którzy „dilużają” czyli dealerzy narkotyków. (Przypomina to trochę nocne czeluście Paryża, stąd taki „paryski” tytuł niniejszej recenzji). W rezultacie miasto znad Brdy i Wisły najpiękniejsze jest nocą i w deszczu:

\*\*\*  
Wyszedłem na deszcz,  
zmknąć i zapachnieć deszczem.  
W kiosku kupiłem papierosy.  
Stać mnie było tylko  
na niedobre.  
Ale to nic,  
bo później długo stałem  
i mokłem

Świetnie korespondują z tym klimatem ciemności – rozświetlanej jednak lampami – i wilgoci, specjalnie wykonane fotografie Rafała Budz-

bona dokończony omawiany tomik; wy-daje mi się, że są one nawet integralną częścią książki, która dzięki temu jest jakby bimedialna.

Poeta bardzo konsekwentnie buduje świat swojej czasoprzestrzeni. Takie zjawiska jak *późna pora, zmierzch, ostatni tramwaj, noc, księżyc, deszcz, wilgoć, chłód, szary poranek* urastają do rangi archetypicznych wręcz – na skalę oczywiście tej poezji – symboli. Nic też dziwnego, że nowy, gotowy już zbiór wierszy autor zamierza zatytułować „Ranoc”.

Świat przedstawiony w „33 wierszach” jest według autora piękny. Jest to piękno jednak trochę turpistyczne:

Knajpa, to kalejdoskop ludzkich typów.  
Knajpa, to kalejdoskop gustów i bezguścia.  
Kalejdoskop palantów , brzydoty. Ale także  
piękna, które nie jest czyste.

Nic też dziwnego, że w tych obrazowych wierszach (malarskość słowa to jedna z cech tego utalentowanego poety) pojawia się „*gółb, który rozplaszczony leży na lewym pasie*”, „*czarne kikuty drzew wystające z parku za ulicą*” i „*tupanie stóp po zroszonym mrozem chodniku*”. Tak, pojawia się niepokój, zakłócenie, zło; wszystko to jest niestety dziełem człowieka, bo przecież „*samochody śpią zupełnie normalne*”.

W tak wykreowanej miejsko-osobowej, zgodzonej, czasoprzestrzeni najmniej odslonięty został biegun człowieka, osoby. Dojrzały już po tylu zderzeniach i guzach podmiot liryczny jest dziewiczo skromny w mówieniu o sobie. W efekcie na czoło wysuwa się druga warstwa jego natury czyli otoczenie, miasto i dlatego właśnie ten zbiór można zaliczyć do zbiorów „bydgoskich”.

Do tej, niemal już stuletniej, serii poetyckich tomów poświęconych Bydgoszczy K. Lutowski wprowadził chyba największą porcję uniwersalności. Jego miasto, choć nasycone bydgoską topografią, jest dość typowym, eklektycznym z powodu ciśnienia globalizacji, miastem z przełomu XX i XXI wieku.

Owej uniwersalności sprzyja również „budowa” poetyckiego wizerunku miasta ze strzępków wchłoniętych przez wnętrze typowego przedstawiciela tej epoki, również podanego ciśnieniu globalizacji, głównie mentalnościowej.

Jeśli już szukać podobieństwa zbioru Krzysztofa Lutowskiego „33 wiersze” do innych „bydgoskich”, to chyba najbliższe mu do Wincentego Sławińskiego „Miasto moje...”. Marian Turwid i Alfred Kowalkowski pisali jakby traktaty „osobowościowe” o Bydgoszczy i „malowali” szerokie panoramy, Franciszek Grott, Danuta Künstler-Langner, Alojzy Michalski i Zofia Anna Strzelecka reflektorem punktowym z kolei, wylaniali „co ciekawsze i co bliższe”, Stanisław Helsztyński i Gustaw Tadeusz Henner historiozofowali i uprawiali „reporterkę quasi-liryczną”, a jedynie W. Sławiński i K. Lutowski zatopili się w mieście i jakby je wchłonęli w siebie. Nawet wędrowali tą samą drogą, choć w odwrotnym kierunku:

Wincenty Sławiński

Port ciszy

(...) Pójdziemy Przesmykiem, nie pytaj dokąd,  
tam, gdzie przed nami się szerzy  
ocieniony murem domów prostokąt –  
Rynek, tu port ciszy leży,  
wolny od burzy.

Na lewo wieża różgi sprawiedliwej,  
na prawo piętra czynszowe,  
na przeciw domki przytulne, nobliwe,  
w podwórku historii słowo –  
z nad dachów wzgórze.

Tu zawsze cisza i prawie bezludnie,  
a głos od murów odbity,

Dokończenie na str. 54



po kostkach granitu skacząc zadudni,  
uleci szeptem pod szczyty,  
pod strychów pasy (...)

Krzysztof Lutowski

### Monologizz aktions

idąc ulicami miasta od przystanku 53 obok  
sądu gdzie sprawiedliwi zasiadają aby osądzić  
społeczeństwo niegodne zaufania (...)  
przesmyk przecinasz długą po prawej  
węgliszek  
na wprost stary rynek (...) bo to ładne  
miejsce (...)

Jakże przez te 65 lat się zmieniło! Tak bardzo, że odwróciły się kierunki! Kiedyś „portem ciszy” był Nowy Rynek, dziś jest on areną wrzasku i śmiertelnego niebezpieczeństwa, bo:

„podmiot liryczny którego nigdy nie  
utożsamiajcie z autorem  
który nie chce używać pseudonimu najpierw  
zatrzymał się na światłach pierwszych  
przy drugich  
się nie zatrzymał co wyglądało groźnie  
dla kierowcy  
furgonetki ich spojrzenia zwały się na moment  
(...)  
tym razem skończyły się  
na wymianie spojrzeń a mogło skończyć  
się na wymianie  
krwi”

(Zastanawiające, że W. Sławiński też dużo pisał o mroku i deszczu...).

K. Lutowski swymi wierszami dowodzi, że w żaden sposób nie można pisać o mieście jako całości, bowiem ono nie jest „osobowością” oraz nikt nie jest w stanie wzbic się na taką wysokość uogólnienia oraz osiągnąć taką głębokość analizy, aby powiedzieć o mieście wszystko, w sensie całościowości oczywiście. Poeta pisze więc o strzępach miasta, strzępach, które zrozumiał i adoptował. Pośrednio mówi jednak o całości, niczym dobrze uchwycony strzępek ma w sobie całość, niczym materiał genetyczny pobrany do klonowania. Mamy więc całą Bydgoszcz w tych wierszach.✶

Krzysztof Lutowski, 33 wiersze, Białystok 2003, Biblioteka „Kartek”, ss. 56

Rama też jest dziełem sztuki  
**PRACOWNIA PLASTYCZNA**  
**„DEKORA”**

Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,  
tel. 322 19 88

Służy artystom i miłośnikom sztuki  
od 1945 roku.  
Oprócz artystycznej oprawy obrazów  
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.  
Najnowsze techniki i technologie.  
Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy  
w godz. 10.00-17.00



Lekcje rysunku i malarstwa. Przygotowanie  
do egzaminów wstępnych, tel. 0604194930

Grzegorz Iniewicz

## Tajemnice procesu twórczego

Psychoanalityczne myślenie od ponad stu lat przenika różne obszary nie tylko świata nauki, ale także kultury i życia codziennego. Ten specyficzny sposób myślenia o człowieku posiada zarówno swoich gorących zwolenników, jak i zagorzałych przeciwników. Jednak zarówno u jednych jak i u drugich można znaleźć swoistą fascynację tym, co w nas ukryte, a co kieruje naszym myśleniem, odczuwaniem i zachowaniem. Fascynacja miesza się z lękiem, pragnieniem z ucieczką. Napis nad wejściem do świątyni w Delfach zachęca do poznania samego siebie, ale Goethe pisze, że on sam nie zna siebie i niech go Bóg przed tym chroni.

Akceptując fakt istnienia nieświadomości w każdym z nas, można podjąć próbę refleksji nad jej wpływem na nasze życie. Szczególnie interesujące jest tu przyjrzenie się tym obszarom naszego funkcjonowania, które nie są regulowane zasadami, przepisami czy zwyczajami, a przynajmniej w możliwie niewielkim stopniu. Tu bowiem nasza nieświadomość zaczyna odgrywać niebagatelną rolę. Jednym z takich obszarów jest twórczość literacka. U Freuda związki między koncepcją nieświadomości a literaturą można znaleźć już w *Objaśnianiu marzeń sennych*. Od tego momentu na temat ich wzajemnych relacji napisano wiele. Punktem wspólnym wydaje się być tu niepokojący problem nieświadomości.

Pierwsze pytanie, jakie się tu pojawia, dotyczy tego, skąd się bierze to, co wypełnia jeszcze przed chwilą nie zapisane kartki białego papieru. Odpowiedzi są bardzo różne, nawet jeśli ich autorzy odwołują się do tej samej koncepcji, na przykład psychoanalitycznej. Jednak w zdecydowanej większości tych prac obserwujący i analizujący autor to ktoś inny niż ten, którego dzieło poddawane jest analitycznej rozbiórce.

W takim kontekście interesująca wydaje się książka CZESŁAWA DZIEKANOWSKIEGO *Taniec z nieświadomością*. Ten, który tańczy i ten, który przygląda się tańcowi, to ta sama osoba. Już sam pomysł literackiej autoanalizy zasługuje na uwagę. Być może właśnie dzięki temu *Taniec* nie jest zimną, jak w filmach Woody Allena, psychoanalizą literackiej twórczości, ale żywym komentarzem do własnej twórczości. Komentarzem, zbudowanym z własnych wspomnień z dzieciństwa i snów. Granica między tymi obszarami nie jest zresztą postawiona zbyt wyraźnie. Czytając *Taniec*, balansujemy pomiędzy światem wspomnień i wyobraźni, a światem realnym. Łącznikiem pomiędzy nimi staje się nieświadomość, zmieniająca się w świadomość.

Odnajdywanie obrazów z własnego dzieciństwa w pisanych powieściach, czy osób, które kiedyś wzbudzały w nas silne emocje, w literackich bohaterach, z jednej strony fascynuje, a z drugiej, prowokuje do pytań, które, co z góry trzeba zaznaczyć, nie mogą się doczekać jednoznacznej odpowiedzi, przynajmniej na razie. Dwa wydają mi się szczególnie istotne. Po pierwsze, czy nie jest to zbyt uproszczona transpozycja. Nieświadomość byłaby tu sprowadzona do, bardziej lub mniej, zniekształconej pamięci. A przecież nieświadomość to twór dynamiczny, posługujący się własnymi mechanizmami, który, dla przykładu, w jedną postać może włożyć (czy wprojektować, jakby powiedzieli psychoanalitycy) cechy wielu osób, albo też cechy jednej osoby poroździelać na wiele. Nie jest to zarzut do autora książki, ale jedynie apel o ostrożność w tego typu przedsięwzięciach. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej w przypadku snu. Już on sam zniekształca nasze przeżycia, wprawdzie logicznie, chociaż według innych zasad niż te, którymi posługuje się racjonalny umysł, a dodatkowo zostają one ponownie zniekształcone, tym razem, powiedziałbym, literacko. Tak więc rozwikłanie tego, co kryje się pod zniekształceniem zniekształcenia, już na początku tej drogi staje się zadaniem niewyobrażalnie trudnym.

Po drugie, czy nie wpadamy tu w sidła literackiego determinizmu? Pytanie to przypomina jeden z najczęstszych zarzutów, kierowanych w stronę psychoanalizy, a mianowicie odbieranie człowiekowi wolności wyboru. Wyciskając psychoanalizę, jak cytrynę do herbaty, zostaje nam z niej jedno twierdzenie: nie pamiętamy, ale powtarzamy. W takim razie gdzie w twórczości literackiej, zresztą nie tylko takiej, mamy miejsce właśnie na twórczość?

Pozostawiając, ze względów oczywistych, powyższe pytania bez odpowiedzi, pragnę podkreślić, iż *Taniec z nieświadomością* Dziekanowskiego, to interesująca próba refleksji nie tylko nad własną twórczością autora, ale też w ogóle nad aktem twórczym, a zwłaszcza nad związkami nie poznanych obszarów naszej nieświadomości z kreowanymi przez nas obrazami i postaciami. I chociaż wciąż jest to obszar budzący więcej pytań niż odpowiedzi, to każdy piszący, podobnie jak i czytelnik, musi się w niego zagłębić, czy tego chce czy nie, albo inaczej: świadomie czy też nieświadomie.✶

Czesław Dziekanowski, *Taniec z nieświadomością*, Warszawa 2003, Wydawnictwo Psychologii i Kultury ENETEIA, ss. 252

## V OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI „NIE POCHŁONIE NAS EKRAN”

Organizatorzy: Koło Literackie przy Klubie Nauczyciela w Poznaniu przy współudziale Związku Nauczycielstwa Polskiego

Patronat: ogólnopolski miesięcznik literacki „Akant”

Zasady uczestnictwa:

1. Konkurs ma charakter otwarty i odbędzie się w dwóch kategoriach:  
A – dla dorosłych,  
B – dla młodzieży w wieku 12–18 lat.
2. Tematyka utworów oraz formy literackie są całkowicie dowolne.
3. Nadesłane utwory nie mogą być wcześniej publikowane w wydawnictwach zwartych i czasopiśmie ani też nagradzane na innych konkursach.
4. Uczestnik konkursu może nadesłać tylko jeden zestaw utworów o łącznej objętości do 4 stron znormalizowanego maszynopisu – w 4 egzemplarzach opatrzonych godłem słownym (godło nie może być znakiem graficznym). Utwory, które nie spełnią powyższych warunków, nie będą przedmiotem oceny jury.
5. Do prac konkursowych należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą w środku dane osobowe autora (imię, nazwisko, adres, telefon, krótką notkę biograficzną).
6. Prace należy nadsyłać w terminie do 31 sierpnia 2003 r. na adres:
7. Na kopercie należy zaznaczyć kategorię konkursu: *Konkurs A lub B*

Klub Nauczyciela, ul. J. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań



Igor Kantorowski

## Malowanie wierszem

MARZANNA KIELAR nie jest dość znana poetką w Polsce. Nie wydała dużo, w sumie dwa tomiki, oraz wybór wierszy złożony z wcześniejszych publikacji. Trudno jest też mówić o wydanych książkach jako kwintesencji doświadczeń życiowych, nasyconych wyjątkowymi przeżyciami. Marzanna Kielar jest osobą o dużej wiedzy humanistycznej, pieczętowanej doktoratem. Jej wiersze jednak zachowują młodzieńczą lekkość i kobiecą frywolność. Utwory Kielar tłumaczono, na język angielski, niemiecki, włoski, szwedzki, rosyjski. A twórczość wyróżniono nagrodą fundacji im. Kościelskich. To już sporo, lecz poetka jakby nadal pozostaje we własnym cieniu. Zbiór wierszy „*Umbra*” Marzanny Kielar to twór bardzo jednorodny. Chwilami odurza, podczas lektury tych wierszy, ta poetycka wędrówka szlakiem nostalgicznych krajobrazów, nasyconych zmiennymi stanami przyrody, w której człowiek jest całkowicie na drugim planie. Kielar traktuje swego bohatera lirycznego, jako skrytą część przedstawianych obrazów. Człowiek nie jest najważniejszy. Pojawia się i znika, jakby był przypadkowo wplątany w ten cały makrokosmos przyrody. Nawet jego życie podlega bliżej niewyjaśnionym prawom, dyktowanym przez naturę.

Poetka jest bystrą obserwatorką tego co widzi. Wnika w strukturę prezentowanych obrazów, chce wychwycić jak najwięcej. Szuka nie tylko kształtów i kolorów, lecz także zapachów, jakiś ledwie zaistniałych szczegółów, pewnej ulotności wynikłej z ruchu czasu. Tego liczonego w godzinach, dniach, jak i porach roku. Wszystko się toczy, swoim rytmem. Wszystko ma swój wymiar realny i ten, który można odszukać we własnym wnętrzu. Trzeba uwolnić wrażliwość, aby dać dojść do głosu tej wyzywającej śmiałości. Życie toczy się nieraz za oknem Pana Boga, trzeba przez nie wyskoczyć prosto w ogród budzący się poranną wioną zapachów. Trzeba wyruszyć w swoją podróż.

„*Podróż*” to tytuł wiersza pisanego jakby podczas podróży, w miłośnej zadumie. Wiersze Kielar na tle łagodnej przyrody, dyskretnie szukają odpowiedzi na podstawowe pytania. Czy potrafimy jeszcze kochać, właśnie w takiej scenografii sentymentalnych krajobrazów, dalekich od miejskiego gwaru i codziennego zapędzenia? Przenieść swoją miłość w rejony odległe od cywilizacji? Czy potrafimy niczym Laura i Filon znaleźć swój jawor i bez skrupowania szeptać czułe słowa? Prawdziwe słowa.

„*Liście tytoniu schną na drewnianych balach przy lichych, obdrapanych domach i, jakby z wody*”

*świeżych w nalocie porannej mgły.  
Ścierniska i późne owoce. Puste czarne gniazda  
przy szosie, wysoko w gałęziach;  
Jadę do ciebie i pewnie obudzę”*

Ta poezja jakby chciała trochę ominąć życie, jechać w bryczce gościńcem w nostalgicznej zadumie. Krajobraz jest początkiem i kresem, nigdy się nie kończy. Jak podróż do kochanka. Może to właśnie podróż jest ważniejsza niż samo spotkanie. Może to właśnie ona, wolna od rozczarowania, pielęgnuje oczekiwanie. Jest jednak w tej podróży wyraźne znamie. Bohaterka, choć ulega czarowi tego, co za oknem, odkrywa pewne prawdy psychologiczne. Przyroda uspokaja nas, ale rozbudza tęsknotę, za ukochaną osobą. Tym samym ożywają w nas stany emocjonalne, nad którymi trudno zapanować. Ta podróż daje poczucie zagubienia w pięknie przyrody, a także niesie za sobą spotkanie z osobą kochaną. A to zawsze jakaś niewiadoma. Tam czeka życie, w całej jasności. Nawet z odległych światów, wjeżdżamy na ścieżkę prowadzącą do domu, do znanego nam człowieka. To taki nasz wybór, ucieczka od samotności. Można ulegać czarowi metafizycz-

nych wizji wynikłych z rozbudzonej wrażliwości pięknem mijanych krajobrazów, lecz potem jest spotkanie.

„*bo otwiera się noc i w małym pokoju na piętrze  
po powrocie  
samotność; Kotujące wrzaskliwe ptaki  
wypłoszone  
ze swojego codziennego miejsca”*

Jednak noc jest po to, aby być razem. Spokanie kochanków owocuje namiętnym spełnieniem. Czy jest to dalsze przedłużenie podróży? Czy dalej trwa ucieczka od monotoni życia? Czy jest to kontynuacja stanu zawieszenia, aby oszukać życie?

Kielar łączy otwartą przestrzeń krajobrazu z zamkniętą przestrzenią małego pokoiku. Nasze życie faluje na różnych częstotliwościach tych samych melodii. Coś się powtarza, może nawet wchodzimy w te same drogi, w te same ogrody, do tych samych pomieszczeń, a jednak podlegamy zmianom. Zawsze jesteśmy nieco inni. Przybiera nam doznań, jedne nakładają się na drugie. Staramy się pokładać potrząskane lustra naszej pamięci. Szukamy dobrze znanych obrazów. Chcemy na powrót zawiesić je na ścianach naszej wrażliwości. Metafora, która opiera się na obrazie małego pokoju, takiego zamkniętego świata, dostępnego tylko dla dwojga ludzi, nie z tego wymiaru. Kochankowie, których nie rozdzielił balkon, lecz Julia i Romeo, pochłonięci nocnymi uciechami. Udało im się wymknąć z zatłoczonego świata.

Miłość u Kielar możliwa jest tylko w izolacji. Aby naprawdę kochać, trzeba skryć się w kącie obrazu pod tytułem „*Ten Świat*”. Niech ten świat toczy się gdzieś obok, my mamy siebie. To oczywiście nie do końca możliwe, a raczej możliwe tylko na krótko. Jednak to my decydujemy o sposobach i momentach „*dania nogi*” poza blejtram obrazu z nami w tle.

„*na różne sposoby wymawialiśmy słowo miłość  
zajmując się sobą i ogrodem –  
gawrony to godziny jedyni słuchacze;  
sadzimy krzewy - koniec października,  
a twoja pewność, że się ukorzenią przed  
nadejściem  
mrozów”*

Z zamkniętego pokoju poetka wyprowadza swoich bohaterów na powrót do natury. Ogród jest najważniejszym miejscem. To metafora grzechu pierwotnego, wygnania, ale także początku wspólnej drogi. To od niego wszystko się zaczęło. Bohaterowie znowu stają się częścią krajobrazu. Niczym zwykli ludzie, w zwykłej sytuacji. Dwoje działkowiczów, sadzących drzewa, pod baczny okiem gawronów. Ptaki, niczym czarne zegary, odmierzają godziny, których praktycznie nie ma, bo czas zastygł jak na malowanym obrazie. W istocie wiersze Marzanny Kielar sprawiają wrażenie opowiadanych, a raczej malowanych słowem obrazów. Nasycone nostalgiczną meta-

forycznością, wolne są raczej od intelektualnych rozważań. Starają się wychwycić ulotne nastroje, wprowadzając czytelnika w obszar następstw emocjonalnych.

Oglądanie tych słownych obrazów daje możliwość zastęgnięcia w zapatrzaniu. Jak w galerii podczas zwiedzania, kiedy robimy sobie przystanek na ławeczce, patrząc na wybrany obraz.

Malarstwo ma wiele źródeł powstawania. Każdy jednak obraz podlega jednemu prawu. Jest to operowanie światłem. Im większy mistrz, tym większe możliwości w wykorzystaniu tego niezbędnego atrybutu malarskiego.

„*Światło między chmurami a śniegiem -  
wąski strumień  
wędrujący w górę  
i w dół, jak pusta winda.  
i czarne pęknięcie w śnieżnej pokrywie, którego  
nie można obejść.*

Światło w wierszu skazane jest niejako na ujęcie metaforyczne. To właściwa droga do wyrażania tego elementu jako filaru malarskiego kreowania poetyckich wizji. Kielar ma tego świadomość, wie że poetyckie malowidło różni się od obrazu malarskiego. Można udanie przybliżyć sens tego co zainspirowało podmiot liryczny do wypowiedzi, pod wpływem zapatrzania gdzieś w śniegową biel nadmorskiego krajobrazu. Nie można jednak uwypuklić wszystkich tych cieni i półcieni kpiących istotą tego postrzegania bieli i czerni. Oczywiście, że trzeba sięgać do arsenału środków wyrazu, jakim dysponuje poezja. Do swoich możliwości twórczych. Poetka jednak wie, że nie ma szans posunąć się w pobliże doskonałości. Zresztą po co? Obraz i wiersz to inne konfiguracje wypowiedzi, artystycznej. Jest jednak wiele wspólnych nici, które nakładają się we wzajemnych supłach i supelkach. Kielar stara się tych supłów nawiązać jak najwięcej. Unika wypowiedzi niosących znamiona komentarzy, jej podmiot liryczny bywa w tym względzie bardzo oszczędny. On bardziej maluje lub tylko szkicuje to, co widzi, niż próbuje interpretować. Zwalnia się z tej czynności jakby świadomie. Bardziej zachęca do wędrówki po pagórkowatym terenie, z podziwianiem widoków, niż do rozstrzygania problemów egzystencjalnych. Warto nieraz podryfować po wolnych przestrzeniach nasyconych pięknem i tajemnicą przyrody.

Istotą wierszy Marzanny Kielar zawartych w zbiorze „*Umbra*” jest obraz metaforyczny. Osadzony w określonych realiach życia, będącego w ścisłym związku z naturą. Nie jest to obraz abstrakcyjny, lecz osadzony w obszarze pojęć dość czytelnych. Język poetki przypomina pociągnięcia pędzlem, z których wyłania się prezentacja poetycka niepukająca zbyt mocno do umysłu, jakby pozwalając mu odпочać. Natomiast chce przyspieszyć bicie serca, takie radosne, kiedy patrzy się na coś, co pozwala wymknąć się poza ramy naszej codzienności.■

Marzanna Kielar, *Umbra*, Warszawa 2002, Wydawnictwo Prószyński S-ka, str. 67



**SPECJALISTYCZNE  
USŁUGI MIESZKANIOWE**

- KONSERWACJA, NAPRAWY, WYMIANA WIND OSOBOWYCH I TOWAROWYCH
- OPIAROWANIE CIEPŁA I WODY  
MONTAŻ URZĄDZEŃ REGULACYJNYCH
- PROJEKTOWANIE BUDOWNICTWA
- SPRAWOWANIE FUNKCJI INWESTORA  
ZASTĘPCZEGO, NADZÓR BUDOWLANY
- KAŻDY WŁAŚCICIEL I ZARZĄDCA  
MOŻE ZLECIĆ **POBUDOWI** ZADANIA  
Z POWYŻSZYCH ZAKRESÓW

**POBUD** sp. z o.o.  
PRZEDSIĘBIORSTWO ORGANIZACJI BUDOWNICTWA  
85-868 Bydgoszcz, ul. A.G. Siedleckiego 14,  
Telefony: (052) 371 37 82, (052) 371 37 84, (052) 371 37 86, (052) 371 66 82, telefax: (052) 371 37 85



Stefan Pastuszewski

## Przedwiośnie – western

Realizm klasycznej powieści socrealistycznej w stosunku do swego mutanta – powieści popaździernikowej różni się tym, że zniekształcony jest przez pedagogizm, podczas gdy u mutanta – owym obciążeniem realizmu jako takiego – jest psychologizm. Pedagogizm obnaża socjopsychologiczne determinacje sylwetek i losów, równocześnie wskazując na znaczne szanse ich korektury, podczas gdy psychologizm takiej korektury, przynajmniej świadomie dokonanej przez człowieka, raczej nie dopuszcza. Ludzie według niego są tacy jacy są. Oczywiście, że dobro jest lepsze od zła, ale zazwyczaj nie ma możliwości dywergencji między tymi odrębnymi światami, jeśli już prawdą nie jest fakt, że wszystko co nas otacza jest złe, a jedynie przybiera różne – błazeńskie i kamuflujące maski. Widać to wyraźnie w powieściach z tej drugiej grupy: Wiesława Rogowskiego „Miasto” (1961) oraz Wojciecha Roszewskiego „Opis nocy miłosnej” (1976), jeśliby do egzemplifikacji wziąć tylko dzieła o motywach bydgoskich. Socrealizm tych schyłkowych dla swego gatunku utworów kumuluje się w ostatecznych tezach o zwycięstwie, choćby tylko minimalnym, dobra i kolektywu nad złem i indywidualizmem. Niemniej, można wyczuć, że wspomnieni autorzy tak są nawet do tego zbytnio przekonani, a piszą tak, bo takie są wymogi konwencji.

Obydwie mutacje powieści socrealistycznej łączy natomiast fakt szczególnej roli kobiet. Wprawdzie są one na swój sposób wyzwolone, wykonują różne zawody, i co – najważniejsze – udzielają się społecznie – to jednak są istotami dobrymi i – to one, wraz z systemem sprawiedliwości społecznej, naprawiają świat. Najpierw pracują, a potem pilnują ogniska domowego czyli gotują, piorą, sprzątają i... narzekają na mężczyzn. Z ich grona nie wyłania się zazwyczaj żaden negatywny bohater. To mężczyźni piją, kradną, bumelują, stają się wrogami jedynie słusznego ustroju. Trudno więc dziwić się, że tak wywyższone przez ideologów socjalizmu kobiety tęsknią dziś za minionym czasem.

Rozwiniętą powieścią socrealistyczną, a więc przesiąkniętą nachalnym pedagogizmem jest „Walery” Haliny Rosnowskiej-Filutowicz (1917-1957). Jest to dydaktyczna powieść dla młodzieży, bez wąpiewania w stylu westernu, bowiem walką w niej ze sobą czarno-białe światy, aby ostateczne zwycięstwo przypadło białemu czyli dobremu. Polem tej walki jest Bydgoszcz.

Przyrównanie wspomnianej powieści do westernu zasadne jest również ze względu na filmowe wręcz operowanie światłem przez powieściopisarkę. Zło czyli żulia, ale też prywatna inicjatywa (s. 29-30), nurza się w mrokach, wilgoci i brudzie („w ciemnej, zagranej kuchni”, s. 30; „w świetle jedynej w tej części przedmieścia latarni ogołocone z liści drzewa rzucają długie cienie na chodnik”, s. 50), a dobro czyli oświecony kolektyw skupiony wokół dzielnicowej filii biblioteki publicznej (ul. Orła 36) doświadcza uroków światła i słońca („Jasno, ciepło, wesoło z tą zielenią wśród kolorowych okładek książkowych. I tyle słońca!”, s. 48; „Słońce przyjemnie grzeje przez szybę. Z szelestu przewracanych kartek bije pogodny spokój”, s. 66; „Duże, słoneczne plamy przesuwają się po podłodze, załamując się na jasnych stolikach i krzesłach. Jaskrawy blask oblewa stoisko z albumami i regał, na którym ustawione są bajki”, s. 94). Trzeba jednak zaznaczyć, że takie, w słonecznym blasku, usytuowanie biblioteki służy być może psychice czytelników, którzy uciekają do niej przed pogodą „całkiem do kitu” (s. 19), lecz na pewno nie książkom, narażonym na szybkie płowienie. Tego jednak autorka, choć bibliotekarka z zawodu, w ferworze budowy „lepszego świata” nie wzięła pod uwagę, tak

jak organizatorzy ówczesnego życia, nawadniająca pustynie i osuszająca bagna (do dziś Polesie nie może powrócić do siebie po działalności komunistycznych architektów środowiska), którzy dla idei i realizacji swych prostackich teorii stawiali świat na głowie. W każdym razie reżyverskie operowanie światłem przez H. Rosnowską-Filutowicz służy założonemu z góry klimatowi dzieła i objawia się również narastaniem światłości i ciepła wraz z powolnym triumfowaniem dobra. W toku dość żwawej akcji, co jest istotnym walorem utworu, z zimy wyrasta wiosna, także w sensie psychologicznym, co pozwala nadać powieści dodatkowy tytuł – „Przedwiośnie” (filiale od S. Żeromskiego są w tym utworze bardzo silne, ale o tym potem).

„Walerego” można nawet odnieść do filmu muzycznego. Tak jak w tego typu filmie fabuła staje się pretekstem do wyśpiewania kilku bądź kilkunastu piosenek, tak powieść inkrustując, pedagogicznie dobrane, wyimki z książek czytanych przez bohaterów.

Filmowa jest również kompozycja poszczególnych rozdziałów – „klatkowa”, wieloplanowa i równoczesna, co – pamiętając o podobnej kompozycji w „Klatce” (1962) Kazimierza Kummera („Akant” 2003, nr 6, s. 38), skłania do wniosku, że pisarze z PRL-u pozostawali pod przemożnym wpływem sztuki filmowej. W przypadku H. Rosnowskiej-Filutowicz, w odróżnieniu od K. Kummera, źródłem inspiracji był film radziecki, zważywszy na liczne wtrącenia publicystyczno-dydaktyczne, zakłócające naturalistyczne wypowiedzi i monologi wewnętrzne bohaterów. Zresztą autorka sama odśladła ten trop, bowiem młodzi bohaterowie jej książki wyświełają za pomocą własnoręcznie (sic!) skonstruowanego projektora przeźroczka radzieckie, w tym ilustracje pieśni „Sziroka strana maja radnaja” (s. 96). W ogóle sowietyzm i rosyjskość stanowią w zaproponowanym przez powieściopisarkę procesie reedukacyjnym, ale też edukacyjnym, przestrzeń wzorcową. Aktywny biblioteczny sporządca album na rocznicę śmierci Włodzimierza Iljicza Lenina, dzieci do, malowanych na pergaminie witraży (uwaga – anachronizm! sztuka sakralna!), wybierają motywy MDM-u, trójki murarskiej, pioniera z trąbką i czerwonym sztandarem, wreszcie – powstającego w tym czasie w Warszawie – Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Wisarionowicza Stalina. W ogóle ów stołeczny moloch, który wznoszą „radzieccy budowniczy” („Budownicowie – poprawia Teresa”, s. 78) staje się ważnym motywem w powieści, bowiem podczas przedstawienia w bibliotece „ostre światło reflektora pada (...) na dużą, precyzyjnie wykonaną przez Leona, makietę Pałacu Kultury” (s. 153), a Kazik z wypiekami na twarzy recytuje:

Będzie sięgał wysoko do góry,  
Tam gdzie ptaki, obłoki i chmury,  
Tak jak w baśni – nasz Pałac Kultury.  
O czym niegdyś nasz lud tylko marzył,  
Tym go naród – przyjaciel obdarzył.

Przedstawienie to jest jakby próbą generalną przed wizytami „trójek bibliotekarskich” w fabrykach, gdzie dzieci będą recytować wiersze, w tym „Jaś nie doczekał” Marii Konopnickiej oraz śpiewać piosenki, w tym obowiązkowo radzieckie: „Samotna harmonia” oraz „Szeroki kraj mój rodzinny”. Widać, że trójki stanowiły w komunizmie ulubioną liczbę organizacyjną. Obok trójek sądziwskich i murarskich były nawet trójki bibliotekarskie. Nie wiadomo tylko czy piewcy tej liczby nie wiedzieli, że najgłośniejszą jej realizacją jest Święta Trójca.

Najciekawsze w tym wszystkim jest jednak to, że w świecie tamtych lat książki stanowiły

niezwykłą wartość, bowiem nie wszystkie wypożyczało się do domu, a niektóre z nich nawet się krało. – „Gdzie te czasy?! – chciałoby się zawołać ze smutkiem, spoglądając na obecne śmietniska – cmentarzyska książek, na które nikt już nie zwraca uwagi, a jeżeli już coś ukradnie, to tylko dla ich grubości i efektywności okładki przydatnej do „tapetowania” salonu.

Jeśli wczuć się w sytuację młodego czytelnika, a tak przecież oceniając książki dla dzieci i młodzieży trzeba czynić, to niemal od samego początku lektury zaskakuje „przywzwoleń” autorki na zło i niemoralność. Ulicznik Walery „Inicjatywa” chuligani a nawet i kradnie, czasami też uczestnicząc ze zdeprawowanymi wyrostkami. („Czapka na bakier, długie wysuwające się kosmykami spod czapki włosy, wysoko podniesiony kołnier, z którego wychyla się obrzękła, blada twarz”, s. 50) w napadach rabunkowych.

Jego ojciec – Bańczak nadużywa alkoholu. Najdziwniejsze jednak jest to, że w tym stotalitaryzowanym świecie, w którym w czytelniku dla dzieci i młodzieży rządzi „aktyw” z zetempowcem, który pięknie rysuje, Leonem na czele, a madra i wrażliwa bibliotekarka – panna Maria Malicka „postanawia walczyć z Walerym o niego samego” (s. 29), funkcjonuje w najlepsze „tajny szynk u Bochenkowej”. Co robi duet, kontrolujący jakby zza pleców wydarzeń, przebieg całej akcji: Milicja Obywatelska i Komitet Obrońców Pokoju? Zachodzi więc obrazoburcze podejrzenie, że w tym, precyzyjnie zorganizowanym aż do zniewolenia, świecie budowy ustroju sprawiedliwości społecznej alkohol został świadomie dopuszczony jako „wentyl bezpieczeństwa”, przynoszący szamoczącym się jednostkom subiektywne poczucie wolności. Równocześnie konstelacja chuligańskich „grand” i „paczek” zdaje się być tolerowana a nawet nieoficjalnie podsycana, aby w społeczeństwie wciąż tkwiło napięcie walki dobra ze złem, aby ruch w jego organizmie miał jakiś sens. Bo komunizm organizowany był przede wszystkim przez walkę: przeciwko czemuś, i o coś, o kogoś także. „W każdym razie warto walczyć o Walerka” – myśli panna Maria (s. 58), czepiąc zarówno swą sylwetkę jak i postawę wobec świata z „Silaczki”, stworzonej na użytek polskiej mitologii narodowej przez Stefana Żeromskiego. W ogóle duch pozytywizmu i jego modernistycznej odmiany w wydaniu autora „Syzyfowych prac” przesyca tę powieść, dodając jej – obok oczywiście idei socrealistycznych – dalekonośnych skrzydeł. (W tym miejscu warto przypomnieć, że pozytywizm był najbardziej hołubionym okresem literackim w programach szkolnych PRL-u.)

Pozytywistyczna jest nie tylko praca u podstaw dzielnej i społecznie zaangażowanej bibliotekarki ze Szwedzkiej, ale i jej resocjalistyczne przekonanie, że zło, z którym tak heroicznie i przemysłnie walczy, nie wynika wcale z natury ludzkiej tylko z warunków środowiskowych („Bibliotekarka zdaje sobie nagle sprawę, że trudne warunki domowe zabrały już bezpowrotnie dzieciństwo Waleremu. To jednak nie znaczy, że chłopak nie może być porządnym, uczciwym człowiekiem”, s. 58). W proces reedukacji włącza się spontanicznie biblioteczny aktyw młodzieżowy (Marysia, Irka, Leon, Rysiek, Waldek), ludząc się, że Walery „da się przerobić”, bo to tylko „taki aniołek w diabie skórze” (s. 75). I udaje się! „Walery czuje, że nie jest sam. Że tak jak inne dzieci ma dom i kogoś, kto o niego się troszczy, kto mu zawsze pomoże” (s. 174). Z końcem powieści przechodzi bowiem wewnętrzną przemianę, uprzednio oczywiście samokrytycznie „spowiadając się” (ach, te, podobnie jak witraże, religijne anachronizmy!) przed nieco starszym od siebie ZMP-owcem Leonem, który z kolei tak „niepedagogicznie” pali papierosy (to też wentyl?). Przemiana nastąpiła pod wpływem włączenia młodego chuligana w pracę kulturalno-oświatową w słonecznej bibliotece; wykorzystano tam jego zdolności plastyczne i recytatorskie, powierzono odpowiedzialne zadania.

Także ojciec – pijak doznaje przemiany, bo nieoczekiwanie porządkuje na wiosnę (sic!) przy



domowy ogródek oraz daje się odwieźć na odwłokę.

W oparciu o tak optymistyczne zakończenie można założyć, że metamorfozie ulegnie również drugi negatywny bohater – Norbert „Okularnik”, który wprawdzie jest przodownikiem nauki, ale „wywyższa się” i jest „nieużyty jak mało kto”. Podczas wyborów uzupełniających aktywu biblioteki, który „o wielu rzeczach decyduje” (s. 70) owa miła panna Maria prowokuje sąd nad „Okularnikiem”, mówiąc: „Jeśli macie tyle zastrzeżeń, powiedźcie je głośno”. (s. 123). Rozpoczyna się więc dziobanie: „Zarozumialec! Lizus! Niekoleżeński! Skarżypyta! Scena ta, tak typowa dla socjalistycznego wychowania kolektywnego („Pani więcej ucieszy się, jeśli zrobimy witraże zespołowo”, s. 71), może jednak razić co wrażliwszego młodego czytelnika. Tak jak opłata w wysokości 15 złotych za udział w kompletach dokształcających. Czyżby idea bezpłatnej szkoły powszechnej była wówczas fikcją? A może w ten sposób po prostu zwalczano „prywatną inicjatywę” nauczycieli dorabiających na „korkach” (korepetycjach)?

Powieść „Walery” jest jednak znakomitym dokumentem stanu realnej i projektowanej świadomości społeczeństwa polskiego w latach pięćdziesiątych XX wieku. Także społeczeństwa bydgoskiego, bowiem akcja jej toczy się w grodzie nad Brdą i Wisłą, a w zasadzie w dwóch jego dzielnicach – Szwederowie przemianowanym dla stworzenia fikcji literackiej na Zielonkowie i na Starym Mieście. Młodzież, niepotrzebnie zwana dziećmi (czyżby w tamtych czasach nie funkcjonowało jeszcze to pojęcie?) fascynuje się Brdą, Wzgórzem Dąbrowskiego i Pięcioma Stawami a starsi... czytają „Gazetę Pomorską”. Dla niepoznaki ulicę Orlą autorka, znana w Bydgoszczy z romantycznej śmierci *we dwoje*, przemianowała na Wronią, a Małgorzaty Fornalskiej na Janka Krasieckiego. Piszę jednak wprost o Brdzie, Zaulku i innych fragmentach tego urodziwego miasta. Klimat powieści jest bardzo bydgoski i szwederowski (chaos przestrzenny, liczne zbiorniki wodne, falowanie terenu, robotniczo-rzemieślnicze środowiska) i to, jest chyba najbardziej realistyczne w tym socrealizmie. I chwytające za serce, przynajmniej bydgoszczan. Szczególnie starszych, którzy przecież w tamtym świecie zgrzebnej rzeczywistości i utopijnej pedagogii dojrzewali.

Nostalgii budzi też statyka ówczesnego życia, wprowadzając do „niedojrzały element”, ale prosto wiodącego do „lepszego jutra”. Ludzie pracują zawodowo, udzielają się społecznie, czytają książki, hodują gołębie, pielęgnują swoje domy i... nie niepokoją się jak my teraz, o przyszłość. Żyć nie umierać!•

Halina Rosnowska-Filutowicz, Walery, Warszawa 1955, Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej „Nasza Księgarnia”, ss. 176

## Ostatni „Arkusz”

Ze smutkiem musimy poinformować Czytelników i Autorów, że w maju ukazał się ostatni, 138. numer naszego czasopisma.

Dziękujemy Oficynie Wydawniczej Wielkopolski (dawniej Oficyna Wydawnicza „Głos Wielkopolski”) oraz jej prezesowi Marianowi Markowi Przybylskiemu za wydawanie i sponsorowanie miesięcznika kulturalnego „Arkusz” w ciągu 11 i pół lat, od listopada 1991 do maja 2003 roku. Wspierały nas niekiedy krajowe instytucje centralne (Ministerstwo Kultury, Fundacja Batorego), a także fundacja zagraniczna (Pro Helvetia) – przy całkowitej obojętności gremiów poznańskich – powołanych do opieki nad życiem kulturalnym miasta i województwa.

Redakcja „Arkusza”

## Ludwik Filip Czech

### Wbrew poetyckim modom

SŁAWOMIR KUŹNICKI dał swojemu nowemu zbiorowi poezji tytuł „Drzwi przez głowę”. Rzeczywiście, intelekt jest tym, co charakteryzuje te wiersze. Konstrukcja całej książki jest przemyślana, chociaż zaakcentowałam ją wyraźniej, dzieląc zawartość na kilka odrębnych rozdziałów. Mamy oto na wstępie wiersz krótki, zwarty, przywołujący obraz jesiennego parku:

na spacerze w parku  
drzewa ławki wszystko  
szuranie stopami  
o mokry asfalt  
łabędzie wokół fontanny

Wstęp pozwala przypuszczać, że pozostałość kontynuować się będzie lirycznie. Tymczasem kolejne wiersze świadczą, że poeta zmierza w całkiem przeciwnym kierunku. W wierszu o zachęcającym tytule „Współrzędne miłości” nagie ciało nie służy tylko miłosnym igraszkom. Jego topografia bardziej otrzewia bohatera niż oszałamia, „ukołyszany do snu biodrami” nie tylko traci z oczu rzeczywistości, ale znacznie wytrwalej podąża jej tropem, by nie pomylić „wschodu z zachodem słońca”. Owa trzeźwość umysłu każe mu odkrywać świat taki, jakim naprawdę jest. W wierszu „Lady Makbet” czytamy:

deszcz XXI wieku  
już nie obmywa dłoni –  
krew pod paznokciami palców  
pozostaje wczorajszym keczupem

Fikcja i wirtualność – to diagnoza stawiana przez Kuźnickiego naszym czasom. Relatywizuje się grzech, jego skutki powszednieją, zło jest już tylko „brudem z paznokciami”. Lady Makbet nie poniesie zasłużonej kary, gdyż sprawiedliwość jest odległa jak komputerowy miraż. Fikcyjny świat zawłaszcza powoli ten prawdziwy. Bohater wiersza „Hiperrealność” ma wszelkie powody żeby zniknąć, gdyż namiętnie ogląda telewizję. Widmo na monitorze posiada bowiem moc wykluczania z kręgu żywych.

Jak więc Kuźnicki odpowiada na tę apokaliptyczną wizję współczesności? Otóż w sposób jedynie rozsądny – ironią. Zamieszcza na kolejnej stronie „Argument wieży”, w którym kamienie „spadają w górę”:

budujemy nasze wieże  
wbrew prawom fizyki  
niejako do góry nogami  
zapominając jednocześnie  
gdzie sami mamy głowy

W świecie, w którym wszystko stoi „do góry nogami” ironia i śmiech potrafią nagle zmienić się w dramat.

Pojawiają się w niniejszym zbiorze wiersze tzw. zaangażowane. Osobiście zebrałbym je w oddzielny rozdział. Poeta nie boi się odnieść do aktualnych konfliktów. Choćby w tekście „Bliski Wschód”:

w jerozolimskiej spiekocie  
wyznawcy dwóch Bogów  
obmywają swe stopy  
w zimnej rzece krwi  
przyjaciół i wrogów

Inny wiersz tego cyklu to „Wiosna której nie było”. Przywołuje on arcydziełko Wisławy Szymborskiej pt. „Terrorysta – on patrzy”. Obcujemy tutaj ze skrupulatną narracją, beznamiętnym językiem stojącym w jawnej sprzeczności z tragizmem zdarzeń. Nie zarzucam Kuźnickiemu naśladownictwa – pewnie każdy artysta skonfrontowany z bezsensowną brutalnością operuje podobnymi środkami wyrazu.

Wiersz „Sytuacja międzynarodowa” jest bodaj najlepszym z tego cyklu. Mimo drażniącej mnie dosłowności, utwory te nadal pozostają

wierszami. Kuźnicki zaś poetą, nie korespondentem wojennym.

Są w tym zbiorze utwory inspirowane dziełami posagowych autorów. Nie jestem zwolennikiem podobnych literackich zabiegów. Uważam je za uniki. Doświadczenie uczy, że powstałe w ten sposób hybrydy zbyt mało mówią o pierwowzorze, jeszcze mniej o samym autorze. Z reguły takie przekładane są nudne. Wolę pracę całkowicie samodzielnie, inspirowane bezkresną – bądź co bądź – wyobraźnią artysty. Kuźnicki zaprzęga do niektórych z tych wierszy, kolejny raz, ironię. To ona nieliczne z nich ratuje.

Natomiast „Kultura i imperializm” to diament wśród czeskiej bizuterii – chociaż bardziej ze świata filozofii niż poezji. Autor konfrontuje w nim nasze egzystencjalne wybory z rozwiązaniami alternatywnymi, które, pominięte, nie miały okazji zaistnieć. Podświadomie stawia pytanie – czy te odsunięte na bok wersje zdarzeń naprawdę nie doczekały się realizacji? A może kontynuują się gdzieś poza naszą świadomością, samodzielnie, bez naszego udziału? Tymczasem jednak:

twoja wszechwiedza  
nie ma o nich  
najmniejszego pojęcia

Ale Kuźnicki nie żyje wyłącznie w labiryntach bibliotecznych półek. Są w tym zbiorze wiersze ukazujące autora w bardziej prywatnym wymiarze. Chociaż ową prywatnością poeta niechętnie wydaje się dzielić. Rzadko operuje językiem uczuć, który sugerowałby, że to jego emocjonalne stany. Do wiersza lirycznego woli wstawić „bohatera” i z tak bezpiecznej odległości podzruca mu wasne kwestie.

Na szczęście zdarzają się wyjątki. Wiersz „Pięta rano” to dobra poetycka robota, podobnie „Piżmowe noce”. Ciut banalne „Pragnienie”, jeśli wspomnieć wstrzemięźliwość Kuźnickiego, ociera się o erotyk.

Te liryczne próby – mimo że chłopięce bardziej niż męskie – cenię sobie przede wszystkim jako przejaw kultury. Tym bardziej, że współczesna młoda liryka wydaje się gustować częściej w klocach niż rabatkach. Świadczy to dobitnie o jej poetyckim wężu. Nie zaszkodzi więc sięgnąć do wierszy skrojonych wbrew istniejącym modom, choćby nawet krępowal je gorset przyzwyczajoności.

Tomik „Drzwi przez głowę” serdecznie polecam.•

Sławomir Kuźnicki, Drzwi przez głowę, Instytut Wydawniczy „Świadek”, Bydgoszcz 2003, ss. 66

Żywność zdrowa, ekologiczna  
polska nie europejska

SKLEP  
OWOCOWO-WARZYWNY

„Zieleniak”

Henryk Pulchny  
Bydgoszcz, ul. Gdańska 37  
tel. (052) 322 83 92



Stefan Pastuszewski

## Cudeńka z niczego

Zawsze podziwiałem WISŁAWĘ SZYMBORSKĄ za jej nieprawdopodobnie wyrachowaną grę słów. Zimną, logiczną, zupełnie jakby słowa były szklanymi koralikami do nanizywania czy oczkami w robótkach na drucie. Przyszła noblistka, a czytałem ją wiele lat przed triumfem, który notabene w formie goeteborskiego echa opisałem w *dzień po* („*Sonet i poematy*”, s. 96), imponowała mi, dostępną tylko kobietom, maestra kłecenia cudeniek z niczego. Tak „z niczego”, bowiem słowa, którymi się posługuje się, bo inaczej przecież w tak precyzyjnym dziele być nie może (dystans, przede wszystkim dystans i ekwilibrystyczna wręcz sprawność myśli) – z wyjątkiem tych poświęconych kotu – bezduszne. I właśnie dlatego tak łatwo poddają się jubilerskim wręcz obróbkom. Nie przyklejają się do ust-pióra mistrzyni jakimś osobistym słuzem, nie obciążają jej myśli personalistycznym zachwytem czy wątpliwością. Są niczym pociski wyrzucane ze starannie utrzymanego *pulmiotu*. *Pulmiotu*? A tak!

W 1955 roku późniejsza autorka „*Ludzi na moście*” zaimponowała czytelnikom nieprawdopodobną wręcz empatią z duszami i umysłami żołnierzy radzieckich, zapewniając ich „*własnymi*” słowami, dzieci polskie: „*Umiemy bardzo celnie strzelać*”. Z języka *riadowych saldatow* natychmiast, niczym cyrkowa akrobatka, przerzuciła się na język *politruków*, budując, zachwycającą w swej prostocie i przenikliwości metaforę, ale też teorię, *dwóch wolności i dwóch wrogów*. Cóż z tego, że tym *drugim wrogiem* jest polski sąsiad a może nawet i daleki wujek? Być może też ojciec i matka, bowiem żołnierz radziecki, skądinąd tożsamy z poetką, nie podzielił wcale dzieci polskich na zdrowe i pomiot *pamieszcikow i kulakow*, tylko mówił do tych obydwo kategorii. Maszynka do wyrzucania pocisków i maszynka do wyrzucania słów nie mają bowiem względu na osoby (podobnie jak Bóg-Sędzia, tylko że On najpierw określa swoje prawo, potem daje wiele szans, a ostatecznie jest miłosierny). A poza tym według W. Szymborskiej „*człowiek to prawie nikt*”, więc sędziami trudnych ludzkich spraw mogą być dzieci (ten drugi wróg „*odpowie on przed Wami teraz*”).

Aby nie być gołosłownym przytoczę wreszcie ten fascynujący wiersz, choć jest on tylko wierszem dla dzieci. Fascynujący zarówno pomysłem, jak i konstrukcją, nie mówiąc już o genialnym doborze słów (np. „*Blizniaczki. Siostry bystronogie*”). Bystro bowiem zauważył w 1993 roku Jan Tomkowski, że „*jesli pojawia się u Szymborskiej jakieś słowo, to znaczy, że jest ono w tym miejscu absolutnie konieczne, nie da się go wykreślić ani zastąpić żadnym innym*”.

A oto, utrwalony przez „*Ilustrowany Kurier Polski*” z 1955 roku, nr 46, s. 3, ciąg słów „*absolutnie koniecznych*”, z genialną maestraią wystrzelonych przez autorkę „*Chwila*”, nominowanej w 2003 roku do kolejnej nagrody „*Nike*” i na pewno na tę nagrodę zasługującej, skoro 48 lat temu wiersze poetki nie były nawet o pół stopnia mniej w swojej lingwistyce doskonale niż owych 21 utworów, o których tak mądrze mówi Julia Hartwig: „*Pozorna oczywistość i prostota stwierdzeń Szymborskiej stają się czymś olśniewającym nowym. To jedna z tajemnic tej poezji, zarazem Szymborska potrafi wprowadzić nas w konfuzję, zarzucając lawinę pytań, nierazko przewrotnych, niemal zawsze zaskakujących*”:

Wisława Szymborska

**Żołnierz radziecki w dniach wyzwolenia do dzieci polskich mówił tak:**

*Kruche bywają ściany domów,  
gdy pocisk wojny godził w domy.*

*Nie płaczcie, polskie dzieci, w schronach.  
Będziemy oszczędzali gromów.  
Nie chcemy ranić waszych miast.  
Nie chcemy ranić waszych wsi.  
Najszybszym frontem przez wasz kraj  
będziemy tropiąc wroga szli.  
Więc najmniej bomb. Więc najmniej zgliszcz.  
Umiemy bardzo celnie strzelać.  
Bo wiemy – gorzko się umiera  
na dziesięć minut przed wolnością.*

*Nie jedna wolność to, lecz dwie.  
Blizniaczki. Siostry bystronogie.  
Bo też i wróg, co tutaj wszedł,  
nie jest jedynym waszym wrogiem.  
Jest jeszcze wróg, co ojców karki giął,  
młodość i starość im odbierał.  
Za młodość i za starość ich  
odpowie on przed wami teraz.  
Dzisiaj otwieramy wam nadzieję,  
której wy jutro podacie.  
Niech was nie trwoży to natarcie.  
Front jak wiosenny deszcz przewieje.*

Muszę przyznać, że mnie w tym brawurowo napisanym utworze (narrator jest czuły niczym Stalin wobec tych, których obdarzył kaprysem swej czułości), olśniło oprócz owych *bystronogich siostr blizniaczek*, sformułowanie: „*kruche bywają ściany domów*”, a w nim – tajemnicze i groźne zarazem – „*bywają*”. Ma więc rację J. Tomkowski pisząc o: „*zartobliwym dystansie*” i „*nowej ironicznej tonacji*” autorki „*Wołania do Yeti*”.

Beata Anna Pokorska tłumaczy, że współautorka rezolucji 53 krakowskich literatów z 8 lutego 1953 roku, subtelnie igrając relacją między nową zależną a niezależną nie bierze odpowiedzialności za wypowiedź żołnierza radzieckiego, a raczej dwóch: *riadowemu* i *politruka*. Doprawdy – talmudyczne to tłumaczenie! Przecież to współautorka rezolucji napisała ten wiersz, a nie żaden żołnierz radziecki, który zazwyczaj był *analfabetą*.

Wyjątkowość tego dzieła, a zarazem samej W. Szymborskiej, polega na tym, że w odróżnieniu od innych – a było ich wielu – polskich piewców zwycięskiego marszu Armii Czerwonej ze wschodu na zachód, zajęła się czymś tak marginalnym, nie pierwszofrontowym, jak „*kruche ściany domów*”. Fenomenem jest również to, że nakłamała ile wlezie, co oczywiście jest niezaprzeczanym prawem pisarza, bo literatura, a już na pewno bajka dla dzieci, to przecież nie reportaż czy sprawozdanie eksperckie. Niemniej gwoli przypomnienia warto zaznaczyć, że Armia Radziecka „*raniła polskie miasta i wsie*” z rozmachem rozwścieczonego niedźwiedzia, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, co W. Szymborska jako zapalona domatorka na pewno widziała choćby na fotografiach. No tak, lecz w tamtych roztrząskanych domach mieszkaly przecież głównie dzieci niemieckie... Ale i tak, ilekroć w swojej ukochanej Bydgoszczy przechodzę obok luterńskiego kościoła pw. Zbawiciela, tylekroć oczyma wyobraźni przeszłościowej widzę żołnierzy sowieckich celujących dla zabawy i wywiczenia precyzji strzelania – tak chwalonej przez autorkę „*Wszelkiego wypadku*” – do przepysznego neogotyckiego, klinowego hełmu wieży, którego po dziś dzień nie zrekonstruowano.

Muszę też z żalem skonstatować, bo jako fascynat literatury martwię się, gdy wieszczowie myślą się w swoich wieszczbach, że wbrew retorycznym zakłębom poetki polskie dzieci, którym żołnierz radziecki „*otworzył nadzieję*”, nie „*podolały jej*”, dowodem czego stał się krach systemu komunistycznego u schyłku XX wieku. Cóż, taki już jest los twórców odważnie podejmujących trudne tematy, a W. Szymborska takie tematy przecież podejmuje, choćby wspomnieć tytuł jednego z jej wierszy z 1954 roku – „*Wstępującemu do Partii*”. Z uwagi na jego pokaźność, nie tylko treściową, nie będę go cytował, choć gwoli pochwały konsekwentnej spójności twórczości autorki „*Py-*

*tań zadawanych sobie*” wspomnę tylko o upartej kontynuacji przez nią teorii dwutorowości: *dzienki* wstąpieniu do PZPR młodość młodego robotnika świeci „*gwiazdą dwuramienną*”.

W realnym, a nie bajkowo-poetyckim świecie, taka dwutorowość nazywa się hipokryzją. Pamiętaj jednak krytyku młody, abys nigdy nie zestawiał świata rzeczywistego ze światem sztuki! Nie oczekuj też od pisarza, aby poruszył temat, który właśnie ciebie fascynuje, tak jak mnie fascynuje, nie napisany chyba jednak wiersz W. Szymborskiej o amerykańsko-brytyjsko-polskiej napaści na Irak. Jestem pewien, że autorka „*Stu pociech*” taki wiersz potrafi napisać. Ja w nią wierzę! I tylko z tego, tematycznego li tylko powodu, niecierpliwie oczekuję na jej kolejny zbiór wierszy. Nie mnie bowiem dotyczy reklamarska konstatacja J. Tomkowskiego: „*Każdy jej nowy tomik, oczekiwany z niecierpliwością, staje się wydarzeniem wielkiej rangi*”. Bo czyż wydarzeniem może być kolejny sweter czy szalik znakomicie wydziergany przez ukochaną babcię na drutach? Zawsze będzie to tylko sweter czy szalik, zawsze mistrzowsko zrobiony na drutach i zawsze formalnie fantastyczny.

Tak, ja twórczość naszej czwartej literackiej noblistki, jako koneser sztuki, szczerze podziwiam. Tylko, że na osobistą półkę stawiam książki Zbigniewa Herberta i Tadeusza Różewicza, a czasem nawet, zataczającego się od jednego do drugiego ideowo-moralnego płata, Czesława Miłosza. Bo dla mnie człowiek to nie „*prawie nikt*”, słońce nie jest „*gwiazdą prowincjonalną*”, a „*świat przedmiotów, które lepiej znoszą działanie czasu i są bardziej zagadkowe*” nie jest światem najwyższego rzędu. Mnie szklane paciorki słów, choćby najbarwniejsze i jak najkunsztowniejsze poukładane, zbytnio nie rajcują. Nie padłem więc na kolana jak to niemal wszyscy recenzenci uczynili przed nowym zbiorem poezji W. Szymborskiej „*Chwila*”. Zaczęłam uważnie czytać...

Niestety, ale pierwszym wrażeniem było znużenie. Takie jakie ogarnia podczas zwiedzania klasycznego muzeum historycznego. Kambr, sylur, epoka kamienna (kamień zdaje się być obsesją noblistki), kultura grobów skrzynkowych... I jak na ironię, pierwszy wiersz ze zbioru pt. „*Chwila*” nawiązuje właśnie do podręcznikowych przekrojów prehistorycznych. Trzeci („*Chmury*”) jest natomiast wariacją „*prehistorycznego*” już w dorobku poetki, wiersza „*Rozmowa z kamieniem*”:

*Przy chmurach  
nawet kamień wygląda jak brat,  
na którym można polegać,  
a one, cóż, dalekie i płocze kuzynki.*

I tak w tamtym, i w innych wierszach autorki „*Soli*” następuje zestawienie kondycji natury z kondycją człowieka:

*Niech sobie ludzie będą, jeśli chcą,  
a potem po kolei każde z nich umiera,  
im, chmurom nic do tego  
wszystkiego  
bardzo dziwnego.*

*Nihil novi sub sole!* Zarówno w skarbnicy ludzkiej refleksji jak i w skarbczyku refleksji autorki „*Głosu w sprawie pornografii*”. Zahaczające aż o zimny cynizm przekonanie o znikomości ludzkiej egzystencji, czasem nawet jawna wrogość wobec niej (wciąż brzmi mi w uszach złowieszczą groźba: „*kruche bywają ściany domów*”), dziecięce niemal zadziwienie sprawami najprostszymi (urokliwy, najlepszy chyba z całego tomu, bo dynamiczny, wiersz „*Mała dziewczynka ściąga oburys*”), pochwała zwykłości, która niestety czasem jest tylko banałem (wiersze „*Wczesna godzina*”, „*Trzy słowa najdziwniejsze*”, „*W parku*”, „*Notatka*”, „*Wszystko*”).

Doprawdy, ale tego typu refleksję („*Katuzia*”) znajdowałem w wierszach wielu debiutan

Dokończenie na str. 59



Dokończenie ze str. 58

tek uznających, że filozofowanie w poezji to jedynie „pozytywnie rozumiana prostota”:

Dopiero później przyszło zrozumienie:  
nie wszystkie złe przygody  
mieszczą się w regułach świata  
i nawet gdyby chciały,  
nie mogą się zdarzyć.

„Pozytywnie rozumiana prostota” wyzwała jednakowoż prosty, a nawet czasem prostacki język i prosty; nawet jakby z romansów dla fryzjerek, obraz:

#### Ze wspomnień

Gawędziliśmy sobie,  
zamilkliśmy nagle.  
Na taras weszła dziewczyna,  
ach, piękna,  
zanim ją zobaczyłem,  
jak na nasz spokojny tutaj pobyt.

Basia zerknęła w popłochu na męża.  
Krystyna odruchowo położyła dłoń  
na dłoni Zbyszka.

Ja pomyślałam: zadzwonię do ciebie,  
jeszcze na razie – powiem – nie przyjeżdżaj,  
zapowiadają właśnie kilkudniowe deszcze.

Tylko Agnieszka, wdowa,  
powitała piękną uśmiechem.

Przytoczony w całości wiersz, żartobliwy i ciepły zarazem, jest li tylko szkicem do pewnego zjawiska, bardziej pytaniem niż odpowiedzią, której od czasu do czasu do dojrzałej poetki można by oczekiwać. Zresztą pytania w całej twórczości W. Szyborskiej przytłaczają nieliczne odpowiedzi.

Zbiór „Chwila” nie wnosi niczego nowego do dorobku, a wręcz przeciwnie – poprzez muzealną wierność dotychczasowym faktom twórczym z życiorysu autorki – klinicznie karykaturyzuje niektóre zjawiska i techniki, jak balansowanie między głęboką prostotą a płytkim banałem, ironia ocierająca się o cynizm, wręcz uparcie stroszenie od lat zabieg opisywania przyrody i kontrastowanie jej z egzystencją człowieka, która oczywiście jest znikoma, krucha i niewiele warta. „Chwila” to rzeczywiście elegancki, gustownie przystrojony tom, tylko że w wielokrotnie już używane piórka.

Wisława Szyborska to wielka dama, a dama to styl i szyk, a styl i szyk to jakaś ideologia i rytuał, a w tym to już dużo powietrza i, niestety, pustki. Podziwiam więc W. Szyborską jako wielką damę poezji polskiej. ❁

Wisława Szyborska, *Chwila*, Kraków 2002, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, ss. 48

## RECENZJE

## Pranė Dundulienė

### Litewski matriarchat (1)

Litewska rodzina, jej zwyczaje, obrzędy są jedną z najwcześniejszych kulturowych zjawisk zrodzonych i układających się zgodnie z prawdziwymi aspektami danego terytorium, ukształtowanymi przez tysiąclecia: klimatycznymi, socjalnymi, geograficznymi oraz ekonomicznymi. Rodzinną wspólnotę tego okresu, który trwał tysiąc lat, życie rodziny i jej obrzędy kształtowała matka, stąd okres matriarchatu. Już w epoce kamienia matka była aktywną twórczynią w obu aspektach: duchowym i materialnym. Stabilizowała członków rodziny, strzegła domowego ogniska, rodziła i wychowywała dzieci. To matka przez tysiąc lat tworzyła obrzędy – od urodzenia łącznie z nadaniem imienia, ślubu i pogrzebu, najpierw w rodzinie a później w szerszej społeczności, tworząc normy obyczajowe, moralne, zachowań.

Rodzinnе życie i jego obrzędy przez długie stulecia były odczytywane jako symboliczne, religijne. Większość zwyczajów uformowała charakter człowieka, umożliwiła jego rozwój religijny, kulturowy i moralny. Dlatego w oparciu o nie można zrekonstruować rozwój narodu litewskiego. Jednocześnie zaznaczając, iż kultura ludowa, zwłaszcza w sferze słowa i myśli, umocniła archaiczne zwyczaje i obrzędy, które były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Rodzinnе zwyczaje, obrzędy, tradycje stały się historycznymi źródłami budującym świadomość narodową. Badania dowiodły, że Litwini jak i inne narody, już w najwcześniejszym, wspólnotowym ustroju posiadały mnóstwo własnych przedstawień świata. W wierze, w ścisłym związku z ludźmi przechodzili na świat, żyli, żenili się i odchodzili z tego świata, od starych przodków przejmując kult dziadów (dusz). Ludzie wierzyli, że wszystkie najtrudniejsze aspekty życia wymagają uczestnictwa zmarłych przodków. Jeśli ktoś o nich zapomni, to spadała na niego wielka kara. W zamierzonych czasach z religijnymi wierzeniami łączyły się obrzędy zauważalnych duchowych dzieł: kultu, myśli, metafor i inkarnacji.

#### Rodzina matriarchalna.

U Litwinów jak i u innych narodów świata, rodzina przeszła długą drogę, rozwijając się od endogamicznej do egzogamicznej, od matriarchalnego związku do patriarchalnej monogamicznej rodziny. O tym jest niemalże archeologicznych, ikonograficznych, pisanych, lingwistycznych i mitologicznych danych. Okres matriarchatu zaświadczone zostały odnalezionymi kamiennymi i drewnianymi statuami. Przykładowo kobiece statuetki odnaleziono w rejonie Święcian, Kretyngi. Koło Święcian natknięto się na statuę z drewna ko-

biety, a koło Juodkrantes aż kilka statulek z bursztynu, statulek czarownic z III-II tysiąclecia przez Narodzeniem Chrystusa.

Kobiece statuetki znaleziono nie tylko na Litwie, ale i w większości miejsc dawniej zamieszkałych przez Baltów. Te kamienne statuetki były nazywane kamiennymi babami.

Więcej niż sto takich figur znaleziono w najstarszych pokładach w rejonie Orinoko, często przy ognisku, także w większości obszaru Europy od Francji po Syberię. Są one najwcześniejszym przejawem dzieł sztuki, pomnikami czasów matriarchatu. Statuetki szybko stały się przedmiotem kultu: jako pramatki, strażniczki domowego ogniska a może boginie, pozostałości Lemii, najbliższych litewskim Laimom.

Z okresem matriarchatu związane są boginie-rodzicielki: Lada i Lela, płodności ziemi – Żymena, Laima i inne boginki. Etnograf Jonas Vitoras w roku 1899 napisał, że we wsi Narusielis niedaleko Ignaliny na polach leżał wielki kamień, na których kładły się nieplodne kobiety odzyskując płodność. Tadeusz Wolański w 1845 roku napisał, że przy jeziorze Goplo, gdzie dawniej też mieszkali Baltowie, została wykopana kamienna statua z rozpuszczonymi włosami, ubrana w luźną szatę. Prawą rękę trzymała na brzuchu (tonie) a lewą na piersiach, przy których trzymała karmione niemowlę. Tę statuę oceniono jako litewską boginkę Laimę (Laima to pisownia litewska, wymowa będzie Łajma) wskazującą że w brzuchu rodzi się niemowlę.

c.d.n.

## Nowe tytuły:

- Jolanta Baziak, *Coś istnienia*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 64
- Rafał Brasse, *Księga troski*, Wrocław 2003, Oficyna Wydawnicza Klubu Muzyki i Literatury, ss. 104
- Justyna Anna Buchta, *Wspomnienia opuszczonego ogrodu*, Międzyrzec Podlaski 2003, Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne, ss. 76
- Janusz Gdowski, *Dunajec... Listy...*, Wojnicz 2003, Gminny Ośrodek Kultury, ss. 142
- Andrzej Grabowski, *Oszaleć można z tymi kotami*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 112
- Melita Hrycenko (Melita Lange), *Dla Ciebie*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 52
- Tadeusz Jania, *Kłęcz w cieniu Twojego milczenia*, Miłosierdzie Boże w polskiej poezji współczesnej. Antologia, Kraków 2003, Wydawnictwo Świętego Stanisława, ss. 312
- Zbigniew Jankowski, *Cierne wody*, Pelplin 2003, Wydawnictwo „Bernardinum”, ss. 76
- Zbigniew Jankowski, *Posłańcy żywiołu*, Gdańsk 2001, Wydawnictwo „Oskar”, ss. 324
- Teresa Januchta, *Ścieżki dostępu*, Poznań 2003, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 56
- Anna Kajtochowa, *Bezdrożem ścierniska*, Kraków 2003, Wydawnictwo i Reklama „Partner”, ss. 124
- Mieczysław Kilian, *Krzyki i kruki*, Chełmno 2003, Muzeum Ziemi Chełmińskiej, ss. 112
- red. Stanisław Krzak, *Fraszka*, Aforyzm 2002, Nowy Targ 2002, MOK, ss. 20
- Red. Karol Maliszewski, *Wymówienia*. Antologia, Nowa Ruda 2003, Wydawnictwo „MamiKo”, ss. 168
- Red. Antoni Marianowicz, *Dom Pod Królami*. W 75-lecie ZAiKS-u, Warszawa 1993, Gebetimer i Spółka, ss. 180
- Rafał Marszałek, *ZAiKS u progu nowego wieku*, Warszawa 1998, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, ss. 192
- Janusz Orlikowski, *Wiersze wybrane*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 196
- Michał Palmowski, *Drugie stworzenie świata*, Kraków 2003, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, ss. 110
- Jan Polom, *Czas w Tepoztlanie*, Olsztyn 2003, Edytor „Wers”, ss. 64
- Jan Pomin, *Labirynt wyobraźni*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 80
- Red. Krzysztof Prusik, *Lekkoatletyka w teorii i praktyce*, Bydgoszcz 2003, Wydawnictwo „Sport”, ss. 346
- Danuta Rzepecka-Ziurkowska, *Kraina uniesień*, Bydgoszcz 2003, Drukarnia „GraDar”, ss. 88
- Alfons Soczyński, *Wołyńskie niezabudki*, Wrocław 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 64
- Red. Jerzy Spychała, *Najpiękniej w Widawie*, Izabelin-Mościska 2003, Wydawnictwo „Drukaba”, ss. 80
- red. Lucyna Szubel, *Czas utrwalaony. XX lat Grupy Twórczej „Cumulus”*, Chrzanów 2003, Firma Usługowo-Wydawnicza „Studio 2000”, ss. 87
- Mateusz Wabik, *Przestrzeń lokalna*, Kraków 2003, Biblioteka „Nowego Wieku”, ss. 40
- Radosław Wiśniewski, *Nikt z przydomkiem*, Toruń 2003, Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie, „Undergrunt”, ss. 62
- Maciej Woźniak, *Obie strony światła*, Kraków 2003, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, ss. 54



Fot. Adam Juszkiewicz



## Dzień dobry, Redakcjo

Majowy „Akant” zrobił na mnie wrażenie nie tylko „Żwirgą i Wigurą” czy „Murem” (s. 6). Najsłabszy jest wiersz na cało-stronie 7, ponieważ powiela on schemat znany. Poezja nie jest od dostosowywania się (powielania), pomimo wynalazku Gutenberga.

„Akanty” wprowadził, w latach 70., do nauki prof. Mirosław Zabierowski, kolega Marianny Bocian, w latach 90. Często o nich rozmawiali i to jak! – „Akanty” dotyczą bowiem powstawania, twórczości, zjawiania się w całości z części, są schematem kosmogonicznym.

Maria Zabierowska

O ile wolno mi się porównywać z tymi, którzy nie stronią od porównań, to nie wydaje mi się, żeby moje eseje były gorsze merytorycznie od esejów Ariany Nagórskiej. W majowym numerze pisma z 2003 roku poświęcono jej z pięć stron. Stąd moja gorycz, bo zważyłem trochę na obiektywizm „Akantu”. Po dziwnym i utrzymanym w złym guście ataku A. Nagórskiej moje teksty nie pojawiły się w dwóch kolejnych numerach. Bardzo ucieszyłaby mnie merytoryczna krytyka moich poczynań. Jednak to co zamieścili w kwietniu („Akant” 2003, nr 4, s. 45) nie jest ani merytorycznie dobre, ani ciekawe... Rozumiem konstruktywną krytykę, rzeczowe wytknięcie wad, opisanie nieprzystawalności autora do gustu krytyka. To co zobaczyłem świadczyło o braku szacunku wobec mnie i wobec samej redakcji „Akantu” (podważanie jej decyzji byle jak i mimochodem).

Jacek Tabisz

Uważnie przeczytałem listy Czytelników „Akantu” (2003, nr 6). I ja sądzę, że „Antologia AKANTU” jest bardzo przydatną książką (noty o autorach, głosy krytyków, opinie czytelników, „Alfabet AKANTU”, etc.).

Tadeusz Lira-Sliwa

Chciałbym szczerze podziękować i pogratulować „Akantu”, który po latach wypełnił puste miejsce po „Życiu Literackim” i pokazał, że literatura polska jest zjawiskiem ciągłym, dobrym i – wymagającym częstego, regularnego ukazywania jej problemów, gdyż stale coś dzieje się na bieżąco. Nie da się ukryć, iż „Akant” to jedyne polskie pismo literackie, które te postulaty realizuje z wnikliwą uwagą i otwartością na złożoność różnorodnych sądów, opinii. I nie zapomina także o dawniejszej literaturze. Dobrze pamiętam swój pierwszy kontakt z pismem, kiedy to w księgarni, wśród wielu periodyków, na okładce jednego z nich zobaczyłem fotografię Pappusa i eseje o poetce cygańskiej. Pomyślałem wtedy, że przeciw tego chyba brakuje w tych wszystkich hermetycznych „największych” pismach literackich: spojrzenia poza siebie i swoje środowisko, swoje prywatne sprawy. I dobrze, że jest „Akant”. Miesięcznik, który otworzył – jako jedyne polskie pismo – łamy swe dla najmłodszych.

Po otrzymaniu majowego numeru (2003), bardzo smutnego numeru, bo to był ten pierwszy raz, gdzie o mej bliskiej przyjaciółce, wielkiej poetce Mariannie Bocian pisano w czasie przeszłym, przeczytałem uważnie dodatek „Cudne Manowce”. Potem spojrzałem na daty urodzenia młodych poetów

i zdumiałem się. I mogę powiedzieć, że jestem zbudowany duchowo i wiem również, że Marianna także byłaby. Bo oto spełnia się jej idea i wiara w powrót wiary w słowo. I to jest wielkie, że postulat ten realizują najmłodszy, często jeszcze dzieci. A realizują dojrzałe, bo większość wierszy w majowych „Cudnych Manowcach” to naprawdę dojrzałe, nie tylko przesłaniem, także warsztatowo utwory. Nie wiem, czy ci najmłodszy znają twórczość Marianny Bocian, jeżeli nie to kiedyś poznają i odkryją ten wielki duchowy związek, jaki łączy ich z tą poetką poprzez jej słowa. Najprościej należałoby tu przytoczyć wiersz „Siewca” Marianny Bocian, ażeby tę ciągłość ukazać. Długo myślałem, że Marianna jest jednak opty-

mistką, że jej wiara w najmłodszych twórców i ich zwracanie się w stronę przekazywania samego tylko dobra jest w gruncie bezzaradna. Teraz widzę, że myliłem się. I to jest bardzo budujące. Mam nadzieję, że młodzi i najmłodszy będą tę wspólnotę duchową podtrzymywali, że będą kontynuowali przesłanie Marianny Bocian, i że to dzięki nim ten „Norwid w spódnicy” – jak często nazywa się Mariannę Bocian – zostanie prawdziwie odpomniany, a „jego” idea – przedłużona w czasie.

Obecność „Akantu” dodaje otuchy i odwagi. Przepelnia mnie optymizmem.

Eryk Ostrowski



### SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA

ul. Wąska 3, 85-036 Bydgoszcz, tel 3731001, 3731021  
www.sim.bydgoszcz.pl sim@sim.bydgoszcz.pl

**Budujemy tylko na pełną własność**  
- nowocześnie (instalacja TV-SAT, monitoring, okna z szybami antywłamaniowymi na parterze, okablowanie pod internet, podjazdy dla niepełnosprawnych) -

- \* Mieszkania już od 30m<sup>2</sup> do odbioru jeszcze na koniec tego roku oraz w latach następnych.
- \* Garaże
- \* Domki szeregowe (już od 65m<sup>2</sup>)
- \* Aranżacja wnętrz i wykonanie pod klucz

Posiadamy do natychmiastowego przekazania mieszkanie o pow. 59 m<sup>2</sup> (2 pokoje) ul. Karolewska Czyżkówko.

## Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Szef kuchni oferuje dania kuchni polskiej i międzynarodowej. Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz  
tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24



**BIURO MAX** Wszystko w doskonałym porządku

**WELCOME TO KUJAWY AND POMERANIA REGION**

FUNDATORZY „AKANTU”

Tomasz Agatowski Jadwiga Badowska Piotr Baranowski Maksymilian Bart-Kozłowski Teresa Borkowska Wacław Buryła Honorata i Tadeusz Chróścielewsy Reneta Cieszyńska Sławomir Stanisław Czarniecki Ryszard Danecki Małgorzata Dobkowska Jacek Durski Zdzisław Dywiski Elżbieta Sławomir Fetter Irena Gąszcz Andrzej Giersz Monika Gładysz Robert Gotowski Jerzy Grupiński Krystyna Gryś Miłostawa Gumpert-Hause Krystian Hadasz Danuta i Aleksander Kaczmarkowie Antoni Kaniasty Jacek Karoliak Eugenia Klak Janusz Kobiernski Danuta Kostewicz Hanna i Włodzimierz Krzemkowsy Zbigniew Kwiatkowski Ryszard Lisowski Ryszard Liszka	Zdzisław Łączkowski Miłost Kamil Manasterski Anna Mikiewicz Hanna Mierzwa Bernard Najdek Daniela Niespodziana Kazimierz Obłój Anna Obuchowicz Kalikst Piechociński Edmund Pietryk Wierczyński Polaczek Zbigniew Przybyliński Wojciech Reszka Józef Jacek Rojek Antoni Skibiński Jan Stanisław Smaleski Krzysztof Stanisławski Stowarzyszenie Jeszcze Żyjących Poetów – Zielona Góra Danuta Sułkowska Maria Szyszowska Natalia Tachy Jan Adam Tomaszewicz Daromila Tomawska Mirosław Tryczyk Szczepan Warmiak Ireneusz Wieczorek Małgorzata Wojciechowicz-Lewicka Mieczysław Wojtasik Włodzimierz Zieliński Andrzej Ziobrowski Lujan Zuzia Jan Zęmjo
--	--

## poligrafia MAGENTA

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2  
tel./fax (0-52) 328 72 77  
e-mail: magenta48@wp.pl

**Oferujemy druk:**

- książek,
- folderów, katalogów, wizytówek,
- listowników, ulotek reklamowych,
- kalendarzy, itp.

**Rzadkie techniki:**

- zanikający, ale szlachetny druk typograficzny,
- tłoczenie, wykrawanie, złocenie,
- unikatowe introligatorstwo.

**Zapewniamy  
wysoką jakość naszych wyrobów!**

MIESIĘCZNIK LITERACKI

# AKANT

Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelny  
 Beata Anna-Pokorska – redaktor  
 Marek Dobucki – red. wyd. internetowego  
 Artur Kubasik – redaktor techniczny  
 Jolanta Papała – korektorka  
 Katarzyna Wodecka – redaktor techniczny  
 Grzegorz Misiewicz – kierownik marketingu

Konto: PKO BP SA I/O Bydgoszcz  
 10201462-73033-270-11  
 Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4  
 85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71  
 tel./fax 052/371 40 90  
 e-mail akant@akant.telvnet.pl

Naświetlanie: „TANGRAM”, ul. Jaskółcza 42, Bydgoszcz  
 Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77  
 85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

**RADA REDAKCYJNA:**

Marek Pietrzak – przewodniczący  
 Michał Krzemkowski, Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,  
 Zdzisław Rozwada-Rutkiewicz, Mieczysław Wojtasik, Włodzimierz Zieliński

Copyright Instytut Wydawniczy „Świadectwo” - Prenumerata za pośrednictwem redakcji: półroczna - 40,00 zł, roczna - 80,00 zł (13 numerów plus koszt wysyłki) - Informacji o warunkach prenumeraty krajowej udzielają oddziały „Ruchu” i urzędy pocztowe. Zamawiać można w salonach KMPK i kioskach „Ruchu”. Prenumerata zagraniczna: Wpłaty przyjmuje jednostka „RUCH” S.A. Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy na konto w PKO S.A. IV O/W-wa: Nr 12401053-40060347-27700-401112-005 lub w kasie oddziału. Informacji o warunkach prenumeraty udziela ww. oddział - 01-248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33, telefon: 5328-731, 5328-820, infolinia 0-800-1200-29, w internecie: www.ruch.pol.pl; www.exportim.com. Prenumerata na całym świecie płatna kartami kredytowymi w Internecie: www.polskaprasa.com. tel./fax: +46-8-6639963. Opłata za wysyłkę zagranicą - 5,60 zł. Prenumerata pocztowa: Rejonowy Urząd Poczty, 85-950 Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 6, Konto: Bank Pocztowy S.A. Centrum Rachunków Skonsolidowanych 13200019-9900111-7704-201001-10380-0. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo do ich skracania i audycji interaktywnej. Autorzy, którzy chcą otrzymać odpowiadającą sobie prasę i przesłać znaczki pocztowe - Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń oraz reklam i ma prawo odmówić publikacji bez podania przyczyn. Przekrój materiałów w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek języku, bez wcześniejszej pisemnej zgody jest zabroniony.

